

**Daria Doncowa**

# **Zjawa w adidasach**

**Pravidienie w krossowkach**

**Przełożyła: Elżbieta Rawska**

**Wydanie polskie: 2004**

**TMN**

# Rozdział 1

Jeśli dziewczyna zna swoją cenę, to znaczy, że nie raz już ją podawała. Nieszczęśliwie lubię ludzi, którzy oznajmiamą z wielką pewnością siebie: „Mnie nikt nie oszuka, dobrze wiem, ile jestem wart”.

Ciekawe, skąd? Słyszac od swego interlokutora takie oświadczenie, wygłoszone z dumną miną, staram się czym prędzej zakończyć rozmowę – po prostu przerywam ją w pół słowa i zmykam. Zdaję sobie sprawę, że postępuję niemądrze, ale nie potrafię się przemóc. Jednakże przytoczone wyżej słowa, które padły dziś z ust Lenki Karielinej, wcale mnie nie rozzłościły. Lenka to przypadek szczególny – jej rzeczywiście nie można oszukać.

Kiedyś studiowałyśmy razem i Lenka już wtedy była osobą niezwykle obrotną. Ci, którym stuknęła czterdziestka, z pewnością dobrze pamiętają ugrzecznionych, zawsze uśmiechniętych ludzi płci obojga, pojawiających się w urzędach i instytucjach z wielkimi torbami, pełnymi ubrań, butów i kosmetyków. W latach siedemdziesiątych nazywano ich handlarzami lub spekulantami. Wystarczyło, by ktoś taki ukazał się na korytarzu, a już większość pracowników – zwłaszcza płci żeńskiej – w jednej chwili porzuciła nawet najpilniejszą robotę i pędziła do toalety, gdzie następnie oddawała się upajającemu zajęciu: przymierzaniu ciuchów.

Lenka była właśnie jedną z takich dostawczyń, tyle że nie przynosiła staników, sukienek i nieosiągalnych dla większości kobiet francuskich perfum, lecz książki. W czasach, gdy w ZSRR rządili komuniści, również one były towarem absolutnie deficytowym. Przy tym sytuacja na rynku wydawniczym przedstawiała się wręcz paradoksalnie. Księgarnie pękały w szwach od wspaniale wydanych tomów w twardej oprawie. Jednak przy bliższym rozpoznaniu okazywało się, że jest to lektura całkowicie niestrawna – zbiory uchwał i rezolucji KC KPZR, wiersze jakichś Pupkinów i Lapkinów pod porywającymi tytułami *Proletariuszu, równaj krok* i powieści o korzyściach płynących z socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Kryminałów, literatury naukowej na przyzwoitym poziomie, po prostu dobrych książek – poezji lub prozy ulubionych autorów – można było szukać ze świecą.

Oczywiście, w ZSRR byli i prozaicy, i poeci – Katajew, Kawierin, Wozniesieński, Jewtuszenko... Ich książki nigdy jednak nie leżały na ladzie księgarskiej, lecz dostawało się je zawsze tylko spod niej. W księgarniach obowiązywała zasada tak zwanej sprzedaży wiązanej. Polegała ona na tym, że kiedy chciało się zakupić upragniony tomik Cwietajewej, należało obowiązkowo nabyć również zbiór postanowień Rady Ministrów w zakresie hodowli królików bądź powieść *W świetle elektryfikacji*.

W czasach radzieckich posiadanie w domu dobrze zaopatrzonej biblioteki było sprawą prestiżową. Kręgi elity partyjnej otrzymywały z tak zwanego rozdzielnika nie tylko lepsze gatunki wędlin czy importowaną odzież, ale i książki.

No i oczywiście chwalono się nimi, eksponowano je na widocznym miejscu, obok kryształowych kieliszków do wina i serwisów „Madonna”. Konspiracyjnego biurokrajcę, handlującego książkami, witano nie mniej, a niekiedy nawet bardziej entuzjastycznie niż sprzedawcę kosmetyków.

Tak więc Lenka odwiedzała najróżniejsze instytucje z dużą torbą na kółkach, jakiej używa się do większych zakupów. Miewała w niej Achmatową, Andrieja Biełego, dzieła zebrane Dostojewskiego, Czechowa, Kuprina. A także Mayne Reida, Jacka Londona, Dumasa...

Dzisiejsze młode pokolenie, które przywykło do tego, że u wejścia do metra, na ulicznym stoisku, można kupić właściwie każdą książkę, nigdy nie zrozumie nas, którzyśmy tomiki ulubionych autorów przeglądali na parapetach w toalecie, pomiędzy muszlą klozetową a umywalką. Nie pojmie, jaką burzę zachwytów wywoływała powieść Chandlera czy Agathy Christie.

Gdy tylko dało się w kraju wyczuć pierwsze tchnienie wolności, ludzie zaczęli organizować „spółdzielnie”. Pamiętacie czasy, kiedy co drugi obywatel handlował żywnością? Wiecznie głodnemu człowiekowi radzieckiemu wydawało się, że to najlepszy, najpewniejszy interes: mięso, ryby, masło... Brezentowe budy i kioski wyrastały jak grzyby po deszczu.

Ale Lenka wybrała inną drogę – otworzyła księgarnię. Maleńką, wręcz miniaturową, w piwnicy, gdzie dawniej sypiali bezdomni. Punkt jednak był doskonały, niemal tuż przy stacji metra. Ludzie wychodzili z podziemnej stacji na ulicę i natychmiast rzucił im się w oczy szyld: „KRAM. Książki i artykuły piśmienne po cenie hurtowej”. Po roku Lenka była już właścicielką dwóch księgarni, a w 2000 uroczyście, z orkiestrą, fajerwerkami, szampanem i w obecności kamer telewizyjnych otworzyła dziesiąty kolejny punkt handlowy. Teraz chodzi w norkach do kostek, jeździ mercedesem i uważa się za rekina finansjery. Dlatego też właśnie ona ma pełne prawo powiedzieć: „Znam swoją cenę”.

– Wyobraź sobie tylko – z westchnieniem opowiadała przyjaciółka, nieświadoma moich myśli – że ludziom kompletnie się poprzewracało w głowach. Nie mogę znaleźć nikogo, kto by się nadawał na kierownika księgarni.

- Otwierasz nową? – zainteresowałam się.
- Tak, przy Fiedosiejewa.
- Gdzie to jest?
- W centrum, w okolicach Sadowego Kolca.
- Sadowe jest duże.
- Przekznica Sadowo-Kudrińskiej.

Uprzytomniłam sobie, w którym to miejscu.

- Tam są same stare kamienice.
- I co z tego? – zdziwiła się Lenka.
- No bo ty przecież lubisz projektować wszystko sama od a do z.

Lenka roześmiała się.

– Fakt, lubię, ale nie wszędzie można postawić nowy budynek. W śródmieściu to w ogóle koszmar, nie ma skrawka wolnego miejsca. Żebyś wiedziała, jakie łapówki trzeba dawać! Prawdę mówiąc, z tą lokalizacją przy Fiedosiejewa miałam po prostu szczęście. Tam zawsze była księgarnia, rozumiesz? Najpierw państwowa, później prywatna. Tylko że właściciel splajtował i lokal trafił mi się po prostu za bezcen. No, ale za to mam problem z kierownikiem.

– Naprawdę tak trudno znaleźć kogoś odpowiedniego? – zdziwiłam się. – Przecież tyle osób szuka pracy, to chyba nie taka wielka sztuka poprowadzić księgarnię?

Lenka tylko machnęła ręką.

– Każdy idiota opanuje ją w miesiąc pod warunkiem, że ma dobrego księgowego i magazyniera.

– No to weź pierwszego chętnego, który ci się trafi!

Lena westchnęła.

– Odnoszę ostatnio wrażenie, że uczciwi ludzie po prostu wyginęli. Każdy, kto tylko podłapie jakąś pracę, natychmiast zaczyna okradać właściciela.

– W jaki sposób?

– Ach – znów machnęła ręką – istnieje sto sposobów na to, jak zrobić w konia pracodawcę, i zatrudnione u mnie osoby przyswajają je sobie bardzo szybko. Kierownik księgarni to dla mnie straszliwy problem. Wiesz, muszę ci się przyznać do pewnych niezbyt chwalebnych posunięć. Przy Polance jest księgarnia „Młoda Gwardia”. Słyszałaś o niej?

– No jasne, to moja ulubiona, wpadam tam co najmniej raz w tygodniu. Ależ oni mają zaopatrzenie! I kryminały, i podręczniki, i literatura obcojęzyczna, wszystko!

– Właśnie, właśnie. – Lenka kiwnęła głową. – Lokal funkcjonuje bez zarzutu. Sama często tam zaglądam, oczywiście incognito, żeby podpatrzeć, co nowego kierowniczka wymyśliła... Znasz ją?

– Skądże!

– A no tak, rzeczywiście. Kierowniczką nazywa się Nina. Powiadam ci, każdy powinien się od niej uczyć! Fryzura, makijaż, eleganckie dodatki i biżuteria, a zresztą to piękna kobieta. Często ludzie, zwłaszcza mężczyźni, myślą sobie, że taka ładna babka, a w dodatku zadbana, rozumiesz, kolczyki, pierścionki, to musi być głupia. Tyle że jeszcze nikomu nie udało się Niny oszukać. Za tą czarującą aparycją kryje się żelazna bizneswoman. Wszędzie panuje idealny porządek – w części sklepowej, w księgowości, w magazynie. Widać, że ster dzierży pewna ręka. A w dodatku, musisz wiedzieć, Nina troszczy się o pracowników jak rodzona matka. Zorganizowała bufet dla personelu, dogadała się z jakimś sowchozem, dostarczają im stamtąd mleko, ser, śmietanę. Fryzjer przychodzi czesać ekspedientki na miejscu. Nie uwierzysz, ale zatrudniła dla nich nawet nauczycielkę angielskiego i niemieckiego.

– Po co? – zdumiałam się.

Lenka wzruszyła ramionami.

– Chcą znać obce języki. Co roku też uroczyście świętują rocznicę powstania swojej księgarni, i to nie byle gdzie, tylko w eleganckiej restauracji. Rezultat widać jak na dłoni – zespół tworzy jedną wielką rodzinę. Żaden drań się tam nie utrzyma, po prostu wyleci na pysk. Ekspedientki doskonale się orientują w całym asortymencie, klienci dosłownie się kłębą i pieniądze strumieniem płyną do kasy. W dodatku Ninie udaje się utrzymać w księgarni najniższe ceny! Marinina kosztuje wszędzie czterdzieści rubli, a u niej trzydzieści pięć! Stale organizuje się tam jakieś konkursy dla klientów, loterie, spotkania autorskie.

– A to po co?

– Boże, Daszka! – Lena uśmiechnęła się z politowaniem. – Ludzie zawsze proszą ulubionego pisarza o autograf, nie zauważyłaś?

– A-a-a... I dlatego muszą kupić jego książkę?

– Mądra dziewczynka! – pochwaliła Lena. – Wszystko chwytasz w lot. Krótko mówiąc, postanowiłam zwabić Ninę do siebie. Chwytałam się różnych sposobów. Pensję proponowałam jej taką, że jak ci powiem, i tak nie uwierzysz. Nie mówiąc o procencie od obrotów.

– I co?

– Nic. – Lenka westchnęła. – Powiedziała tylko: „Dzięki, bardzo mi to pochlebia, ale «Młoda Gwardia» to moje dziecko, a rodzzonego dziecka matka nie porzuci nawet za największe pieniądze”.

– I co ty na to?

Lenka wyjęła papierosy.

– Jest tam jeszcze jej zastępczyni, Ludmiła, i Luba, magazynierka. Zastartowałam prosto do nich, ale nic z tego. Też odeszłam z kwitkiem. Zresztą były szalenie uprzejme, grzeczne, całe w uśmiechach, ukłonach, niczym chińscy mandaryni. „Ach, Jeleno Nikołajewno, pani propozycja to dla nas zaszczyt!”. Czytaj: „A skacz ty, babo, na drzewo!”. No i teraz zostałam z bólem głowy. Skąd wziąć kierownika? Chociaż już wiem, jaki powinien być.

– No?

– Kobieta, po czterdziestce, nieobarczona rodziną, taka, u której praca jest na pierwszym miejscu. Byłoby też pożądane, żeby miała już mieszkanie, dach, samochód, czyli brak motywacji do przekrętów finansowych. Poza tym powinna być uczciwa, pełna inicjatywy, przebojowa, inteligentna, słowem, taka jak ty, Daszka!

Zakrzusiałam się kawą.

– Zwariowałaś?

– Nic podobnego.

– Ale ja mam dwoje dzieci, Arkadego i Manię. No i jest jeszcze Olga, moja synowa, oraz wnuki – Ańka i Wańka, bliźniaki!

– Twój Arkady to już duży chłopczyk – powiedziała Lena – niedługo stuknie mu trzydziestka; Kicia, czyli Olga, całymi dniami siedzi w telewizji, stale ją widzę na ekranie, Mańka też tylko patrzeć, jak skończy szkołę, a na temat bliźniaków nie waż się nawet zająknąć. Mają niańkę, Serafimę Iwanownę, a z ciebie, moja kochana, nie gniewaj się, babcia jak z koziej dupy trąba, nie potrafisz nawet dzieciakowi pampersa założyć.

Musiałam przyznać, że to prawda, Serafima nie dopuszcza mnie nawet w pobliże bliźniaków.

– Gotuje ci Katierina – wyliczała dalej przyjaciółka – sprzęta Irka, forsy macie tyle, że starczy wam na trzy życia...

Znów się zgodziłam: wszystko prawda, pieniędzy nam nie brak, służbę też mamy.

– Przecież umierasz z nudów – atakowała bezlitośnie Lenka – a mnie nie chcesz pomóc! Co robisz całymi dniami? No co?

– Czytam kryminały – wymamrotałam.

– To teraz zaczniesz je sprzedawać!

– Ale ja się w ogóle nie znam na rachunkach! Ledwie do dziesięciu zliczę!

– To głupstwo, księgowość jest dobrze prowadzona.

– I nie mam wykształcenia zawodowego.

– Ja też – odparowała Lenka i widząc, że moje argumenty się wyczerpały, wykrzyknęła radośnie: – Daszutka, zgódź się, nie na długo, no, powiedzmy, na jakieś dwa miesiące.

– Dlaczego na dwa?

– Jest tam – mruknęła w zadumie Lenka – pewna osoba, Ała Riumina, która na pierwszy rzut oka doskonale by się nadawała. Doświadczona, rzutka, całe życie pracuje w branży księgarskiej. Wszystkich innych pracowników wywaliłam, zostawiłam tylko ją.

– Więc o co chodzi? – ucieszyłam się. – Daj jej posadę kierownika i sprawa załatwiona.

– Coś mi mówi, żebym się z tym wstrzymała. – Lenka znów ciężko westchnęła.

– Cóż takiego?

– Nie wiem – przyznała. – No i wymyśliłam, że zrobię tak. Popracujesz u mnie parę miesięcy, a ja tymczasem będę miała na Ałłoczkę oko. Co jest dla niej ważniejsze: powodzenie całego przedsięwzięcia czy osobiste ambicje.

– Czyli eksperyment?

Przyjaciółka skinęła głową.

– Można i tak to nazwać. No, pomóż mi, proszę!

– A jeżeli się nie sprawdzę?

– Wywalę cię z hukiem. – Lena roześmiała się, ale widząc, że mina mi zrzędała, dodała: – Nie bój się, tam nawet małpa sobie poradzi, byle tylko miała dobre chęci.

Wiedziała już, że złamała mój opór, ale usiłowałam się jeszcze bronić resztkami sił:

– Pogadam dziś o tym w domu, może będą mieli jakieś zastrzeżenia?

– Są zdecydowanie za – przypieczętowała sprawę Lenka. – Wszyscy jak jeden mąż uważają, że dobrze ci to zrobi. Bo, jak to ujął Kiesza: „Matka zaczęła przypominać camembert”.

– Co to znaczy? – zdziwiłam się.

– To znaczy, że zaczynasz porastać pleśnią – wyjaśniła Lenka. – Dobra, nie ma o czym gadać. Pensja jest godziwa, stanowisko odpowiednie, do roboty, towarzysze! Jutro o dziesiątej czekam na ciebie przy Fiedosiejewa. Przedstawię ci personel.

– O dziesiątej! – zachnęłam się. – Przecież będę musiała wstać o ósmej.

– I co z tego?

Oczywiście, nic. Kiedy byłam jeszcze lektorką języka francuskiego, co dzień zrywałam się o świcie, ale odkąd rzuciłam pracę – czyli od dobrych kilku lat – nie otwieram oczu przed wpół do jedenastej.

– Ósma to akurat odpowiednia pora, żeby wyleźć z betów – oświadczyła Lenka. – Długi sen szkodzi.

Cóż, z tym akurat można by polemizować.

– No dobra. – Karielina klepnęła otwartą dłońią w kanapę. – Wszystko już omówione.

Nazajutrz, punktualnie za pięć dziesiąta, weszłam do księgarni. Grupa paplających z ożywieniem dziewcząt przycichła, po czym jedna z nich poinformowała:

– Przepraszam bardzo, otwieramy o jedenastej.

Już miałam zapytać o Lenkę, ale moja przyjaciółka właśnie weszła do lokalu i poleciła surowo:

– Wszystkie na górę, do gabinetu kierownika.

W ciągu pięciu minut w niewielkim pomieszczeniu zrobiło się ciasno.

– Proszę o ciszę! – rzuciła Lena.

Rozmowy momentalnie umilkły.

– Przedstawiam – zaczęła Karielina – Darię Iwanownę Wasiljewą, nową kierowniczkę. Wiek mogę pominąć, widzicie same, że to osoba młoda, energiczna i pełna planów. Daria

Iwanowna ma wyższe wykształcenie specjalistyczne, ukończyła najpierw instytut poligraficzny, a następnie kurs dla menedżerów branży księgarskiej.

Szczęka mi opadła. Co ta Lenka, zwariowała czy co? Przecież razem studiowałyśmy w instytucie języków obcych!

– Los sprawił – ciągnęła dalej Lenka – że Daria Iwanowna w połowie lat siedemdziesiątych znalazła się w Paryżu, gdzie przez długie lata kierowała jedną z największych francuskich księgarń przy bulwarze Rivogy. Prawda? – zwróciła się do mnie.

– Przy ulicy Rivoli – poprawiłam ją odruchowo. – W Paryżu nie ma bulwaru Rivogy.

– Aha. – Lenka skinęła głową. – Ale nie o to chodzi.

Słuchając, jak wynosi pod niebiosa moje kwalifikacje zawodowe, z wolna oblewałam się zimnym potem. Och, Lenka, ty wariatko. Chociaż jakaś część prawdy w jej słowach była. Rzeczywiście przez wiele lat mieszkałam w Paryżu, jeżdżę tam nadal kilka razy do roku, a wymowę mam taką, że rdzenni mieszkańcy ojczyzny trzech muszkietierów biorą mnie za rodowitą Francuzkę. Co prawda, jakiś cień obcego akcentu chyba zachowałam, gdyż Gaskończycy uważają mnie za Bretonkę, a Bretończycy za Gaskonkę, paryżanie zaś są przekonani, że dzieciństwo i młodość musiałam spędzić w departamencie Cognac. Niekiedy co bardziej dociekliwi pytają:

– Jest pani Niemką?

A więc z tym Paryżem to prawda, znam go jak własną kieszeń, ale nigdy nie pracowałam tam w księgarni. Nie wiem nawet, czy przy rue Rivoli jakaś w ogóle istnieje.

– Zatem cóż, Dario Iwanowno – grmiała dalej Lenka – proszę zaczynać, przekazuję pani ster.

Kiwnęłam głową i wyrzekłam ochryple:

– Witam.

W ciągu długich lat pracy jako wykładowca nic innego nie robiłam, tylko mówiłam do ludzi. Nigdy nie peszył mnie tłum, bez trudu radziłam sobie w każdej sytuacji, a jeśli byłam słabo przygotowana do zajęć, uciekałam się do sposobu wypróbowanego przez wszystkich nauczycieli – zarządzałam pracą kontrolną czy kartkówkę. Radzę pamiętać o tym, że jeśli pedagog was albo wasze dzieci bezustannie dręczy sprawdzaniem przekazywanych im umiejętności, to jest najprawdopodobniej zwykłym leniem. O wiele łatwiej bowiem kazać studentom rozwiązywać testy czy pisać dyktanda, niż wysilać się, z uporem wbijając wiedzę w tępe głowy. Tak więc, jeśli chodzi o występy przed licznym audytorium, doświadczenie mam ogromne, ale dzisiaj obleciał mnie jakiś strach, i pewnie dlatego oznajmiłam przesadnie surowym tonem:

– A więc dość gadania, pora otwierać księgarnię. Czas to pieniądz, klienci już czekają pod drzwiami.

Młode ekspedientki w jednej chwili znalazły się za ladą, Ała Siergiejewna z głośnym szcęknięciem odsunęła rygiel.



– Bardzo dobrze – pochwaliła mnie szeptem Lenka. – Doskonały początek, Rosjanin musi czuć nad sobą bat, to nie Francja, koleżanko!

I roześmiała się, ukazując rząd równych, białych zębów. Poczułam się jakoś dziwnie. Boże, w co ja się znowu wpakowałam? I czy to mi wyjdzie na dobre?

## Rozdział 2

Okolo pierwszej Ała Siergiejewna wsunęła do mojego gabinetu idealnie ostrzyżoną głowę i powiedziała:

– Dario Iwanowno, inspektor ze straży pożarnej.

Szybko zamknęłam notes, w którym bezmyślnie rysowałam diabelki, i zapytałam zdziwiona:

– Po co? – I zaraz się poprawiłam: – Czy coś się u nas pali?

Ała Siergiejewna wycofała się w milczeniu i do pokoju wszedł dosyć młody, tęgi chłopak z tekturową teczką pod pachą.

– Dzień dobry – przywitał się uprzejmie. – Proszę mnie oprowadzić po powierzonym pani obiekcie.

– W jakim celu? – Wciąż nie mogłam tego zrozumieć.

Inspektor uniósł brwi i spojrzał na Ałę Siergiejewnę.

– Proszę to zrobić, Dario Iwanowno. – Kobieta westchnęła. – Trzeba sprawdzić lokal pod kątem zagrożenia pożarowego, zwłaszcza że jest nowy.

Zaczęliśmy od sali sprzedaży.

– To wbrew przepisom. – Strażak wymierzył palec w stelaże z książkami.

– Dlaczego?

– Odległość między nimi jest mniejsza niż metr.

– I co z tego?

– W razie zagrożenia pożarowego ewakuacja personelu będzie utrudniona.

– Ale pomieszczenie jest wąskie!

– To mnie nie interesuje. Te szafki muszą zostać stąd usunięte.

– A co z książkami?

– Nie moja sprawa.

– Dobrze. – Skinęłam głową. – W porządku. Przepisów należy przestrzegać.

– Żaluzje też są nieodpowiednie.

– Dlaczego?

– Nie są zaimpregnowane. Jeżeli wybuchnie pożar, stworzą dodatkowe zagrożenie.

– Załatwimy to.

Ale inspektor nie dawał za wygraną.

– Gdzie jest plan ewakuacji personelu na wypadek pożaru?

– Nie zamierzamy tu spłonąć żywcem – rozzłościłam się.

– Plan powinien wisieć na widocznym miejscu. Brak również skrzyni z piaskiem.

– Myśli pan, że hodujemy tu kory? Piasku już dawno nikt nie używa, jest specjalny żwirek do kocich toalet.

Chłopak przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, a potem prychnął:

– Żarty sobie pani stroi, tak? No cóż, to dobrze, zawsze lepiej na wesoło, ale skrzynia z piaskiem potrzebna jest do wyrzucania niedopałków. Należy wydzielić miejsce dla palaczy i wyposażyć je we wszystkie konieczne urządzenia.

– Zastosujemy się do zaleceń.

Chodziliśmy po lokalu całą godzinę, inspektor poczerwieniał i spocił się. We wszystkich kolejnych pomieszczeniach – w magazynie, księgowości, kasach – dopatrywał się licznych uchybień, które skrupulatnie zapisał w notatniku.

Gdy wróciliśmy do mojego gabinetu, zapytał zwięźle:

– A więc jak?

– Uwzględnimy wszystkie uwagi.

– Aha, i co dalej?

– Jak to? – zdziwiłam się. – Zrobimy, co należy.

– No i?

– Proszę się nie obawiać, załatwimy to w ciągu tygodnia.

– Więc jak?

Kompletnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi, wybuchnęłam:

– Jak, jak! Proszę przyjść za siedem dni, a zobaczy pan, że wszystko będzie w idealnym porządku.

– Dobrze – odezwał się chłopak głosem niewróżącym nic dobrego. – Wszystko jasne, zamykam lokal.

– Dlaczego? – Aż podskoczyłam.

– Punkt handlowy nie jest wyposażony zgodnie z przepisami.

– Przecież mówię, że zrobimy, co należy.

– I wtedy sprawdzimy, czy wszystko gra.

– Ależ... – zająknęłam się – ...ależ tak nie można!

– Tak? – Inspektor uśmiechnął się. – Można, a nawet trzeba! Najważniejsze jest bezpieczeństwo pracowników.

Byłam już zupełnie skołowana, gdy do gabinetu wpadła Ała Siergiejewna.

– Ach – zaświergotała – drogi, e... e... e...

– Władimirze Iwanowiczu – uzupełnił z godnością wstrętny inspektor.

– Drogi Władimirze Iwanowiczu – moja zastępczyni rozpływała się w uśmiechach – bardzo proszę, mam tu mały upominek od pracowników naszej księgarni, ot, różne książeczki...

Inspektor wziął do ręki wypchaną torbę reklamową z nadrukiem „Firma «Kram»„ i zajrzał do środka.

– Kryminały? Świetnie, ale moja teściowa bardzo lubi romanse.

– Chwileczkę. – Ała Siergiejewna uchyliła drzwi i zawołała: – Szybciutko, przynieście no Collins, Brown, Bates...

Po krótkiej chwili ładna ruda ekspedientka przydźwigała jeszcze jedną reklamówkę.

– No dobrze – rzekł z namysłem chłopak – w porządku, pracujcie. Wiecie, co i jak, a ja też nie lubię ludziom szkodzić. Przepisy, oczywiście, to podstawowa rzecz, ale trudno przecież wszystkie przestrzec. Prawie niemożliwe.

Dziwna forma „przestrzec” rozśmieszyła mnie, lecz opanowałam się i rzekłam z godnością:

– Dziękuję, Władimirze Iwanowiczu, mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

– Co do tego, to człowiek ze mnie kontaktowy – zapewnił z uśmiechem strażak – nie wdaję się w sytuacje konfliktowe, jak niektórzy. Gdyby tak przyszedł tu na inspekcję Popławski, dopiero byłby bal! Proszę spokojnie pracować, książki to przyzwoita branża, nie to co wódka i śledź. Ale plan ewakuacji trzeba powiesić. Powinien być pięknie wyrysowany, ze strzałkami wskazującymi, w którą stronę uciekać w razie pożaru.

– Oczywiście, oczywiście – gięła się w ukłonach Ała Siergiejewna – wszystkie polecenia będą wykonane, zaznaczymy strzałki kolorowymi flamastrami.

– No to świetnie – podsumował inspekcyjną wizytę Władimir Iwanowicz, po czym opuścił lokal.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, uśmiech spelzł z umiejętnie umalowanej twarzy Ały Siergiejewny.

– A to bydlę! – rzuciła ze złością. – Łapówkarz!

– Dobrze pani wymyśliła z tymi książkami – pochwaliłam ją.

Roześmiała się.

– Dario Iwanowno, kochana, w torbie była jeszcze koperta z dolarami.

– Dała mu pani łapówkę? – dotarła do mnie z opóźnieniem ta nieskomplikowana informacja.

– Naturalnie, same romanse niewiele działają.

– Ile?

– Pięćdziesiąt dolarów.

– I nie bała się pani? A gdyby tak facet się wściekł i rozrobił sprawę?

Ała Siergiejewna nie przestawała się śmiać.

– Dario Iwanowno droga, ja całe życie pracuję w handlu. Jakoś nikt do tej pory nie poczuł się urażony przy wręczaniu koperty. Wszystkim zresztą trzeba będzie się opłacać, tylko patrzeć, jak się zlecą po swoją dołą, hieny.

– Chwileczkę. A skąd pani wzięła pieniądze? – zainteresowałam się.

– Galina Władimirowna mi dała. To nasza główna księgowa.

– A jak to wygląda od strony formalnej? W księgach nie ma przecież rubryki „Łapówki”?

Ałła Siergiejewna wyjaśniła z rozbawieniem:

– Oczywiście, że nie. Galina Władimirowna już dobrze wie, jak sobie z tym poradzić.

– To znaczy?...

– O, o te sprawy najlepiej zapytać ją samą, to jej tajemnica. Do mnie należy poprosić księgową o pieniądze dla inspektora, a do niej – przekazać mi odpowiednią sumę. Czyżby w Paryżu było inaczej?

– Owszem – odparłam ostrożnie. – Francuzi działają w zgodzie z przepisami.

– Pewnie! – Ałła Siergiejewna westchnęła. – Europa! A my, wsiowa ciemnota, dzika Ruś, wlecemy się zawsze w ogonie. U nas, jak człowiek nie posmaruje, to nie pojedzie.

– Dziękuję, Ałło Siergiejewno – powiedziałam uprzejmie. – Proszę wybaczyć, z początku na pewno będę popełniała wiele gaf.

– Doradzę pani, jak ich unikać! – zaoferowała się z gotowością moja zastępczyni. – Tylko bardzo proszę mówić mi po prostu „Ałła”.

– Dobrze. – Uśmiechnęłam się. – Jestem Dasza.

– To rozumiem! – ucieszyła się Ałłoczka. – Niech się pani nie boi, będę zawsze w pobliżu. Oczywiście francuskie doświadczenia są na pewno bardzo cenne, ale tu, w Rosji, wszystko wygląda trochę inaczej. Może się napijemy herbatki?

I zaczął się dzień jak co dzień. O ósmej księgarnię zamykano. Ekspedientki całym stadkiem pobiegły do szatni. Zaczęłam się zbierać do wyjścia.

– Och, mamu! Mamusiu! – dobiegł nagle z dołu dziewczęcy pisk. – Ojej, ratunku! Na pomoc!

Wyskoczyłam z gabinetu i pędem rzuciłam się na dół.

– Daszeńko, spokojnie – mitygowała mnie biegnąca z tyłu Ałłoczka. – Zaręczam, nic się nie stało!

– Ale taki okropny krzyk... – Zwolniłam trochę.

– Pewnie głupie dziewczuchy przestraszyły się myszy – wyjaśniła Ałła. – Zaraz im powiem parę słów do słuchu.

Weszłyśmy do szatni, rzuciłam okiem na stłoczone pod ścianą ekspedientki i zapytałam:

– No, o co chodzi? Przestraszyłyście się małej myszki?

– Tam – wybełkotała jedna z dziewcząt, wskazując palcem w stronę szafek na ubrania. – Tam...

– Swieta! – Moja zastępczyni surowo ściągnęła brwi. – Jak ci nie wstyd, zachowuj się przyzwoicie! Pomyśl tylko, co taka mysz może wam zrobić? Zje was? Sama pewnie jest ledwo żywa ze strachu.

– Tam, Ałło Siergiejewno, tam... – powtarzała w kółko dziewczyna.

– To nie mysz – dokończyła cicho inna, wysoka, bardzo atrakcyjna blondynka. – To...

– No dobrze, więc szczur – przerwała jej stanowczym głosem Ałła i podeszła do otwartej szafki ze słowami: – Myślałby kto, wielka rzecz, ja go tu zaraz... A-a-a-a!

Przeraźliwy krzyk rozległ się w piwnicy, odbił echem od ścian i zamarł pod sufitem. Ałła osunęła się na podłogę. Rzuciłam się, żeby zajrzeć do metalowej szafki.

W środku, wciśnięta do ciasnej, niewysokiej przegródki, leżała młoda kobieta. Jej ciało było przedziwnie skrzyżowane. Ktoś ją tam wepchnął, dosłownie złożoną na pół. Głowę miała przyciśniętą do stóp obutych w eleganckie skórzane botki. Twarzy nie widziałam, jedynie piękne, gęste blond włosy, lśniące niczym fryzura modelki reklamującej szampon Pantene. Nieszczęśnica była z całą pewnością martwa, gdyż żadna żywa istota nie wytrzymałaby w takiej pozycji dłużej niż pięć minut.

Na ułamek sekundy pociemniało mi w oczach. Po chwili jednak, uświadomiwszy sobie, że przecież jestem tu szefową, wzięłam się w garść i zadysponowałam:

– Wszystkie macie zachować spokój! Owszem, zdarzył się nieprzyjemny incydent, ale wiercie mi, pożar to coś o wiele groźniejszego!

Ekspedientki szczękały zębami ze strachu, a ja sama miałam ochotę głośno wrzasnąć i co sił w nogach rzucić się do ucieczki. Opanowawszy się z trudem, wycelowałam palec w stadko dziewcząt.

– Swieta!

– Tak – odezwała się drżącym głosem najmłodsza, rudowłosa ekspedientka.

– Dobierz sobie którąś z koleżanek, zanieście Ałłę Siergiejewnę na górę i posadźcie ją w fotelu.

– Ale... – zaczęła dziewczyna.

– Swieto – przerwałam głosem zimnym jak stal – proszę wykonać polecenie.

– To może my wszystkie razem, dobrze? – szepnęła.

Gromadka dziewcząt bojaźliwie podeszła do Ałły, po czym, ująwszy kobietę za ręce i nogi, powlokły ją w stronę drzwi. Ja również opuściłam szatnię, przykazałam, żeby wszystkie zostały w części sklepowej – żadnej nie wolno się stamtąd ruszyć – wróciłam do gabinetu i zadzwoniłam na milicję.

Od wielu już lat łączy mnie bliska przyjaźń z pułkownikiem Diegtiariowem. Tylko przyjaźń, a właściwie stosunki bratersko-siostrzane, chociaż teraz nawet mieszkamy razem, w jednym domu, w podmiejskim osiedlu willowym Łożkino. Moje dzieci lubią Aleksandra Michajłowicza, a on odpłaca im tym samym. Przywykłam już do tego, że przyjaciel wyciąga nas ze wszystkich – mniejszych i większych – kłopotów. Bez namysłu zwracamy się do niego

z prośbą o wsparcie, jeśli tylko zdarzy się coś, co wymaga interwencji odpowiednich służb. Pułkownik pomógł Kieszce wyrobić na nowo zgubiony dowód osobisty, Kicia kilka razy odzyskała dzięki niemu prawo jazdy, które odebrano jej za przekroczenie dozwolonej prędkości, a w szkole Maszy Diegtiarow wygłosił prelekcję na temat niewdzięcznej służby funkcjonariuszy wydziału kryminalnego. Gdy zdarzały się większe nieprzyjemności, niezawodny pułkownik za każdym razem trwał przy nas jak opoka.

Ale nie dziś. Na dworze szalała styczniowa zamieć, więc zwierzchnicy pułkownika uznali, że będzie to dla niego najlepsza pora na wypoczynek. Krótko mówiąc, Aleksander Michajłowicz nigdy nie dostaje urlopu latem. Jest kawalerem, nie ma innej rodziny prócz naszej, dlatego też w miesiącach letnich musi pracować. Czerwiec, lipiec i sierpień zarezerwowane są na urlopy dla osób, które mają rodziny i dzieci, muszą skopać ogród teściowej pod Riazaniem lub do spółki z teściem zbudować saunę. Może to i sprawiedliwie, tyle że ten biedak Diegtiarow od Bóg wie jak dawna nie kąpał się w ciepłym morzu ani nie wylegiwał na rozgrzanym piasku plaży. W dodatku facet panicznie boi się latać samolotem.

Na Nowy Rok Kieszka i Kicia zrobili przyjacielowi prezent. Kiedy wszyscy, wypiwszy szampana przy wtórze kremlofskich kurantów, rzuciliśmy się do otwierania toreb i paczek, Aleksander Michajłowicz zapytał ze zdziwieniem:

– Co to?

– Maszynka do golenia – wyjaśniłam. – Najlepsza, firmy Brown, najnowszej generacji. W sklepie zapewniano, że to wyrób ekstraklasa, nawet gra podczas golenia.

– Ależ nie o nią pytam – rzekł pułkownik, wskazując na plik różnokolorowych papierków. – Co to jest?

– To prezent od nas – odpowiedzieli chórem Kicia i Arkady.

– A to ode mnie, na dokładkę – pisnęła radośnie Mania, stawiając na stole litrową butelkę koniaku.

– No, no! – Diegtiarow, w zasadzie niepijący, pokręcił głową. – I któż to ci podsunął taki pomysł?

– Jak się wybierzesz do Tajlandii – chichocząc, wyjaśniła Marusia – a zważ, że to jakieś dziewięć, dziesięć godzin lotu – ze strachu wypijesz w samolocie całą butelkę!

– Do Tajlandii! – wykrzyknął przerażony Aleksander Michajłowicz. – Ciekawe, za co?

– No, nie ma powodu do narzekań! – oburzyła się Olga. – Najlepszy turnus, pięciogwiazdkowy hotel, trzy tygodnie z pełnym programem odnowy biologicznej, osiem wycieczek, zwiedzanie fermy krokodyli...

– Tylko krokodyli mi brakuje – wybąkał oszołomiony pułkownik, oglądając bilet. – Co to, piątego odlot? Chybaście zwariowali!

– Dlaczego? – zdziwił się Kieszka.

– Przecież muszę się jakoś przygotować – zaczął marudzić pułkownik. – Kupić szorty, kąpielówki...

– Wszystko już załatwione – zatrajkotała Mania. – Kicia nawet walizkę ci zorganizowała, zobacz sam, leży w sypialni na łóżku.

Diegtiariov poszedł do swojego pokoju.

– Coś mi się zdaje, że nie bardzo jest zadowolony – zauważyłam nieśmiało.

– Nonsens – oświadczyła Mania. – Każdy by chciał spędzić urlop w Tajlandii.

Ja jednak nie byłam nastrojona tak optymistycznie. Nigdy nie należy uszczęśliwiać innych na siłę.

– A to co? – zapytał pułkownik, który znów pojawił się w drzwiach.

Kiesza wziął do ręki kartonowe pudełeczko i oznajmił:

– Prezerwatywy, sto sztuk, starczy ci? Tajlandia to kraj seks-turystyki. No wiesz, masaż erotyczny i te rzeczy...

Pułkownik spąsował. Mania zachichotała i wybiegła na korytarz.

– Dacie tu sobie radę bez nas – szybko powiedziała Olga, chwyciła mnie za rękaw i czym prędzej wywlokła do holu.

– Czyj to był pomysł, żeby mu kupić prezerwatywy? – zapytałam.

– Mój – przyznała się ze śmiechem Kicia. – To miał być żart. Kto mógł wiedzieć, że facet tak się rozwścieczy?

Mało powiedziane – grubas omal nie dostał apopleksji. Piątego odprowadzaliśmy Aleksandra Michajłowicza – bladego, z rozbieganymi oczyma – na lotnisko.

– Mam nadzieję – bełkotał pułkownik, przesuwając się w kolejce oczekujących na odprawę celną – mam gorącą nadzieję, że podczas mojej nieobecności w domu nic się nie zdarzy. Bo tak zgrany zespół jak wy strach choć na chwilę spuścić z oka...

– Nic się nie martw – usiłowałam podtrzymać go na duchu. – Tajlandia czeka. Owoce, kwiaty, morze, dziewczyny... Korzystaj ze wszystkich dostępnych rozrywek.

Powiedziałam najwyraźniej o jedno zdanie za dużo, gdyż mój przyjaciel rozzłościł się.

– Wiesz, Daria, jak cię nazywają u mnie w wydziale?

– Nie. – To była szczerza prawda.

– NGK.

– Co to znaczy?

– Niezawodny Generator Kłopotów – wyjaśnił z westchnieniem pułkownik. – A Witka Riemizow, mój zastępca, mierzy nawet kłopoty w daszkach.

– Słucham? – zdumiałam się.

– Zwyczajnie. – Diegtiariov wzruszył ramionami. – No, na przykład ta sprawa zbliża się do poziomu dwóch daszek, a tamto zabójstwo to murowanych pięć daszek. Opracował całą skalę. Najwyższa wartość to dwadzieścia daszek.

– A co się powinno stać, żeby została osiągnięta? – zainteresowała się Mania.

– No... – Pułkownik podrapał się w głowę. Powiedzmy, musiałyby runąć mury Butyrek, a wszyscy tamtejsi więźniowie wyrwać się na wolność i uciec...



– A dwie daszki? – nie ustępowała moja córka.

Aleksander Michajłowicz chwycił walizkę i postawił ją na ruchomej taśmie.

– Jakiś drobiazg, dajmy na to parę nagich trupów bez dokumentów i znaków szczególnych, znalezionych w kularach Dumy Państwowej.

Zatkało mnie z oburzenia. Więc to tak, Riemizow! No, długo teraz poczekaś na to, żeby przyjechać do nas do Łożkina na kulebiak Katieriny!

I oto dzisiaj, zgrzytając zębami, będę zmuszona zadzwonić do tego przebrzydłego Witki, gdyż powiadamić komisariatu dzielnicowego o zwłokach znalezionych w szafce nie mam najmniejszej ochoty. Doświadczenie życiowe podpowiada mi, że zawsze lepiej się zwrócić do kogoś znajomego – czy jest to dentysta, ginekolog czy milicjant.

Nie minęła godzina, gdy po księgarni, zaglądając we wszystkie kąty, snuli się niezbyt szykownie odziani faceci. Ałłocze, która tymczasem odzyskała przytomność, doktor zaaplikował walerianę. Ekspedientki zostały zapędzone do pomieszczenia socjalnego, gdzie mieściła się również kuchenka. Dziewczyny wzięły się w garść, a stwierdziwszy, że większość przybyłych gliniarzy to faceci około trzydziestki, i to bez obrączek, natychmiast zaczęły ich ostro kokietować.

Witka rozsiadł się w moim gabinecie i wszczął wstępne śledztwo. Kiedy już zadał mi kupę bezsensownych pytań, na które doskonale znał odpowiedzi – o moje imię, nazwisko, imię ojca, rok urodzenia i miejsce zamieszkania – zainteresował się wreszcie:

– Co możesz mi powiedzieć na temat tożsamości denatki?

– Nic.

– Nie była twoją pracownicą?

– Nie.

– Jak się dostała do szatni?

– Nie mam pojęcia.

– Możesz podać nazwisko denatki?

– Skądże! Nie widziałam nawet jej twarzy, tylko włosy i ubranie. Mogę ci opisać żakiet.

– Aha – mruknął Witka, skwapliwie coś zapisując w notesie. – Włosy, to jasne, żakiet nieważny.

Już miałam zapytać, co jest dla niego takie jasne, ale akurat wszedł wysoki, chudy młodzian w czarnym swetrze i położył przed Witką dowód osobisty. Ten otworzył bordową książeczkę i aż gwizdnął z wrażenia.

– No, no! A więc nie wiesz, jak się nazywają zwłoki?

Jednakże milicjanci nie mają za grosz wyczucia językowego. „Jak się nazywają zwłoki”!

Witka jednakże miał gdzieś subtelności stylu.

– A więc nie wiesz, jak się nazywają? A ja wiem!

– No, jak?

– Daria Iwanowna Wasiljewa.

Z zaskoczenia upuściłam filiżankę z kawą na podłogę. Rozległ się trzask i naczynie rozpadło się na kilka kawałków. Ciemnobrązowy płyn momentalnie wsiąkł w jasną wykładzinę dywanową, pozostawiając na niej brzydką plamę. Mało mnie jednak obeszła ta szkoda. Daria Iwanowna Wasiljewa! Co za zbieg okoliczności!

## Rozdział 3

Nazajutrz zesłam do księgarni około południa. Cóż, i tym razem Lenka się nie pomyliła. Miejsce na kolejny lokal wybrała po prostu idealne. Dom był narożny, jedną stroną zwrócony do ruchliwego Sadowego Kolca, dokładnie naprzeciwko zlokalizowano przystanek trolejbusu, a dwa kroki dalej znajdowało się wejście na stację metra Majakowska. Od podwórka budynek graniczył z dwiema szkołami – ogólnokształcącą i muzyczną.

Przypomniałam sobie, jak namiętnie pustoszy moja Maszka działy papiernicze w sklepach, i westchnęłam. Klienci chyba nigdy nie przestaną napływać. O proszę, choćby teraz, zegar wskazuje południe, a w księgarni jest tłum ludzi. Wokół stelaży z romansami kłębią się podstarzałe damulki, młodszy narybek kręci się przy kryminałach, kilka kobiet przegląda książki na temat wychowania dzieci, grupka młodzieży, najwyraźniej wagarowiczów, głośno dyskutuje, czy lepsze są zwykle długopisy, czy pisaki.

Obejrzałam sobie wreszcie spokojnie całe pomieszczenie. Księgarnię najprawdopodobniej przerobiono swego czasu z dwóch mieszkań, ogromnych, starych moskiewskich landar, jakie tak chętnie budowano na początku dwudziestego wieku. Jedno mieszkanie było na parterze, drugie na pierwszym piętrze. Obecnie łączyły je dość szerokie schody. Na dole mieściła się część handlowa, pełna książek i poradników na temat prowadzenia gospodarstwa domowego i wychowania dzieci, kryminałów, fantastyki; można tu też było kupić materiały piśmienne i pocztówki. Na górze sprzedawano podręczniki, różne pomoce naukowe, był również kiosk z pamiątkami, dział kompaktów i gier komputerowych. Magazyn, księgowość, pomieszczenie socjalne, szatnia i toalety znajdowały się w piwnicy. Gabinety – mój i Ałoczki – na piętrze; dzielił je niewielki holik, w którym stały dwa fotele i okrągły stolik na czasopisma; wychodząc ze swoich pokoi, trafiałyśmy z Ałłą od razu do działu gadżetów komputerowych. Moja zastępczyni uprzedziła mnie:

– Daszeńko, jeżeli wychodzi pani z gabinetu, proszę koniecznie go zamknąć. Wśród klientów pełno jest złodziei. Zobaczą, że pokój jest otwarty, i wyniosą wszystko, co się da.

Do księgarni prowadziło tylko jedno, główne wejście, zabezpieczone żelaznymi kratami. Wszystkie książki umieszczono na stelażach, żeby był do nich swobodny dostęp, i każdą zaopatrzone w magnetyczny klips z sygnalizatorem. Gdyby ktoś chciał wynieść ją ze sklepu,

w progu natychmiast rozległby się głośny brzęczyk. Stały tam już zresztą w pogotowiu dwie ekspedientki. Popatrzyłam na drobne dziewczątka i westchnęłam. Nie podobało mi się takie rozwiązanie. Dziś wieczorem będę musiała o tym pogadać z Leną. W księgarni powinna być jakaś ochrona. Jeżeli któryś z klientów zacznie się awanturować, nie poradzimy sobie z nim. Personel składa się w stu procentach z kobiet.

Na tyłach, od podwórza, jest jeszcze jedno wejście, coś w rodzaju wąskiego luku. Parkują przy nim samochody dostawcze, które przywożą książki. Kierowca naciska dzwonek, kierowniczką magazynu Lidoczka otwiera drzwi, i facet zaczyna rzucać na ruchomą taśmę ciężkie paczki – niektóre zawierają dziesięć tomów, inne czternaście. Dziewczeta odbierają je w piwnicy i roznoszą na miejsca. To także mi się nie podoba, trzeba by zatrudnić kogoś do tej roboty. Trochę mnie dziwiło podejście Lenki do spraw organizacyjnych. To chyba zrozumiałe, że szczupłym, drobnym dziewczętom trudno jest dźwigać przez cały dzień ciężkie jak kamienie paczki. Mogę sobie wyobrazić, jak pod koniec dnia bolą je plecy. W dodatku te dziewczyny zarabiają marne grosze.

Do piwnicy można się dostać również z pominięciem taśmy transportowej. To oczywiste, że każdy, kto chce zajrzeć do księgowości czy wstąpić do toalety, nie biegnie na podwórze i nie skacze w otwarty luk. Z części handlowej prowadzą do pomieszczeń na dole żelazne drzwi z kodowanym zamkiem. Pracownicy znają szyfr, klienci, oczywiście, nie.

Dzisiaj rano starannie przepytала wszystkie swoje podwładne. Żadna nigdy w życiu nie słyszała o dziewczynie nazwiskiem Daria Iwanowna Wasiljewa. Szczerze mówiąc, zakładałam, że ofiara musiała być znajomą którejś ze sprzedawczyń. Przyszła odwiedzić koleżankę, ta wpuściła ją do szatni... W tym miejscu moja wyobraźnia przestawała działać. Kto, jak i po co wepchnął nieszczęsną do szafki i dlaczego ją zabił? Postanowiłam o tym nie myśleć. Ale teraz okazało się, że ofiary nikt nie zna. Więc jak się dostała do piwnicy?

– To pewnie klientka – zasugerowała Swieta. – Mało ich się tutaj kręci?

– Złodziejka – oświadczyła kategorycznie zadartonosą Lila.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytałam.

– Niech pani posłucha – zaczęła wyjaśniać dziewczyna – drzwi do piwnicy znajdują się między działami. Na prawo jest dział gospodarstwa domowego, na lewo fantastyka. Wszędzie tłum ludzi. Pewnie zaczekała na odpowiedni moment i wśliznęła się do środka.

– Po co?

– To jasne. Chciała się dostać do piwnicy. Jest ogromna, w magazynie można zabłądzić, nasze dziewczyny wciąż pokrzykują do siebie, żeby się nie zgubić, kiedy stracą się nawzajem z oczu. Widocznie postanowiła zwęździć większą ilość książek.

– Ale jak zamierzała się stamtąd wydostać? Przecież książki mają zabezpieczenia magnetyczne.

Lila uśmiechnęła się.

– Nie, te, które są w piwnicy, nie. Klipsy przyczepia się dopiero przed wystawieniem książek do sprzedaży. Taka złodziejka mogła sobie naładować całą torbę książek i wyjść, nic by nie zapiszczało, bo kłażki jeszcze nie były przymocowane.

– Interesująca hipoteza – zgodziłam się – tyle że widzę w niej jeden słaby punkt. Drzwi do piwnicy mają kodowany zamek, więc skąd znała szyfr?

– Wielka mi rzecz! – prychnęła Lila. – Przecież to proste jak cep. Cały dzień tamtędy biegamy. To do toalety, to na kawę, to do księgowości, przechodzą przez te drzwi kasjerki, przyjeżdżają z magazynu wózki z książkami i wyjeżdżają z powrotem puste.

– I co z tego?

– A to, że dziewczyny co chwila wystukują kod! Wystarczy, że postać dłuższą chwilę przy stelażach z poradnikami i podpatrzyła go. Tyle osób się tam kłębi! A potem wśliznęła się do środka. Drzwi przecież nikt nie pilnuje.

Postanowiłam sama to sprawdzić i stanęłam w pobliżu stoiska ze wzmiankowanymi poradnikami dla gospodyń domowych. Nie musiałam długo czekać. Obok mnie przebiegła dziewczyna w służbowym czerwonym mundurku. Wymanikiurowanym paluszkiem nacisnęła guziczki: 976. Jakie to proste! Kiwając głową w zadumie, weszłam na górę. Trzeba będzie coś wymyślić, inaczej do piwnicy dostanie się każdy co sprytniejszy złodziejasek.

I znów dzień potoczył się zwykłym trybem. Najpierw zajęłyśmy się obie z Alą papierkową robotą, potem moja zastępczyni poszła coś przegryźć. Nie chciało mi się jeść, więc postanowiłam zejść do piwnicy i przynieść trochę więcej nowych kryminałów. Akurat dzisiaj przywieziono moją ulubioną Polakową. Przy okazji zajrzę do szatni, zdaje się, że szafki nie są tam zamykane, muszę sprawdzić, bo należałoby to zmienić.

W ciemnym pomieszczeniu było pusto. Nie wiem dlaczego, poczułam się jakoś nieswojo. Ganiąc się w duchu za tchórzostwo, obejrzałam metalowe szafki na odzież. W księgarni cały personel, obsługujący klientów, z wyjątkiem kierowniczek, nosił służbowe mundurki, rodzaj kostiumików. Spódnice i zakieciki w ciemnomalinowym kolorze, ze złotym wyszyciem KRAM na klapie. Po przyjeździe do pracy dziewczęta się przebierały. Szafki były podzielone poziomo na trzy części. Górną, najwyższą, przeznaczono na czapki czy chustki, środkową, najobszerniejszą, na płaszcze, kurtki, kostiumy i torby, dolną zaś, która była właściwie wysuwaną szufladą – na obuwie.

Zajrzałam do kilku pustych szafek, stwierdziłam, że istotnie się nie zamykają, po czym otworzyłam jedną z szuflad. Wysunęła się łatwo, gładko, ukazując również puste wnętrze. Kiedy jednak chciałam ją szybkim ruchem zamknąć, poczułam wewnątrz jakiś opór. Szarpałam się chwilę z szufladą, wreszcie mocnym pociągnięciem gałki wysunęłam ją do końca. W głębi, na podłodze, leżał jakiś płaski, nieduży przedmiot. Sięgnęłam poń odruchowo. Portmonetka! Chociaż nie, raczej mała, płaska torebeczka, tak zwana koperta. W środku zobaczyłam pęk kluczy, z których dwa, z przywieszonym breloczkiem-pilotem, były

niewątpliwie od samochodu, a poza tym dwieście dolarów, około tysiąca rubli w banknotach sturublowych, szminkę i batystową chusteczkę do nosa.

Wsunęłam znalezisko do kieszeni i jeszcze raz uważnie obejrzałam szafkę. To w niej właśnie odkryto wczoraj zwłoki mojej imienniczki. Przykucnęłam i przesunęłam ręką po dnie środkowej, największej przegródki. No jasne! Pomiędzy tylną ścianką szafki a półką wymacałam dość szeroką szczelinę. Wróciłam do gabinetu, ledwie zauważając kłębiący się wokół hałaśliwy tłum. A więc torebka należała do zamordowanej dziewczyny. Najprawdopodobniej sytuacja wyglądała tak.

Zabójca wepchnął ciało ofiary do metalowej szafki. Naturalnie nie zmieściło się tam ono w pozycji pionowej, dlatego też złoczyńca musiał złożyć biedaczkę na pół. Torebkę dziewczyna miała najwidoczniej w kieszeni żakietu, skąd ta wysunęła się i wpadła w szczelinę. A ponieważ szuflada nie była dopchnięta do końca, torebka znalazła się na podłodze.

Zdarzyło się pewnego razu, że przekopałam w domu całe biurko w poszukiwaniu książeczki opłat za gaz i energie. Kiedy już uznałam, że musiałam ją zgubić, do pokoju wpadła Mania, wyszarpnęła dolną szufladę i pokazała mi kwitariusz, który wygnieciony poniewierał się z tyłu, na podłodze.

Podwładni Witki nie zadali sobie wiele trudu, przeszukując pomieszczenie. I taki facet pozwala sobie nazywać człowieka Niezawodnym Generatorem Kłopotów! Lepiej by pilnował swoich Sherlocków Holmesów. Żeby przegapić tak ważny dowód rzeczowy!

Chociaż... nie zawierał właściwie nic szczególnie godnego uwagi. Cóż – klucze, szminka... To dziwne! Obróciłam parę razy w palcach srebrzyste etui pomadki firmy Givenchy, przypominające kształtem rakiety. Givenchy to droga firma, jedna z najdroższych. Ja sama używam takiej szminki i dobrze wiem, ile kosztuje – pięćdziesiąt dolarów. Pozwolić sobie na kosmetyk w tej cenie może tylko osoba doskonale sytuowana. Szminka to przecież nie wszystko, do pełnego makijażu potrzebny jest jeszcze make-up, puder, róż, tusz do rzęs, różne ołówki i korektory. Tyle że trzyma się je w łazience; przy sobie kobieta nosi na ogół jedynie szminkę i puderniczkę. I teraz powstaje pytanie: po co dama, która używa kosmetyku ekskluzywnej firmy i trzyma w torebce dużą sumę pieniędzy, miałaby kraść książki z magazynu? Przecież mogła je po prostu kupić!

Pieniądze! Jeszcze raz przeliczyłam banknoty. Długie lata, kiedy żyłam w biedzie, by nie powiedzieć: w nędzy, nauczyły mnie traktować z szacunkiem ów wynalazek ludzkości. Może tej nieszczęśnicy wypłacono akurat pensję, za którą miała się utrzymać przez cały miesiąc? Tak, to jasne, torebkę trzeba zwrócić rodzinie. Witce do niczego nie będzie potrzebna, nie ma w niej żadnego notesu ani luźnych zapisków. A więc postanowione: po pracy pojedę do domu tej biedaczki i oddam znalezione pieniądze mężowi, jeśli, oczywiście, taki istnieje. Adres znam. Wczoraj, kiedy Witka oznajmił, że zamordowana nazywała się Daria Iwanowna

Wasiljewa, nie uwierzyłam, wyrwałam mu z ręki dowód ofiary i przejrzałam go. Na jednej ze stron widniała pieczętka: „Szosa Wołokołamska 1 m. 1”.

Około dziewiątej wieczorem wjechałam na podwórze dużego szarego domu i zaparkowałam koło kontenerów na śmieci. Mieszkanie numer jeden znajdowało się tuż przy wejściu. Nacisnęłam dzwonek.

– Hura! – rozległo się za drzwiami. – Tatuś wrócił!

Drzwi otworzyły się natychmiast i ukazała się w nich dziewczynka z szyją owiniętą szalikiem.

– Co przyniosłeś choremu, cierpiącemu dziecku... – zaczęła mała, ale zobaczywszy nagle, że to wcale nie ojciec, wychrypiła: – Pani do kogo?

– Mama w domu?

Dziewczynka odwróciła się, ale nie zdążyła zawołać, gdyż z głębi mieszkania już nadchodziła młoda, tęga kobieta, wycierając ręce o fartuch.

– Coś wcześniej przyszedłeś – mówiła, zbliżając się ku drzwiom. – Kotlety jeszcze się nie dosmażyły.

– To nie tatuś! – poinformowała zachrypnięta dziewczynka.

– Widzę już, widzę – odparła matka i zapytała: – Szuka pani kogoś?

– Przepraszam – zagadnęłam ostrożnie – kim jest dla pani Daria Iwanowna Wasiljewa?

– O Boże! – Kobięcina uniosła oczy do góry. – Pięć razy już tłumaczyłam: nikim! Taka osoba tu nie mieszka. A wyście nie uwierzyli i sami przyjechali sprawdzić! No cóż, skoro milicja nie ma nic lepszego do roboty...

– Nie jestem z milicji...

– A skąd?

– Jestem kierowniczką księgarni...

Kobieta przez jakieś dwie minuty słuchała moich chaotycznych wyjaśnień, po czym przerwała je stanowczym poleceniem:

– Aniu, wracaj do łóżka.

– Ale mamusku – zajęczała dziewczynka, dosłownie płonąca z ciekawości – dlaczego?

– Masz anginę, no już, szybko, bo zaraz zadzwonię do ojca do pracy i żadnych prezentów nie będzie.

Córka usłuchała z ciężkim westchnieniem.

– Proszę wejść, tutaj – zaprosiła gospodyni – do kuchni. Jak pani na imię?

– Dasza.

– Bardzo mi przyjemnie. Tonia.

Wtłoczywszy mnie do ciasnego, zastawionego szafkami pomieszczenia, Antonina poprosiła:

– Niech pani będzie tak uprzejma i opowie mi bardziej szczegółowo, co to za idiotyczna historia.

– A czego się pani dowiedziała od milicji?

Tonia gniewnie, z hałasem przesunęła czajnik.

– Bo to od gliniarzy dowie się człowiek prawdy? Najpierw zadzwonił jeden, potem drugi, w końcu urzędniczka z naszego biura meldunkowego. Wie pani, to nic przyjemnego nagle się dowiedzieć, że w twoim własnym mieszkaniu jest zameldowany ktoś obcy.

Usiłowałam jakoś to wszystko złożyć w myślach do kupy, po czym zapytałam:

– A może ta Daria mieszkała tu wcześniej?

– To wykluczone – odparła Tonia. – Ten dom, jeden z pierwszych spółdzielczych budynków w Moskwie, został zbudowany w czterdziestym ósmym roku dla pracowników tajnego instytutu naukowo-badawczego. Mój ojciec był tam dyrektorem.

– Więc dlaczego dostaliście mieszkanie na parterze? – spytałam odruchowo.

– Ludzie na stanowiskach byli wtedy inni – Antonina rozłożyła ręce – nie to, co dziś, kiedy każdy tylko patrzy, żeby jak najwięcej się nachapać. Tatuś uważał, że nie wypada sobie samemu przydzielić lepszego mieszkania, więc dostało nam się to na parterze. Mama zresztą nie dawała ojcu spokoju, wciąż wierciła mu dziurę w brzuchu. Ale to nieważne. Rodzice wprowadzili się tu w czterdziestym ósmym, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. Zamieszkali we czworo – ojciec, matka i obie babcie.

Westchnęłam. Wyobrażam sobie, jakie musiał mieć życie nieszczęsny dyrektor. Taki koktajl rodzinny, stara matka i teściowa, prześcigające się w wymyślaniu coraz to nowych chorób, to chyba gorsze niż domowa hodowla krokodyli.

– Potem – ciągnęła Tonia – urodziła się moja siostra Nina, a później ja. O żadnych Wasiljewach nikt tu nie słyszał. Rodzice nosili nazwisko Roszczyn, jedna babka oczywiście nazywała się tak samo, druga – Miłowidowa. Siostra po mężu nazywa się Niekrasowa, a ja Kabłukowa. Jesteśmy tu zameldowani tylko my, nikt więcej. Nigdy nie zmienialiśmy mieszkania. Rodzice zmarli, siostra przeprowadziła się do męża, mają dom pod miastem. Została nasza trójka. Ja, Ania i Siergiej, mój mąż. Wyobraża sobie pani, jaka to była przykra niespodzianka?

– A co mówi ta kobieta od meldunków?

– Nic. Pracuje tu od czterdziestu lat, wszystkich zna jak własnych pięć palców. Uczciwa, dobry człowiek. Kiedy zadzwoniła, naskoczyłam na nią, bo już byłam zła, a ta w bek.

Kiedy nieszczęsna urzędniczka zrozumiała, o co Tonia ma do niej pretensje, poleciła:

– Przyjdź zaraz do administracji.

Rozwścieczona Kabłukowa, tak jak stała, w kapciach, pobiegła do biura. Nie miała daleko, mieściło się w lokalu obok.

Urzędniczka od meldunków, ujrawszy czerwoną ze złości Tonia, znów zalała się łzami i pokazała dokumenty. W papierach panował idealny porządek, nie było tam nawet śladu żadnej Darii Iwanowny Wasiljewej.



– Nie, nie, przejrzyj wszystko dokładnie – nalegała wśród łkań starsza pani. – Nie potrzebuję tu jakichś głupich plotek.

– Dobrze już, dobrze – łagodziła sytuację trochę teraz spokojniejsza Tonia. – Dość tych szlochów.

## Rozdział 4

Do Łóżkina przyjechałam około jedenastej i natychmiast zaczęłam dzwonić do Witki. W domu nikt nie podnosił słuchawki. Wystukałam numer do pracy.

– Riemizow! – szczerknęło w słuchawce.

– Witieńka – zaczęłam błagalnie – te zwłoki, to znaczy, ta kobieta, no wiesz, Daria Iwanowna, miała fałszywy meldunek i...

– Skąd wiesz? – przerwał mi gniewnie Witka.

– Byłam tam dzisiaj.

– Moja droga – wysyczał – zakarbuj sobie, że ja to nie Diegtiarow, rozumiesz?

– Wiem – odparłam, lekko speszona – w ogóle nie jesteście do siebie podobni. Aleksander Michajłowicz jest gruby, ty chudy, on łysy, ty owłosiony.

– Najistotniejsza różnica polega na czym innym – przerwał mój wywód Riemizow. – Diegtiarowem kręcisz jak szewc skórą. On nie umie sobie z tym poradzić, a ze mną ten numer nie przejdzie, jasne?

– Ale...

– I zapamiętaj sobie – ciągnął dalej rozzłoszczony Witka – że będę cię trzymał od śledztwa co najmniej na odległość armatniego wystrzału! Pani obecność, madame, natychmiast ściąga nieprzewidziane kłopoty.

– Ale...

– I Żeńkę też uprzedzę surowo, że zabraniam udzielać ci jakichkolwiek informacji. Tak samo Tanię, wiem, wiem, podarowałaś jej szczeniaka po Hootchu, i teraz nasza sekretarka stoi za tobą murem. Koniec! Handluj książkami. Chociaż lepiej by było, gdybyś po prostu siedziała w domu i czytała kryminały. Wszyscy mieliby mniej kłopotów. Jeszcze jednego dnia nie przepracowałaś, a już znalazłaś umarłaka w szafie!

– Witia...

– Dalej mi jazda! – ryknął Riemizow. – Mam kupę roboty! Muszę zapracować na pensję, nie tak jak niektórzy, co to nie w wiedzę, gdzie upchnąć zielone i z nudów tylko szukają guza.

Rzucił słuchawkę. Wpatrzyłam się tępo w telefon. Nie miałam najmniejszego zamiaru zaczynać śledztwa na własną rękę, po prostu chciałam Witce opowiedzieć o torebce. Ale

teraz, oczywiście, słowa ode mnie na ten temat nie usłyszy. Potem poczułam, jak ogarnia mnie coraz większy gniew. I tego człowieka uważałam za jednego ze swoich przyjaciół? Przyjeżdżał do nas do Łożkina, kucharka Katia specjalnie piekła z tej okazji kulebiak z kapustą. A nasze psy biegły na wyścigi, żeby powitać drogiego gościa. Co tam zresztą psy! Te głupie stworzenia są tak przyjaźnie usposobione wobec całego świata, że będą oblizywać każdego, kto się pojawi w progu. Ale nawet koty wyłaniały się ze swoich kryjówek i wskakiwały Witce na kolana... Ba, Arkady wychodził z gabinetu i częstował tego zdrajcę Riemizowa najlepszym koniakiem. A Kiesza to nie pies czy kot, za nic nie wysunie nosa na korytarz, jeśli nie lubi gościa, który zawitał do domu.

Kiedy moja wściekłość osiągnęła już punkt wrzenia, znów chwyciłam telefon i wybrałam numer Witki.

– Całodobowe pogotowie stomatologiczne – odezwała się jakaś kobieta.

Jeszcze bardziej wkurzona, zaczęłam wciskać guziki.

– Tu mieszkanie Leonowów – usłyszałam nosowy głos. – Niestety, nikt w tej chwili nie może podejść do...

Trzęsąc się ze złości, podjęłam próbę po raz trzeci:

– Riemizow – warknęło w słuchawce.

– Wiktorze Afanasjewiczu – zasyczałam, czując, jak gorąca fala wściekłości podchodzi mi do gardła – wielce szanowny Wiktorze Afanasjewiczu...

– Dasza – znużonym głosem odparł Witka – jutro przyjadę, to pogadamy...

– Co to, to nie, Wiktorze Afanasjewiczu – ryknęłam tak, że stojące na stole kieliszki do koniaku zadzwięczały cichutko – więcej pana do siebie nie zaproszę! Nigdy!

– Dasza...

– Wie pan, do czego się sprowadza podstawowa różnica między panem a pułkownikiem? – spytałam zjadliwie, przerywając mu w pół słowa. – Diegtiarow jest mądry, a pan głupi! I nigdy nie rozwiąże pan tej sprawy zwłok w szafie!

Może Witka i chciał coś odpowiedzieć, ale czym prędzej cisnęłam słuchawkę. Potem, już nieco spokojniejsza, podeszłam do okna, odsunęłam firankę i zaczęłam się przyglądać, jak wesoły rój śnieżynek wiruje w jaskrawym świetle latarni. Nagle coś mnie trąciło w nogę. Schyliłam się i wzięłam na ręce mopsa Hootcha, który aż sapał z zadowolenia.

– Aleś się zapasł, bratku! A wszystko dlatego, że jadasz nie dwa razy dziennie, jak to powinien robić piesek pokojowy, tylko sześć!

Hootchuś ziewnął. Mopsy mają strasznie sympatyczne mordki, czarne, pofałdowane, o wypukłych oczach. Miny robią całkiem jak dzieci – na widok talerzyka z ciastem Hootch zaczyna tak się oblizywać, tak żałośnie piszczeć i skomleć, że człowiek nie może tego znieść i od razu wkłada mu do pyska po kawałeczku cudownie pulchnej, tłustej, maślanej babki, przysmaku surowo zabronionego czworonogom. Może ktoś potrafi nie ulec, ale w naszej

rodzinie na razie się taki nie znalazł. Arkady, który upomina mnie do znudzenia: „Mamo, przestań dokarmiać Hootcha pod stołem”, sam po kryjomu opycha go serem.

Kicia, która gniewnie ściąga brwi, widząc, jak podaję mopsowi kawałek jabłka, skrycie podsuwa mu karmelki. Marusia, która zamierza zostać kynologiem i należy do kółka zainteresowań przy Instytucie Weterynarii, gotowa pobić się ze mną o to, ile kalorii powinna zawierać psia kolacja, podsuwa Hootchusiowi paczuszki czipsów. Rezultat, niestety, widać gołym okiem. Maleńki mopsik waży tonę i wygląda jak worek kartofli, jest o wiele cięższy od naszej pudliczki Cherry i jorkszyrskiej terierki Julie. Chociaż do ważącego dziewięćdziesiąt kilo rottweilera Snapa i bez mała siedemdziesiąt pitbulla Bundy’ego jeszcze mu daleko.

Pogłaskałam psinę po delikatnej, jedwabistej sierści. Mops ziewnął leniwie, położył mi głowę na ramieniu i zasnął, a ja dalej bezmyślnie wodziłam dłonią po jego szerokim, przyjemnie ciepłym grzbiecie. Zegar wskazywał wpół do dwunastej, Hootch postąpił bardzo rozsądnie, bez wątplenia była już pora szykować się do snu. Ja jednak, niestety, musiałam jeszcze wyjść, żeby wprowadzić do garażu srebrzystego peugeota 206. Szczerze mówiąc, strasznie mi się nie chciało. Nogi po prostu jakby odmawiały posłuszeństwa.

Na dworze szalała prawdziwa zamieć. Z ciepłego, przytulnego salonu, gdzie na stole kusząco pachniały świeże cynamonowe bułeczki, w porywie natchnienia upieczone przez Katierinę, gdzie na kanapie, tuż koło pledu, leżał najnowszy kryminał Polakowej – otóż z tego rajskiego zakątka miałam teraz wyjść wprost w styczniową zawieję. Może olać ten samochód? Co się stanie, jeśli peugeot ten jeden jedyny raz przenocuje pod gołym niebem? Teren jest przecież zamknięty i pilnie strzeżony, żadnemu złodziejowi samochodów nie przyjdzie do głowy próbować tu szczęścia, skoro setki innych pojazdów najspokojniej stoją pod domami i na ulicach...

Samochód!!! Opuściłam ręce, Hootch klapnął na kanapę i sapiąc z oburzeniem, włożył pod pled. Całym swym zachowaniem mówił z wyrzutem: „Co się z tobą dzieje, kobieto? Dobrze jeszcze, że pod oknem akurat stoi kanapa i ześliznąłem się na miękkie poduchy!”.

Ale nie miałam teraz czasu zaprzętać sobie głowy obrażonym psem. Samochód! Zamordowana dziewczyna musiała przyjechać autem. Zdziwiłam się przecież, widząc, że ma na sobie tylko lekki żakiet, zupełnie nieodpowiedni na surową moskiewską zimę. Ale jeśli była za kółkiem, taki strój wydawał się całkiem odpowiedni. Ja sama też nigdy nie jeżdżę w futrze czy kozuchu, ciężkie okrycie utrudnia prowadzenie wozu, zresztą zawsze można włączyć ogrzewanie.

Chwycałam kurtkę z wieszaka i wypadłam na dwór jak burza. Ależ ze mnie idiotka! Przecież w torebce ofiary znalazłam klucze. Ciekawe, kiedy Witka Riemizow wpadnie na to, że Daria Iwanowna była zmotoryzowana? Muszę go wyprzedzić, zdobyć choć kilka kroków przewagi nad tym ohydny gliniarzem.

Oczywiście, obiecałam Diegtariowowi, że nigdy więcej nie rozpocznę dochodzenia na własną rękę, ale Aleksander Michajłowicz jest w Tajlandii, pewnie zajada się teraz

egzotycznymi owocami, a Riemizow nie ma szans na rozwiązanie tej sprawy. To zakochany w sobie idiota, a ludziom tego pokroju nigdy nic się nie udaje, zawsze ponoszą porażkę. Poza tym ta nieszczęsnica zginęła u mnie w księgarni, no i nazywała się tak jak ja, a więc nie jestem w całej sprawie osobą postronną.

Wyobrażam sobie, jak się ucieszy Aleksander Michajłowicz. Wróci z urlopu wypoczęty, opalony, a tu proszę – niespodzianka, w wydziale jeszcze jeden klops. Ten obrzydliwiec Riemizow spaprze na pniu całe śledztwo, a profesjonaliści dobrze wiedzą, że jeśli przestępstwo nie zostanie wykryte od razu, póki ślady nie ostygną, to szanse na rozwikłanie sprawy maleją z każdym dniem. Pomóc Diegtiarowowi to po prostu mój obowiązek. On przecież też wyciągał mnie z różnych tarapatów, długi wdzięczności zaś należy spłacać. Pułkownik wróci z urlopu, załamię ręce nad piwem, którego nawarzył Witka, a wtedy ja oznajmię z dumą: „Nie martw się, mój kochany! Mordercą tej młodej damy jest ten a ten”.

Podczas gdy te myśli kłębiły mi się w głowie, stopami naciskałam pedały, a peugeot posłusznie sunął przed siebie. Jazda nocą to sama radość, samochodów jest mało, nie ma korków, a co najważniejsze, pieszych, którzy w swej głupocie zwykli wyskakiwać człowiekowi wprost pod koła zza autobusu czy trolejbusu.

Zawsze przerażają mnie najbardziej matki z dziećmi, przecinające jakby nigdy nic w miejscach niedozwolonych jezdnię pełną pędzących pojazdów. Co nimi powoduje? Jakaś egoistyczna, bezmyślna arogancja? Niezbita pewność, że kierowcy uda się zahamować? Ale przecież samochód nie może w jednej chwili stanąć jak wryty. Ja, na przykład, kiedy jestem pieszo, zachowuję możliwie największą ostrożność. Szczerze mówiąc, przejmuje mnie grozą jedna prosta myśl: a nuż za kółkiem siedzi jakaś Dasza Wasiljewa, której, gdy trzeba będzie raptownie hamować, pomylą się pedały?

Wysiadłszy przed księgarnią, wyjęłam znalezione kluczyki, nacisnęłam pilota i ujrzałam z radością migające światła, pomarańczowego żiguli. Świetnie. Ten tępak Witka nie wpadł na to, że ofiara przyjechała na miejsce swojego zejścia samochodem. Drżącymi z niecierpliwości rękami usiłowałam trafić kluczykiem w zamek. Muszę pomóc pułkownikowi! Drzwi się otworzyły, z wnętrza wozu buchnęła woń nieznanych mi, zbyt słodkich perfum. Dałam nura do środka i rozgarniając na boki stertę różnych śmieci, mruczałam pod nosem:

– No, Daszutka, przynajmniej sama siebie nie oszukuj, przecież po prostu uwielbiasz śledztwa.

W ciemnym schowku znajdowała się masa rzeczy, które zwykle wożą ze sobą kierowcy – atlas, na wpół opróżniona butelka coli, paczka chusteczek higienicznych, dwa banknoty pięćdziesięciorublowe, najwyraźniej przygotowane dla przekupnych gliniarzy, wygięta metalowa rurka niewiadomego przeznaczenia oraz duży magnes. Dokumentów żadnych nie było.

Ale ja nie traciłam nadziei. Szybko opuściłam osłonkę przeciwsłoneczną nad przednią szybą i wsunęłam palce do niewielkiej kieszonki. Są! Papiery wozu i prawo jazdy, wydane na

nazwisko Leony Siergiejewny Romancewej, rok urodzenia 1976. Z fotografii spoglądała na mnie pyzata blondynka o gniewnie zaciśniętych ustach. Co mogła mieć z nią wspólnego Dasza Wasiljewa? Może pożyczyła samochód od przyjaciółki? Upoważnienia wprawdzie wśród dokumentów nie było, ale to o niczym nie świadczy. Dzisiaj każdy, kto ma ręce i nogi, z całym spokojem prowadzi bez prawa jazdy i papierów wozu. Całkiem prawdopodobne, że Wasiljewa ma własne auto, w każdym razie umie prowadzić. Może samochód akurat jej się popsuł i poprosiła koleżankę, żeby jej dała zigułi.

Osobiście nie lubię pożyczać nikomu swojego peugeota, ale niektóre osoby bez oporów powierzają auta znajomym. Do papierów wozu przyczepiono złożoną we czworo karteczkę. Rozłożyłam ją ostrożnie i omal nie wrzasnęłam z radości. Polisa! Leona Romancewa nie wiadomo po co wozila ze sobą urzędowy papierek, w którym potwierdzano, że wóz został ubezpieczony w firmie „Rosno”. W pierwszej rubryce wpisano imię, patronimik i nazwisko damy, w drugiej – jej adres: ul. Kurnikowa 12 m. 2.

Bardzo z siebie zadowolona, odłożyłam dokumenty na miejsce, wysiadłam z wozu i upadłam. Wiatr wiał teraz z siłą sztormu i jego silny poryw dosłownie zwałił mnie z nóg. Pozbierałam się jakoś i dokuśtykałam do peugeota, otworzyłam drzwi, ale w tej samej chwili wichur znów zadął, a ja po raz drugi znalazłam się na asfalcie. Prawie na czworakach, władowałam się wreszcie na fotel kierowcy i z przerażeniem spojrzałam w okno. Na dworze szalał huragan. Drzewa gięły się i kołysały w podmuchach wiatru jak szalone, a ciężki, żeliwny kosz na śmieci toczył się chodnikiem niczym zgnieciony kawałek papieru. Uprzytomniwszy sobie, że zaparkowałam wóz pod topolą, czym prędzej zapaliłam silnik i czując, że samochód znosi w bok, wjechałam do bramy pomiędzy naszym lokalem a piekarnią. Można powiedzieć, że był to ostatni moment. Ledwie zdążyłam postawić peugeota w tym stosunkowo bezpiecznym miejscu, rozległ się najpierw ogłuszający trzask, a następnie łoskot, któremu towarzyszył brzęk tłukącego się szkła. Wysoka topola, pod którą jeszcze przed chwilą stał mój wóz, runęła na jezdnię, zahaczając wierzchołkiem o pomarańczowe zigułi Leony Romancewej. Natychmiast włączył się alarm, a przednia szyba rozsypała się w drobny mak. Zrobiło mi się zimno. Ciężki, gruby pień drzewa przebiłby najprawdopodobniej dach peugeota...

Łatwo sobie wyobrazić, jaki wściekły byłby Witka, znalazłszy jeszcze jednego trupa niemal w tym samym miejscu, co wczoraj. Nie zdążyłam na dobre się wystraszyć, gdy odezwała się komórka.

– Mamuśku – wrzeszczała Mania – gdzie jesteś?

– Stoję w bramie, boję się stąd ruszyć, bądź spokojna, ze mną wszystko w porządku, a co u was? W Moskwie szaleje huragan.

– Koszmar! – lamentowała Mania. – Wyobraź sobie...

Córka nie zdążyła dokończyć zdania. W słuchawce rozległ się najpierw łoskot, potem brzęk, następnie oszalałe wycie i szczekanie, pisk, a wreszcie daleki krzyk Kici:

– O rany, ratujcie koty!

– Co? Co się stało? – Cała się trzęsłam ze zdenerwowania, ale połączenie już zostało przerwane, słyszałam w słuchawce tylko sygnał.

Drżącymi palcami wybrałam numer komórki Mani, ale ta nie odbierała telefonu. Komórka Arkaszy odpowiadała melodyjnym damskim głosem:

– Abonent czasowo niedostępny.

Z Olgą również nie mogłam się połączyć. Nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, spróbowałam zadzwonić się na telefon stacjonarny, ale numer był zajęty. Wyjechać ze zbawczej bramy nie mogłam, wiatr wciąż hulał z niesłabnącą siłą. Spędziłam jeszcze mniej więcej godzinę w szaleńczej trwodze, usiłując połączyć się z kimkolwiek z domowników, ale na próżno. Możecie sobie wyobrazić, z jakimi myślami wracałam do domu.

W domku ochroniarza było jasno, paliło się światło. Zwykle po północy ochrona gasi je, tylko niebieska poświata włączonego telewizora sączy się na zewnątrz. Zgodnie z instrukcją chłopakom nie wolno spać, więc gapią się w ekran.

Nie zdążyłam jeszcze nacisnąć pilota otwierającego bramę, gdy drzwi domku rozwarły się na oścież i wyskoczyła z nich Mania.

– Mamuśku! – wrzasnęła. – Stój! Jesteśmy tutaj, wszyscy!

– Co się stało? – wyszeptałam z trudem. – Co?...

– Prawdziwy koszmar – paplała Masza, wpychając mnie do pomieszczenia ochrony.

– Lepiej ja opowiem – przerwała jej Kicia.

– Nie, ja! – Mania zatupała histerycznie. – Zerwał się straszliwy wiatr...

– Najpierw lunął deszcz – uściśliła Olga.

– Nie, wicher – upierała się Maszka.

– Deszcz!

– Wiatr!

– Deszcz!

Podczas tego sporu omiotłam wzrokiem ciasne pomieszczenie i trochę się uspokoiłam. Na fotelu pod oknem siedział jak zawsze spokojny Arkady, a na jego kolanach spały Hootchuś i Julie. Bundy i Snap leżały u nóg ochroniarza Wołodi, z nadzieją spoglądając na stojący przed nim talerzyk z ciastem. Koty drzemały na kanapie, na parapecie zaś stało terrarium z ropuchą Elwirą i domek, w którym ze smakiem zajadała marchewkę rodzina chomików. Irka i Katierina stały pod przeciwległą ścianą. Chwała Bogu, wszyscy byli zdrowi i cali, mogłam więc spokojnie wysłuchać relacji o tym, co się wydarzyło.

– I nagle jak nie gruchnie – opowiadała Mania.

– I jak nie łupnie – wtórowała Kicia.

– I światło zgasło, coś strasznego!

– I wtedy nagle zawyło, i brzdęk!

– No, myślę sobie, to koniec – ciągnęła swój wątek Maszka. – Złapałam zwierzęta i na dwór!

– A ja byłam pewna, że trzęsienie ziemi – relacjonowała Olga drżącym głosem.

– Aha – mruknął Arkady – to dlatego wsunęła pod pachę to, co najcenniejsze – scenariusz jutrzejszej audycji – i wyskoczyła z domu. O mężu nawet nie pomyślała.

Po półgodzinie na podstawie chaotycznych, urywanych zdań i okrzyków moich bliskich zdołałam z grubsza odtworzyć, co się stało. Huragan, który zaskoczył Moskwę, zatrzymał się po drodze i zaatakował Łożkino. Najpierw zerwał przewody elektryczne, więc osiedle pograżyło się w ciemnościach, światło było tylko u ochroniarzy, gdyż ich domek ma zasilanie awaryjne. A ponieważ zabrakło prądu, wysiadło ogrzewanie, skończyła się ciepła woda, przestał pracować hydrofor, więc i zimna leciała tylko cieniusieńką strużką.

Ale to jeszcze nic! Najgorszą nowinę moi domownicy zachowali na koniec. Silny poryw wiatru złamał stare, spróchniałe drzewo, które całym ciężarem runęło na nasz nieszczęsny dom.

Rozłożyste gałęzie wybiły wszystkie szyby na parterze i pierwszym piętrze z lewej strony budynku, a z prawej ostry podmuch wichru, który wdarł się do środka, wygniół szkło z okien dosłownie w jednej chwili. I teraz w naszym domu, pozbawionym światła i ciepła, po prostu nie da się żyć.

– Wzięliśmy tylko to, co najcenniejsze – zasypywała mnie informacjami Masza – co najbardziej wartościowe, i przybiegliśmy tutaj.

Powściągając uśmiech, przyjrzałam się uciekinierom. Ciekawe, co też oni uważają za najcenniejsze? No tak, psy, koty, chomiki, ropuchę... Kicia trzyma pod pachą scenariusz swojego jutrzejszego nagrania. Maniunia troskliwie piastuje referat *Pasożyty u psów*. Pisała go dwa tygodnie, więc nic dziwnego, że żal jej było tę pracę zostawić. No dobrze, to dziewczyny, a co zabrał ze sobą Kieszka? Zerknęłam w bok i dostrzegłam na fotelu obok syna teczkę pękającą od papierów. Jasne, nasz mecenas wie, co dla niego najważniejsze. Nikomu natomiast nie przyszło do głowy wziąć pieniędzy, dokumentów czy kluczy od sejfu. Irka i Katierina też dobre sobie! Służąca przywlokła ze sobą nie wiadomo po co odkurzacz, a kucharka *Podręcznik zdrowego i smacznego żywienia*. Chociaż jeśli państwo to sami idioci, czegoż się spodziewać po służbie?



## Rozdział 5

Resztę nocy spędziliśmy w warunkach polowych. Arkaszka poszedł spać do dżipa, zabrawszy ze sobą Bundy'ego.

– Zagrzebię się pod kocami – oznajmił, ziewając – i wreszcie porządnie się wyśpię, nie będzie mnie budziło chrapanie Kici.

– O Boże! – wykrzykiwała nerwowo Olga. – Co za szczęście, że bliźniaki są u mojej mamy w Kijowie! Wyobrażam sobie, jak dzieci by szalały.

– Pójdę z tobą – oświadczyła Masza, widząc, że Arkasza kieruje się do wyjścia.

– O nie – zaprotestował jej brat.

Tak więc wszyscy w końcu spędziliśmy noc w domku ochroniarzy, na wąskiej kanapie i w niewygodnych fotelach.

Rano stanęło przed nami nieubłagane pytanie: co robić? Po terenie osiedla jeździły już samochody pogotowia energetycznego i kręcili się robotnicy w kombinezonach. Ktoś musiał zostać w domu, żeby ściągnąć ekipę szklarzy.

– Byle nie ja! – wykrzyknęła Kicia. – Ojej, na mnie już czas, spóźnię się na nagranie!

– Ale ja muszę jechać do księgarni – przypomniałam.

– A ja do szkoły – przebiła mnie Masza.

– Może Arkaszka zostanie? – podsunęłam nieśmiało.

– On już o siódmej rano pojechał – poinformowała z westchnieniem Irka i widząc moją ponurą minę, dodała: – Niech pani jedzie spokojnie, Dario Iwanowno, my tu z Katią wszystkiego dopilnujemy, to nawet dobrze, że nikogo nie będzie, mniej zamieszania.

– A zwierzęta?

– Jakoś przebidują u ochroniarzy.

Uradowana, że sytuacja tak łatwo dała się opanować, błyskawicznie się wyniosłam w obawie, żeby służba, nie daj Boże, się nie rozmyśliła.

Ałoczek długo wydawała z siebie „ochy” i „achy”, słysząc, w jakich tarapatkach znaleźliśmy się zeszłej nocy. Około dwunastej powiedziałam:

– Pójdę coś zjeść.

– Zrobić kawkę? – zaproponowała Ała.

– Mam ochotę na coś konkretnego... Podjadę do McDonalda.

– Jedź, jedź – poparła mój pomysł zastępczyni. – Na twoim miejscu zamknęłabym się potem w gabinecie i zdrzemnęła trochę na kanapie, bo pewnie w nocy oka nie zmrużyłaś.

Podziękowałam jej za dobrą radę i wyszłam. Jeść wcale mi się nie chciało, a tym bardziej spać. Do wyjścia z księgarni popchnęło mnie zupełnie inne – uczucie instynkt myśliwego. Marzyłam o rozmowie z Leoną Siergiejewną Romancewą – chciałam się od niej dowiedzieć, gdzie mieszkała Daria Iwanowna.

Ulica Kurnikowa to przecznica Miasnickiej. Jest długa, wąska, załamuje się parę razy, stoją przy niej niewysokie domy, wzniesione jeszcze w początkach stulecia. Kiedy zahamowałam pod jednopiętrową szarą kamienicą, przyszła mi do głowy całkiem sensowna myśl. Było zaledwie kilka minut po wpół do pierwszej. A co, jeśli Romancewa jest teraz w pracy albo siedzi w sali wykładowej, starannie notując słowa profesora?

Ale myliłam się. Leona Siergiejewna Romancewa była w domu. Wystarczyło jedno spojrzenie na kobietę, która bez zbędnych pytań otworzyła mi drzwi, by zrozumieć dlaczego. Pod kwiecistą podomką sterczał duży, twardy brzuch. Leona najwyraźniej była w ostatnich dniach ciąży.

– Czy pani Leona Siergiejewna?

Kobieta skinęła głową.

– Pomarańczowe żiguli 266NK należy do pani?

– Tak. Co się stało? – zaniepokoiła się Leona.

Przypomniałam sobie o rozbitej przedniej szybie i powiedziałam szybko:

– Widzi pani, jestem kierowniczką księgarni „Kram”. Notabene, mamy wielki wybór poradników dla młodych matek. Całe mnóstwo.

– Nie rozumiem – mruknęła Leona – prowadzicie handel obnośny?

– Ależ nie – pokręciłam głową przecząco – o książkach wspomniałam tylko przy okazji. Wczoraj w nocy przez Moskwę przeszedł huragan, wie pani o tym?

Leona westchnęła.

– Coś potwornego, już myślałam, że wszystkie szyby mi wylecą, a na podwórku drzewo się zwaliło.

– Właśnie, właśnie – podchwyciłam. – Przed naszą księgarnią też runęła potężna topola. Padając, stłukła gałęzią przednią szybę w pani samochodzie. Milicja chciała odholować auto na parking, ale ja nie pozwoliłam, znalazłam papiery wozu, była tam też polisa ubezpieczeniowa...

– „Kram”? – zdziwiła się Leona i usunęła się na bok, robiąc miejsce. – Proszę dalej.

Weszłam do dużej, skromnie wyposażonej kuchni.

– Gdzie się mieści ta księgarnia? – spytała gospodyni, zapalając gaz.

– Niedaleko, w centrum, przy ulicy Fiedosiejewa.

– I mój samochód w nocy tam stał?

– Tak.

– A to świnia! – ze złością rzuciła Leona. – Nie tak się umawialiśmy.

– Z kim? Z Darią Iwanowną Wasiljewą?

– Któż to taki?

Zdumiała się kobieta.

– A więc to nie jej dała pani żiguli?

– W ogóle nie znam takiej osoby. – Leona wzruszyła ramionami.

– Zatem jak pani wóz znalazł się na Fiedosiejewa? – zapytałam. – Chyba pani teraz sama nie prowadzi?

– Oczywiście, że nie. – Leona westchnęła. – Zarabiałam dzięki niemu trochę.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Szczerze mówiąc, jakoś wyjątkowo nie mam szczęścia – zaczęła opowiadać Romancewa. – Mąż zginął trzy miesiące temu, zostałam sama, w ciąży, jak pani widzi. W dodatku bez grosza.

Słuchałam uważnie. Rzeczywiście miała pecha, jeśli można w ten sposób skwitować śmierć męża. Kombinowała więc, jak by tu zarobić trochę forsy, i zaczęła wypożyczać żiguli na dwa, trzy dni osobom, którym akurat zepsuł się własny samochód. Klientom stawiała tylko dwa warunki: nie wolno przewozić na siedzeniach i w bagażniku żadnych brudzących substancji ani przedmiotów, na przykład materiałów budowlanych, w nocy zaś należy parkować wóz na jakichś bocznych uliczkach, nie przy ruchliwych trasach. I proszę, kolejny klient zostawił go na Fiedosiejewa.

– Komu pani wynajęła żiguli? – spytałam szybko.

– Lowa Jaszyn go pożyczył dla jakiejś swojej znajomej – wyjaśniła Leona. – Zapłacił, tak jak się umawialiśmy, za tydzień z góry.

– A jak się nazywa ta znajoma?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– I tak beztrąsko powierza pani samochód, komu popadnie?

– Dlaczego komu popadnie? – obruszyła się. – Lowa poręczył, powiedział, że to uczciwa osoba, odpowiedzialna.

– Pożyczyła pani bez oficjalnego upoważnienia?

Romancewa roześmiała się.

– Nikt nie bierze samochodu na długo, góra na dziesięć dni.

– I nie boi się pani?

– Czego?

– Że ktoś go rozbije albo ukradnie?

Leona pokręciła głową.

– Nie-e. Mój mąż był bardzo przewidujący, załatwił pełne ubezpieczenie: od wypadku, uszkodzenia, kradzieży, odpowiedzialności cywilnej. Jeżeli coś się stanie, wypłacą mi odszkodowanie.

– Niech mi pani da, z łaski swojej, telefon Jaszyna.

– Po co? – zapytała nieufnie Leona.

– Widzi pani – zełgałam, nie chcąc przestraszyć kobiety w ciąży informacją o zabójstwie – dziewczynę, która wczoraj przyjechała pani wozem, zatrzymała milicja.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła Leona. – Za co?

– Chciała okraść naszą księgarnię.

– Co za ludzie – mruknęła gospodyni i chwyciła za telefon. – Lowka, przyjdź zaraz.

Po chwili rozległ się dzwonek i do kuchni wszedł tęgi facet około trzydziestki. Wyglądał dość niesamowicie. Nad spodniami od dresu kołysał się ogromny brzuch, ręce i nogi były nienaturalnie grube. Ponieważ biodra mężczyzny przypominały mocno wypchane poduszki, nieszczęśnik poruszał się koślawo, przewalając olbrzymie cielsko z boku na bok. Tak chodzi dziecko, któremu matka założyła zbyt dużego pampersa.

– Co się stało? – nieoczekiwanie wysokim głosem odezwał się przybyły. – Znowu szczur wylazł z rury kanalizacyjnej czy jak?

– Sam jesteś szczur! – rozzłościła się Leona. – Mów zaraz, komu dałeś mój samochód.

– Nadi Kołpakowej – rzucił obojętnie grubas.

– Nie Darii Wasiljewej? – wtrąciłam szybko.

– Nie, nie znam takiej – zagdakąła góra tłuszczu.

– A twoja Nadźka to dobry numer. – Leona wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rzucić na sąsiada z pięściami. – Ździra jedna, złodziejka. Zostawiła mój samochód w centrum, przy ruchliwej ulicy. I jeszcze księgarnię obrobiła, o, kierowniczką przyszyła...

Lowa zwrócił na mnie spojrzenie swoich maleńkich oczek, które dosłownie tonęły w tłustych policzkach.

– Kto, Nadia?

– Tak! – wciąż krzyczała Leona. – A mówiłeś, że to porządna dziewczyna!

– Kto, Nadia? – tępo powtarzał zaskoczony Lowa. – Nadia ukradła książki?

– Tak!

– Niemożliwe!

– Jak najbardziej możliwe – wściekała się ciężarna. – W niezłą kabałę mnie wplątałeś, nie ma co!

– Nie może być – oponował Lowa.

Obserwowałam z zainteresowaniem, jakich mąk przysparza grubasowi proces myślenia. Muszę zapytać mojej przyjaciółki Oksanki, która jest chirurgiem, czy kiedy człowiek tyje, jego mózg naprawdę zapływa tłuszczem, czy też to tylko takie obrazowe wyrażenie.

– Nie może być! – upierał się Lowa.

– Dlaczego? – Postanowiłam dodać bodźca wysiłkom umysłowym tej góry sadła.

– Nadzka doskonale zarabia, pracuje w antykwariacie – rozpoczął wyjaśnienia Lowa – zgarnia taki szmal za wyceny, że głowa mała. No, czy to prawdziwe antyki, starocie roboty dawnych mistrzów, czy nowoczesna tandeta... Po kiego grzyba miałyby kraść książki? Sama ma bibliotekę jak stąd do Petersburga!

– Zna pan jej adres?

– Jasne!

– Proszę go podać – zażądałam.

– Charitoniewski Zaułek, zaraz za rogiem.

Spojrzałam na zegarek. Charitoniewski był istotnie dwa kroki stąd. Może nawet jeden.

Wsiadłam do samochodu i zadzwoniłam do Ałły.

– Księgarnia „Kram”, słucham – odezwała się melodyjnie.

– Wszystko u nas w porządku?

– Absolutnym – zapewniła mnie Ałła. – Proces kupna-sprzedaży przebiega bez zakłóceń, obroty handlowe na najwyższym poziomie, więcej zwłok nie znaleziono. Odpoczywaj spokojnie.

– Przyjadę za godzinę, dobrze?

– Jesteś przecież kierowniczką – roześmiała się moja zastępczyni – nie szeregową ekspedientką, a szefowie zawsze mają jakieś ważne sprawy do załatwienia, na przykład w merostwie.

Pojechałam więc na Charitoniewski Zaułek. Całkiem miła babeczka z tej Ałły, jak tylko doprowadzimy dom do porządku, zaproszę ją do Łóżkina.

Kamienica, w której mieszkała Nadia, również była stara – dwupiętrowa, wąska, szara; schody miały solidną balustradę, a prześwity między jej słupkami wypełniała ażurowa, żeliwna, ozdobna krata. Drzwi do mieszkań były dwuskrzydłowe, niezwykle szerokie i wysokie; na każdej kondygnacji znajdowały się chyba tylko ogromne, wielopokojowe apartamenty, bo futrynę drzwi oznaczonych numerem jeden zdobił cały rząd wizytówek: Fiodorowowie, Popowowie, Lesinowie...

Typowe wspólne mieszkanie, tak zwana komunałka, system korytarzowy, absolutnie unikatowy, rosyjski wynalazek.

W Paryżu nie znajdziecie choćby dwóch rodzin, zajmujących jeden lokal mieszkalny. Chociaż nie, to nieprawda. W stolicy Francji również istnieją komunałki, tyle że tam nazywa się je komunami. Paru studentów wspólnie wynajmuje mieszkanie. Czynnosc dzielą pomiędzy siebie, każdy płaci swoją część i wszyscy żyją sobie tanio i wesoło. Kiedy człowiek jest młody, może nie spać choćby i do rana, a drobne niedogodności w rodzaju zajętej nie w porę przez współlokatora łazienki nie stanowią problemu. Istnieją także komuny rodzinne – tworzą je przeważnie hipisi lub ludzie, których łączy wspólna religia: buddyści, wyznawcy Hare Kriszny.

Moskiewskie komunałki od owych komun dzieli tylko jedna, ale za to bardzo zasadnicza różnica. W Paryżu nikt nie zmusza tych ludzi do wspólnego zamieszkania. Sami postanawiają prowadzić wspólne gospodarstwo i w każdej chwili mogą zabrać dzieci, zwierzęta domowe i rzeczy i przenieść się gdzie indziej. Dlatego w komunach rzadko dochodzi do konfliktów na tle drobnych problemów życia codziennego. Mieszkańcy nie kłócą się o to, czyja dziś kolej na sprzątnięcie toalety czy korytarza, nie sypią sobie złośliwie soli do zupy i nie wrzeszczą na cudze dzieci. Tam spory wynikają z innych powodów. Na przykład, kto jest potężniejszy, Budda czy Chrystus. Czy warto używać narkotyków i jak uratować świat przed wirusem HIV

W paryskiej komunie mieszka się przyjemnie, w moskiewskie: komunałce – to koszmar. Najczęściej ludzie, świadomi, że nigdy nie pozbędą się znenawidzonych sąsiadów, starają się na wszelkie możliwe sposoby zatruć im życie. Czegóż to się nie nasłuchałam w swoim czasie od koleżanek, zmuszonych dzielić kuchnię ze współlokatorkami! Wiercie mi, schwywanie w pułapkę myszy, a następnie włożenie jej do cukiernicy sąsiadów to jeszcze nic. Trzeba jednak – gwoli sprawiedliwości – przyznać, że w niektórych komunałkach panują prawdziwie rodzinne stosunki, ale to doprawdy rzadki wyjątek.

A więc Nadia Kołpakowa to też jedna z nieszczęśnic, zmuszonych myć i sprzątać według grafiku wspólnie użytkowane pomieszczenia. Podeszłam pod drzwi lokalu numer dwa i odetchnęłam. Kołpakowa mieszkała sama.

Drzwi obito elegancką, ciemnowiśniową skórą, pozostawiając starą, ozdobną klamkę z brązu, doskonale harmonizującą z żeliwnym ażurem balustrady.

Na dzwonek jednak nikt nie reagował. To oczywiste, Nadieżda musiała być w pracy.

Westchnęłam zawiedziona, przysiadłam na parapecie i zaczęłam grzebać w torbie, szukając papierosów. Ciekawa rzecz, bez względu na to, jakiej wielkości torebkę kupię, wszystko momentalnie w niej ginie niczym w czarnej dziurze. Dzwoniącego telefonu nigdy nie mogę wyłowić, a kiedy już wreszcie nań natrafie, właśnie milknie. Teraz na przykład przepadły gdzieś gauloise'y. Miałam okropną ochotę zapalić, więc żeby skrócić poszukiwania, wytrząsnęłam całą zawartość torby na szeroki parapet i mój wzrok znów padł na pęk kluczy należących do ofiary. Na kółeczku kołysał się długi, wąski bolec z nacięciami i gruby kluczyk, tak zwany angielski. Był też breloczek z dużą cyfrą 2.

Nagle w moim mózgu coś zaskoczyło, zgarnęłam cały chłam z powrotem do torebki, podeszłam do drzwi i wetknęłam bolec w niewielki okrągły otwór. Mieszkanie natychmiast stanęło otworem, a ja weszłam do ciemnego wnętrza.

Pachniało tu, podobnie jak w pomarańczowym żiguli, słodkimi perfumami, z pewnością drogimi, ale nieznaną mi marki. Ostrożnie nacisnęłam kontakt. Pod sufitem rozbłysnął duży, staroświecki żyrandol z kloszami z niebieskiego szkła. Nie dawał zbyt wiele światła, ale był bardzo stylowy. Równie niebanalnie, lecz naprawdę elegancko urządzone całe wnętrze.

Wbrew moim oczekiwaniom, były tu tylko trzy pokoje, co prawda duże, przestronne, każdy o dwóch oknach. W ciągu dziesięciu minut zyskałam pewność, że Nadia Kołpakowa

mieszka tutaj sama. W łazience z kubeczka sterczała tylko jedna szczoteczka do zębów, na wieszaku wisiał różowy szlafroczek frotte, a półeczka pod lustrem była zastawiona wyłącznie damskimi kosmetykami. Żadnych płynów po goleniu i męskich dezodorantów, żadnych dziecięcych ubrań ani zabawek.

W ogromnej kuchni w szafce stały małe garnuszki, niemal jak dla lalek, co ostatecznie utwierdziło mnie w przekonaniu, że Nadia mieszka, czy raczej mieszkała, sama. Kobieta, która ma rodzinę, kupiłaby raczej trzylitrowy sagan na zupe.

Byłam prawie pewna, że to Nadię znaleziono w metalowej szafce. Nie wiem, co kazało mi tak myśleć, ale mój pogląd na tę sprawę przesądził ostatecznie fakt, że w sypialni, na nocnej szafce obok luksusowego mahoniowego łóża, znalazłam pakiet zdjęć, najwyraźniej niedawno odebranych z Kodaka.

Na pierwszym z nich uśmiechała się atrakcyjna blondynka o niebieskich oczach. Była to właśnie nieszczęsnica, znaleziona w nienaturalnej pozycji w księgarskiej szatni. Nie widziałam twarzy ofiary, ale dobrze zapamiętałam, co miała na sobie – jaskrawozielony żakiet i spodnie koloru khaki. Spoglądająca w obiektyw sympatyczna dziewczyna tak właśnie była ubrana.

Usiadłam na łóżku i zaczęłam się wpatrywać w fotografię. A więc to tak! Zamordowana nazywała się Nadia Kołpakowa. Więc skąd wziął się w szatni dowód Darii Iwanowny Wasiljewej?

Nie zdążyłam zagłębić się na dobre w rozważania, gdy tuż obok rozległ się ostry sygnał. Na nocnej szafce dzwonił telefon, zapomniawszy na śmierć, że znajduję się w cudzym mieszkaniu, odruchowo chwyciłam słuchawkę.

– Słucham.

– Nadzka – zaskrzeczał wysoki głos – co z tobą, kurna, rozchorowałaś się, czy co?

– Tak – odpowiedziałam ostrożnie – jestem przeziębiona.

– Ej, Nadzka, to ty? – upewnił się nieufnie sopran. – Masz jakiś dziwny głos.

Szybko ścisnęłam nos palcami i zachrypiałam:

– A tam, dziwny! Złapałam katar i tyle. Kto mówi?

– Ja, nie poznajesz?

– Nie.

– Wyglupiasz się!

– Przepraszam, ale uszy też mam zatkane. Z kim rozmawiam?

– Tu Dina.

– A-a-a – powiedziałam – cześć, co nowego?

– Chciałabym to wiedzieć – burknęła rozmówczyni. – Czekam na ciebie od rana! Jeżeli się rozmyśliłaś i nie chcesz nam dać forsy, to powiedz, ale nie rób ze mnie idiotki!

– Skądże znowu, chętnie pomogę. – Postanowiłam wykorzystać okazję i zawrzeć znajomość z koleżanką Nadi. – Przepraszam, rozchorowałam się i nie dałam rady przyjść.

– Nie szkodzi. – Dinię wyraźnie poprawił się humor. – Grunt, że dasz!

– Ile?

Zaległo milczenie, potem rozmówczyni spytała ostrożnie:

– Źle się czujesz?

– No wiesz, opilałam się wczoraj różnymi miksturami, żeby zbić gorączkę.

– Obiecałaś tysiąc.

– Dolarów?

– Rubli! – wrzasnęła zirytowana Dina. – My to co innego niż ty, nawet sto rubli to dla nas pieniądz!

– Dobrze, dobrze – zabelkotałam przez nos – przywiozę, nie bój się.

– Przywieziesz, czy mam przyjechać do ciebie?

– Może się spotkamy na neutralnym gruncie.

– Gdzie?

– No... Znasz McDonalda przy Twerskiej?

– Nie, ty chyba naprawdę zwariowałaś! Czegoś się wczoraj nałykała? Czy aby nie LSD?

– Dobrze, jak nie chcesz tam, to obok. W kawiarni „Lira”, przejdiesz kawałek dalej, miniesz McDonalda i zaraz zobaczysz wejście.

– O której?

– Wpół do dziewiątej wieczorem.

– Wiesz, że potrzebujemy forsy i specjalnie odwlekasz sprawę. – Dina westchnęła i rozłączyła się.

Ja zamknęłam za sobą drzwi mieszkania i pojechałam do pracy.



## Rozdział 6

Koło otwartej teraz bramki ze stalowej kraty, u wejścia, tuż obok dziewcząt, których zadaniem było łapać za rękę bezczelnych złodziei, siedział piękny pitbull, przy czym nie na podłodze, lecz – spryciarz! – na małej ławeczce. Pies do złudzenia przypominał Bundy’ego. Przeniosłam spojrzenie na drzwi, gdzie umieszczono wydrukowane na komputerze ostrzeżenie: „Uwaga! Księgarni pilnują specjalnie tresowane psy. Do uczciwych klientów merdają ogonem i uśmiechają się, złodziei natychmiast zatrzymują”. Zdumiona, znów popatrzyłam na siedzącego psa i w tej samej chwili pojęłam, że to... Bundy.

– Mój maleńki! Jak się tu dostałeś?

Bundy zaskomlił i machnął długim, cienkim ogonem, ale nie zląkł z ławeczki i nie rzucił się, by entuzjastycznie powitać swoją panią. Jego wygląd mówił wyraźnie: bardzo przepraszam, moja kochana, ale teraz jestem w pracy.

– Skąd on się tu wziął?

– Och, Dario Iwanowno – zaczęła paplać Swieta, która wychynęła zza stelaży – przyjechała pani córka razem z bratem i z psami. Ale przystojniak!

– Kto? – Zupełnie się pogubiłam. – Bundy?

– Nie – speszzyła się Swieta – pani syn! Taki wysoki... – Zamilkła na chwilę, po czym spytała: – Żonaty?

– Tak – odparłam zirytowana – od dawna, szczęśliwie i na dodatek ma jeszcze dwoje dzieci.

– Ja przecież tylko tak spytałam – znów zaszczębiotała Swieta – po prostu z ciekawości! Mam swojego chłopaka. Lilka, na przykład, jest samotna, no, ta to już całkiem straciła głowę, zaciągnęła ich do bufetu na herbatę.

Rozdrażniona, nie mając pojęcia, po co moja kochana rodzinka razem z całą menażerią zwała mi się na głowę, poszłam szukać gości i znalazłam ich w swoim gabinecie. Oprócz Kleszy i Mani była tam jeszcze Ałoczka i kilka sprzedawczyń.

– Co się tu dzieje? – spytałam groźnie.

– Och, Daszeńko – zaczęła się rozplýwać Ała – spójrz tylko, jaki on milutki, jaki słodki!

Zerknęłam na Hootcha, który spokojnie posapywał u niej na rękach. Mops aż oczy mrużył z zadowolenia, a cały pyszczek miał w okruszkach. Widocznie zdążyli go już solidnie napchać ciastem.

– A mnie się bardziej podoba suczka – zagruchała Lila, przytulając do siebie Julie. – Taka przymilna, taka puszysta, całkiem jak pluszowa przytulanka.

– Nie – zaprotestowała Swieta, która wbiegła za mną – koty są najlepsze, dajcie mi tego białego, zaniosę go na dół i położę w witrynie, tam gdzie są wystawione książki o zwierzętach. Przecież to żywa reklama!

– Julie jest ładniejsza – oponowała Lila, z uśmiechem gapiąc się na Kieszę.

Na koniec dotarło do mnie, że najbardziej spośród wszystkich zwierząt domowych spodobał się ekspedientce mój syn, i ryknęłam gniewnie:

– Kto wam pozwolił opuścić stanowiska pracy? No już, biegiem na dół!

Dziewczyny umknęły. Ała, nie wypuszczając Hootcha z objęć, zamruczała:

– Muszę mu pokazać swój gabinet – i szybko, żeby nie usłyszeć nic w odpowiedzi, zniknęła za drzwiami.

– Może mi teraz wyjaśnicie, co się tu dzieje. – Z ciężkim westchnieniem opadłam na fotel.

– Mamo, nie gniewaj się – Arkady podniósł ręce w górę, co miało znaczyć: poddaję się – to był pomysł Mańki, ja robiłem tylko za kierowcę.

– To dlaczego mnie nie powstrzymałeś? – zaatakowała go Masza. – Dlaczego mi nie zabroniłeś?

– Ciebie akurat można powstrzymać! – Kiesza uśmiechnął się. – Zrobiłaś się grubsza ode mnie, brzuchem możesz człowieka rozgnieść na miazgę.

Wiedząc, że za chwilę zaczną się na dobre kłócić, uderzyłam ręką o biurko.

– Dość tego!

– Dobrze, dobrze – zmięgowali się oboje, zaskoczeni moją reakcją. Takiej matki nie znali.

– Prawdę mówiąc, pomysł nawet nie był taki zły. – Kiesza wykazywał pewną skłonność do ugody.

– Po prostu fantastyczny! – wykrzyknęła Mania. Przerywając sobie nawzajem, opowiedzieli wreszcie, o co chodzi. Sprawa była prosta jak cep.

Nasz dom przez cały tydzień nie będzie się nadawał do zamieszkania. Konieczna jest wymiana urządzeń grzewczych, gdyż cały system instalacji wysiadł. A więc gdzie się wszyscy podzieją? Hotele odpadają, żaden nie przyjmie gości z tak liczną menażerią. Ostatecznie administracja hotelu „Prezydenckiego” mogłaby przymknąć oko na obecność miniaturowej Julie, ale całej sfory psów, w której są pitbull i rottweiler, nie zgodzi się wpuścić za żadne pieniądze. Zresztą pozostaje jeszcze sprawa chomików, ropuchy i szczura Firny. Może wynająć mieszkanie? Ale na tydzień nikomu się to nie opłaci. Koczować u

przyjaciół? To też nie jest rozwiązanie. Oksana ma małe dziecko, Masza Trubina – uczulenie na sierść. Wchodziłaby jeszcze w grę Ola Telkowska – ma duże mieszkanie i wszyscy domownicy lubią zwierzęta – ale u Telkowskich akurat jest remont. Słowem, sytuacja okazała się bez wyjścia. Nie oddamy przecież psów i kotów na przechowanie. Rozdziela je tam, powsadzają do klatek...

Gdy tak wszyscy łamali sobie głowy, co zrobić, zadzwoniono do Olgi z pracy i powiadomiono ją, że jutro wyjeżdża w delegację do Petersburga na dziesięć dni.

– Doskonale – zawyrokował Kiesza. – Pojedziemy razem, akurat w tym czasie nie mam wyznaczonej żadnej rozprawy!

I wtedy Mania zaproponowała w przyпіlywie natchnienia:

– No i świetnie, was nie będzie, Ira i Katia będą doglądać robotników, a my razem ze zwierzętami zainstalujemy się u mamy w pracy, w księgarni.

Otworzyłam usta ze zdziwienia.

– Tutaj?

– Oczywiście. – Mańka aż dygotała z podniecenia. – Popatrz tylko, jaki to ogromny pokój, duże kanapy, biurko. Obok toaleta, umywalka, a na dole kuchnia. Po prostu super! Po nocach będę sobie spacerowała między półkami i czytała książki!

– Słusznie, matka – wtórował jej Kiesza – to wcale nie taki głupi pomysł. Przecież wszystko potrwa zaledwie tydzień, no, najwyżej dziesięć dni.

– Ale co ze zwierzętami?

– Oj, mamusku – przekonywała Mania – Bundy będzie siedział przy wejściu, Snap może warować koło drzwi do piwnicy, Hootchuś zostanie u Ałły Siergiejewny. Widziałaś, jak jej się spodobał? Fifinę położy się między książkami, a Klepcia, Cherry, chomiki, Fima i Elwira będą sobie cichutko siedziały tutaj. No, czy to nie super? Napisałam już wszystko na komputerze, wydrukowałam i powiesiłam na drzwiach!

Z Marusią trudno dyskutować, prawdę mówiąc, to praktycznie niemożliwe. Chcąc przeprowadzić swoją wolę, przytłacza po prostu przeciwnika argumentami, a raczej miażdży go niczym czołg skorupkę jajka. Świadoma, że i tak będę musiała się zgodzić, postanowiłam trochę się jednak podroczyć.

– Trzeba by zapytać Lenę o zgodę.

– Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu!

– Wszystko jedno. Tak wypada.

– Dlaczego?

– A kto tu rządzi?

– Ty!

– Skądże znowu, jestem tylko pracownikiem najemnym!

Żywiąc w głębi duszy nadzieję, że moja przyjaciółka zakrzyknie z miejsca: „Zwariowałaś? Natychmiast usuń zwierzęta!”, zadzwoniłam do Lenki i usłyszałam: „Abonent jest poza zasięgiem”. Westchnęłam ciężko, jednak postanowiłam się nie poddawać.

Zatelefonowałam do biura firmy i usłyszawszy głos sekretarki, przedstawiłam się:

– Tanieczko, tu Dasza Wasiljewa.

– O, Daria Iwanowna! Dzień dobry!

– Gdzie się podziewa Jelena Nikołajewna?

– W Tajlandii.

– Gdzie?

– W Tajlandii – spokojnie powtórzyła Taniuszka. – A co, czyżby nic pani nie powiedziała? Jelena Nikołajewna zawsze w styczniu leci na dwa tygodnie nad morze odpocząć, o tej porze roku jest dosłownie wykończona.

– I nie można się z nią skontaktować nawet przez komórkę?

– Nie. – Tania roześmiała się. – Jelena Nikołajewna mówi, że chce o wszystkim zapomnieć.

Niepewna, jak postąpić, odłożyłam słuchawkę.

– Poleciała na dwa tygodnie do Tajlandii.

– No, no – uśmiechnął się pod nosem Arkady – jak trafi tam na Diegtiariowa, to dopiero będzie ubaw.

– Bomba! – Maruškę aż rozsadzało. – Przecież wszystko układa się jak na zamówienie. Ty, mamusku, jesteś tu teraz najważniejsza. Pełny odlot!

– A co będzie z twoją szkołą?

– Mamuś – zdumiała się Mania – o co ci chodzi?

– Szkolny autobus zabiera cię przecież z Łożkina.

– Ale moja szkoła jest o dwie przecznice stąd, nawet nie trzeba dojeżdżać, to parę kroków piechotą – przypomniała Mania.

Znów westchnęłam ciężko. Wszystkie argumenty zostały wyczerpane, chyba rzeczywiście cały tydzień trzeba będzie przebiwakować w gabinecie. Dzieci, oprócz psów i kotów, przywlokły ze sobą jeszcze kilka walizek z ubraniami, bielizną, pościelą i kocami.

Nie zdążyłam na dobre przyjść do siebie, gdy do gabinetu wkroczyła tęga dama o mocno uróżowanych policzkach.

– Dzień dobry. – Jestem ze stacji sanitarno-epidemiologicznej – poinformowała tonem twardym jak kamień.

– Daria... – zaczęłam, ale dama nagle spurpurowiała i wskazując palcem na moje biurko, zapiszczała:

– Mysz! Och, matko kochana, mysz!

– To wcale nie mysz – sprostowała z niesmakiem Mania – to szczur.

– Szczur! – wrzasnęła dama. – Gryzoń biega sobie na wolności! Roznosiciel dżumy! Pcheł! O Boże!

– Co pani wygaduje! – zirytowała się Mania. – Fima to stworzenie domowe, oswojone. Niech pani patrzy.

Wzięła zwierzątko do ręki i podsunęła kobiecie pod nos.

– Proszę zabrać – syknęła przedstawicielka sanepidu. – Skandal! A tu co znowu?

– Chomiki!

– Nie, nie, tam, w terrarium!

– Ropucha Elwira, chce ją pani obejrzeć z bliska? – ucieszyła się Mania i zdjęła pokrywę.

– Broń Boże! Można od nich dostać kurzajek!

– Piramidalna bzdura. Źródłem kurzajek jest infekcja wirusowa – odszczeknęła Maruśka.

– Zakażenie następuje przez podanie ręki.

– Dowiem się w końcu, co się tutaj dzieje? – Dama była u kresu cierpliwości. – Pies przy wejściu, kot w witrynie, myszy...

– Szczur!

– Szczur, chomiki, o Boże, a to co takiego?

– Jorkszyrska terierka Julie i pudliczka Cherry – wyjaśniłam, przekonana z góry, że na tym sprawa się nie skończy. Tym razem główna księgowa będzie musiała wygospodarować nie pięćdziesiąt, ale co najmniej sto, a może i dwieście doków.

Najwyraźniej ta sama myśl przyszła do głowy damie z sanepidu, gdyż oznajmiła marzycielsko:

– A w toalecie nie ma szczotki klozetowej!

W tej właśnie chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Ałłoczka z Hootchem na rękach.

– Mamy kontrolę z sanepidu! – warknęłam.

Moja zastępczyni kiwnęła głową i nie wypuszczając mopsa z objęć, zniknęła.

– Maniu – poleciłam – przynieś kawę, ciasto, koniak. Arkady, wybierz... e... przepraszam, jak pani godność?

– Ninel Mitrofanowna – z godnością przedstawiła się dama.

– Aha, doskonale, a więc wybierz dla Ninel Mitrofanowny trochę książek z magazynu.

Powiedz Lidoczce, że to dla kontrolerki z sanepidu.

Dzieci w mgnieniu oka zniknęły.

– Sympatyczne ma pani zwierzątka. – Ninel Mitrofanowna wyraźnie złagodniała. – Zwłaszcza pudełek... Chyba ma już swoje lata?

– Nie jest młody.

– A mój pies zdechł – westchnęła. – Wciąż myślę, żeby wziąć nowego, ale jakiej rasy? Chciałabym jakiegoś małego, wesołego psiaka.

– Mopsa! – wykrzyknęła odkrywco Mania, która właśnie pojawiła się w progu z tacą. – Mamuś, weź kawę, muszę lecieć, bo spóźnię się na zajęcia.

– To pani córka? – spytała Ninel, pretensjonalnie upijając odrobinę koniaku.

Nie zdążyłam odpowiedzieć na jej pytanie, gdy w gabinecie zmaterializował się Arkady.

Mój syn jest bardzo przystojny. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt dziewięć nosi spodnie rozmiar czterdzieści osiem, a marynarkę – pięćdziesiąt. Oczy Kiesza ma jasnoorzechowe, prawdziwie kocie, włosy ciemnokasztanowe, a cerę arystokratycznie bladawą. Zawsze doskonale ubrany, modnie ostrzyżony, roztacza leciutką woń drogiej wody kolońskiej. Ponadto, jak każdy adwokat, jest wygadany, nigdy nie traci głowy i potrafi też słuchać. Dziewczynom podoba się nadzwyczajnie – przystojny, bogaty, grzeczny, o nienaganych manierach – po prostu książe. Czasem nawet któraś z moich przyjaciółek żartuje:

– Ech, gdybym tak była o dwadzieścia lat młodsza, na pewno bym ci go odbiła, Kiciu.

Olga tylko się uśmiecha. Doskonale wie, że mąż nigdy jej nie zostawi; jeśli nawet przyjdzie mu kiedyś do głowy, że warto by sobie pozwolić na jakiś skok w bok, i tak zawsze do niej wróci. Na razie jednak to całkowicie teoretyczne rozważania, jak dotąd Arkady nigdy jeszcze jej nie zdradził. Być może komuś wydaje się to dziwne, ale nasz mecenas jest monogamistą.

– Proszę. – Kiesza z promiennym uśmiechem wręczył Ninel Mitrofanownie dużą paczkę.

– Tylko że wiesz co, mamu, wybrałaś zupełnie nieodpowiednią osobę na wyprawę do magazynu. Skąd miałbym wiedzieć, co może się podobać młodej kobiecie? Na szczęście Lila mi podpowiedziała. Proszę wybaczyć, jeśli coś będzie nie tak – zwrócił się szarmancko do gościa.

Ninel Mitrofanowna, która z pewnością dobrych parę lat temu świętowała pięćdziesiąte urodziny, pokraśniała z zadowolenia i wyjąkała:

– Ach, to nieważne, lubię kryminały, Marininę, Polakową...

– A więc zgadłem – promieniał Kiesza – ma pani świetny gust, sam przepadam za tymi autorkami. Może jeszcze kawy? Chyba lepsza będzie ze śmietanką.

– Och, nie – uśmiechnęła się kokieteryjnie Ninel – za dużo kalorii, muszę dbać o figurę.

– Pani na pewno nie musi – lał miód na jej serce Arkaszka. – To, co jest doskonale, nie może stać się jeszcze lepsze.

– Ależ z pana komplementarz! – Ninel uśmiechnęła się. – No trudno, proszę mi dolać odrobinę śmietanki.

– Ze mnie? – krygował się Kiesza, podsuwając damie tłuste ciasto. – Ja zawsze mówię tylko prawdę, samą prawdę i nic oprócz prawdy.

Westchnęłam, widząc, jak gorliwie mój syn przypochlebia się przedstawicielce sanepidu. Francuzi mają takie porzekadło: „Kłamię jak adwokat”.

Drzwi gabinetu znów się otworzyły. Z Hootchem w objęciach wpadła Ałoczka. Ostrożnie położyła mopsa na fotelu i wręczyła Ninel reklamówkę. Kontrolerka zajrzała do środka.

– No dobrze, czas na mnie. Kupcie szczotki do czyszczenia muszli klozetowej.

– Nie ma sprawy – zapewniła Ałoczka, błyskając oczyma. – Kupimy, i to w najlepszym gatunku.

– Za miesiąc przyjdę sprawdzić.

– Czekamy na panią, zapraszamy serdecznie. – Uśmiechy nie schodziły nam z twarzy.

Arkaszka wstał.

– Jadę do sądu, mogę panią podrzucić, jeśli wybiera się pani w kierunku centrum.

– To bardzo miło z pana strony – zaszcebiotała Ninel, i oboje wyszli.

– Ohydna spocona żmija! – rzuciła Ałoczka i padła na fotel.

– Żmije nie mają gruczołów potowych – sprostowałam machinalnie.

– Ta ma – odparła z przekonaniem moja zastępczyni. – Boże, jak ja już mam dosyć tej ich żebraniny!

– Ale przecież sami im dajemy!

Ała tylko machnęła ręką.

– Zobaczysz, co się zacznie dziać, jeśli odmówimy. Życ człowiekowi nie dadzą!

Westchnęłam i nie odezwałam się.

## Rozdział 7

Punktualnie o wpół do dziewiątej wpadłam do „Liry” i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, jak wygląda osoba, która czeka na tysiąc rubli od Nadi. Mogłam ewentualnie zawołać:

– Dina, gdzie jesteś?

Ale nie zrobiłam tego, za to dokładnie rozejrzałam się po sali, która była właściwie pusta. Przy dwóch stolikach siedziały flirtujące pary, niemal jeszcze nastolatki, a miejsce pod ścianą zajęła posępna dziewczyna w wieku mniej więcej dwudziestu ośmiu lat. Uznawszy, że to najprawdopodobniej ona jest znajomą Nadi, podeszłam do stolika i powiedziałam:

– Dzień dobry, Dino.

Dziewczyna oderwała się od tortu i oświadczyła ochryple:

– Nie jestem Dina, tylko Walera.

– Przepraszam – wyjąkałam. – To pomyłka.

– Zdarza się – dobrodusznie odparł chłopak i wstrząsnąwszy grzywą z balejażem, znów najspokojniej zabrał się do tortu.

Usiadłam przy jednym z wolnych stolików i westchnęłam. No cóż, głupio wyszło. Ale w końcu każdy na moim miejscu wzięłby Walerę za dziewczynę. Długie loki młodzieńca były ufarbowane na różowy, złoty i niebieski kolor, w uszach miał kolczyki, oczy umalowane, a na talerzyku przed nim leżał kawał tortu z bitą śmietaną... I to ma być mężczyzna?!

Nie zdążyłam otworzyć karty, kiedy do sali weszła źle, żeby nie powiedzieć: biednie ubrana kobiecina. Była w jakimś niemodnym, lureksowym sweterku, powyciąganej spódnicy z dzianiny i brudnych botkach-baleronach, modnych na początku lat osiemdziesiątych. Stała w progu i zaczęła się rozglądać. Odwróciłam wzrok. Zamordowana miała nie więcej niż trzydziestkę, przybyła zbliżała się do pięćdziesiątki.

– Co podać? – spytała mnie kelnerka.

Zamówiłam kawę i ciastka, przesunąwszy nieco krzesło, tak żeby móc obserwować wejście. Kobieta zajęła sąsiedni stolik.

– Pani sobie życzył – zwróciła się do niej kelnerka.

– Nic, dziękuję.



– Przepraszam – uprzejmie, lecz stanowczo odparła dziewczyna – ale nie można u nas siedzieć i nic nie zamawiać.

– Czekam na znajomą, jak przyjdzie, wezmę kawę.

– Proszę bardzo – zgodziła się kelnerka i odeszła.

Odwróciłam się do kobiety.

– Przepraszam, czy pani Dina?

– Tak – przyznała i dodała nieufnie: – A skąd pani mnie zna?

– Czekają pani na Nadię Kołpakową?

– Mhm...

– Ona nie przyjdzie.

Dina poruszyła się niespokojnie.

– Co się dzieje? Kim pani jest?

Wzięłam swoją filiżankę, ciastka i przesiadłam się do jej stolika.

– Kim pani jest? – dopytywała się Dina nerwowo.

Przyjrzałam jej się dokładniej. Była młodsza, niż mi się początkowo wydawało, tyle że po prostu zaniedbana. Jej włosy przypominały zeszłoroczne siano, szarawa cera wyglądała na niedomytą, nie dostrzegłam też śladu makijażu – Dina nie używała pudru, szminki ani tuszu do rzęs. Zapach, który roztaczała, też nie był zbyt przyjemny: brudnych, tłustych włosów i dawno niepranego ubrania.

Otworzyłam torebkę, wyjęłam dwa banknoty pięćsetrublowe i położyłam przed nią na stoliku.

– Proszę.

Palcami o połamanych paznokciach chwyciła papierki. Po chwili jednak znów się zaniepokoiła.

– Ale co się stało? Niechże pani w końcu powie. Nadżka poważnie się rozchorowała? Ma grypę?

– Bardzo z nią źle – powiedziałam ostrożnie. – Jest pani jej przyjaciółką?

Dina skinęła głową.

– Naprawdę marnie – ciągnęłam. – Gorzej już być nie może.

– Nic jej nie będzie. – Moja rozmówczyni machnęła ręką. – Wyjdzie z tego, to kawał zdrowej rzepy. Jesteśmy w tym samym wieku, tyle że ja kompletnie schorowana, a jej nawet nigdy głowa nie zaboli. Aż dziwne, że ten wirus tak ją zwałił z nóg, ostatni raz miała katar, jak byliśmy w pierwszej klasie.

– Chodziłyście razem do szkoły?

– No. Dziesięć lat przesiedziałyśmy w jednej ławce. – Dina westchnęła. – Tylko że ja byłam głupia, a ona mądra.

– Po co o sobie tak źle mówić? – odezwałam się przeciągle.

– Może coś podać? – zaszcebiotała kelnerka.

Dina spojrzała na mnie niepewnie. Uśmiechnęłam się.

– Wypijmy za znajomość. Ja stawiam.

Kobieta wyraźnie poweselała.

– No cóż, po jednym nie zaszkodzi...

– Świetnie – ucieszyłam się. – Proszę nam przynieść koniak, kawę, ciastka z bitą śmietaną.

– Jakie? Może podać patere?

– Doskonale.

Kiedy kelnerka wróciła z zamówieniem, Dina dosłownie rzuciła się na ciastka. Co do mnie, nigdy specjalnie nie musiałam dbać o figurę, z natury jestem szczupła, dlatego mogę sobie pozwolić od czasu do czasu na ciacho czy talerz makaronu z tłustym sosem. Ale spałaszować cztery ptysie z górą bitej śmietany, a potem bez zmużenia oka zabrać się do eklerów, to ponad moje siły! Dinie jednak ręka nie zdrzała, gdy przełożyła sobie na talerzyk piątę z kolei ciastko i aż sapnęła z zadowolenia. Może jest tak biedna, że nie stać jej na nic słodkiego, i teraz odbija sobie długie tygodnie wyrzeczeń?

– Nadzka ma głowę nie od parady – nawijała, pałaszując – a zresztą pani pewnie sama wszystko o niej wie.

– Nie. – Pokręciłam przecząco głową. – Nie łączy nas bliższa znajomość.

– To dlaczego przysłała panią z pieniędzmi?

– Może zamówimy jeszcze parę ciastek? – Chciałam czym prędzej zmienić niebezpieczny temat.

– Lepiej weźmy paszteciki z mięsem – rozmarzyła się Dina.

No jasne! Mademoiselle przejadły się słodycze, więc zapragnęła innych smaków. Kelnerka przyniosła paszteciki. Po spożyciu trzech Dina wyraziła zdziwienie:

– A pani dlaczego nie je?

– Nie mam apetytu.

– Ale zostało jeszcze pięć.

– Nie szkodzi.

– Mogę je zabrać do domu?

– Naturalnie. A może wzięłaby pani i ciastka? Mają tu zawsze świeże i smaczne.

– No... – zawahała się Dina – ...chyba że eklery...

Szybko skinęłam na kelnerkę i po chwili na stoliku znalazło się kilka białych paczuszek, starannie przewiązanych sznureczkiem. Nagle Dina rozplakała się.

– Co się stało? – zapytałam przestraszona.

– To Nadzka pani kazała tak sobie zakpić, wystawić mnie na pośmiewisko!

– Mój Boże, a cóż ja takiego zrobiłam?

– Te ciastka! – Zniszczonym palcem wskazała na paczki. – Pewnie chciała mnie poniżyć!

– Co za nonsens! – oburzyłam się. – Po prostu wydawało mi się, że tutejsze wypieki pani smakują, więc kazałam zapakować parę eklerów. Dla siebie też wezmę.

– Nie ma pani pojęcia – chlupała Dina – co to za okropne uczucie być nędzarką, liczyć każdy grosz, ubierać się w sklepach ze starzyzną i stale na wszystkim oszczędzać.

– Nic podobnego! Znam to uczucie bardzo dobrze. Przez długie lata żyłam jedynie z nędznej pensji.

– Nie, pani nie rozumie – Dina rozmazywała smarki po twarzy – jak to jest, kiedy człowieka nikt nie szanuje! Na przykład Nadźka dała forszę, ale nie przywiozła jej sama, tylko przysłała panią.

– Nadia...

– Och, nie wierzę w jej chorobę! – rzuciła zgryźliwie „przyjaciółka”. – Po prostu kasa uderzyła jej do głowy! Szmal często tak działa na ludzi. Wie pani, jak doszła do takiej forsy?

– Nie.

– No to zaraz pani opowiem – ożywiła się.

Westchnęłam. A jednak ludzie to naprawdę niewdzięczne istoty. Jakże wielu z nich usiłuje zaszkodzić tym, którzy wyciągnęli do nich pomocną dłoń, a motorem wszystkiego jest zawiść! Kiedyś moja babcia Afanasja powiedziała:

– Daszeńko, nie zapraszaj do nas więcej Kati Kowalowej.

Bardzo się wtedy zdziwiłam. Babcia zawsze życzliwie traktowała moje koleżanki, zatrzymywała je na obiedzie i wyjmowała z kredensu czekoladowe cukierki, które w sklepach były wtedy absolutnie niedostępne.

– Chodzi ci o to, że jej ojciec pije? – zapytałam z dziecięcą naiwnością.

– Nie. – Babcia pokręciła głową przecząco. – Katierina nie jest dobrą koleżanką.

– Nieprawda! – zaprzeczyłam z oburzeniem. – Bardzo ją lubię! Pamiętam, jak mi współczuła, kiedy ci z dziesiątej klasy wrzucili mi teczkę na szafę.

Babcia westchnęła.

– Jesteś jeszcze mała i głupiutka. Nie ten jest przyjacielem, kto się nad tobą uzali w nieszczęściu, ale ten, kto potrafi się cieszyć twoją radością.

– Nie rozumiem.

– Przypomnij sobie, jak się zachowała Katia, kiedy złamałaś rękę na ślizgawce?

– No... – Zamyśliłam się na chwilę. – Najpierw mi współczuła, ale potem doszła do wniosku, że właściwie to mam szczęście, bo przez całych sześć tygodni nie będę musiała pisać.

– Dobrze. – Babcia uśmiechnęła się. – A kiedy pokazałaś jej wczoraj nową sukienkę?

Skrzywiłam się.

– Najpierw nic nie powiedziała, a potem doradziła mi, żebym nie nosiła plisowanych spódnic, bo mnie pogrubiają. Może naprawdę miała rację, co, babuniu?

Afanasja pogłaskała mnie po głowie.

– Dziecko, jesteś chuda jak figa za centa. Twoja koleżanka po prostu ci zazdrości, a między przyjaciółmi nie powinno być miejsca na zawiść.

Dina także z trudem usiłowała opanować to uczucie, ale ono z uporem podnosiło głowę, podsuwając jej gorzkie słowa. Zwierzała się:

– Nadźka wszystko miała lepsze, książki z obrazkami, więcej zabawek.

Nadiusza rzeczywiście wychowywała się w lepszych warunkach niż Dina. Dinoczka miała tylko matkę, która była nauczycielką pierwszych klas szkoły podstawowej, ojciec odszedł, kiedy córka miała zaledwie rok, i od tej pory nieszczęsna kobieta harowała jak wół, żeby wyżywić, odziać i obuć dzieci. W dodatku, jak każdy prawdziwy radziecki pedagog, uważała zabawki za idiotyczny wymysł, więc na półeczce Diny siedział tylko celuloidowy nagusek i stary, zniszczony miś. Książki mama aprobowała, ale nie wszystkie. Puszkina, Czechów, Turgieniew – owszem, cieszyli się jej uznaniem. Dumasa jednak uważała za lekturę wysoce niepożądaną. Na sposób ubierania się też miała wyrobiony pogląd.

– Najważniejsza rzecz to schludny wygląd – pouczała Dinę, która napraszała się o dzinsy.

– Biała bluzeczka, ciemna spódniczka, i od razu jesteś porządnie ubrana.

Taki strój w oczach matki nauczycielki uchodził za najodpowiedniejszy na wszelkie możliwe okazje. Jest rzeczą zrozumiałą, że o stosowaniu jakichkolwiek kosmetyków nie mogło być mowy, a w łazience na brzegu wanny leżało jedynie dziecięce mydélko.

– Szampony niszczą włosy – wbijała córce do głowy Anna Jewgienjewna.

Chociaż później niekiedy dodawała z westchnieniem:

– A w dodatku są bardzo drogie.

Dina milczała; rozumiała już dawno, że z matką nie warto się sprzeczać, to jak groch o ścianę. Odwiedzając jednak Nadie, często myła u niej głowę, wyciskając z plastikowej butelki na dłoń przyjemnie pachnący żel. Włosy stawały się po jego użyciu puszyste, błyszczące, ładnie się układały. Natomiast mycie mydłem doprowadzało ją do rozpacz. Zbijały się w kołtun, nie dawały się rozczesać, pokrywał je jakiś szary nalot.

Nadiusza miała jednak nie tylko dobry szampon. Często przynosiła do szkoły różne atrakcyjne nowinki: gumę do żucia, pisaki, czipsy... Wszystko to przywoził jej ojciec, pilot, regularnie latający na trasie Moskwa – Berlin – Moskwa. Wkrótce jednak czasy błogiego dostatku się skończyły. Tata lotnik zmarł na zawał, w niedługim czasie potem śmierć zabrała również matkę. Nadiusza zdała akurat do dziesiątej klasy. Co prawda, miała jeszcze starszego brata, dwudziestoletniego Aloszkę, który starał się, jak mógł, troszczyć o siostrę, ale dosyć marnie mu to wychodziło, pieniędzy w domu stale brakowało.

Najpierw brat i siostra, nieprzyuczeni do oszczędzania, szybko przepuścili „zaskórniaki” pozostawione przez rodziców, następnie sprzedali całe mnóstwo rzeczy, a kiedy poszli po rozum do głowy i zorientowali się, że trzeba liczyć nie tylko ruble, ale i kopiejki, nie zostało już nic do liczenia. Teraz Nadienka często wpadała do Diny i wcale nie grymasząc, z

apetytem wcinała krupnik i kaszę gryczaną, okraszoną podsmażaną na oleju cebulą. Dawniej zawsze się wymawiała od takiego poczęstunku, wyjaśniając uprzejmie:

– Bardzo dziękuję, jestem akurat po obiedzie.

Teraz błyskawicznie opróżniła talerz i wyczekująco popatrywała na garnek z zupą. Dina nie skąpiła jej dolewki i jeszcze zachęcała:

– Wsuwaj, ile zmieścisz.

Na jej twarzy malowało się współczucie, ale w duchu... O, Dinoczka wołała się weń nie zagłębiać, gdyż tam gościła radość. Proszę, jak to się w życiu plecie: raz na wozie, raz pod wozem. Teraz Dina była bogaczką, a Nadia dziadówką. Szkołę obłe skończyły w dziewięćset dziewięćdziesiątym. Wtedy ich drogi się rozeszły. Nadiusza chciała pójść do szkoły fryzjerskiej, ale brat zdecydowanie się sprzeciwił:

– Na głowę upadłaś? Całe życie skakać koło cudzych brudnych kudłów? Nie ma mowy, musisz skończyć wyższą uczelnię.

– A tobie dużo przyszło ze studiów na wydziale samochodowym? – usiłowała się opierać Nadia. – Jesteś już na ostatnim roku i co, jakie masz perspektywy?

Loszka jednak nie ustępował i siostra musiała się poddać. Jedyne, w czym brat zostawił jej wolną rękę, to wybór przyszłego zawodu. Aleksy najchętniej widziałby Nadię na medycynie, ale tym razem nie uległa naciskom.

– O nie! Jeżeli, to tylko historia sztuki.

Brat zgodził się, w głębi duszy mając nadzieję, że Nadia nie dostanie się na modny kierunek i zdąży jeszcze złożyć papiery na stomatologię. Ale ona niespodziewanie zdała wszystkie egzaminy celująco.

W początkach lat dziewięćdziesiątych Kołpakowowie nadal klepali biedę. Loszka chwycił się wszystkiego, w dziewięćdziesiątym czwartym zaczął handlować – jeździł po miastach i wsiach, oferując nabywcom rozmaite towary. Ale i tak pieniędzy w domu starczało ledwie na jedzenie.

U Diny natomiast sytuacja zaczęła zmieniać się na lepsze. Na balu sylwestrowym sympatyczna studentka pierwszego roku wpadła w oko cieszącemu się wielkim powodzeniem Olegowi Rogowowi, który już robił dyplom i jednocześnie był przyjacielem brata Nadi. Na wiosnę odbył się ślub, jesienią przysłała na świat córeczka, a po roku bliźniaki. Trudno w tej sytuacji myśleć o nauce, zwłaszcza że Oleg zaczął doskonale zarabiać; założył firmę handlową – sprzedawał drobny sprzęt gospodarstwa domowego. Miał wszystko – wspaniałe mieszkanie, świetny samochód, dobrze prosperujący biznes. Niekiedy, po prostu z litości, dawał Aleksemu miksery i maszynki do mięsa do obnośnej, domokrażnej sprzedaży.

Kołpakowowie także usiłowali jakoś stanąć na nogi, ale marnie im to wychodziło. Nadia nie mogła znaleźć pracy, a Loszka zaczął zaglądać do kieliszka. Co prawda, nie zdążył się rozpić, gdyż w roku dziewięćdziesiątym ósmym nastąpiły wydarzenia, które sprawiły, że Dina i Nadia w jednej chwili znów zamieniły się rolami.

W sierpniu, jak wszystkim wiadomo, rynek się załamał. Firma Rogowa zbankrutowała. Oleg czynił bohaterskie wysiłki, by utrzymać się na powierzchni – sprzedał wszystko, co mógł, ale nawet to nie pomogło. Stał się jednym z wielu zrujnowanych przedsiębiorców. Nie każdy potrafi wytrzymać taki cios. Choć bywają i tacy, którzy otrzymawszy kopniaka od losu, zaciskają zęby i czepiając się pazurami, znów usiłują wdrapać się na szczyt.

Oleg jednak okazał się człowiekiem słabego ducha. Jego najlepszą przyjaciółką stała się butelka. I w odróżnieniu od Loszki, który wprawdzie popijał codziennie, ale po troszeczkę, zaczął żłopać wóde bez umiaru. Chłął jak świnia. Pod koniec listopada wyglądał już niczym bezdomny menel lub narkoman, którego oprócz działki nic więcej w życiu nie interesuje. Ale nie to okazało się dla Diny największym nieszczęściem. Właśnie wtedy, w listopadzie, kiedy pojęła ostatecznie, że czasy dobrobytu i materialnej beztroski skończyły się bezpowrotnie – w tym deszczowym, ponurym miesiącu Nadi dosłownie spadło jak z nieba bajeczne bogactwo. Jakaś daleka krewna, Dina nie wiedziała nawet dobrze kto, zostawiła Kołpakowom spadek. Elegancki dom w Kalinowie pod Moskwą, kupę forsy, biżuterię i inne kosztowności, słowem, dorobek całego życia.

Loszka i Nadia wyremontowali swoje mieszkanie. Aleksy zaczął handlować samochodami, i to z wielkim powodzeniem. Nadia odkryła w sobie inny talent – zajęła się wyceną staroci. Wystarczyło jej jedno przelotne spojrzenie, by się zorientować, jaka jest wartość danego obiektu. Nie myliła się nigdy, dlatego też stołeczni kolekcjonerzy jako taksatorkę wyrywali ją sobie po prostu z rąk. Forsa płynęła strumieniem, wkrótce zgromadziło się jej tyle, że nie było już na co wydawać. Loszka i Nadia byli ubrani jak książęta, mieli wspaniałe, drogie samochody i co roku jeździli za granicę. Życie dosłownie pchało ich w górę, za to Dina upadała coraz niżej. Trójka kwękających, wciąż wyrastających z ubrań dzieciaków, mąż zdeklarowany alkoholik, który rękami trzęsącymi się z przepicia wynosił z domu wszystko, co jeszcze można było wymienić na butelkę, brak wykształcenia i zawodu, jakiegokolwiek pracy...

Ale najboleśniej doskwierał Dinie sukces, jaki osiągnęła Nadia. Najlepsza przyjaciółka odwiedzała Dinę, przywożąc całe torby prezentów, podsuwała dzieciom czekoladki i usiłowała podnieść ją na duchu:

– Nie załamuj się, Dinka, wiesz, jak to w życiu bywa – raz na wozie, raz pod wozem, wieczna karuzela. Ty złapałaś trochę szczęścia, teraz uśmiechnęło się do mnie, niedługo znów do ciebie wróci.

Po wyjściu Nadi Dina często znajdowała na stole kopertę z pieniędzmi, a wtedy czuła się po prostu okropnie. Przyjaciółka poniżała ją swoją dobrocią... Słowem, życie wydawało się nie do zniesienia.

– I cokolwiek by się stało, jej pieniędzy wciąż tylko przybywa – labidziła Dina, pochłaniając szósty pasztecik. – To chyba jakieś przekleństwo. No bo Loszkę zabili...

– Co? – Aż podskoczyłam na krześle. – Brata Nadi?

– Mhm – mruknęła obojętnie Dina i zerknęła na kolejny pasztecik z francuskiego ciasta z nadzieniem mięsnym.

– Kiedy?

– Jesienią – wybelkotała z pełnymi ustami. – W październiku, a może w listopadzie, nie pamiętam.

– Za co?

– A diabli go wiedzą. – Dina wzruszyła ramionami. – Może wszedł komuś w drogę, biznesmen cholerny!

– To znaczy, naprawdę był na niego zamach?

Kobieta rozłożyła ręce.

– Najpierw mówili, że zginął w wypadku, z ogromną prędkością wjechał wprost na gliniarzy z drogówki, dwóch milicjantów wyprawił przy okazji na tamten świat, dopiero potem Nadzka powiedziała, że to było morderstwo. Ktoś tam coś pomajstrował przy hamulcach, ale żadnych szczegółów nie znam. Wiadomo tylko, że był trzeźwy, bo z piciem skończył na dobre jeszcze w dziewięćdziesiątym ósmym.

Dowiedziawszy się o śmierci Aleksego, Dina uznała, że Nadia da sobie spokój z biznesem samochodowym, w który Kołpakowowie zainwestowali większość zasobów. Subtelna historyczka sztuki o wyrafinowanych gustach z pewnością nie ma pojęcia o silnikach, kołach i karoseriach. Ale Nadienka zatrudniła fachowca i gejzer forsy wytrysnął z potrójną siłą. Loszka był bojaźliwy, ostrożny, nie lubił ryzyka ani żadnych nowinek technicznych, natomiast nowy szef samochodowego interesu błyskawicznie potroił dochody, a Nadia stała się jeszcze bogatsza.

– Nic jej nie zmoże – żaliła się Dina – absolutnie nic. A wie pani, co jest w tym wszystkim najgorsze?

– Co takiego?

– A to, że wszyscy jej obecni znajomi są przekonani, że do całego tego majątku ona i Loszka doszli dzięki własnej żylce do interesów i ciężkiej pracy. A naprawdę to przecież zwykle oszustwo – podsumowała moja rozmówczyni i umilkła.

– Dlaczego oszustwo? – zdziwiłam się. – Sama pani przecież mówiła, że otrzymali spadek po jakiejś krewnej.

– Może źle się wyraziłam – bąknęła Dina. – W każdym razie wszystko to dostało im się za frajer. A spadek... Nawet nie wiedzieli, kto to taki ta Natalia Filimonowa. Cała ich rodzina jest w ogóle jakaś pokręcona. Ojciec był z domu dziecka, wszyscy krewni matki zginęli w czasie wojny. Nigdy się nie słyszało o żadnych babkach, dziadkach, ciotkach... Chociaż może to i lepiej. Matka mojego Olega żyje, a jaki z niej pożytek? Cały dzień leży w łóżku i jęczy. Tu ją boli, tam ją gniecie... A co myślała? Że jak dociągnie do takiego wieku, to żadne dolegliwości jej się nie uczipią? Tylko jeszcze jedna gęba do żywienia. Trzeba ją karmić, pić, podawać lekarstwa... Dla moich własnych dzieci na owoce nie starcza, a tej starej klepie

muszę kupować leki na wrzód żołądka za sto rubli. Ma pani pojęcie, ile to kosztuje? A co ja dostałam od teściowej? Może podarowała nam daczę? Albo mieszkanie? Nic podobnego! Ledwie teść zdążył oczy zamknąć, a ta już się zerwała z łańcucha. Wszystko sprzedała i oświadczyła: „Raz się żyje, trzeba przynajmniej zobaczyć kawałek świata...”. I zaczęło się: Paryż, Londyn, Zurych, Bonn. Wszędzie zatrzymywała się w najdroższych hotelach. W dwa lata przepuściła całą forszę. Inni odkładają pieniądze dla dzieci, dla wnuków, ale ona! Gdzie tam! A teraz marudzi: „Dinoczka, kochana, kup kalafiora, tak bym zjadła!”. O nie, babuniu droga, przehułaś wszystko, to teraz żryj owsiankę na wodzie!

Wypluwszy z siebie ostatnie zdanie, kobieta chwyciła papierową serwetkę i otarła kropelki potu znad górnej wargi. Dinoczka wprost emanowała złością, jej brzydka, drobna twarz stała się jeszcze bardziej odpychająca.

– A Oleg... – zaczęła.

Ja jednak, zorientowawszy się, że teraz moja rozmówczyni zacznie wylewać kubły pomysł na męża, szybko jej przerwałam:

– I co, dowiedzieliście się wreszcie, kim była Natalia Filimonowa?

– W końcu sobie przypomnieli – prychnęła Dina. – Loszka pojechał do Kalinowa, w którym odziedziczyli dom, i dowiedział się. Była ich ciotką, a właściwie cioteczną siostrą ich matki. Za życia nie utrzymywały ze sobą stosunków. No i proszę, jak się Kołpakowom poszczęściło! Grosza na nią nie wydali, prezentów na urodziny kupować nie musieli, po szpitalach nie wysiadali, nie skakali koło starej baby – i zgarnęli całą forszę. No cóż, trzeba mieć szczęście! Gdyby to komuś opowiedzieć, pewnie by nie uwierzył. Tak już w życiu bywa: jeden dostaje wszystko, drugi – figę z makiem. Ja jestem w tej drugiej grupie. Wszelkie dary losu przypadły w udziale innym.

Znów chlipnęła, pociągając nosem, ale tym razem nie wzbudziła we mnie współczucia. Bóg wszystko widzi, więc jeśli nie obdarował Diny bogactwem, widocznie na nie nie zasłużyła.



## Rozdział 8

W „Kramie” zjawiłam się przed jedenastą.

– Mamuśku! – krzyknęła Mania, rzucając się ku mnie na złamanie karku.

– Ostrożnie, moja kochana – ostrzegłam, ale Maszka, pragnąc przekazać mi wszystkie nowości z całego dnia, nie patrzyła pod nogi. Prawym adidasem zawadziła o jeden ze stelaży i książki w kolorowych, glansowanych okładkach runęły na podłogę.

– Ależ z ciebie oferma! – zganiłam córkę. – Teraz to wszystko pozbieraj i ustaw, tak jak było przedtem.

– Pełno tu pułapek – burknęła Mania i nagle krzyknęła: – Lola, chodź szybko!

Z głębi sklepu wynurzyła się Lola Syromiatnikowa.

– A to ciekawe! – zdumiałam się. – Jak się tu dostałaś?

Lola to jedynaczka, córka naszego sąsiada z Łożkina, finansisty Syromiatnikowa. Nie wiem, z jakich źródeł pochodzi obecny majątek Iwana Aleksandrowicza. Rozumiecie sami, że o takie sprawy nawet dobrych przyjaciół, a co dopiero ludzi słabo znanych, nikt nie pyta. Ale jako sąsiedzi Syromiatnikowowie są po prostu idealni. Zawsze uprzejmi, życzliwi, gotowi pośpieszyć z pomocą. Karina, matka Loli, obecnie nie pracuje, dawniej była modelką; Iwana Aleksandrowicza, przeciwnie, prawie nigdy nie ma w domu. Nie urządzają u siebie żadnych hałaśliwych imprez z pijackimi śpiewami, ponadto są właścicielami ukochanego kota Soamesa, wiernego adoratora naszej Fifiny i Klepci, dlatego Karina nigdy się nie gniewa, kiedy koty depczą kwiaty, a nasze psy często wabi do siebie, zwłaszcza staruszkę Cherry, i częstuje je różnymi smakołykami. Ale teraz Karina pojechała do Karlowych Warów kurować wątrobę.

– U nas w domu też panują kompletne ciemności – wyjaśniła Lola. – I wszystkie szyby są wybite. Więc postanowiłam przyłączyć się do Maszy. To bardzo dobre miejsce, mamy blisko do szkoły.

– Poczekaj, poczekaj. – Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. – I wasza gospodyni, Weronika Siergiejewna, tak po prostu cię puściła?

– Mama ją zwolniła.

– Weronikę? Za co? Kiedy?

– No – spieszyła się Lola – tak w ogóle to...

– Mów, mów – zachęciła przyjaciółkę Mania – mamusi możesz wszystko powiedzieć, ona umie dochować sekretu.

– No więc – ciągnęła Lola – mama ich przyłapała z tatusem na kanapie w gabinecie. Myśleli, że wybrała się do fryzjera i posiedzi tam dłużej, a tymczasem ledwie wyjechała mercem za bramę, jak samochód nawalił.

Karina zawróciła do domu pieszo. Wyobraźcie sobie teraz jej zaskoczenie, gdy ujrzała następujący widok: własny mąż z nagą gospożą w objęciach. Weronika została natychmiast zwolniona, a wściekła Karina wyjechała nazajutrz do Karlowych Warów, oświadczając oszołomionemu mężowi:

– Zajmuj się Lolą sam, żadnej więcej służby.

Dwa dni Iwan Aleksandrowicz uczciwie wracał do domu o ósmej, a później rozpuścił się huragan.

– Tatuś powiedział – tłumaczyła Lola – że z panią możemy mieszkać nie tylko w księgarni, ale nawet w sklepie z wyrobami żelaznymi.

– Nie jesteś sama? – zaniepokoiłam się.

– Mamulku – wyjaśniła pokornie Masza – pewnie, że nie. Z Soamesem.

Cóż, skoro i tak księgarnia jest już pełna zwierząt, jeden kot więcej nie zrobi różnicy.

– No trudno. Jakoś się pomieścimy.

– Będziemy spały u Ałłoczki w gabinecie! – wykrzyknęły dziewczynki.

Cała ta sytuacja szalenie im się podobała. Mieszkać w księgarni – co może być bardziej cool. Prawdę mówiąc, nie podzielałam ich zachwytu. Nie ma tu ani Irki, ani Katieriny, i pomyśleć o kolacji dla dziewczynek muszę sama.

Mania i Lola zaczęły grzebać w książkach, ja poszłam na górę i stwierdziłam, że obie pomyślały nie tylko o sobie, ale i o mnie. Kanapa była rozłożona i pościelona, na biurku stały dwa puste plastikowe pojemniki po chińszczyźnie i leżały skórki od grejpfrutów. Do kanapy dziewczynki przysunęły krzesło, na nim położyły czekoladkę i książkę Marininej. Maruśka najwyraźniej chciała sprawić mi przyjemność.

Umyłam się, poczytałam trochę i zgasłam światło.

– Mamusku – oznajmiła głośno Mania, wsuwając głowę do gabinetu – wiesz, że tu są myszy?!

– Kupiłaś myszy? – wymamrotałam przygotowana na wszystko, skoro moja córka ściągnęła do księgarni Lolę.

– Nie – zaprzeczyła Mania – chodzi o zwykłe, domowe, szare.

– Skąd wiesz?

– Widziałam na dole, w księgarni. Jak myślisz, mogą pogryźć książki?

– O to raczej powinnam zapytać ciebie jako przyszłego weterynarza.

– Nie zamykaj drzwi do gabinetu – poleciła Mania. – Niech Klepcia, Fifina i Soames połączą w nocy po sklepie.

– Dobra myśl – mruknęłam, zasypiając.

Obudziłam się, czując na sobie ogromny ciężar. Ktoś zwałił mi na plecy worek z mąką. Z trudem łapiąc oddech, wygrzebałam się spod koca i zobaczyłam Hootcha.

– No, kolego, co to, to nie, idź spać na fotel, kanapa jest dla nas obojga za wąska, to nie moje łóżko w domu!

Ale mops nie chciał opuścić posłania, drzemka na plecach pani wydawała mu się o wiele atrakcyjniejsza niż samotny sen na niewygrzonym fotelu. Próbowałam zepchnąć psiaka na podłogę, ale okazało to się niemożliwe. Jeżeli Hootchuś nie ma na coś ochoty, nikt i nic go do tego nie zmusi.

Poniósłszy klęskę, postanowiłam zejść na dół, żeby napić się wody, gdyż nie pomyślałam o tym, żeby przynieść sobie na noc butelkę mineralnej. Szlafroka nie miałam. Kiesza i Marusia zapomnieli zabrać go z domu, ubierać mi się nie chciało, więc wyszłam na schody w krótkiej nocnej koszulce. W księgarni nie było przecież nikogo poza mną i dziewczynkami.

Nie zdążyłam jednak zrobić choćby paru kroków, gdy nagle zobaczyłam krążek światła, przesuający się na dole. Nie pamiętając, że mam na sobie coś, co przypomina trykotową sportową koszulkę, a prócz niej ani spodni, ani spódnicy, krzyknęłam:

– Ej, kto tam jest?

Światło momentalnie zgasło.

– Kto tam?

Milczenie.

– Proszę się w tej chwili odezwać!

Na dole usłyszałam lekki szelest, jakby nieznajomy przebiegał na palcach pomieszczenie.

– Stać! – wrzasnęłam i rzuciłam się schodami na dół.

Wszystko było jasne, do „Kramu” włamał się złodziej. Alarmu dziś nie włączałyśmy, powiadomiwszy centralę, że na noc w księgarni zostaną ludzie. Firma ochroniarska nie miała nic przeciwko temu, i oto teraz do sklepu zakradł się złodziej.

– Stać! – krzyknęłam jeszcze raz, przeskakując po kilka stopni naraz. – Nie ruszać się!

Nagle jednak zaszło coś nieoczekiwanego. Wpadłszy z rozpędu do ciemnego pomieszczenia, zupełnie zapomniałam, że po lewej stronie ustawiono dwa ogromne stelaże z nowościami. Lewą stopą zaczęłam o półkę. W tej samej chwili runęłam na podłogę i posypała na mnie się cała góra książek.

Rozbłysło światło. Zaspasane dziewczynki stały nade mną w piżamach.

– Co się stało? – zapytały chórem.

– Był tu złodziej.

Maszka podeszła do drzwi wejściowych.

– Niemożliwe, są zamknięte od środka.

– Mówię ci, że widziałam światło latarki.

– Mamuśku – persadowała córka – nie ma mowy, spójrz, zasuwa jest zamknięta. Sama ją sprawdzałaś.

– Ja? Nic podobnego.

– Nie? No to znaczy, że my zamknęliśmy. – Maszka nie upierała się.

– Ale co z latarką?

Marusia dumiała przez chwilę w milczeniu, po czym zwróciła się do Loli:

– Weź swój breloczek, ten, wiesz, ze światełkiem.

Lola kiwnęła głową i pobiegła na górę.

– A teraz, mamuśka, wejdz na schody.

Posłusznie wykonałam polecenie.

Światło zgasło, a po paru chwilach w sklepie na dole zamigotał cienki promyk.

– No właśnie – ucieszyłam się – był dokładnie taki sam.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi i wesoły głos Maszki:

– No co, wierzysz już, że nikogo nie było w środku? To ja wyszłam na dwór i poświeciłam na witrę.

– Chodziłaś po ulicy w piżamie? – zdumiałam się. – Chyba zwariowałaś? Po pierwsze, mamy styczeń, po drugie, nie jesteśmy w Łożkinie!

– Mamuśku, przestań zrędzić – córka westchnęła – chciałam cię uspokoić. Po prostu ktoś stał przed księgarnią i świecił latarką na wystawę.

– Ale po co?

– Mało to jest idiotów? – zauważyła filozoficznie Maszka. – Może jakiś ciekawski czytelnik, a może rzeczywiście ktoś chciał się dostać do środka.

– Ale ten szelest?...

– Mamuśku, to myszy, zwykłe szare myszki. Takie drobne gryzonie.

– „Cicho, cicho, nie budź mnie, widzę myszki w swoim śnie! Ach, jak pięknie mi się śni, jest nie jedna, ale trzy!” – wyrecytowała nagle Lola, a widząc moją zdziwioną minę, dodała: – To taka dziecięca piosenka o kocie, któremu śnią się myszy.

– Wszystkie niewytłumaczalne zdarzenia zawsze mają jakieś racjonalne wyjaśnienie – podsumowała Masza.

– Nadprzyrodzone też? – upewniła się prozaicznie usposobiona Lola.

– Lepiej pomóżcie mi ustawić książki na miejscu.

Krótko mówiąc, nie wyspałyśmy się. Dopiero gdzieś około piątej, rozmieściwszy egzemplarze na półkach, poszłyśmy się zdrzemnąć. Ledwie zdążyłam przymknąć oczy, kiedy obudził mnie nagłący dzwonek budzika. Siódma czterdzieści, pora wstawać.

Zajrzałam do gabinetu Ałły i westchnęłam ciężko. W pokoju mojej zastępczyni stoją dwie kanapy, raczej niewygodne, dziewczynki rozwiązały więc problem po swojemu. Ściągnęły z nich poduchy i urządziły sobie posłanie na podłodze. Zaimprovizowane łoże otaczały psy –

Bundy, Snap, Cherry i Julie. Hootch wołał spać ze mną. Na kocach, którymi były przykryte Mania i Lola, spokojnie drzemały Fifina i Kleopatra. Soames siedział na poduszce, tuż przy głowie Maszy. Na mój widok miauknął krótko i dumnie błysnął zielonymi oczami. Kot miał zadowoloną, żeby nie powiedzieć: uszczęśliwioną, minę, co było o tyle dziwne, że chyba jeszcze nie dostał nic do jedzenia.

– Przyjemnie było spacerować nocą po sklepie? – zapytałam Soamesa i już chciałam pogłaskać go po puszystym grzbiecie, gdy nagle spostrzegłam na czubku głowy Marusi, wśród jej złocistych włosów jakiś dziwny kłębuszek ciemnoszarej barwy. Nie wierząc własnym oczom, pochyliłam się niżej, może to kawałeczek futra na sznurku, pompon, który kot oderwał od czapki Loli? Przyjrzałam się uważnie i wrzasnęłam jak szalona:

– O matko jedyna!

Dziewczynki aż podskoczyły.

– Co się stało? – zapytała Lola. – Spóźnimy się do szkoły, tak? Zaspałyśmy?

– Nie – uspokoiła ją Mania, wściekła. – To mamuska się wydziera. Znowu zwała książki?

Nie będąc w stanie wykrztusić słowa, pokazywałam tylko palcem na jej głowę.

– Tam, tam... – bełkotałam.

Maszka wsunęła rękę we włosy i wyciągnęła stamtąd... zdechłą mysz.

– Myślałby kto! I cóż takiego, po prostu myszka!

– Ale ona... jest martwa. – Wzdrygnęłam się.

– Lepsza martwa niż żywa – oświadczyła Mania trzeźwo. – Przynajmniej nie ugryzie. Pewnie Soames ją przywlókł.

– Skąd wiesz? – zdumiałam się.

– Cały wieczór urządzał tu zasadzki – wyjaśniła córka. – Jak widzisz, polowanie się udało. Potem przyniósł mi zdobycz, chciał się ze mną podzielić, dobry kotek.

I ucałowała wąsatą mordkę. Coś mnie zaintrygowało.

– A dlaczego chciał uhonorować akurat ciebie, nie Lolę?

Maruśka wstała z legowiska i przeciągnęła się.

– Koty są bardzo pamiętliwe, no i Soames ma wobec mnie dług wdzięczności. Pamiętasz, jak trzy tygodnie temu wyciągnęłam mu z przelyku rybią ość?

Rzeczywiście, było coś takiego. Lola wpadła do nas cała we łzach, trzymając Soamesa na rękach. Kot siedział z rozdziawionym pyszczkiem, z którego ciekła ślina, i miał okropnie nieszczęśliwą minę.

Marusia błyskawicznie zorientowała się, w czym rzecz, i zręcznie usunęła ość, która utkwiała kotu w przelyku. Resztę wieczoru Soames przesiedział u niej na kolanach i z wdzięcznością ocierał się uszaty łebkiem o podbródek swojej wybawicielki.

– Teraz miał okazję mi za to podziękować – wyjaśniła Marusia i dodała: – Mamusku, zrób coś dla mnie, dobrze?

– O co chodzi, dziecino?

– Nie wrzeszcz mi tak nigdy więcej nad uchem, bo o mało nie umarłam ze strachu. Skąd u ciebie nagle taki przeraźliwy głos?

– Sama nie wiem – wyznałam i poszłam na dół nastawić czajnik.

Sala sprzedaży wyglądała zupełnie normalnie. Nic nie wskazywało na to, że w nocy błądziłam tu po omacku, rozrzucając książki. Nagle usłyszałam dziarskie tupanie. To Bundy zbiegał schodami w dół. Dotarł do drzwi, usiadł przy wejściu i zamiótł ogonem.

– Nie, kochany, tu jest Moskwa, samo centrum. Nie mogę cię wypuścić, nie ma mowy o bieganiu jak w Łożkinie. Poczekaj trochę, Marusia zaraz będzie gotowa i wtedy wyprowadzi was na smyczy i w kagańcach.

Wypowiedziawszy te słowa, odruchowo spojrzałam na drzwi i nagle poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Olbrzymi rygiel był odsunięty.

Usiadłam na ławeczce obok schowków na torby i zamyśliłam się. A więc w nocy rzeczywiście ktoś tutaj był! Tajemniczy osobnik, który postanowił okraść nasz sklep! Spłoszyłam go i facet – bo mój głos wewnętrzny mówił mi, że nasz nocny gość to mężczyzna – bardzo przytomnie ukrył się w jakimś zakamarku, których tu było pełno, na przykład, dał nura pod kasę. Począł, aż głupia baba z dwójką dzieci ustawi z powrotem książki i wróci na górę, po czym najspokojniej otworzył sobie drzwi i wyszedł. Ale co chciał ukraść?

Wstałam z ławeczki i skierowałam się w drugi koniec sklepu. Tam był dział książek antykwarycznych. Na pierwszy rzut oka po prostu zniszczone, rozlatujące się egzemplarze, w każdym razie większość na ogół w nie najlepszym stanie. Nie rozumiem, po co ludzie je kupują. Czytać niewygodnie, a i tematyka zwykle nie jest zbyt interesująca dla współczesnego czytelnika.

Nie wszyscy jednak podzielają mój punkt widzenia, bo ceny tych niepozornych wydań są wprost niebotyczne! Ze względów bezpieczeństwa owe białe kruki umieszczono w oszklonej szafie bibliotecnej. Spodziewając się ujrzeć stertę rozbitego szkła na podłodze i puste półki, ze zdziwieniem stwierdziłam, że w dziale antykwarycznym wszystko jest w absolutnym porządku. Dobrze, a więc teraz zajrzę do materiałów piśmiennych. Tam również droższe artykuły, jak markowe wieczne pióra i inne przybory gabinetowe, trzyma się w solidnie zamkniętych witrynach. Ale i w tym dziale niczego nie ruszono.

Nie wierząc własnym oczom, sprawdziłam półki albumów z reprodukcjami dzieł sztuki, encyklopedie i literaturę obcojęzyczną. Nic nie brakowało, po co więc rabuś tu wlaź? Chciał ukraść tanie, kieszonkowe wydania kryminałów? Albo romansów? A może zeszyty po trzy ruble?

– Mamuś – zawołała Mania – chcesz kawy?!

Nie, jednak beznadziejna ze mnie matka, a ostatnie lata, spędzone w dobrobycie i pośród służby na każde zawołanie, zupełnie mnie odczyły troszczyć się o bliskich.

– Co tu robisz? – spytała Masza.

Pokazałam jej palcem otwartą zasuwę.

– Widzisz?

– I co z tego?

– Nie jest zamknięta, a więc jednak w księgarni był złodziej!

Maruśka roześmiała się.

– Mamulku, uspokój się. Wychodziłam przecież na dwór, żeby poświecić w witrynę, i zapomniałam zamknąć, jak wróciłam!

Nastrój trochę mi się poprawił i zeszłam do kuchenki. Tak, istotnie, wszystkie niewytłumaczalne zdarzenia muszą mieć racjonalne wyjaśnienie.

## Rozdział 9

Okolo dziesiątej zaczęły się schodzić pracownice.

– Pieseczku – zagruchała pieszczotliwie Ałoczka, biorąc Hootchusia na rękę – jak ci się spało? Zobacz, co ci przyniosłam.

Z przepaścistej, szykownej skórzanej torby wyjęła kawałek wspaniałego drogiego sera.

– Masz, kochaneczku – przymilała się, opychając Hootcha królewskim poczęstunkiem.

Pozostałe psy, poczuwszy zapach upragnionego przysmaku, wyczekująco zaglądały jej w oczy.

– Wy też dostaniecie, nie bójcie się – zapewniała – chodźcie no tutaj.

Snap, Bundy, Julie i Cherry otrzymały każdy swoją porcję, ale zwróciłam uwagę, że Hootchowi przypadły w udziale najapetyczniejsze, największe i najsmakowitsze kąski.

– Dario Iwanowno – Swieta wsunęła głowę do gabinetu – stało się coś dziwnego.

– Co takiego?

– Proszę rzucić okiem – mówiła podniecona dziewczyna. – Ktoś wszystko pomieszał, kryminały stoją teraz razem z książkami kucharskimi!

Moją pierwszą myślą było, że razem z dziewczynkami nie odstawiłyśmy egzemplarzy na właściwe miejsca, ale nie chciałam nic o tym wspominać ekspedientce.

– Pewnie klienci narobili bałaganu.

– Ale przecież wczoraj przed zamknięciem wszystko uporządkowałyśmy – Swieta nie mogła się uspokoić.

– A więc dzisiaj musicie to zrobić jeszcze raz – ucięła dyskusję Ała. – Idź już, pora otwierać! I w ogóle nie ma sensu zawracać głowy kierownicze takim sprawami. Wracaj do swego stoiska.

Kiedy głowa Swiety zniknęła, Ałoczka zainteresowała się:

– Co się tutaj działo?

Zdumiona jej przenikliwością, opowiedziałam o nocnej przygodzie. Ała pokiwała głową.

– Kupa wariatów. Dwa domy dalej jest akademik. Ile razy przyłapywaliśmy studentów na kradzieży! Wybijali szyby wystawowe. Pewnie znowu coś sobie upatryli, nie przyszło im do głowy, że kierownik akurat nocuje na miejscu, w gabinecie. Zobaczyli, że światło się zapaliło,



i uciekli, łobuzy! Powinno się takich przymykać. Co prawda, niektórzy uważają, że kradzież książek to nie zwykle złodziejstwo, nawet swego rodzaju czyn godny pochwały. Jednak, moim zdaniem, złodziej to złodziej, nieważne, co bierze. Nie uważasz?

Skinęłam głowę i zapytałam:

– Ale przecież księgarnia została dopiero co otwarta? Kiedy studenci zdążyli już tak narozrabiać?

Ałoczka westchnęła.

– Istniała tu od niepamiętnych czasów, tyle że przedtem była państwowa. Pracowałyśmy w okropnych warunkach. Tynk z sufitu sypał się na głowę, połowa płytek w podłodze się ruszała, a toalety! Na samo wspomnienie aż mi się zimno robi. Wszędzie spacerowały szczury jak byki. Ekspedientki za nic nie chciały schodzić do magazynu. Potem lokal przejął jakiś prywaciarz, ale splajtował. Wreszcie odkupiła księgarnię Jelena Nikołajewna i zrobiła generalny remont.

– A co tu było przedtem?

Ała wzruszyła ramionami.

– Dom ma dwa piętra. Chyba po prostu mieszkania. Przed rewolucją pewnie była to czynszowa kamienica, wynajmowano je lokatorom.

– Nad księgarnią ktoś mieszka?

– Nie, mieści się tam jakieś biuro – wyjaśniła Ała. – Chyba agencja nieruchomości. Chodź, napijemy się kawy. Wczoraj upiekłam keks i przyniosłam kawałek. Jadasz ciasta i słodczy, czy liczysz kalorie?

Odpowiedziałam, że nie stosuję żadnej specjalnej diety, i zeszliśmy razem na dół. Znowu zaczął się dzień jak co dzień.

Koło południa wybrałam numer Loni Rieszetnikowa i poprosiłam:

– Słuchaj, pomóż mi w pewnej delikatnej sprawie.

– Ktoś złapał rzeźączkę? – zapytał bez wstępów wenerolog.

– Zwariowałeś!

– Więc o co chodzi? – zdziwił się Lońka. – Przecież sama powiedziałaś, że to delikatna sprawa. Nie bój się, mów, dwa-trzy zastrzyki i znowu jest się dziewicą.

Westchnęłam. Lekarze, jak wiadomo, mają dość specyficzne poczucie humoru. A już wenerolodzy to urodzeni dowcipnisie.

– Żadne zastrzyki nie są potrzebne i nikt nie złapał rzeźączki.

– Z tym też nie ma zmartwienia – uspokoił mnie Lonia. – Skrobanka to dzisiaj nie problem, ciach, ciach i kobitka znowu jest jałówką!

– Lonia! – wrzasnęłam. – Dopuść mnie do słowa!

– A czy ktoś ci zamyka usta? – zdumiał się mój przyjaciel. – Przecież jeszcze nic nie powiedziałaś, no już, wykładaj kawę na ławę.

– Czy twój brat pracuje w drogówce?

– Wieńka? Tak. Tylko że teraz jego instytucja zmieniła nazwę. Dziś to Państwowa Inspekcja Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego, PIBRD, specjalnie tak ją przemianowali, żeby ludzie łamali sobie języki.

– Wszystko mi jedno, jak zwał, tak zwał. Możesz umówić mnie na dzisiaj z Wienią?

– Nie ma sprawy – zapewnił Łońka. – Zadzwoń za pięć minut.

Posłusznie odczekałam tyle, ile kazał, i znów podniosłam słuchawkę.

– Jeżeli zdążysz przed pierwszą, to cię przyjmie – poinformował Lonia. – Później nie może, ma zebranie, odprawę, przeprawę i cholera wie co jeszcze.

– Już pędzę! – ucieszyłam się.

– Zaraz, chwileczkę – zaniepokoił się. – Nie zapomnij wziąć ze sobą butelki koniaku.

– Jasne.

– No to w porządku – zamknął sprawę Łońka. – Czyli rzeźączki nikt z was nie złapał?

– Syfilisu też nie – upewniłam go na wszelki wypadek.

– Dobra jest – nie poddawał się. – W razie czego dzwoń, trzy zastrzyki i po herbacie.

Chwyliłam torebkę i zbiegłam na dół, omal nie przewracając na schodach Ałły.

– A ty dokąd? – wykrzyknęła ze zdziwieniem moja zastępczyni.

Niech to cholera, zupełnie zapomniałam, że jestem kierowniczką i powinnam siedzieć w pracy. Co by tu wymyślić? Nagle mój wzrok padł na egzemplarz Polakowej.

– Jadę do wydawnictwa EKSMO – zełgałam w natchnieniu. – Wydają tam najlepsze rzeczy.

– Wiem, EKSMO, a jakże – podchwyciła czujnie Ałła. – To jedna z największych oficyn.

– No właśnie, chcę się z nimi dogadać w sprawie bezpośrednich dostaw! – krzyknęłam, zbiegając w dół.

Wienia Rieszetnikow, czerwonolicy wielkolud, zahuczał radosnym basem na widok litrowej butelki camusa:

– No wiesz! Nie musiałaś ciągnąć ze sobą flaszki! Chyba zupełnie zwariowałaś! W końcu nie jesteś obcym człowiekiem.

– Dobra. – Machnęłam ręką. – Pij na zdrowie, przepraszam, nie wiem, co lubisz – może lepszy byłby martell albo hennesty?

– Nie gardzimy żadnym napojem wysokoprocentowym – zarżał Wienia. – No, mów, co cię sprowadza? Zabrali ci prawo jazdy? Odkręcili tablicę rejestracyjną? A może zatrzymali cię z kalkulatorem w bagażniku?

– Z czym?

– Nie znasz kawału o kalkulatorze? Milicjant zatrzymuje merca, każe otworzyć bagażnik, a tam automat z podwieszonym granatnikiem – sierżant, lekko oszołomiony, pyta: „Ma pan pozwolenie na broń?” – „To nie broń – odpowiada kierowca – tylko kalkulator”. – „Bzdura, kalkulator to taki gadżet z guziczkami, służy do liczenia”. – „No właśnie, ten z guziczkami jest do rachunków wstępnych, a mój do ostatecznych rozliczeń”.

Wienia znów zarżał i wziął się do nalewania koniaku.

– Jestem wozem.

– Nie szkodzi, dam ci zaświadczenie, że piłaś w gabinecie szefa PIBRD – obiecał Wienka.

– Słuchaj, jakieś trzy miesiące temu pewien facet nazwiskiem Aleksy Kołpakow stracił panowanie nad kierownicą i wjechał prosto w wasz posterunek, zabijając przy okazji dwóch funkcjonariuszy. Pamiętasz taki wypadek?

– Trudno nie pamiętać – rzekł z westchnieniem Wienia. – Bądź co bądź, były trzy trupy. Kierowca i dwóch naszych, jeszcze zupełnie młode chłopaki, jeden zostawił żonę w ciąży.

– Możesz mi powiedzieć, jaka była przyczyna wypadku?

– A dlaczego cię to interesuje?

– Widzisz, Wienieczka, zaczęłam pracować w gazecie „Wiadomości”, w kronice kryminalnej, i kazali mi napisać o tej sprawie.

– A-a-a – mruknął przeciągle Rieszetnikow i wychylił kieliszek jednym haustem. – Powiększyłaś grono pismaków? Tyle że w całej tej historii nie ma nic zagadkowego. Wypadek zdarzył się w listopadzie, długo jeszcze się o nim mówiło, wszystkim strasznie było szkoda chłopaków. Ale czy wart jest opisywania w prasie? Mogę ci opowiedzieć ciekawsze rzeczy. Na przykład, przedwczoraj...

– Przepraszam cię, Wienia, ale ja nic tu nie mam do gadania. Szef kazał mi zająć się akurat tą sprawą. Więc bądź tak dobry i oświeć mnie, co i jak...

– No dobra. A więc na dworze listopad, drogi, sama wiesz jakie, gołoledź straszna. Ten twój Aleksy jechał w stronę Moskwy i nagle stracił panowanie nad kierownicą. Hamulce odmówiły posłuszeństwa i to całkowicie. Pewnie próbował hamować silnikiem, ale co to daje... Może i mogłoby się obejść bez ofiar, gdyby do wypadku doszło w jakimś mało ruchliwym miejscu, gdzieś na szosie. Ale rzecz akurat miała miejsce koło posterunku służby patrolowej, są tam światła, oznakowane przejście dla pieszych, i – jak na złość – po pasach szła właśnie młoda kobieta z wózkiem. Nie śpieszyła się, bo akurat się zapaliło zielone światło, a w oszklonej budce siedzieli gliniarze. Przekroczyć przepisy w tej sytuacji mógłby tylko wariat. Widocznie Aleksy, wiedząc, że samochód, nad którym już nie panuje, zaraz wyrznie w wózek, ostatnim wysiłkiem gwałtownie skręcił kierownicę w prawo. Może nie pomyślał, że znajduje się tam posterunek, może stracił głowę... Rezultat – wiadomy. Trzy trupy i kupa złomu, przysypana rozbitym szkłem.

– Ale jaka była przyczyna wypadku?

– Wiesz, jak działają hamulce?

– Mniej więcej.

– No dobrze – Wienia kiwnął głową. – Wobec tego wyjaśnię ci to z grubsza, bez szczegółów. Słyszałaś o płynie hamulcowym?

– Oczywiście.

– Jeżeli któryś z przewodów, którymi on przepływa, rozszczelni się czy skoroduje, powstaje w nim dziurka. Płyn kapie przez nią, kapie, aż w końcu wycieka cały, co w rezultacie uniemożliwia prowadzenie wozu.

– A więc rozszczelnił się sam, czy został przedziurawiony? – zapytałam, nie spuszczać oczu z Wienera.

Milicjant podniósł na mnie przesadnie niewinne spojrzenie i ostentacyjnie pewnym tonem oświadczył:

– No coś ty! Oczywiście, że sam. Fatalny zbieg okoliczności, aż trzy ofiary śmiertelne, ale to po prostu nieszczęśliwy wypadek. Nie ma co tego wałkować! Napijesz się koniaczku? Zinoczka zaraz przyniesie kawę.

Patrzyłam, jak się krząta, popędzając sekretarkę, wyjmując z sejfu bombonierkę z czekoladkami, słuchałam z kompletnym brakiem zainteresowania historią o tym, jak ofiarni podwładni Wienera ujeli w ostatnich dniach niebezpiecznego recydywistę, i nagle pojęłam: kłamie. Do wypadku doszło w listopadzie, Rieszenkow pod koniec roku nie chciał sobie obniżać wskaźnika wykrywalności, spodziewał się nagrody lub awansu. I miał gdzieś zasadę, że w końcu sprawiedliwość powinna zatryumfować.

Przyjaźniąc się długie lata z Aleksandrem Michajłowiczem, poznałam wiele milicyjnych sekretów. Między innymi również sposoby, do których uciekają się nierzetelni śledczy, by utracić sprawę. Dlaczego? Cóż, moi państwo, nie bądźmy naiwni. Nie wszyscy pracownicy organów ścigania mają jedną parę butów, jak nasz znajomy pułkownik; niektórzy jeżdżą drogimi terenowymi samochodami i kupują żonom eleganckie futra z norek. Zwłaszcza że doświadczony funkcjonariusz potrafi umorzyć sprawę bez najmniejszych trudności.

Na przykład od strony formalnej nie ma się do czego przyczepić, wszystkie procedury śledcze zostały przeprowadzone prawidłowo i w przepisowym terminie. Można się ewentualnie dopatrzeć nieznaczących uchybień, jak pomyłka w dacie czy oficjalnej nazwie protokołu. Powinna ona brzmieć „Protokół wydania dowodów rzeczowych”, napisano natomiast: „Protokół zdania...”. Lub brak dokumentu o powołaniu ekipy dochodzeniowo-ślędczej. Pracownicy operacyjni ryją nosem trzy miesiące, po czym okazuje się, że działali samowolnie i bezprawnie. Dopóki toczy się śledztwo, takie niedopatrzania formalne nie grają wielkiej roli. W sądzie natomiast cała rzecz natychmiast może się rypnąć.

Aleksander Michajłowicz miał kiedyś w swej praktyce wypadek, że sędzia wyłączył ze sprawy cały tom akt z powodu głupiej pomyłki: do zszywki protokołów dołączono niewłaściwy spis treści. Wedle tegoż, na stronie, dajmy na to, trzydziestej piątej miało być przyznanie się oskarżonego do winy, tymczasem umieszczono tam zaświadczenie z ADM-u. W wyniku takich niedopatrzeń proces sądowy zamienia się w farsę. Poszlaki zgromadzono, ale nie wolno ich rozpatrzeć. Podobny bałagan panuje wśród dowodów rzeczowych – mylą się noże, łuski, naboje, broń. Prawdziwe narzędzia zbrodni giną w tajemniczy sposób, pojawiają się za to jakieś nowe, zagadkowe przedmioty. Zabezpieczone przez ekipę śledczą

ślady rozplywają się jak dym, i nigdy właściwie nie ma winnego. Zapomniano wysuszyć zakrwawioną odzież, więc przegniła. Niechcący ktoś przesunął płytkę z odciskami palców i linie papilarne się rozmazały. Nie zrobiono na czas analizy wymazów, rozwinął się grzyb i zniszczył całą florę bakteryjną.

Jednakże udowodnić, że śledczy celowo utracił sprawę, jest bardzo trudno. Dlatego też najczęściej nieuczciwych pracowników po prostu się zwalnia. Chociaż wielu najspokojniej w świecie nadal pracuje, dzieląc się szmałem ze zwierzchnikami. A jeśli jeszcze w dodatku szefowie sami – oczywiście w największej dyskrekcji – udzielają odpowiednich wskazówek... Pokażcie mi desperata, który zaryzykuje otwartą wojnę ze swoim przełożonym!

Znalazszy się z powrotem w samochodzie, zapaliłam papierosa. Sprawa zaczynała się wikłać. Dlaczego Nadia Kołpakowa nosiła w torebce dowód wystawiony na nazwisko Darii Iwanowny Wasiljewej? Spojrzałam w okno. Na dworze znów zaczynała szaleć zamieć i przechodnie, kryjąc twarze w kołnierzach, śpieszyli, by czym prędzej znaleźć się pod dachem. Dlaczego miała przy sobie ten dowód? Jak twierdzi Mania, każde niewytłumaczalne zjawisko musi mieć racjonalne wyjaśnienie. Nie tak dawno Liza Żarowa poprosiła, żebym pożyczyła jej na jakiś czas stary samochód Kici. Zgodziłam się, oczywiście, ale trzeba było załatwić upoważnienie. Lizka nie miała czasu wystawać w kolejkach, dała mi więc swój dowód i powiedziała:

– Jedź pod ten adres. Tam pracuje Swietka, jest notariuszem, załatwi wszystko, co trzeba, i doskonale sobie poradzi beze mnie.

Dwa dni nosiłam w torebce cudzy dowód osobisty. Gdyby, nie daj Boże, stało się jakieś nieszczęście, wyszłoby na to, że zginęła Jelizawieta Andriejewna Żarowa. Jako że własnego dowodu nigdy przy sobie nie noszę, bo i po co?

Może jakaś moja imienniczka dała Nadi ten dokument i poprosiła... czy ja wiem, o co? Żeby jej kupiła bilet na samolot. Najprawdopodobniej chodziło o coś takiego i o sprawie należy jak najszybciej zapomnieć. Podobna zbieżność imion, nazwisk i patronimików nie należy do rzadkości. Wasiljewych są w stolicy całe zastępy, a i Darii z pewnością znajdzie się wśród nich z dziesięć. Ale czego szukała w szatni? Oto jest pytanie. Chociaż jeśli wziąć pod uwagę, że trzy miesiące temu w niewyjaśnionych okolicznościach zginął jej brat, zabójcy należało chyba szukać pośród wspólnych znajomych Aleksego i Nadi. Historia jak z filmu! Oboje stali się posiadaczami wielkiego majątku. Kto teraz zostanie jego właścicielem? Mieszkanie, dom w podmoskiewskim Kalinowie, dobrze prosperujący biznes...

Nagle przyszła mi do głowy szalona myśl! Kalinowo! Ciotka Natalia Filimonowa, o której istnieniu Kołpakowowie nie mieli pojęcia, dobra wróżka z bajki, która zostawiła im wszystkie swoje skarby. Może zabójcy trzeba szukać, idąc tym tropem? A co, jeśli miała jakiegoś krewniaka, który poczuł się skrzywdzony? Ktoś przecież musiał opiekować się staruszką, wątpliwe, czy mieszkała całkiem sama. Wydaje się to logiczne. Takiej osobie zależałoby na usunięciu rodzeństwa, a następnie udowodnieniu swoich praw do spadku. Mało

prawdopodobne, by Aleksy i Nadia zostawili testament. Byli za młodzi, żeby myśleć o śmierci, a zresztą Rosjanie są bardzo leniwi. To Francuzi, ledwie osiągną pełnoletność, w dwudziestym pierwszym roku życia, formalnie spisują ostatnią wolę na wypadek śmierci; u nas ludzie nie myślą o papierkach, dopóki nie stuknie im dziewięćdziesiątka.

Rozejrzałam się, nacisnęłam sprzęgło i pojechałam do „Kramu”. Postanowione, jutro wybiorę się do Kalinowa i trochę się rozpytam na miejscu. Miejscowość przypomina bardziej wieś niż miasteczko, a mieszkańcy takich osad wszystko o sobie wiedzą.

W księgarni życie toczyło się bez zakłóceń. Dziś było trochę mniej klientów, Bundy siedział przy wejściu, a Snap zajmował pozycję u drzwi do piwnicy. Nasze psy swego czasu ukończyły „kurs młodego obrońcy”, znają podstawowe komendy i potrafią – jeśli oczywiście zechcą – na nie reagować. Najczęściej jednak, kiedy wołam: „Do domu!”, oba udają, że są głuche.

Niekiedy natomiast mi się wydaje, że rozumieją ludzką mowę. Gdy Bundy, który uwielbia wodę, usłyszy słowo „kąpiel”, biegnie do łazienki i momentalnie wskakuje do jacuzzi; Snap natomiast, który nienawidzi wilgoci i mydlanej piany, błyskawicznie umyka w nieznanym kierunku. Cóż, powiecie, że wiele psów rozróżnia najczęściej używane wyrazy w rodzaju „spacer”, „obiad”, „dom”... Ale parę dni temu Mania, która zamierzała wykąpać Snapa, bez biegania najpierw za nim po całym domu, powiedziała do mnie cicho:

– Chyba zaraz zacznę ablucję naszych chłopców.

Celowo nie użyła słowa „kąpiel”, lecz w tej samej chwili Bundy, szczekając radośnie, popędził do łazienki, a Snap zniknął gdzieś na piętrze. Albo jak, na przykład, wytłumaczyć nagłą wizytę Hootchusia w mojej sypialni, kiedy udałam się na górę oznajmiwszy: „Kładę się spać, tylko z pudełkiem czekoladek do poduszki”?

Nie zdążyłam nawet otworzyć drzwi, a mops, oblizując się, już siedział w łóżku. Dlaczego Cherry, widząc u kogoś w ręku swój grzebień, momentalnie chowa się pod kanapę? No, powiedzmy, że to akurat jest zrozumiałe. Pudliczka nie znosi, kiedy ktoś usiłuje doprowadzić jej sierść do porządku. Jednakże ucieka jedynie na widok swego własnego grzebienia, wszelkie inne przybory do czesania nie robią na niej wrażenia. A dwa tygodnie temu nasz Arkasza oświadczył:

– Jedziemy z wizytą do Telkowskich, zabieramy wszystkie zwierzaki, tylko Julie zostanie w domu, bo jeszcze się przeziębii, na dworze jest straszny mróz.

Kiedy jednak syn podszedł do samochodu, na tylnym siedzeniu ujrzał uśmiechniętą terierkę. Do dziś pozostaje dla mnie zagadką, jak ważący pół kilograma piesek potrafił otworzyć drzwi dżipa i skąd wiedział, do którego z czterech stojących w garażu samochodów wskoczyć.

Tak więc i dzisiaj Bundy i Snap zazdrośnie strzegli swego terytorium, pełniąc służbę niczym doświadczone psy tropiące, świadomi, że znajdują się poza domem.

– Dobry pies – pochwaliłam Snapa i poszłam do siebie na górę.

Zanim zdążyłam zdjąć kurtkę i powiesić ją w szafie, drzwi się otworzyły i wpadła Ałoczka.

– Chwała Bogu – wyszeptła – że wróciłaś. Ochrona przeciwpożarowa chodzi po księgarni. – Po czym dodała głośno: – Proszę, proszę wejść, Andrieju Nikołajewiczu.

Do gabinetu wkroczył chuderlawy mężczyzna z wyrazem obrzydzenia na twarzy o wąskich, zaciśniętych wargach.

Ała wymknęła się do sali sprzedaży.

– Szanowna pani kierowniczo – wycedził przez zęby inspektor – odległość między stelażami...

– Przepraszam – przerwałam mu bezceremonialnie – ale zaledwie parę dni temu była już u nas kontrola.

– Kto taki?

– Chwileczkę, zaraz sobie przypomnę. A, tak, Władimir Iwanowicz Worobjow.

– Ależ on jest z wydziału dzielnicowego! A ja z miejskiego.

Ała z firmową reklamówką, pełną książek, oraz kopertą, pojawiła się w samą porę. Kiedy Andriej Nikołajewicz odetchnął, uspokojony, spytałam ostrożnie:

– A czy istnieje wszechzwiązkowa ochrona przeciwpożarowa?

– Ma pani na myśli rosyjską? Federacyjną? Związek Radziecki już dawno się rozpadł – pouczył mnie Andriej Nikołajewicz.

– Tak, tak, właśnie!

– Oczywiście, że istnieje.

– I tamci również przeprowadzają kontrole?

– Naturalnie.

Kiedy przedstawiciel straży pożarnej wyszedł, zwróciłam się do Ały:

– Słuchaj, ilu ich w ogóle jest, tych o lepkich rękach?

Moja zastępczyni westchnęła.

– Cała chmara. Usiłowałam ich kiedyś zliczyć, ale pogubiłam się w rachunkach. Czterdzieści siedem albo czterdzieści osiem sztuk.

– Ile? – z wrażenia opuściłam pudełko spinaczy. – Ile?

– No, ochrona przeciwpożarowa, sanepid, urząd skarbowy, gazownia, wodociągi miejskie... – Ała zaginała palce, wyliczając kolejne służby.

Przykucnęłam i zaczęłam zbierać rozsypane spinacze. A potem się narzekła, że w Rosji rozwój prywatnych przedsiębiorstw następuje bardzo powoli. Czy może być inaczej, jeśli na każdym kroku powstrzymują go dziesiątki nienasyconych gardeł i pożądliwie wyciągniętych rąk?

## Rozdział 10

Ku mojemu zdziwieniu, wieś Kalinowo okazała się niemal w Moskwie. Ledwie wyjechałam z Marjina, po lewej stronie zobaczyłam drogowskaz „Kalinowo”.

Peugeot podskakiwał na źle oczyszczonej drodze. Nie była to właściwie szosa, lecz koleina wyjeżdżona przez samochody. Szorując podwoziem po śniegu, auto dotoczyło się jakoś do niewielkiego placyku. Rozejrzałam się dookoła. Szkoda, że nie pracuję w wytwórni filmowej, gdyż miałam przed oczyma typową wiejską osadę z lat siedemdziesiątych, i obraz, którego akcja toczy się w tamtym okresie, można by tu nakręcić bez wielkich nakładów finansowych.

Z prawej strony wznosiła się na wpół zrujnowana cerkiew, na której poskrzypywał odrapany szyld „Magazyn MTS”<sup>1</sup>, z lewej długi, parterowy pawilon handlowy. Budynek od dawna wymagał remontu, ze ścian zwisały płyty łuszczącej się farby. Przed wejściem, mimo tęgiego mrozu, leżał mężczyzna w waciaku i grubych filcowych butach, obok niego zaś czuwał dość duży rudy pies. Kiedy zbliżyłam się do schodków, psisko sapnęło smutnie i na wszelki wypadek ostrzegawczo szczeknęło.

– Nie bój się – rzekłam uspokajająco. – Twój pan mi do niczego niepotrzebny. Zamiast tu siedzieć, lepiej byś pobiegł do domu, piesku, i przyprowadził gospodynię, bo jak nie, to facet zamarznie na amen.

Pies zerwał się i pognał ścieżką w dół, gdzie stało kilka pochyłonych chałup. Niezdziwiona ani trochę tym, że spotkałam podwórzowca, który rozumie ludzką mowę, weszłam do wiejskiego sklepu.

Tu zrozumiałam od razu, że transformacja dotarła również do Kalinowa. Sklepek wprost pękał od wszelakiego dobra. W latach siedemdziesiątych z pewnością zalegały na półkach puszki byczków w pomidorach i gołąbków warzywno-mięsnych, oraz kostki szarego mydła, wiadra i grabie. Teraz sklep zapelniały butelki, słoiki, lśniły eleganckie opakowania papierosów, czekolady, pyszniły się krągłe głowy sera i różowe pęta kielbasy. Za ladą zaś uśmiechał się uprzejmie „osobnik narodowości kaukaskiej”.

---

<sup>1</sup> MTS (Maszynno-traktornaja stancija) – odpowiednik niegdysiejszych polskich POM-ów, Państwowych Ośrodków Maszynowych na wsiach (przyp. tłum.).



– Co podawać? – zapytał sprzedawca. – Mamy wszystko! Ananas chcesz? Świeża banan, pomarańcz, kiwi. Weź mango, owoca pierwsza klasa!

Żeby nie rozczarować kupca, zgodziłam się na mango, po czym zapytałam:

– Gdzie jest dom Natalii Filimonowej?

Kaukazczyk rozłożył ręce.

– Wybacz, nikogo nie znam. Rano przyjeżdżałem, wieczór zamykałem i odjeżdżam. Nie mieszkam tutaj, jestem z Moskwa.

Przyjrzawszy się ciemnookiemu, czarnobrodemu i złotozębememu moskwianinowi, ubranemu – jakby na przekór aurze – w cienką, letnią kurteczkę, wyszłam z jego delikatesów i od razu natknęłam się na babinę w czerwonej puchowej kurtce. Kopała pijanicę nogą obutą w tani botek ze skaju. Na mój widok przerwała to zajęcie i wyjaśniła z ciężkim westchnieniem:

– Mam już potąd tego moczymordy, niechby ochlapus raz zamarzł, przynajmniej byłby wreszcie spokój.

– To po co pani tutaj przyszła?

– Ano pies przyleciał – wyjaśniła kobiecina – szczekał, zanosił się, lubi przekłętego pijusa. Mnie też go żal. – Po chwili milczenia sprecyzowała: – To znaczy psa, nie tego drania. Zresztą i tak nie zaciągnę go do domu.

Nie odezwałam się, wróciłam do peugeotu i usiadłam za kółkiem. Pojadę drogą do wsi, może trafię na kogoś, kto znał Natalię Filimonową. W lusterku widziałam, jak nieszczęsna kobieta usiłuje spionizować pijaka. W końcu udało jej się jakoś postawić go na nogi. Chłop zrobił krok i znowu runął w śnieg. Babina rozplakała się i przykucnęła koło męża. Nagle zrobiło mi się jej żal.

Mój trzeci mąż, Gienka, był nałogowym alkoholikiem i właśnie dlatego nasze pożycie trwało tak krótko. Bardzo szybko zrozumiałam, że nie potrafię co wieczór wyczekiwać z łomoczącym ze strachu sercem swego ukochanego, zgadując, w jakim stanie zjawi się w domu. Zdecydowanie nie podobało mi się również, że Giennadij walił się spać wprost na dywan, nie zdjawszy nawet palta ani butów, a już zupełnie straciłam do niego serce, gdy pewnego dnia oświadczył:

– Tak, piję, ale dlaczego? To twoja wina! W domu nikt mnie nie szanuje, stale tylko wymysły i awantury, no to zalewam robaka. Gdybym miał kochającą żonę, na pewno bym nie chlał!

Jak wszystkie żony alkoholików, poznałam kolejne stadia życia z człowiekiem uzależnionym. Od euforycznego przekonania, że z pijaństwem można i należy walczyć, do beznadziejnego zobojętnienia, kiedy to wreszcie zrozumiałam, że Gienki nikt i nic nie zmieni. Na szczęście dojście do tej konkluzji nie zabrało mi połowy życia, lecz zaledwie rok. Po dwunastu miesiącach piekła spakowałam walizkę Giennadija i odesłałam go z powrotem do mamy. Dlatego bardzo dobrze rozumiałam tę biedaczkę pod sklepem.

Wysunęłam głowę przez okno.

– Daleko pani mieszka?

– Na drugim końcu wsi – poinformowała kobieta. – Koło klubu.

– Podwiozę was.

– O matko – rozrzewniła się babina – niech pani Bóg da zdrowie, szczęście i całą górę pieniędzy.

Wysiadłam z wozu, wzięłam mężczyznę za nogi, żona za rękę. Dowlokliśmy pijanicę do peugeota.

– Do środka lepiej go nie kłaść – ostrzegła kobieta. – Jest cały utyłany no i może wszystko zarzygać.

– Wepchnijmy go do bagażnika – zaproponowałam.

– Dobra myśl – ucieszyła się żona.

Z trudem podniósłszy ciężkie, bezwładne ciało, zaczęłyśmy układać pijanego w bagażniku. Pies, czujnie postawiwszy uszy, śledził z uwagą nasze poczynania. Wreszcie załadunek dobiegł końca. Odsunęłam przedni fotel i zaprosiłam psinę:

– Wskakuj!

Burek hycnął do auta i rozwalił się na skórzanym siedzeniu z taką miną, jakby całe życie wożono go zagranicznymi samochodami.

Babina zajęła miejsce obok mnie i oznajmiła z westchnieniem:

– Dzieci też mi się udały, nie ma co, wszystkie poszły w tatusia! Do picia, rozrabiania i nieróbstwa pierwsze! Ale żeby się uczyć albo pracować, o, co to, to nie.

Jechałam, nie odzywając się. Ciekawe, czego się spodziewała, decydując się na potomstwo z alkoholikiem? Że wyda na świat Einsteina albo Maję Plisiecką? To jednak niepojęte, że mieć dzieci może właściwie każdy; o ile wiem, u nas w Rosji, wolno to nawet ludziom niedorozwiniętym umysłowo – i rodzi im się również upośledzone potomstwo. A przecież kiedy się nad tym zastanowić, wydaje się to bardzo nierozsądne. Żeby prowadzić samochód, trzeba uzyskać prawo jazdy, natomiast żeby zostać rodzicem, nie trzeba zdawać żadnych testów.

Może dlatego w naszym kraju tak wiele matek porzuca swoje nowo narodzone dzieci. Myślę, że wszystko to powinno być urządzone inaczej. Chcesz mieć potomstwo – świetnie, ale najpierw zdaj egzamin na prawo do macierzyństwa czy ojcostwa. Myślisz o drugim dziecku – przedstaw zaświadczenie o dochodach, które pozwolą wyżywić i ubrać powołaną do życia istotę oraz zapewnić jej wykształcenie. A co z prawami człowieka? – rozlegnie się natychmiast chór niezadowolonych głosów. Odpowiedziałabym na to bez zastanowienia: a co z prawami dziecka?

Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Miedwiedkowie, wegetowała w sąsiedztwie wielodzietna rodzina. Na naszym podwórku wciąż kręciło się ośmioro głodnych, obdartych dzieciaków i wiecznie skłopotana i zagoniona matka z ciężkimi siatkami. Ojca prawie nigdy nie było w

domu. Harował od rana do wieczora, żeby jakoś wykarmić tę hurmę dzieciaków, które nie wiedziały, co to zabawki, książki czy słodycze. Powiedzcie, czy nie lepiej byłoby się ograniczyć do posiadania jednego tylko syna czy córki?

– A ta suka – ciągnęła baba, której przez cały czas usta się nie zamykały – jest mądrzejsza od moich przygłupów, nie mówiąc już o charakterze. One to łajdaki bez serca, a Łada – dobry pies, zawsze się nade mną użali.

Znowu się nie odezwałam. To, że psy są lepsze od ludzi, zrozumiałam już dawno.

– Zatrzymaj się – poleciła baba.

Posłusznie zahamowałam koło przekrzywionej chałupiny. Potem wyciągnęliśmy pijanego z bagażnika i zawlokły do sieni.

– Wejdz, nie krępuj się – zaprosiła kobiecina – napijesz się herbatki, mam konfitury, własnej roboty, nie kupne, chodź do środka.

Znalazłam się w dużej izbie. Z każdego kąta wyzierała bieda. Umeblowanie składało się ze stołu, czterech krzeseł, kredensu i wersalki. Wszystko było stare, zniszczone, wytarte, chodnik na podłodze zdeптany niemal do dziur, w oknach wisiały sprane zasłonki, przypominające raczej szmaty do podłogi.

– Wszystko przepił, bydlak – poinformowała gospodyni, wnosząc ogromny emaliowany czajnik. Z hałasem postawiła go na okrągłej metalowej podstawie i dodała: – Jestem Zina, a ty?

– Dasza.

– No to już się znamy. – Kobiecina trochę poweselała. – Widzisz, jakie tu u mnie pustki. Pietka wyniósł z domu wszystko, cośmy mieli, telewizor, radio, srebrne łyżki po mamie, nic a nic nie zostało, co mógł, to przechłał, łobuz. A ty czego u nas szukasz? Chyba nigdy cię tu wcześniej nie widziałam, ale jeżeli przyjechałaś się rozejrzeć za jakimś letniskiem, to lepiej nic tutaj nie wynajmować, wilgoć, pełno komarów, a i smród nieraz od strony miasta taki, że nie daj Boże.

– Nie wie pani, gdzie jest dom Natalii Filimonowej?

– A-a-a – mruknęła kobieta – znaczy, że Nadieżda cię przysłała, żebyś go obejrzała, tak?

– No właśnie. – Na wszelki wypadek kiwnęłam głową.

– Trzeba było od razu powiedzieć: „Zina, prowadź, chcę zobaczyć dom”. A może Nadia nie powiedziała, u kogo są klucze? – Babina uśmiechnęła się chytrze.

– Skąd mogłam wiedzieć, że pani to Zinaida, przecież dopiero co się poznałyśmy!

– No tak. – Roześmiała się. – Za bardzo jestem podejrzliwa, Bóg wie, co sobie wyobrażam, a tyś mi taką przysługę wyświadczyła z dobrego serca! No to chodźmy, dom stoi dwa kroki stąd.

Wyszliśmy do sieni, przestąpiłyśmy chrapiącego pijaka, minęłyśmy mały ogródek i wtedy zobaczyłam wielki dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły.

Zina wyciągnęła z kieszeni pęk kluczy, obróciła jeden w zamku, otworzyła furtkę i przeżegnała się.

– Świeć, Panie, nad jej duszą. Natalia Siergiejewna była moją dobrodziejką.

– Znałaś ją?

– A jakże! Tyle lat u niej sprzątałam, nie tylko ją znałam, ale i każdy kąt, każdą szparę w podłodze! Kiedy już śmierć była blisko, Natalia Siergiejewna wszystkich wygoniła – kucharkę, służącą, sekretarkę – tylko ja zostałam.

– Na co umarła?

Zina znów się przeżegnała.

– Zapomniałam, to jakaś choroba płuc, taka zmyślna nazwa, roz... rozd... nie, nie pamiętam.

– Rozedma?

– O, o! A tyś czasem nie doktorka?

– Nie, ale moja najlepsza przyjaciółka jest chirurgiem, wiem to od niej.

– Powiem ci, że takie choróbsko to straszna rzecz – biadolila Zina, niewprawnie otwierając zamek. – Z Natalią Siergiejewną niby wszystko w porządku, zdrowa, wesola, uśmiechnięta. Aż tu nagle, masz ci los, zaczyna rzeźzić, dusić się, chrypieć. No, a ostatnie dwa miesiące to już w ogóle nie wstawała z łóżka, basen musiałam jej podawać, wynosić. Ale nic do niej nie mam, Boże broń, zostawiła mi dużo pieniędzy, tyle że nie chcę ich wydawać, włożyłam wszystko na książeczkę. Oj – ugryzła się w język – tylko bądź tak dobra i nie mów nic o tym moim nicponiom, bo zaraz wyciągną ode mnie forszę i przepiją. A ja chcę mieć jakąś rezerwę na stare lata, żeby nie zostać na gołej emeryturze. Dzięki Filimonowej nie będę przymierać głodem. Alosza i Nadia to też przyzwoici ludzie. Przyjechali tu, zaprosili mnie do siebie i grzecznie powiedzieli: „Zinaido Iwanowno, niech się pani nic nie boi, wszystkie swoje pieniądze dostanie pani co do grosza, szanujemy wolę zmarłej i nie będziemy się wdawać w żadne targi”. Dobrze z nich dzieciaki, uczciwe. A tymczasem jak wszystko się na złe obróciło! Wciąż planowali, że przebudują dom i się tu przeniosą, ale nie mieli czasu się tym zająć. Potem Aleksy zmarł, a Nadia przyjechała, cała na czarno, i mówi: „Zinaido Iwanowno, chcę sprzedać dom. Niech pani weźmie klucze, a jak ktoś przyjedzie i powoła się na mnie, proszę go wpuścić bez obawy, niech wszystko obejrzy, skoro jest zainteresowany”.

Weszliśmy do holu. Zina zapaliła żyrandol. Dom był wysprzątnany, ale cienka warstewka kurzu na meblach i specyficzna, lekko zatechła woń niewietrzonych pomieszczeń od razu pozwalały się zorientować, że nikt od dawna nie mieszka w tych pustych kątach.

– To meble Natalii? – zapytałam, przyglądając się wspaniałym dębowym krzesłom.

– Aha – potwierdziła moja przewodniczka – wszystko jest, jak było, a w sypialni nawet jej ubrania do dziś wiszą w szafie. Nadia i Alosza nie powiedzieli, co z nimi zrobić, a ja na własną rękę nie chciałam nic rozdawać – trajkotała. – Chociaż wielu by się u nas na to połaszczyło. Pełno tu przecież wszelkiego dobra – trzy futra, palto, botki! Sama zobacz.

Doszliśmy właśnie do sypialni właścicielki domu, na pierwszym piętrze. Zina silnym szarpnięciem otworzyła drzwi szafy i moim oczom ukazało się wnętrze, ciasno wypchane odzieżą. Przesunęłam kilka wieszaków. No cóż, rzeczywiście, zmarła uwielbiała dobre ciuchy! Czegóż tu nie było! Spodnie, spódnice, swetry... Mój wzrok padł na supermodny dwa lata temu pulower z błękitnej kosmatej włóczki. Noski pantofli były ścięte, nie wydłużone. To były rzeczy młodej, pragnącej się podobać kobiecie, z uwagą śledzącej wszelkie nowe trendy w modzie. Teraz, co prawda, trudno by je uznać za ostatni krzyk, ale właścicielka wszystko kupowała w najlepszym gatunku. Eleganckie ubiory, pochodzące nie z bazaru czy sklepików w podziemnych przejściach metra, lecz z wytwornych sklepów i butików w centrum Moskwy.

– Ile lat miała Natalia Siergiejewna? – wyrwało mi się mimo woli pytanie.

– W grudniu dziewięćdziesiątego ósmego powinna była skończyć pięćdziesiąt – powiedziała Zina. – Wciąż się tylko zamartwiała, że się starzeje. Ale widać nie było jej pisane dożyć sędziwego wieku, odeszła w listopadzie, nawet nie doczekała pięćdziesiątki.

– Od dawna tu mieszkała? – zainteresowałam się, siadając w fotelu.

Zina, licząc coś w myślach, przygryzała wargę.

– No, gdzieś tak od osiemdziesiątego dziewiątego albo dziewięćdziesiątego.

– A skąd przyjechała?

– Kto ją tam wie. – Babina wzruszyła ramionami. – W tym miejscu był pusty plac, cała wieś wyrzucała tutaj śmiecie, moje okna akurat wychodziły na wysypisko. Mało to się naprosiłam, nabłagałam, nic nie pomagało, każde świństwo wywalali mi pod sam nos! Co to za ludzie? Bydło.

Dlatego kiedy pewnego pięknego dnia wjechały tu ciężarówki, a nieznający słowa po rosyjsku robotnicy w śnieżnobiałych kombinezonach zaczęli w błyskawicznym tempie wznosić ceglane mury, Zina wreszcie zatryumfowała. Jej sąsiadki wściekały się, klnąc w żywy kamień nieznanych właścicieli przyszłej siedziby. Ale Zina się cieszyła. Kiedy po kilku miesiącach budynek stanął już w całej krasie, stało się jasne, że zasłonił jej widok z okien.

– Zażądaj od nich odszkodowania – namawiały ją przyjaciółki.

Ale ona opędzała się od tych dobrych rad. Na co miała patrzeć z okien? Na zwały śmieci? Na skraj posępnego, czarnego lasu? Nie domagała się żadnych pieniędzy i nie wdawała w spory z nowymi sąsiadami. Mniej więcej po tygodniu, gdy niezliczone meblowozy zwoziły kanapy, fotele, stoły i krzesła, do furtki Ziny ktoś zastukał. Przystojna dama w eleganckim skórzanym płaszczu z uśmiechem wręczyła jej kopertę.

– Bardzo przepraszam, tak się złożyło, że nowy dom zasłonił wam światło, słońce nie dochodzi. Proszę mi wierzyć, to nie moja wina, ani razu nie byłam na budowie, a wykonawca nic mi o tym nie wspomniał. Niech pani to przyjmie w charakterze rekompensaty.

Zina wytarła ręce o fartuch i wymamrotała:

– Głupstwo, słońca starczy dla wszystkich, nie potrafię brać pieniędzy za nic, nie jestem żadną dziadówką, przepraszam, jeśli coś powiedziałam nie tak.

Dama natychmiast schowała kopertę i zapytała:

– A nie zgodziłaby się pani u mnie sprzątać?

– Mogę spróbować – odparła Zina.

I tak się właśnie poznały.

– Miała do mnie zaufanie – ciągnęła, wzdychając, kobieta – ale o sobie nigdy ani słóweczka nie powiedziała. Mieszkała sama, bez męża, dzieci, bez nikogo. Zupełna sierota. Przyjaciół też nijakich nie miała, nikt jej tu nie odwiedzał.

– A więc żadnych krewnych Natalii pani nie zna?

– Bo ich nie miała – wyjaśniła Zina. – W każdym razie ja nikogo nie widziałam.

– Czyli Alosza i Nadia też nigdy tu nie byli przed jej śmiercią?

– Nie.

– A kto się zajmował pogrzebem?

Zina wyjęła z kieszeni brudną chustkę do nosa i zaczęła ją zwijać w kłębek.

– Ja.

– W jaki sposób Alosza i Nadia dowiedzieli się o śmierci Natalii?

– Jak już czuła, że kostucha się zbliża, wezwała mnie, wsunęła do ręki jakąś karteczkę i nakazała: kiedy umrę, zadzwoń pod ten numer i powiedz, że Natalia Siergiejewna prosiła, żeby powiadomić o jej śmierci notariusza Bodrowa.

– I zadzwoniłaś?

Zina skrzyła chusteczkę w rulonik.

– Zadzwoniłam. Na drugi dzień przyjechał – chlipnęła – nie sam, tylko ze spadkobiercą, Aleksym Kołpakowem. Ale widać musiałam się pomylić...

Umilkła.

– Mów dalej, proszę – odezwał się. – O jaką pomyłkę chodzi?

Zina westchnęła.

– Cóż, minęło już parę ładnych lat od jej śmierci, chyba można pogadać. Widzisz to zdjęcie?

Na nocnym stoliku stała w srebrnej ramce fotografia niezwykle przystojnego mężczyzny. Nigdy specjalnie nie gustowałam w takich urodziwych młodzieńcach. Ale ten wyglądał naprawdę jak młody bóg. Czarne loki malowniczo opadały na wysokie czoło. Wielkie brązowe oczy w obramowaniu gęstych, jakby wytuszowanych rzęs, łagodnie spoglądały gdzieś w dal, prosty nos z lekkim garbkiem i wydatne, zmysłowe wargi dopełniały portretu pięknego młodego mężczyzny.

– Strasznie go kochała – opowiadała Zina. – Zanim usnęła, nieraz brała zdjęcie i całowała. Aloszeńka, mój kochany, nie ma cię przy mnie, powtarzała.

Zina, która parę razy mimo woli stała się świadkiem podobnej sceny, bardzo się dziwiła. Chłopak mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, Natalia była od niego co najmniej dwa razy starsza, a tak bez pamięci się w nim zakochała. Ale cóż, różne rzeczy się zdarzają na tym świecie!

Dlatego kiedy właścicielka domu zmarła, Zina uznała, że teraz pewnie się zjawi cudnej urody młodzian, ale przyjechał zupełnie inny, choć też na imię mu było Aleksy. Blondyn o niebieskich oczach, dość nijakiej twarzy i perkatym nosie, ale to właśnie jemu, Aleksemu Kołpakowewi, Natalia Filimonowa zostawiła w spadku cały swój majątek.

– Pół roku czekali oboje, razem z siostrą – spokojnie wyjaśniała Zina – że może zgłosi się jeszcze jakiś spadkobierca, dopiero potem przejęli dom, pieniądze i samochód. Ale teraz Nadia chce ten dom sprzedać.

– Och – powiedziałam – nie wydaje ci się, że gdzieś na dole kapie woda?

– To niemożliwe – zaprotestowała Zina – odkręcałam tutaj kran tylko jeden raz, w zeszłym roku. Zresztą poczekaj chwilę, zaraz sprawdzę.

Wyszła z pokoju. Błyskawicznie wyjęłam fotografię z ramki, schowałam do torebki i wyszłam z sypialni.

– Wszystko w porządku – poinformowała zasapana Zina. – Wszędzie sucho jak na pustyni.

– Musiałam się przesłyszeć – odparłam bez mrugnięcia okiem. – Przepraszam, że się fatygowałam.

– Ach, głupstwo! – Dobroduszna Zina tylko machnęła ręką. – Lepiej dziesięć razy sprawdzić niż raz nie dopatrzeć.

# Rozdział 11

W księgarni zjawiłam się koło południa i trafiłam na jakieś zamieszanie.

– Co się stało? – zapytałam.

– Złapałyśmy złodziejkę – obwieściła radośnie Swieta. – Chciała wynieść książki.

– Co za skandal! – krzyczała młoda kobieta. – To jakieś wariactwo! Nie widzicie, kogoście zatrzymały? Przecież to pomyłka! Natychmiast mnie puśćcie!

Obrzuciłam spojrzeniem jej piękny, jasny płaszcz z cienkiej kaszmirowej wełny, drogie botki, torbę i rękawiczki w identycznym odcieniu, świetnie wymodelowaną fryzurę i zwróciłam się do dziewcząt:

– Piszczalo?

– Nie – odpowiedziały te stojące przy wejściu, a Bundy zawył cichutko.

– To dlaczego twierdzicie, że jest złodziejką?

– Bo tak – upierała się Swieta. – Po prostu mam wewnętrzne przeczucie, że kradła!

To dopiero argument! Głupia Swietoczka zgrywa telepatkę i jasnowidza, a ja będę teraz musiała się usprawiedliwiać przed klientką.

– Swieta, proszę panią natychmiast puścić!

– Nie – odmówiła Swieta. – Niech pani spojrzy, Bundy ją złapał.

Zauważyłam, że pitbull rzeczywiście trzyma w zębach rąbek spódnicy kobiety. Ciekawe, czy poszkodowana zaskarzy księgarnię, czy mnie osobiście?

– Fe, Bundy, w tej chwili to puść!

Ale pies był wyraźnie po stronie Swiety.

– Wrrr – warknął, unosząc nieco górną wargę – wrrr!

– Swieto, to nieporozumienie, sygnalizacja się nie odezwała, czyli wszystko jest w absolutnym porządku!

– Ja się mogę mylić – przyznała ekspedientka – ale Bundy z jego węchem nigdy! Niech ona otworzy torbę.

– Bardzo proszę, niech pani otworzy torebkę.

– Nie macie prawa! – krzyknęła dziewczyna. – Ani mi się śni!

– Jeżeli w środku nic nie ma, to co za problem? – nie ustępowała Swieta.



– Nie mam zamiaru otwierać torebki z powodu głupich podejrzeń takiej gówniary jak ty.

– Sama jesteś gówniara!

– Poskarżę się na was mężowi! – Dziewczyna tupnęła ze złości. – Słyszałyście o Żeni Betonie?

– Nie – zaprzeczyłam obojętnie. – Kto to jest?

– Jeszcze zobaczysz! – zagroziła klientka, ale w tej samej chwili Swieta zręcznie wyrwała jej torbę.

– Oddaj to, cipo niemyta! – wrzasnęła zatrzymana.

Ekspedientka jednak już tryumfalnie unosiła do góry sporą paczkę owiniętą w folię.

– No i co my tu mamy? – rzuciła z satysfakcją.

Dziewczyna szarpnęła się gwałtownie, chcąc uciec, ale jedna z pracownic „Kramu” przytomnie podstawiała jej nogę. Złodziejka upadła na podłogę, prosto w rozdeptaną błotnistą maź, naniesioną z ulicy przez klientów, której sprzątaczką nie zdążyła jeszcze zetrzeć.

– Zaraz zobaczymy! – ciągnęła Swieta.

Kilkoma szybkimi ruchami zdarła szeleszczące opakowanie i orzekła rozczarowana:

– A to ci idiotka! Zrobić z siebie złodziejkę dla takich marnych paru groszy!

Spojrzałam na trzy tanie książeczki w miękkiej oprawie, których wartość nie przekraczała w sumie pięćdziesięciu rubli, i zapytałam zdziwiona:

– Ale czemu klipsy nie zapiszczały?

– Bo zawinęła książki w folię – wyjaśniła milcząca dotąd Lila. – Spryciara! Wygląda jak z obrazka, torba, makijaż, elegancja-Francja, a tymczasem to zwykła złodziejka!

Dziewczyna tymczasem wstała i chustką do nosa zaczęła szczyścić błocko z ubrudzonego płaszcza.

– Proszę ze mną – poleciłam surowo.

Złodziejka, zrozumiałwszy, że żarty się skończyły, bez słowa, posłusznie weszła na górę. W moim gabinecie rzuciła zniszczone okrycie na podłogę i z rozmachem usiadła w fotelu, wyzywająco zakładając nogę na nogę.

– A więc – zagaiła Ałoczka – co zrobimy? Mamy wezwać milicję czy zapłaci pani za skradzione książki?

– Gówno zobaczycie, a nie forszę! – Dziewczyna rozprostowała ramiona obciążone drogim sweterkiem. – Z powodu paru groszy podniosły taki wrzask, kretynki!

Ała spurpurowiała. Nasza zakładniczka spokojnie wyjęła z torebki mały telefon komórkowy, wycisnęła numer i powiedziała:

– Przyślij tu kogoś, zatrzymali mnie w księgarni na Fiedosiejewa, tylko szybko, bo to takie napalone baby, że za jakieś pieprzone książeczki gotowe rozerwać człowieka na strzępy.

– Tylko bez ordynarnych wyrażeń! – ostro zwróciła jej uwagę Ała.

Dziewczyna wbiła w nią spojrzenie.

– Przymknij się!

– Ała – powiedziałam – zejź na dół i każ dziewczynom sprawdzać torby.

– Ale z was idiotki! – burknęła zatrzymana.

Po paru minutach do gabinetu wszedł wysoki, postawny, szykowny facet. Co prawda, moim zdaniem, jaskrawoczerwona koszula nie najlepiej pasuje do surowego czarnego garnituru; lakierki na nogach również nie wydały mi się zbyt szczęśliwie dobrane, ale – choć może to dziwne – przybyły robił zupełnie sympatyczne wrażenie.

– No, no – odezwała się dziewczyna – zjawiłeś się sam, we własnej osobie! Nie warto było się fatygować dla takiej gównianej sprawy. To jakiś cyrk! Ile osób potrafiłeś po drodze, jakieś tujechał, co?

– Zamknij się – rzucił w jej stronę mężczyzna, a potem zwrócił się do mnie uprzejmie: – O jaką sumę chodzi?

– Trzydzieści siedem rubli.

– Mam zapłacić u pani czy w kasie?

– Na dole, w sali sprzedaży.

– No już, leć, żebyś się tylko nie spóźnił! – wrzeszczała dziewczyna.

– Nie drzyj gęby, Szura!

– Ty nie drzyj.

– Zamknij mordę! – wściekł się mąż.

– Sam zamknij!

– Jeszcze ci dołożę, zobaczysz!

– Spróbuj tylko! – Szura ujęła się pod boki – Akurat potrafisz! To nie to samo, co wymachiwać gnatem!

– Ej! – zawołał mężczyzna. – Chodźcie no tu!

Z korytarza, niczym zmaterializowane nagle duchy, wtoczyli się do gabinetu dwaj osobnicy, wielcy jak stodoły, o spokojnym spojrzeniu zwierząt z gatunku przeżuwaczy.

– Zabierzcie ją stąd i władujcie do dzipa – polecił szef.

– Proszę wstać, Aleksandro Michajłowno – ugodowo zadudnił basem jeden z ochroniarzy. – Wyjdziemy sobie spokojnie.

– Nie warto się awanturować – dodał drugi goryl. – Mamy koniaczek w barku.

– A pieprz się w cholere, złamasie – odrzekła na to Szura i rozparła się wygodniej w fotelu. – Ani myślę się stąd ruszyć.

– Wynieście ją razem z fotelem – zadysponował mężczyzna.

Dwóch osiłków zbliżyło się do dziewczyny, ale ta zaczęła się drzeć dzikim głosem. Kiedy zaś mężczyźni próbowali ją pochwycić, Szura, nie przestając wrzeszczeć, dźgnęła jednego ostrym noskiem buta.

– Oj! – jęknął facet. – Jewgieniju Siemionowiczu, ona się bije!

– No już, raz-dwa! – syknął szef. – Co to, kurna, nie wstyd wam, z babą nie możecie sobie dać rady? Po co was trzymam, idioci?

– Toś prawdę powiedział! – zarżała Szura. – Sam kretyn, ochroniarze głąby, a twoja mamuśka to prawdziwa jędza!

Żenia posiniał, ale zachował twarz. Nie minęło parę minut, gdy wrzeszczącą i parszczącą z wściekłości Szurę ochroniarze wynieśli razem z fotelem, a on zapłacił należność w kasie i pokazał mi rachunek.

– Dobrze – powiedziałam – ale musi pan załatwić jeszcze dwie sprawy.

– Tak? – zahuczał basem Żenia Beton. – Jakie?

– Po pierwsze, zwrócić fotel, należy do wyposażenia, po drugie – kupić prezent. A może woli pan zapłacić grzywnę?

– Nie. – Beton pokręcił głową. – Proszę, niech pani wybierze, co to ma być.

Zaprowadziłam faceta do działu papierniczego, gdzie były również upominki, i wskazałam palcem przedmiot, który nie miał szans znaleźć nabywcy. Była to ogromna kryształowa małpa ze złotymi oczyma, siedząca na kuferku. W dłoń człekokształtnej istoty można było wtykać ołówki, otwór w czaszce przeznaczono na gumkę do wycierania, a z brzucha wysuwała się temperówka. Może zresztą jakiegoś pierwszoklasistę zachwyciłoby to obrzydliwe monstrum, ale cena! Koszmarek kosztował równo dziesięć tysięcy i trudno byłoby znaleźć chętnego, który za takie pieniądze nabyłby owo osobliwe dzieło sztuki.

– To.

– Nie ma sprawy – oświadczył Żenia i skierował się do kasy.

Uznawszy incydent za zakończony, wróciłam na górę, do swego gabinetu, i westchnęłam ciężko na widok walającego się w kącie, upačanego błotem drogiego płaszcza. Nie, być kierownikiem takiego sklepu to naprawdę ciężka i niewdzięczna praca. Dobrze jeszcze, że Lenka nie kazała mi handlować wódką! Chociaż wzięwszy pod uwagę pełną temperamentu dziewoję, wyniesioną stąd przed chwilą w fotelu...

Do drzwi zastukano.

– Proszę.

Ujrzałam Żenię z pudłem w ręce.

– Prezent – oznajmił, stawiając przede mną małpę.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Należy do pana. Po prostu osoba przyłapaną na kradzieży musi kupić w naszym sklepie coś z towarów, które słabo idą, nie mają zbytu, rozumie pan?

Żenia skinął głową, usiadł na krześle, westchnął ciężko i zapytał:

– Mogę dostać trochę wody? Gorąco tutaj.

– Może herbaty?

– Nie, wolę mineralną.

Podaliśmy mu butelkę i szklanę. Facet zaczął pić wodę ogromnymi łykami; minę miał nieszczęśliwą i pełną jakiejś dziecinnej urazy. Przez sekundę wydawał mi się małym chłopcem, którego z niezrozumiałych powodów ubrano w kosztowne, za duże rzeczy ojca.

– Masz strasznie nerwową małżonkę!

Żenia odstawił pustą szklanę na stół, wyjął papierosa, pstryknął zapalniczką, po czym zreflektował się:

– Można?...

– Proszę – zezwoliłam i wyciągnęłam gauloise'y. – Pal na zdrowie, jeśli nie dostrzegasz paradoksalności tego życzenia.

– To zwykły sport – wyjaśnił Żenia. – Dziewczyny mają takie hobby.

– Słucham? – Nie rozumiałam, o czym mówi.

– Siedzą baby w domu – zaczął wyjaśniać – nic nie robią, forsę mają jak lodu, już nasza w tym głowa. Żarcia szykować nie muszą, kurze wyciera sprzątaczką, dzieciaków pilnują niańki. Dziewuchom się nudzi, same nie wiedzą, co ze sobą zrobić, no i wymyśliły sobie rozrywkę. Jeżdżą po sklepach i kradną, co popadnie. Nie ma znaczenia, drogie czy tanie, byleby coś skroić. Ławe ze sobą nie biorą.

– Kogo?

– Ławe. – Mój rozmówca uśmiechnął się. – Pieniądzy. Przepraszam, tak nazywają szmal gruzińscy złodzieje. Siedziałem z nimi, no i złapałem z ich mowy to i owo.

Spojrzałam uważnie na Żenię Betona.

– A ty czym się zajmujesz?

– Handluję. Telewizory, wideo i cała reszta. Sprzęt audiowideo. No więc nie biorą pieniędzy, żeby nie móc normalnie kupić. Jedna kradnie, a druga czeka przed sklepem.

– Po co?

– Robią zakłady, która więcej skotłuje. Nie chodzi o wartość, tylko o ilość. Najlepsza zgarnia cały bank. Nie grają o duże pieniądze, to drobiazg, mają w puli może pięćset baksów, chodzi o sam hazard.

Zamilkł na chwilę, po czym dodał z rozbawieniem:

– Moja dzisiaj Katkę orznęła. Szurka, miała trzy książki, a tamta tylko szczotkę do ubrań, ściągnęła ją w domu towarowym. Teraz obie ślicznotki wściekają się w moim dzipie.

Byłam tymi wyjaśnieniami do głębi poruszona.

– Ale przecież to obrzydliwe!

Żenia wzruszył ramionami.

– Chcą się rozerwać.

– I nigdy nie przyszło ci do głowy, że żona cię kompromituje?

– Wszystkie baby są jednakowe.

– Wcale nie! – oburzyłam się. – Chcesz dobrej rady? Rozwiódź się z Szurą i znajdź sobie normalną, przywoitą dziewczynę, której nie przyjdzie do głowy szlajać się z nudów po sklepach.

Żenia nalał sobie znowu szklanę wody, opróżnił ją jednym haustem i oświadczył:

– Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Wpadłem jako nieletni, miałem szesnaście lat, a Szurka jeździła za mną i do wszystkich kolonii poprawczych i obozów dostarczała mi paczki, całe worki żarcia. Rodzice wyrzucili ją z domu, więc zamieszkała u mojej matki, a kiedy stara dostała wylewu, wynosiła po niej nocniki z gównem. W nocy najmowała się do mycia podłóg na klatkach schodowych, żeby posyłać mi żarcie i papierosy, a za dnia skakała koło mojej matki. No a poza tym, pożeniśmy się dopiero dwa lata temu. Nie, niech sobie teraz Szurka robi, co chce. Mam dość forszy na jej kaprysy. Chce kraść, proszę bardzo.

Zastanawiałam się chwilę nad jego słowami, po czym powiedziałam:

– Kup jej sklep, niech sprzedaje kosmetyki albo bieliznę, to przyjemna branża. A jeżeli nie sklep, to chociaż stoisko. Poczekaj, zaraz ci dam wizytówkę Jeleny Nikołajewny Karielinej, właścicielki firmy księgarskiej „Kram”, ona w sieci swoich punktów stale wynajmuje część powierzchni handlowej innym przedsiębiorcom.

Mówiąc to, grzebałam w swojej torbie, ale wizytówka – oczywiście – gdzieś się schowała. Chcąc czym prędzej zakończyć poszukiwania, wysypałam całą zawartość torebki na biurko.

– O rany! – zdziwił się Żenia. – Przystojniak! Skąd pani go zna?

– Kogo?

– No, Loszkę Morozowa, Przystojniaka – wyjaśnił Żenia, wskazując zdjęcie, które ukradłam z sypialni Filimonowej.

– Znasz tego człowieka?

– No jasne!

– Możesz mi powiedzieć, kto to jest?

– To żadna tajemnica – odparł Żenia. – Locha Przystojniak, tyle że na tym paninym zdjęciu jest bardzo młody, ma góra dwudziestkę.

– A teraz ile?

Żenia roześmiał się.

– Teraz wcale. Umarł w dziewięćdziesiątym roku, w obozie, wykończył się na gruźlicę.

– Skąd wiesz?

– Był ze mną w jednym baraku, póki go nie zabrali do obozowego szpitala.

– Wiesz co, bądź taki dobry i opowiedz mi o nim – poprosiłam. – Bardzo, ale to bardzo mi na tym zależy.

Żenia wzruszył ramionami.

– To nic ciekawego. Był jubilerem.

– Robił biżuterię?

– Nie. – Beton roześmiał się. – Kradł ją. Miał cholerny fart, sama pani widzi, jaki był z niego lalusz. Zresztą stąd jego ksywka.

Losza pracował nie sam, lecz w parze z kobietą, o jakieś dziesięć lat od niego starszą. Świetnie ubrani, z eleganckimi skórzanymi walizkami, zatrzymywali się w drogich hotelach,

po czym schodzili do restauracji, zamawiali wytworną kolację i wybierali ofiarę. Zwykle okazywała się nią jakaś młoda, głupiutka gąska, od stóp do głów obwieszona brylantami.

Wspólniczka Loszy, szykowna kobieta, zaczynała żartobliwie kokietować towarzysza upatrzonej ofiary, a w końcu szła z nim tańczyć na parkiet. Tymczasem do dziewczyny, zgrzytającej zębami ze złości, przysiadł się Losza. Wieczór na ogół kończył się zawsze jednakowo. Gąska wychodziła z Przystojniakiem, kobieta zatrzymywała jej partnera. Nazajutrz dziewczyna budziła się w bramie lub na klatce schodowej. Losza nie chciał brać na swoje sumienie życia nieszczęsnej ofiary, więc jeśli na dworze był mróz, zostawiał „dame” na parapecie, nad gorącym kaloryferem. Okradzione, niczym papużki, powtarzały w kółko: facet wyjmował z wewnętrznej kieszeni płaską flaszkę, napełniał zakrętkę markowym koniakiem i wznosił toast za przyjaźń i miłość. Żadna z dziewczyn nic więcej nie pamiętała i każda niepomnie się dziwiła, stwierdziwszy, że została okradziona. Oczywiście, ubranie, torebka, nawet pieniądze – wszystko było nietknięte. Przystojniaka interesowała tylko biżuteria.

Przez dobrych parę lat Losza jeździł na swoje gościnne występy po wielu większych i mniejszych miastach, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej niż na dwie doby. Ale dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. W końcu Przystojniak wpadł.

Podczas śledztwa, a później na rozprawie, wziął całą winę na siebie, nie obciążając w niczym współniczki. Kobiecie nie przedstawiono żadnych zarzutów, zeznawała jedynie jako świadek. Zresztą w procesie Przystojniaka wyszły na jaw bynajmniej nie wszystkie jego przestępcze czyny. Wiele poszkodowanych, bogatych kobiet, nie składało doniesień na milicję. Tak więc dokładne ustalenie, ile osób udało się ograbić uroczej parce, nie było możliwe. Nie znaleziono również cennych łupów. Loszkę zatrzymano w restauracji hotelowej – w portfelu miał nędznych parę rubli, a dama w ogóle okazała się bez grosza. Nie posiadała nawet portmonetki. Funkcjonariusze zapytali:

– Jak to, wyszła pani z domu bez choćby jednej kopiejki?

Na co ta odpowiedziała:

– Przyszłam przecież do restauracji z mężczyzną, rachunek to jego zmartwienie!

– Fantastyczna baba! – zachwycił się Żenia. – Kochała Loszkę, że strach. Ile forsę ją kosztowało, żeby w obozie przekazano mu dodatkową paczkę albo przyznano widzenie! Ubierała go, obuwała... Zresztą on też ją kochał, co dzień pisali do siebie listy...

Żenia z początku pokpiwał sobie z Loszki – taki szacowny, przyzwoity złodziej, a roztkliwia się nad babą. Ale Przystojniak tylko westchnął:

– Dureń z ciebie, Beton. Młody jeszcze jesteś i dlatego głupi. Rozejrzyj no się dookoła, dużo bab paczki z kielbasą i słoniną przysyła? Matki, owszem, te nigdy nie opuszczają człowieka w potrzebie, ale żony czy kochanki? Wcale tak bardzo się nie martwią, szybko się pocieszają. Moja, jak została z tą kupą forsę, na drugi dzień mogła zapomnieć o całej miłości, a przecież tego nie zrobiła. Takie kobiety trzeba cenić, bo już wiesz, ile są warte; można powiedzieć, że przeszły próbę ognia i wody.

Żeńce dało to do myślenia. Do tej pory uważał za rzecz całkiem zrozumiałą i naturalną, że Szurka wozi mu paczki z żarciem, ale teraz spojrzał trzeźwym okiem na swoich towarzyszy odsiadki i pojął, że Przystojniak ma rację.

– No, a potem go przenieśli gdzie indziej, z powodu gruźlicy – zakończył swoją opowieść Żenią. – I tam umarł.

– Nie wiesz, jak jego partnerce było na imię?

– Jakoś tak zwyczajnie... – Beton zawahał się. – Tania, Lena, Katia, Natasza... Nie pamiętam. Ale nie jakaś tam Arina, Krystyna czy Weronika.

## Rozdział 12

W nocy źle spałam. Kanapa była niewygodna, wąska, twarda i za krótka. Producenci najwyraźniej nie przewidywali, że ktoś będzie na niej sypiał. Skórzane poduchy rozsuwały się, prześcieradło z nich spelzało, a w dodatku Hootchuś, lubiący swobodnie się rozłożyć na szerokim łóżku, okropnie niezadowolony z ograniczeń kanapki, usiłował albo położyć się na moich plecach, albo wleźć mi na głowę. W końcu, umęczona zmaganiem z prześcieradłem, poduchami i mopsem, usiadłam przy biurku. Wiedziałam, że akta spraw kryminalnych przechowywane są w archiwach długo. Gdzieś na półce leżą tomy dotyczące Loszki Przystojniaka. Zawierają z pewnością wszystkie potrzebne mi informacje na temat jego rodziny i towarzyski życia. Istnieje tylko jeden mały szkopuł: nikt mi tych dokumentów nie udostępni, a naprawdę bardzo chciałabym do nich zajrzeć. Jak to zrobić? Sięgnęłam ręką do torby po papierosy, ale nie zdążyłam zapalić, gdyż nagle usłyszałam lekkie skrzypnięcie. Zdziwiona, odwróciłam głowę w stronę drzwi i zobaczyłam, że są lekko uchylone.

– Kto tam?

Odpowiedzi nie było.

– Mania, Lola, to wy?

Milczenie.

– W takim razie psy albo koty – powiedziałam głośno, chcąc zagłuszyć niepokój.

Do pokoju jednak nikt nie wszedł – ani Snap, ani Bundy, ani Cherry, ani Julie, ani Klepcia, ani Soames, ani Fifina... Za to w szczelinie mignęło coś białego, a po moich gołych nogach przemknął lodowaty powiew.

– Co to? – wyszeptałam przerażona. – Co...

Nagle drzwi otworzyły się na całą szerokość i moim oczom ukazała się postać okutana z głową w białą szatę. Twarz nie była widoczna, podobnie jak ręce i nogi.

– A-a-a – wydał przeciągłe westchnienie gość. – A-a-a.

– A-a-a! – wrzasnęłam na całe gardło. – Zgiń, przepadnij!

Postać w całunie zrobiła krok w moją stronę.

– O Chryste, o matko kochana! – krzyknęłam znowu. – Precz stąd!



Kątem oka dostrzegłam, że krótka sierść na grzbiecie Hootchusia zjeżyła się, ogon zeszywniał, a pies cały się trząsiał ze strachu czy wzburzenia. Zjawa odwróciła się i zniknęła. Nie przestawałam wrzeszczeć.

– Mamuś – spytała Masza, wsuwając głowę do gabinetu – czy coś się stało?

Skinęłam potakująco.

– Soames znowu upolował mysz?

– Soames jest u nas – wtrąciła Lola.

– Przed chwilą był tu duch – wyjaśniłam drżącym głosem. – Olbrzymia zjawa w białej szacie.

Mania weszła do gabinetu i pokazała palcem pismo „Tajemna Moc”, leżące koło kanapy.

– Czytałaś to przed zaśnięciem?

– Tak!

– Po co?

– Lubię przeglądać listy od czytelników – powiedziałam, już trochę spokojniejsza. – Ludzie zupełnie poważnie piszą tam o niesamowitych rzeczach.

– Na przykład?

– No, o spotkaniach z mieszkańcami innych planet, diabłami, wiedźmami... Można pęknać ze śmiechu, „Tajemna Moc” to zbiór wspaniałych anegdot.

– Wszystko jasne – podsumowała Mania. – Naczytałaś się głupot i coś ci się przyśniło.

– Nie spałam!

– Spałaś, spałaś, bywają takie sny, bardzo wyraziste.

– Ale Hootchuś się wystraszył, a on przecież nie spał.

– My też się obudziliśmy całe w strachu – dodała Lola – tak niesamowicie wrzasnęłaś.

– Dawaj to – powiedziała ostro Mania i wyrwała mi pismo.

Potem, zgniówszy je niedbale w kulę, moja córka poleciała:

– Nie kupuj więcej tego świństwa, a teraz idź spać.

Posłusznie wróciłam na kanapę, wyprostowałam nogi i spróbowałam myśleć o niezbyt istotnych sprawach. Dlaczego w mojej księgarni marnie idą zwykle, najtańsze długopisy? Niby żaden pieniądz, trzy ruble, a klienci biorą te po dziesięć... Trzeba by urządzić stoisko z pocztówkami, dużo osób o nie pyta... Widokówki! Nagle zerwałam się gwałtownie i usiadłam, tak że Hootchuś spadł na podłogę. No, chyba wiem, kto mi pomoże dotrzeć do akt sprawy Loszki Przystojniaka.

Wyczekawszy do jedenastej, odszukałam na biurku wizytówkę, którą wręczył mi wczoraj Żeńka Beton ze słowami:

– Jeżeli złapie pani u siebie Szurkę jeszcze raz, proszę ją pogonić kopami w cholere, a potem zadzwonić do mnie, wieczorem przyjadę i za wszystko zapłacę.

Wizytówka bardzo szybko się przydała. Wybrałam numer.

– Halo – zaszczębiotał dziewczęcy głos. – Z kim pani chce rozmawiać?

– Z Żenią.

– Z kim?

– Z Żenią.

– Z którym?

– Z Żenią Betonem.

– Sama się nawaliłaś od rana jak betoniarka, nie mam czasu na twoje głupie dowcipy – warknęła dziewczyna.

Zrozumiawszy, że to pomyłka, szybko się rozłączyłam i jeszcze raz wybrałam numer.

– Tak – odezwał się niechętnie męski głos.

– Żenia?

– No.

– Tu Dasza, kierowniczka księgarni przy Fiedosiejewa.

– Witam. – Facet zmienił ton na uprzejmiejszy. – Szurka znowu rozrabia? Mówiłem, pogonić kopami.

– Nie, nie – uspokoiłam go szybko – po prostu przyszedł mi do głowy pomysł, jak rozerwać twoją żonę, posłuchaj...

– Dobra – oznajmił Żenia po krótkiej rozmowie. – Zaraz przyjadę.

I rzeczywiście zjawił się po godzinie, równie szykowny jak wczoraj, tyle że tym razem w popielatym garniturze i jaskrawoniebieskiej koszuli. Jakies pół godziny omawialiśmy sprawy związane z zorganizowaniem stoiska, po czym Żenia zapytał:

– No dobra, a ile mnie to będzie kosztowało? Jaka suma panią urzęda?

– Nie potrzebuję pieniędzy.

Beton stał się czujny.

– Więc o co chodzi?

– O drobną przysługę, jeżeli to, oczywiście, będzie możliwe...

– Niech pani mówi.

Wyłożyłam sprawę.

– To akurat mogę załatwić – ucieszył się Żeńka. – Nie ma problemu. Jedną chwileczkę.

Wyjął telefon i po chwili powiedział do kogoś:

– Nikołaj Pietrowicz? Żenia Krasnow po tej stronie.

Odwrociłam się do okna. Wśród lodowatej styczniowej aury sunęli ulicą przechodnie. Zima w tym roku była naprawdę surowa, już od dawna nie notowano w Moskwie takich mrozów.

– W porządku – oznajmił Żenia. – Wszystko gra. Niech pani przyjedzie o ósmej wieczór do kawiarni „Księżycowej” przy Kolesnikowskiej, Nikołaj Pietrowicz będzie już tam na panią czekał.

– Mam mu zapłacić?

– W żadnym wypadku – obruszył się Żenia. – Chłop się znarowi, swoją dolę i tak dostaje, po prostu weźmie pani od niego papiery i koniec!

Pięć minut przed wyznaczonym terminem weszłam do na wpół pustego lokaliku i rozejrzałam się po sali. Siedzący pod ścianą mężczyzna mniej więcej mojego wzrostu pomachał do mnie ręką na powitanie. Podeszłam do jego stolika i na wszelki wypadek upewniłam się:

– Mikołaj Pietrowicz?

– Kola – sprostował z uśmiechem. – Dla pięknych pań po prostu Kola.

– Dasza.

Milicjant, nadal pełen galanterii, zapytał:

– Kawy?

– Dziękuję, śpieszę się.

– Wobec tego proszę to wziąć.

Trzymałam w ręce lekki, niemal nieważki pakiecik.

– Tu jest wszystko?

– Absolutnie. Pozdrowienia dla Żeni.

Kiwnęłam głową i skierowałam się do wyjścia, czując na plecach przesuwające się po mojej sylwetce obleśne spojrzenie Mikołaja Pietrowicza.

Chęć poznania prawdy była tak silna, że otworzyłam cieniutką teczkę od razu, w peugeocie. Aleksy Andriejewicz Morozow, ps. Przystojniak, ur. 1955, sądzony w 1988, zm. 1990. Najbliżsi krewni... Tak, nie miał nikogo. Aleksy wychował się w domu dziecka. Nie znał ojca, matki, rodzeństwa – jeśli takie istniało. Nie znalazłam też wzmianki o żonie czy dzieciach. Morozow był sam jak palec. Miał za to – trzymając się stylistyki milicyjnego protokołu – konkubinę, która jednocześnie została powołana jako świadek w sprawie, Natalię Siergiejewną Filimonową. Jej ostatnie miejsce pracy: Związek Kompozytorów. Pełniła tam obowiązki sekretarki. Była wdową. Jej mąż, Konstanty Lwowicz Parasow, zmarł w 1973 roku. Natasza miała wówczas zaledwie dwadzieścia pięć lat. Dzieci, pozostając w tym związku, nie zdążyła urodzić, później też żadne nie przyszło na świat, znalazłam za to wzmiankę o matce Natalii, Jekatierinie Andriejewnie Filimonowej, ur. 1928. W papierach był również jej adres: ul. Soszalska 62.

Westchnęłam ciężko. Informacje pochodziły z roku 1988, od tego czasu minęło wiele lat. Nie żyje ani Przystojniak, ani Natalia, Jekatierina z pewnością też już dawno zmarła, chociaż nie zaszkodzi sprawdzić. Przecież to ostatnia, jedyna nitka, za którą mogę pociągnąć. Skoro Nadia i Alosza Kołpakowowie byli cioteczными siostrzeńcami Natalii Filimonowej...

W zamyśleniu zaczęłam odruchowo włączać i wyłączać światła. Jeżeli cokolwiek kiedyś sprawiało mi kłopot, to z pewnością rozeznanie się w skomplikowanych więzach pokrewieństwa, łączących niektóre rodziny. Kto to są siostrzeńcy, wiadomo. Gdybym, dajmy na to, miała siostrę, to Kiesza i Masza byłiby jej siostrzeńcami. Ale w linii prostej, nie

cioteczniemi. Zaraz... a jeżeli ta siostra miałaby córkę, to ona i moje dzieci... Nie, za nic nie mogę się w tym połapać...

Trudno. Zapaliłam silnik i ruszyłam w kierunku placu Zubowskiego. Jedno było jasne: faktu posiadania ciotecznych siostrzeńców nikt nie podaje w żadnych ankietach czy formularzach, w dokumentach figurują tylko krewni w tak zwanej pierwszej linii. Oczywiście najzupełniej niepotrzebnie jadę teraz na Soszalską. Mieszkają tam pewnie już od dawna zupełnie obcy ludzie, ale mimo wszystko lepiej to sprawdzić; wiadomo, tonący brzytwy się chwyta. Nic innego nie wymyślę.

Dom numer 62 okazał się ośmiopiętrowym blokiem. Ale klatka schodowa była czysta, skrzynki pocztowe nieuszkodzone, na przyciskach w windzie nie gaszono papierosów, a na podłodze nie zobaczyłam podejrzanie cuchnącej kałuży. Schludny okazał się również podest piątego piętra, a wszystkie drzwi, obite czarną skórą, wyglądały identycznie, nawet numery mieszkań oznaczono wszędzie tak samo: złote cyfry na okrągłych plastikowych tabliczkach.

– Kto tam? – usłyszałam zza drzwi w odpowiedzi na dzwonek

– Przepraszam bardzo, pod koniec lat osiemdziesiątych mieszkała tutaj Jekatierina Andriejewna Filimonowa...

Szczęknęła zasuwa, zazgrzytał klucz i drzwi się otworzyły.

– Dlaczego „mieszkała”? – spytała z przekąsem elegancko ubrana, niestara jeszcze pani. – Nadal tu mieszkam.

Zdumiona, upewniłam się nietaktownie:

– Jekatierina Andriejewna Filimonowa to pani?

– Ja.

– Jest pani matką Natalii Siergiejewny?

Kobieta zacisnęła wąskie wargi, pociągnięte szminką w gustownym, wiśniowobrazowym odcieniu i spytała sucho:

– O co właściwie pani chodzi, jeśli można wiedzieć?

Z zaskoczenia wygadywałam jednak coraz większe głupstwa.

– Boże, ile pani ma lat? Nie dałabym pani więcej niż pięćdziesiąt.

Jekatierina Andriejewna nie uśmiechnęła się, ale w głębi jej umiejętnie podkreślonych makijażem oczu błysnęła iskierka zadowolenia.

– Przyszła pani, żeby dowiedzieć się o mój wiek?

– Nie, oczywiście, że nie.

– A więc czym mogę służyć?

– Jestem prywatnym detektywem.

– Kim? – Dama cofnęła się o krok od drzwi. – Detektywem? Z milicji? O nie, tylko nie to! Od wielu lat nic mnie z Natalią nie łączy, pokrewieństwo istnieje tylko na papierze i prawdę mówiąc, wolę, żeby tak zostało...

W obawie, że kobieta zaraz zamknie mi drzwi przed nosem, zaczęłam tłumaczyć pośpiesznie:

– Nie, nie, nie mam nic wspólnego z milicją, jestem osobą prywatną.

Dama skrzywiła się.

– Chwileczkę, chwileczkę. Proszę wejść, zdjąć buty i wyjaśnić spokojnie, w co znowu wpakowała się moja córka.

– Dlaczego sądzi pani, że Natalia ma jakieś kłopoty? – zapytałam, wieszając kurtkę.

Jekatierina Andriejewna westchnęła.

– Dlatego, że jest po prostu mistrzynią w robieniu wszelkich głupstw, królową idiotyzmów, i całe życie miałam przez nią tylko same zmartwienia. Wiele lat temu powiedziałam sobie: Katiu, nie masz córki, zapomnij o niej. I od tamtego czasu tak właśnie jest. To przez nią zmarł mój mąż, a jej ojciec. Sierioża dostał zawału, kiedy Natalia uciekła z tym typem spod ciemnej gwiazdy, nieszczęsny mąż natomiast... Chyba pani wie, że odebrał sobie życie?

– Nie – zaprzeczyłam oszołomiona. – Konstanty Lwowicz Parasow. Tak?

– Właśnie. – Filimonowa skinęła głową. – Proszę bardzo, opowiem pani o Nataszy, wtedy pani zrozumie, dlaczego wyrzuciłam ją ze swego serca.

Nataszeńka urodziła się i wychowała w zamożnej, a nawet należącej do elity rodzinie. Ojciec był kompozytorem. Wprawdzie twórczość Siergieja Nikołajewicza nie osiągnęła nadzwyczajnej popularności, ale cieszył się zasłużoną estymą w swoim środowisku, a pod koniec lat pięćdziesiątych zasłynął jako autor powszechnie znanej, często wykonywanej piosenki o miłości do stron ojczystych i rodzinnego gniazda. Jekatierina Andriejewna była aktorką; nie grywała ról pierwszoplanowych, ale ceniono ją i stale obsadzano. Nataszeńka chodziła do szkoły ogólnokształcącej i muzycznej, rodzice zapewnili jej też wszystko, co powinno otrzymać dziecko z inteligentnego domu – naukę obcego języka, lekcje rysunku, basen. Po maturze Natalia rozpoczęła studia w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, na wydziale teatrologii. Ojciec załatwił jej w Związku Kompozytorów posadę sekretarki.

Natasza była cicha, nawet nieśmiała. Nie lubiła hałaśliwych imprez towarzyskich, nie zapraszała do domu koleżanek, najczęściej po prostu siedziała w fotelu i czytała, przede wszystkim powieści Waltera Scotta i Dickensa. Jej ulubioną książką były *Szkarłatne żagle* Grina. Tak jak bohaterka, Natalia też marzyła o tym, że spotka kiedyś swojego księcia. Tyle że czas płynął, a kapitan na wspaniałym żaglowcu jakoś się nie pojawiał. Natomiast zaczął majaczyć na horyzoncie niejaki Kostia Parasow, o dziesięć lat starszy od Nataszy, z własnym mieszkaniem, samochodem, daczą i atrakcyjną posadą. Pracował mianowicie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wielokrotnie wyjeżdżał służbowo, ale były to krótkie, kilkudniowe delegacje; chciałby, naturalnie, wyrwać się na dłużej, na dwa, trzy lata, gdzieś na placówkę, ale w czasach ZSRR nieżonaci dyplomaci nie byli dobrze widziani, tak więc Konstanty zaczął się rozglądać za odpowiednią kandydatką.

Natasza odpowiadała mu pod każdym względem, przypadli mu też do gustu jej rodzice. Dziewczyna w obawie, że zostanie starą panną, szybko się zdecydowała na zamążpójście. Między młodymi wszystko układało się dobrze, zadowoleni zwierzchnicy Konstantego dawali do zrozumienia, że wkrótce nadejdzie pora, by pakować walizki i wyruszyć do któregoś z krajów Bliskiego Wschodu, kiedy zdarzyła się rzecz nieprzewidziana – Natasza spotkała swojego księcia.

– Naprawdę nie wiem – ciągnęła z grymasem obrzydzenia na twarzy Jekatierina Andriejewna – gdzie na niego trafiła. I natychmiast kompletnie straciła głowę.

Machnąwszy ręką na wszystko – opinię, mający wkrótce nastąpić wyjazd na placówkę, perswazje przyjaciółek i niezadowolenie rodziców – Natasza odeszła od Konstantego do swego Loszy.

– Co ona w nim widziała? – zastanawiała się wciąż jeszcze Jekatierina Andriejewna. – Nie przeczę, chłopak był z niego jak malowanie, ale z drugiej strony, zupełnie spoza naszego środowiska; sierota, wychowany w domu dziecka, mieszkał gdzieś we wspólnym mieszkaniu, nie miał żadnego zawodu, a w dodatku ledwie skończył osiemnaście lat, czyli był o wiele młodszy od Natalii.

Czegóż to nie robili rodzice i mąż, byle tylko sprowadzić uciekinierkę z powrotem, ale ta jakby się zerwała z łańcucha. Pewnego pięknego dnia, po gwałtownej kłótni z matką, Natasza zniknęła. Rodzice szukali jej po całym mieście. Napięcie nerwowe doprowadziło Siergieja do zawału; zmarł, nim przyjechał lekarz z pogotowia.

Jekatierina Andriejewna nie zdążyła jeszcze na dobre przyzwyczać się do myśli, że została wdową, gdy zadzwonił telefon.

– Mamo – jak gdyby nigdy nic oznajmiła Natalia – chcę ci tylko powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku, jesteśmy z Loszykiem...

Usłyszawszy z ust wyrodnej córki to pieszczotliwe zdrobnienie, Jekatierina Andriejewna kompletnie straciła panowanie nad sobą.

– Ty dziwko! – zaczęła krzyżeć przeraźliwie. – Z kochankiem się szlajasz! Nie waż się tu więcej dzwonić. Zabiłaś ojca. Umarł z rozpacz, do tego go doprowadziłaś, szmato, ździro, wycieruchu!

Jekatierina Andriejewna jeszcze długo tupała ze złości, zanim zrozumiała, że córka dawno się rozłączyła – w słuchawce rozlegał się tylko ciągły sygnał.

Potem zdarzyło się nieszczęście z Kostią. Konstanty rzucił się z okna swego mieszkania na ósmym piętrze. Poniósł śmierć na miejscu, badania wykazały zawartość alkoholu we krwi denata i milicja uznała, iż chodzi o nieszczęśliwy wypadek, ale Jekatierina Andriejewna jest pewna, że to było samobójstwo. Po prostu Konstanty nie mógł znieść takiej hańby.

O Nataszy matka nigdy więcej nie słyszała aż do 1988 roku, kiedy to zadzwoniono do niej z milicji i uprzejmie, ale stanowczo zaproszono na rozmowę. Jekatierina Andriejewna stawiała się na wezwanie i omal nie padła trupem na miejscu. Młody funkcjonariusz, właściwie

zupełny dzieciak, z punktu zarzucił ją informacjami, które sprawiły, że nogi się pod nią ugięły. Natalia okazała się zamieszana w sprawę o wielokrotną grabież.

– Powiem to pani poza protokołem – mówił młodziutki glina, chmurząc dziecięcą buźkę o różowych policzkach – po prostu prywatnie: Natalia Siergiejewna brała bezpośredni udział w czynach przestępczych. Na razie nie mamy na to żadnych dowodów, ale na pewno je znajdziemy. Tylko że wtedy pani córka znajdzie się w znacznie gorszej sytuacji. Jeżeli teraz z własnej woli przyzna się do winy, otrzyma na rozprawie najniższy wymiar kary. Jeśli natomiast my sami się czegoś dokopujemy, wyrok będzie bardzo surowy.

– To znaczy ile? – zadała rzeczowe pytanie Jekatierina Andriejewna.

– Z tego artykułu górna granica to piętnaście lat.

– No i bardzo dobrze – z satysfakcją przyjęła tę informację matka. – Po prostu świetnie.

– Cóż takiego korzystnego pani w tym widzi? – zdziwił się chłopak.

– Niech dostanie tyle, ile jej się należy – oświadczyła, nie mrugnawszy powieką Jekatierina Andriejewna – bez żadnej taryfy ulgowej. Wtedy dopiero będę mogła czuć się zupełnie spokojna.

– Dlaczego? – wciąż nie mógł zrozumieć śledczy, oczekujący po matce Natalii Filimonowej zupełnie innej reakcji.

– Dlatego, że wówczas będę wiedziała: w ciągu najbliższych piętnastu lat moja córka pozostanie pod właściwym nadzorem – wyjaśniła kochająca mamusia.

## Rozdział 13

Wsiadłam do samochodu, zapaliłam silnik, wcisnęłam gaz, wóz ostro ruszył do przodu, po czym silnik zgasł. Jeszcze raz przekręciłam kluczyk w stacyjce. No, no, coś takiego dawno mi się nie przytrafiło. Zapomniałam wcisnąć sprzęgło.

A to ci matka! Po prostu wykreśliła córkę ze swojego życia i nigdy więcej nie zainteresowała się jej losem. Tym, gdzie mieszka, co robi, czego pragnie, nad czym płacze... Nic, co dotyczyło Natalii, nie było w stanie poruszyć Jekatieriny Andriejewny. Nie spowodowała tego również wiadomość o śmierci córki. Wysłuchawszy jej spokojnie, pani Filimonowa bez cienia żalu czy współczucia skonstatowała:

– Cóż, głupio żyła, więc młodo umarła. Bóg jej wybaczy wszystkie grzechy.

W tym momencie wkładałam właśnie kurtkę w przedpokoju. Słyszając te nieoczekiwane słowa, trafiłam ręką zamiast w rękaw – do kaptura, i nie mogłam powstrzymać się od pytania:

– A pani? Pani nie wybaczy córce? Odejdzie pani, nie wyzbywszy się swego gniewu?

Jekatierina Andriejewna spojrzała na mnie oczyma, przejrzystymi niby rzeczna woda latem.

– Tam, gdzie się znajduje Natalia, moje przebaczenie na nic jej się nie przyda.

Wyrzekłszy te bezlitosne słowa, niemal wypchnęła mnie za drzwi.

Pojechałam do księgarni. Cóż, wizyta nie była stratą czasu. Teraz już wiedziałam z całą pewnością: żadnych sióstr ani braci – rodzonych, ciotecznych lub siódma woda po kisielu – Jekatierina Andriejewna nie miała.

– Byłam jedynym dzieckiem w rodzinie – opowiadała. – Owszem, mój ojciec miał brata Pantelejmona, ale ten w latach trzydziestych trafił do obozu i słuch po nim zaginął.

– A pani mąż miał krewnych? – spytałam ostrożnie.

– Rodzice Siergieja Nikołajewicza zmarli w tysiąc dziewięćset trzydziestym z głodu – poinformowała mnie Jekatierina Andriejewna.

Już w księgarni zobaczyłam przyczepioną na drzwiach gabinetu kartkę: „Iwan Aleksandrowicz zabiera mnie i Lolę na dwa dni do swoich przyjaciół. Zostawiamy Ci Soamesa. Mania”.



Ciekawe, co ten Syromiatnikow znowu wymyślił. Do jakich przyjaciół? A szkoła? Po chwili jednak uświadomiłam sobie, że jest piątek, więc dziewczynki będą miały dwa dni wolne. To jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło. A zatem mam tu nocować zupełnie sama? W tym ogromnym, pełnym zakamarków i tajemnic miejscu?

Istniał tylko jeden sposób, by przezwyciężyć strach, więc pojechałam na sąsiednią ulicę, gdzie błyskał czerwony neonowy napis: „Artykuły spożywcze. 24h”.

Weszłam do supermarketu, skierowałam się do działu alkoholowego i przesuwałam spojrzeniem po rzędach butelek na półkach. Alkohol działa na mnie porażająco. Niekiedy odnoszę wrażenie, że mój mózg jest przykładem jakiegoś drobnego błędu genetycznego. Wystarczy, że wypiję dosłownie parę kropli czegoś mocniejszego, bym natychmiast znalazła się w stadium tak zwanego upojenia patologicznego. Film mi się urywa i momentalnie zasypiam głębokim, mocnym snem. W jakiś niepojęty sposób alkohol – z pominięciem żołądka – atakuje od razu mózg. Dlatego pić powinnam, raczej leżąc niż siedząc, żeby bez zbytecznych przeszkód osunąć się w objęcia Morfeusza.

Kupiłam półlitrową butelkę martella, wróciłam do siebie, starannie sprawdziłam wszystkie pomieszczenia, zamknęłam na klucz gabinet Ałły, bufet, szatnię, drzwi do magazynu, zasunęłam olbrzymi rygiel na drzwiach wejściowych, następnie zebrałam wokół swojej kanapy całą menażerię i nalałam do filiżanki jasnobrazowego, aromatycznego trunku.

– Wasze zdrowie, kochani – zwróciłam się do psów i kotów, po czym wypiałam koniak jednym haustem.

Miałam uczucie, że błyskawica przeleciała przez mój przewód pokarmowy, tworząc w żołądku rozżarzoną kulę. Opadając na poduszkę, z najwyższym wysiłkiem zadałam sobie w myślach pytanie: czy księgarnia pracuje w soboty? Najprawdopodobniej tak, a więc trzeba wstać i nastawić budzik, bo nie ma mowy, żebym obudziła się sama. Wyobrażam sobie, jak będzie się zaśmiewać Ałłoczka, kiedy jutro o dziesiątej zobaczy mnie zapuchniętą od snu, rozczochraną i wściekłą. Nie, absolutnie muszę wstać i... Tu powieki mi opadły i błogo zasnęłam, przytulając do piersi Hootchusia.

Nie wiem, jakim sposobem znalazłam się w tym bardziej niż nieprzyjemnym miejscu. Wzdłuż wąskiego przejścia, po obu jego stronach, stały klatki z lwami i tygrysami. Dzikie bestie wydawały groźne ryki, szczerząc kły. Na wpół żywa ze strachu, szłam pomiędzy drucianymi siatkami klatek, kompletnie nie rozumiejąc, skąd się tu wzięłam i po co, a zwłaszcza dokąd zmierzam. Na końcu, przy samej ścianie, przejście mocno się zwężyło, ale były tam jakieś małe drzwi, a ze szczeliny u dołu wydobywał się podmuch świeżego powietrza. Najwidoczniej prowadziły na dwór. Uradowana, podbiegłam i wpadłam na klatkę z panterą. Czarne, zwinne zwierzę wściekle rzuciło się na pręty. Poczułam jego smrodliwy oddech. Odskoczyłam, trafiając na kraty, za którymi siedział tygrys. Cętkowany potwór wysunął ogromną łapę o niewiarygodnie ostrych pazurach i dosięgnął nią mojego policzka.

Przerażona, mocno zacisnęłam powieki, a gdy otworzyłam oczy... przebudziłam się. Wokół kanapy leżały psy, tylko staruszka Cherry beczelnie wlała na poduszkę i sapała mi prosto w twarz. Odsunęłam się od pudlicy i powiedziałam z wyrzutem:

– Fuj, Cherry, nie czyścisz zębów, nie używasz stymorolu, za to lubisz surowe mięso, nic dziwnego, że przyśniła mi się cuchnąca pantera. Złaż stąd!

Usiłowałam zepchnąć sukę, ale nawet nie drgnęła. Nagle coś miękkiego, ale zarazem ostrego musnęło mój prawy policzek. Spojrzałam w bok. To Soames wyciągniętą łapą z na wpół wysuniętymi pazurami trącał mnie w twarz. No jasne, dziewczęta zapomniały nakarmić kota i teraz stworzenie domaga się jakiejś stawy. Soamesa mało obchodzi, że budzik pokazuje drugą w nocy. Usiadłam, potem wstałam, ziewnęłam i powiedziałam:

– Soames, chodź do kuchni.

Kot posłusznie podreptał za mną. Psy nadal spokojnie spały w gabinecie. Ziewając spazmatycznie, otworzyłam opakowanie whiskasu – gęsinę z wątróbką. Soames niechętnie popatrzył na brązowe grudki i odwrócił się.

– Och, ty świntuchu! Budzisz człowieka w środku nocy i jeszcze grymasisz? No już, jedz!

Ale kot ze wstrętem okrążył parę razy talerzyk, po czym zaczął „zakopywać” pożywienie łapą. Nasza Kleopatra postępuje tak samo z popielniczką pełną petów.

– Dobrze, kolego, nie chcesz, to nie jedz, ale nic innego nie ma, będziesz musiał przejść na własny wikt, zacznij polować na myszy, podobno to najlepiej zbilansowane pożywienie dla kotów. Białko, tłuszcze, węglowodany, wapno i mikroelementy.

Kontynuując rozmowę z kotem, wzięłam wybredne stworzenie na ręce, weszłam do sali sprzedaży, wróciłam, żeby zamknąć drzwi do piwnicy i poczułam na sobie czyjeś spojrzenie. Ten, kto będąc nocą sam w domu, przebudził się kiedyś nagle z uczuciem niepojętego lęku, z pewnością mnie zrozumie. W pomieszczeniu nikogo nie powinno być, a jednak czyjaś obecność jest wyraźnie wyczuwalna. Żeby dodać sobie odwagi, powiedziałam głośno:

– Wszystko to bzdury, Soames, jesteśmy sami – po czym odwróciłam się i ze strachu wypuściłam kota z rąk.

W kącie, między stelażami z rosyjską poezją XIX wieku i klasyką powieści stała zjawa. Cała w bieli, spowita z głową w obszerny całun.

– O Jezusie – wyszeptałam, czując, jak ziemia usuwa mi się spod nóg – o Jezusie najśłodszy!

Przybysz z tamtego świata rozsunął nieco fałdy szaty, ukazując prawą dłoń, a raczej to, co kiedyś nią było. Białe kości palców. Był to widok tak potworny, że dosłownie zmartwiałam. Kłykcie emanowały bladozieloną poświatą, a na jednym połyskiwał ogromny pierścień – krwawoczerwony kamień w topornej, ciężkiej złotej oprawie.

Paraliżujący strach trzymał mnie w lodowatych okowach. Boże, co robić? Zdaje się, że w podobnych okolicznościach należy zmówić *Ojciec nasz*, ale ja – o wstydzie – pamiętam zaledwie te dwa słowa, zresztą w ogóle nie znam żadnych modlitw. Ach, dlaczego byłam taka

głupia i nie słuchałam babci, która usiłowała mnie ich nauczyć? Co teraz począć? W mojej głowie natychmiast ożyły wszystkie historie o duchach, znane z literatury. Tam bohaterowie skutecznie radzili sobie w podobnych sytuacjach, pokazując zjawie krzyż lub kropiąc ją wodą święconą. Ja jednak nie miałam na podorędziu ani jednego, ani drugiego.

Drżącymi rękami obmacałam ladę, o którą się oparłam całym ciężarem, gdy nogi się pod mną ugięły ze strachu, natrafiłam na dwa pozostawione przez ekspedientki długopisy, skrzyżowałam je, podniosłam do góry i wezwałam ducha do odwrotu:

– Zgiń, przepadnij, proszę cię.

Wszakże odrażająca istota wydała dziwny, przypominający chrząknięcie odgłos, odgarnęła drugą połę całunu i spod niego wysunęła się lewa dłoń, także ozdobiona pierścieniem, tyle że kamień w nim był nie czerwony, lecz zielony.

– U-u-u – zawyło widmo i chwiejnie ruszyło w moją stronę, rozczapierzywszy kości palców. – U-u-u...

Wierzcie mi, nigdy jeszcze nie pędziłam z taką szybkością. Obalając po drodze stelaże, pudełka i jakieś kije czy laski, które nie wiadomo skąd się tu wzięły, dopadłam do guzika alarmu i wcisnęłam go z całej siły. Zaraz zjawi się patrol milicji. Chociaż – na zdrowy rozum – co mogą uzbrojeni w pistolety faceci zrobić z widmem? Zwykle kule duchów się nie imają, podobno zjawy można trafić tylko srebrnymi. Chociaż nie, to chyba chodzi o wampiry. Trzęsąc się ze strachu, szarpałam zasuwę, chcąc wyjść na zewnątrz.

W jednej chwili wybiegłam na styczniowy mróz i momentalnie zaczęłam dygotać. W podobnej reakcji organizmu nie było zresztą nic niezwykłego. Termometr wskazywał minus piętnaście stopni, a ja stałam na chodniku w krótkiej, sportowej trykotowej koszulce, bez rajstop i bielizny. Na nogach miałam tylko cieniutkie baletki, które mają wierzch z atlasu, a podeszwy z kartonu.

Mimo to za żadne skarby świata nie wejdę z powrotem sama do księgarni. Będę tu stać, zamarzną jak generał Karbyszew, zamieniając się w lodową statwę, ale przestąpię próg sklepu jedynie w eskorcie milicjantów.

Usłyszałam zbliżający się samochód – od strony Sadowego Kolca nadjeżdżał właśnie biało-granatowy, niemal rozlatujący się gazik. Wóz zahamował koło mnie i ze środka wysiedli dwaj gliniarze – jeden zupełnie młody, drugi koło czterdziestki.

Starszy przedstawił się bez entuzjazmu:

– Kapitan Dmitrij Jurjewicz Sołowjow.

– Bardzo mi przyjemnie – odparłam, przytrzymując rękami koszulkę, którą złośliwy wiatr usiłował zarzucić mi na głowę. – Daria Iwanowna Wasiljewa, albo po prostu Dasza, kierowniczką księgarni.

– Co się stało?

– Po sklepie chodzi duch.

Młody funkcjonariusz, usłyszawszy moje oświadczenie, zachichotał, ale Sołowjow natychmiast zwarzył mu dobry nastrój:

– Idź, Pawłucha, i sprawdź.

Paweł zniknął w głębi sklepu.

– Pani też niech wejdzie – polecił Dmitrij Jurjewicz. – Dlaczego jest pani goła, bez ubrania?

– Spałam.

– W księgarni?!

– Tak.

– Dlaczego?

– U nas w domu wysiadła instalacja elektryczna... – zaczęłam chaotycznie wyjaśniać sytuację.

Sołowjow wepchnął mnie do sklepu.

– No, Pawłucha, co tam?

– Nikogo nie ma! – odrzyknął skądś z boku chłopak. – Tylko książki są porozrzucane i kot siedzi, olbrzymie kocisko, morda jak u naszego majora.

– Kot panią przestraszył – podsumował sprawę kapitan.

– Nie, trzymałam Soamesa na rękach.

– Kogo?

– Kot wabi się Soames.

– No, sama pani widzi, że w lokalu nikogo nie ma.

W tej samej chwili na piętrze rozległ się łoskot. Sołowjow bez słowa wbiegł schodami na górę. Ja wcisnęłam się między stelaże. Ciekawe, dlaczego ochrona przeciwpożarowa wciąż jest taka niezadowolona i żąda, by zwiększyć odstęp między półkami? Jak widać, jeśli trzeba, doskonale można się tu zmieścić.

– Dario Iwanowno – krzyknął Sołowjow – proszę na górę, do pani gabinetu!

Czując, że nogi mam jak z waty, pośpieszyłam spełnić polecenie.

– Dario Iwanowno – uprzejmie powiadomił mnie Dmitrij Jurjewicz – tutaj również nie ma nikogo.

– Ale hałas...

– Jeden z psów przewrócił krzesło.

– Widziałam na własne oczy coś białego...

Paweł machnął ręką w stronę biurka.

– No, jak człowiek tyle wyłopie, to i Marsjanina może zobaczyć.

– Pan sugeruje, że jestem pijana?

– Przecież butelka tu stoi.

– Wypiłam dosłownie jeden łyżeczek.

– Łyczek jak słoiczek – rzekł z naciskiem kapitan. – Pół litra obalić, no, no, mają te kobity zdrowie, a potem nawet ich głowa nie zaboli.

Oburzona tymi niesmacznymi uwagami spojrzałam na biurko i zamarłam. Butelka była pusta.

– Nic nie rozumiem! Nalałam sobie tyle, co na dno filiżanki... Gdzie się podział koniak?

Pawlik w zamyśleniu podrapał się po głowie.

– Sam nieraz budzę się rano, spojrzę na flaszkę i własnym oczom nie wierzę – czyżbym ja sam to wszystko wychlał?

– Dobra – zamknął sprawę Sołowjow. – Wszystko jasne, idziemy, Pawłucha.

– Ale duch...

Nagle kapitan położył mi rękę na ramieniu. Przez cienki materiał poczułam, jaką ma gorącą dłoń, i nagle zadrzałam.

– Kobieta z ciebie jak się patrzy, Dasza – rzekł z uznaniem Dmitrij Jurjewicz – wszystko na swoim miejscu: nogi, pupa jak z obrazka, przepraszam, że mówię tak po prostu, nie owijam w bawełnę, ale chodzi o to, żeśmy się zrozumieli. Widzisz, ja i Pawlik też cholernie lubimy dać sobie w szyję, tyle że nie pijemy koniaku, bo to nie na naszą kieszeń, ale czyściochę.

– Otóż to – podjął wątek Paweł – pod śledzika, ogóreczek...

– No właśnie – Sołowjow podniósł palec do góry – koniecznie z zagrychą i w dobrym towarzystwie, a ty sama żłopiesz, i to pod manufakturę.

– To znaczy jak? – spytałam oszołomiona.

– Zwyczajnie – objaśnił Pawlik – walniesz kielicha i wączasz rękaw.

– Dobrze ci radzę – ciągnął Sołowjow – rzuć gorzałę, bo za dwa miesiące już nie duchy będą ci się zwidywać, ale diabły cię pogonią.

– Zielone – uzupełnił Paweł. – Mam sąsiada, chlał, chlał, aż dostał delirki, i wyskoczył z czwartego piętra. Trup na miejscu.

– A w ogóle znajdź sobie normalnego faceta – pouczał mnie dalej kapitan – i wszystko będzie w porządku! No, daj słowo, że ostatni raz tak popłynęłaś.

Świadoma absurdalności całej sytuacji, posłusznie skinęłam głową.

– Przyrzekam, nigdy więcej.

– No to świetnie – ucieszył się Sołowjow. – A więc tak. Nie będziemy pisać oficjalnego raportu. Zrobimy inaczej. Powiemy, że poszłaś w nocy do toalety i pomyliłaś przycisk alarmu z wyłącznikiem światła. To się zdarza.

– Nawet bardzo często – uściślił Paweł.

– No, czyli przyjechaliśmy na wezwanie, upewniliśmy się, że wszystko w porządku, i wróciliśmy do bazy. Tak?

Kiwnęłam potakująco, czując zdradliwe drżenie w kolanach. Sołowjow, widząc, w jakim jestem stanie, rzekł z wyrozumiałym uśmiechem:

– Uspokój się, wszystko sprawdziliśmy. To koniak tak ci pomieszał rozum, w sklepie nikogo nie ma.

Zeszliśmy na parter.

– Będziesz z tym miała kupę roboty. – Paweł pokiwał głową. – Zanim to wszystko poustawiasz na miejscu, już ranek nastanie.

Schylił się i podniósł ciężki tom.

– Dinozaury! Córka od dawna mnie prosi o tę encyklopedię, ale za Boga nie uzbięram takiej forsy. Drogie cholerstwo.

– Weź – zaproponowałam. – Zrobisz prezent córeczce.

– O, piękne dzięki – ucieszył się milicjant.

– A ja mogę wziąć tę? – Sołowjow pokazał *Sto lat kryminalistyki*.

– Bierz.

Gdy uradowani funkcjonariusze wychodzili na ulicę, rozległ się pisk sygnalizatorów magnetycznych.

– Całkiem jak jacyś złodzieje. – Sołowjow roześmiał się i przykazał: – Teraz dobrze się zamknij i do roboty.

Zasunęłam rygiel, na wszelki wypadek zapaliłam wszystkie światła i zaczęłam porządkować bałagan w sklepie. Ręce machinalnie wykonywały konieczne czynności, głowa odmawiała posłuszeństwa – wołałam nie myśleć.

Około ósmej rano skończyłam rozstawiać książki, potem wyprowadziłam psy, dałam im jeść i poszłam do gabinetu, żeby wreszcie zająć się sobą.

Punktualnie o dziesiątej wpadła do mnie Ała i rozrzewniła się:

– Och, Hootchuś, mój kochany...

Po czym moja zastępczyni chwyciła pieska na ręce i wyniosła do siebie. Ałoczka podobała mi się coraz bardziej. Miła, życzliwa, niekonfliktowa, uwielbiała zwierzęta, potrafiła też utrzymać właściwy dystans między sobą a podwładnymi. Dziewczęta nie bały się jej, ale ją szanowały. Ponadto Ała przychodziła do pracy pierwsza, a wychodziła ostatnia. Doprawdy nie rozumiałam, o co podejrzewała ją Lena, ale coś musiało być na rzeczy, skoro postanowiła powierzyć stanowisko kierowniczkę nie jej, lecz mnie. Prawdę mówiąc, żadna ze mnie szefowa. Któryś już dzień z rzędu wychodzę z pracy, zostawiając wszystkie sprawy na głowie Ały, a wieczorem tylko podpisuję papiery, które podsuwa mi moja zastępczyni. Trzeba przyznać, że jak dotąd ani słowem nie napomknęła, że obciążam ją dodatkowymi obowiązkami. Przeciwnie, na jej twarzy zawsze gości uśmiech. Czasem spotyka się takich życzliwych, ciepłych ludzi, którym sprawia radość pomaganie innym. Może zaproponować Ałoczce rekompensatę pieniężną? Jej pensja jest o wiele niższa od mojej, a pracy Ała ma co najmniej dwa razy tyle. Nie, to nie wypada. Moja zastępczyni gotowa się obrazić. Trzeba to załatwić inaczej. Wkrótce wróci z Tajlandii Lena, a wtedy zarekomenduję Ałę na stanowisko szefowej...

– Dario Iwanowno – wsunęła głowę Swieta – przyszła ta... no, ta, co wczoraj chciała buchnąć książki. Ojej, co tu u pani tak dziwnie pachnie?

– Dziwnie? Czym?

– No – spieszyła się ekspedientka – jakby bimbrem?... U nas na wsi dziadek raz upuścił w ogrodzie na grządki kanister z samogonem, wszystko się wylało, klął na czym świat stoi! A śmierdziało całkiem tak jak tu, ziemią i gorzałą.

– Zaraz zejdę – powiedziałam.

Swieta wycofała się. Wstałam i podeszłam do doniczek. Kaktusy i fiołki alpejskie stały sobie spokojnie w ceramicznym korytku. Ziemia była wilgotna. Nie mam dobrej ręki do kwiatów, zawsze mi usychają, chyba po prostu dlatego, że zapominam je podlewać. Od chwili mojego pojawienia się w księgarni nieszczęsne rośliny nie dostały ani kropli wody, ale wyglądały zadziwiająco świeżo. Gdyby mnie nie dawano pić przez kilka dni, na pewno leżałabym już słaba i ledwo żywa, tymczasem fiołki kwitły sobie jakby nigdy nic; kaktusom, jak wiadomo, jest wszystko jedno. Marnie wyglądała tylko palma w niewielkiej kadzi, chociaż, o dziwo, ziemia z daleka także wyglądała na wilgotną.

Podeszłam, dotknęłam podłoża w paru miejscach, potem nachyliłam się i powąchałam ziemię w donicy. Ostry zapach alkoholu buchnął mi w nos. Ktoś podlał nieszczęsną palmę francuskim koniakiem; pusta butelka po nim stoi na moim biurku.

## Rozdział 14

Okolo pierwszej, ulokowawszy stoisko z pocztówkami w dogodnym miejscu, poinformowałam Ałę:

- Muszę wyjść.
- Oczywiście – odparła z uśmiechem – nie krępuj się.

Wsiadłam do peugeota i wybrałam numer Diny, zawistnej przyjaciółki nieżyjącej Nadi Kołpakowej.

- Słucham – odezwała się rozespanym głosem.
- Przepraszam, obudziłam panią?
- Nie ma co przeproszać, skoro już wyciągnęła mnie pani z łóżka – burknęła Dina.

No cóż, jeśli mając trójkę dzieci i męża alkoholika, wstaje co dzień o tej porze, kiedy inni siadają do obiadu, trudno się dziwić, że znalazła się w tak oplakanej sytuacji.

- O co chodzi? Kto mówi? – wściekała się Dina.

– Nazywam się Daria, przyniosłam pani pieniądze od Nadi, spotkałyśmy się w kawiarni, jadłyśmy paszteciki i ciastka...

- I co z tego?
- Czy chciałaby pani dostać sto dolarów?
- Tylko głupi by nie chciał.
- W takim razie umówmy się.
- A co trzeba zrobić za tę forszę? – zaniepokoiła się.
- Nic nadzwyczajnego.
- Ale konkretnie?
- Chodzi o zwykłą rozmowę. Odpowie mi pani na parę pytań.
- Jakich pytań?
- Dotyczących Nadi Kołpakowej i jej brata Aloszy.

– No-o, to mogę zrobić – łaskawie zgodziła się Dina. – Chociaż o Aloszkę lepiej byłoby zapytać moczymordę.

- Kogo?
- Mojego mężulka, Olega, to on się z nim kolegował. Obaj nie wylewali za kołnierz.



– Mąż w domu?

Dina prychnęła.

– I tak, i nie. Śpi, spił się. Tak że jest obecny ciałem, ale co do reszty... Wczoraj wyniósł ostatnich sto rubli na wódkę, więc panine baksy bardzo się przydadzą. Proszę przyjechać. Przejazd Łomakiński dziewięć.

Bez przeszkód dotarłam pod podany adres. Na dole zobaczyłam duży sklep, więc pamiętając, jak żarłocznie pochłaniała Dina wypieki w kawiarni, wstąpiłam tam i kupiłam drożdżówki i ciastka.

Mieszkanie Diny pamiętało lepsze czasy, kiedyś było z pewnością eleganckie i zadbane. Tu i ówdzie pozostały jeszcze ślady dawnej świetności. W dużym, przestronnym holu stał pochodzący z pewnością z antykwariatu ciemny dębowy wieszak z mosiężnymi haczykami, a meble kuchenne także były drogie i nowoczesne. Ale okna nie myto tu chyba od kilku lat, zasłony – z dobrej jakościowo tkaniny – wyglądały na brudne, a oszklone szafki świeciły pustkami. Z wyposażenia technicznego pozostała jedynie lodówka. Nie zauważyłam ani toster, ani mikrofalówki, ani telewizora, chociaż niedawno musiał tu jeszcze być. Pod ścianą stał specjalny stolik, sterczała wtyczka anteny i leżał pilot. Wszędzie panował straszliwy brud. Wykładzina pod stołem była popielata, ale koło kuchenki miała kolor asfaltu. Zlew zawałowała sterta brudnych garnków, patelni i talerzy. Najwyraźniej nie myto naczyń od tygodnia, a może i dłużej. Karaluchy za to czuły się bardzo swobodnie. Para wąsatych prusaków śmigła po kuchence, pięć innych osobników wędrowało dziarsko w zlewozmywaku.

Rozejrzałam się po całym tym beznadziejnym bałaganie, ostrożnie położyłam paczki z ciastkami na stole i zapytałam:

– A gdzie są pani dzieci? Przyniosłam im coś słodkiego.

– W przedszkolu tygodniowym. – Dina lekceważąco machnęła ręką.

– Ale przecież dzisiaj sobota!

– No i co z tego? – Kochająca mamusia wzruszyła ramionami. – Nie musi się ich zabierać.

W przedszkolu? Ależ to więzienie! Widocznie moja mina mówiła sama za siebie, ponieważ Dina zaczęła pośpiesznie wyjaśniać:

– Po co mam je brać? Czy tu, w domu, będą miały lepiej? O proszę, nawet chleba brakuje, głowa człowiekowi puchnie od myślenia, skąd wytrzasnąć parę groszy, żeby im chociaż kaszy ugotować, a tam dostaną jeść cztery razy dziennie, wyśpią się i w ogóle personel się nimi zajmie. Ja się do tego nie nadaję, zszarpało mi nerwy pijaństwo męża, o byle co wybucham, lepiej, jeśli dzieci będą na razie poza domem.

Zaczęła pochlipywać, skubiąc brzeg brudnej ceraty na stole.

– A skąd pani w ogóle bierze pieniądze? Pracuje pani?

– Oleg ma robotę.

– Jaka?

– Odgarnia śnieg, wzięli go na dozorcę.

– A pani?

– Ja?!

– Pani.

– Nie rozumiem – oburzyła się Dina. – Ktoś przecież musi zająć się domem i wychowywać dzieci. Bądź co bądź, jest ich trójka. Chwili spokoju nie ma. Pranie, sprzątanie, gotowanie. Gdzie tu czas na pracę?

Przemilczałam słowa, które cisnęły mi się na usta. Tak leniwą babę widziałam po raz pierwszy. W domu nie ma ani kopiejki, a ona gnije w betach do pierwszej, i to w brudzie po uszy, zamiast wstać wcześniej, posprzątać, umyć naczynia i pędzić do pracy. To nieprawda, że w Moskwie nie można znaleźć roboty. Tak, synekura, gdzie pensja leci w dolarach i w dodatku nie trzeba się specjalnie namęczyć, nie trafia się łatwo ani często. Ale jeśli człowiek ma nóż na gardle, najmie się do każdego zajęcia. Przy wejściu do supermarketu, gdzie kwadrans temu kupowałam ciastka, wisi ogromne ogłoszenie: „Potrzebna sprzątaczką”. Kobiety do mycia podłóg poszukiwano także w piekarni, drzwi w drzwi z tym sklepem. Ale Dina nie miała ochoty uwijać się z wiadrem i szmatą, o wiele wygodniej było „pożyczać” od litościwych znajomych, wyrzekając na ciężki los żony alkoholika.

– Wszystko mnie boli – skarżyła się – w żołądku pali, wątroba gniecie. Lekarz mówi, że to nerwica. Powinam się leczyć, wyjechać na odpoczynek, zdrowo się odżywiać, wie pani, owoce, witaminy, no i oczywiście pozytywne emocje. Ciekawe tylko, skąd je czerpać?

Siedziałam, zaciskając zęby. Milcz, Dario, ani słowa, musisz dobrze do siebie usposobić to ohydne babsko, bo w przeciwnym razie nic nie wyjdzie z twoich planów. Ale czułam przemożną chęć, żeby jej wygarnąć jak się patrzy.

– Sama pani widzi, z czego tu się cieszyć? – zakończyła z goryczą Dina i wstała gwałtownie.

Owionawszy mnie zapachem niemytego ciała i brudnych włosów, szeroko otworzyła drzwi do jednego z pokoi.

– Proszę, niech pani podziwia.

Rzuciłam okiem w stronę sypialni, zupełnie pustej. Nie było tu stołu, krzesel ani łóżka. Na podłodze walał się obszarpany materac, na którym bez prześcieradła, poduszki i kołdry leżał dość jeszcze młody człowiek w podartych dzinsach i znoszonym swetrze.

– Oto – wyjaśniła z satysfakcją Dina – moje największe szczęście i jedyna podpora, ukochany mąż, Oleg Rogow we własnej osobie. Śpi sobie i nic go nie obchodzi, a żona niech się zamęczy choćby na śmierć.

Facet nagle zajączkał cicho. Wstałam, weszłam do pokoju i pochyliłam się nad posłaniem. Oleg nie spał, był w fatalnym stanie. Błada, lepka skórę pokrywały grube krople potu, ciałem wstrząsały konwulsyjne dreszcze, między na wpół przymkniętymi powiekami połyskiwały białka. Od czasu do czasu z piersi nieszczęśnika wyrывał się jęk czy raczej cichy skowyt.

Przerażona, że zaraz umrze, chwyciłam za słuchawkę.

– Ej – osadziła mnie Dina – dokąd to pani chce dzwonić?

– Po lekarza.

– Do pijanego nie przyjadą.

– To specjalista od odtruwania alkoholików.

– Nie mam forsy na takie luksusy.

– Nie szkodzi, sama zapłacę.

– Lepiej niech pani ten szmal da mnie – ożywiła się Dina. – Po cholere marnować go na Olega, to wyrzucony pieniądz, jutro drań znowu się uchla!

Bardzo nie lubię pijaków, ale teraz obudziła się nagle w mojej duszy iskierka litości dla tego nieszczęsnego alkoholika. Biedak, że też musiał trafić akurat na taką koszmarną babę! Żeby pisma kobiece nie wiadomo jak się starały wbić swoim czytelniczkom do głowy prostą myśl, że mąż jest głową rodziny i jej podporą, nigdy mnie o tym nie przekonają. Oczywiście, to dobrze, jeśli mężczyzna potrafi zapewnić byt żonie i dzieciom, ale jeżeli nie... Musisz wtedy, moja droga, sama przejąć stery i poprowadzić rodzinną nawę. To twój obowiązek, twoja rola.

– Niech pani zmoczy ręcznik i wytrze mu twarz – poleciłam. – Lekarz przyjedzie za dziesięć minut.

– Jeszcze czego! – prychnęła Dina. – Ani myślę, sama go sobie wycieraj, skoroś taka litościwa!

Widząc, że dyskusja z ohydny babskiem do niczego nie doprowadzi, ruszyłam na poszukiwanie łazienki. Znajdowała się na samym końcu korytarza i stanowiła dziwaczne połączenie luksusu i ubóstwa. Jacuzzi z piękną baterią, lustro we wspaniałej ramie, umywalka na cokole i podłoga z marmurowych płytek. Przy tym jednak wszędzie widniały ślady zaschniętej pasty do zębów, resztki mydła, wały się jakieś szmaty, nie zauważyłam natomiast żadnych środków higieny czy kosmetyków. Na ładnej, lecz tragicznie brudnej półeczce stał samotnie krem Czarna Perła. Nie było nawet szamponu. Wyszukałam najmniej brudną szmatę, przypominającą ręcznik, zwilżyłam ją, wróciłam do pokoju i przetrłam nieszczęsnemu twarz. Mężczyzna nagle otworzył oczy, obrzucił mnie zamglonym spojrzeniem i wyszeptał:

– Źle ze mną. To koniec.

– Zaraz przyjedzie lekarz.

Mężczyzna wciąż patrzył na mnie dużymi brązowymi oczyma. Nagle przeszło mnie uderzające wrażenie. Oleg był podobny jak dwie krople wody do nieżyjącego Przystojniaka. Te same piękne, ciemnokasztanowe kędziory, tyle że brudne i rozczochrane, mocny męski podbródek, linia ust jakby narysowana ręką wytrawnego artysty, cienki, prosty nos, brwi biegnące ku skroniom, ogromne, bezdenne oczy i wysokie czoło myśliciela. Jeśliby go ogolić,

umyc i przebrać, stanąłby przed wami Aleksy Morozow, zmarły w 1990 na gruźlicę w obozowym lazarecie.

Podczas gdy lekarz krzątał się przy Olegu, chwyciłam Dinę za ramię.

– Kim jest dla pani Aleksy Morozow?

– Kto? – zdziwiła się baba. – Nie znam żadnego Morozowa.

– Czy pani mąż ma braci?

– Nie.

– A innych krewnych?

– Matkę, ojciec zmarł.

– Może miał wuja, stryja albo jakąś dalszą rodzinę?

Dina pokręciła głową.

– Nie. Teściowa jest kuta na cztery nogi i jej matka też taka była, nie to co ja, naiwniaczka. Kochana mamusia urodziła tylko jednego synka, a potem całe życie się skarżyła, jak trudno wychować dziecko. Spróbowałyby tak jak ja, aż troje wyprowadzić na ludzi...

– Konieczna jest hospitalizacja – oznajmił lekarz. – Tu, na miejscu, nie dam sobie rady.

– Niech pan go zabierze – zgodziłam się.

– Jeżeli go wezmę na oddział do Jegorowa, to wieczorem będzie jak nowy, ale to kosztuje pięćset dolarów.

Otworzyłam portmonetkę i wyjęłam zielone papierki. Na widok takiej kupy pieniędzy Dina aż poczerwieniała.

– Inny by się nie dał zabrać do szpitala – zaczęła zrzędzić – i dolary oddał żonie i dzieciom, a on chce na siebie całą forszę zmarnować.

Nie wytrzymałam dłużej i patrząc, jak sanitariusze wynoszą jęczącego Olega, powiedziałam:

– Przecież były czasy, kiedy pani mąż dobrze zarabiał, kupił to mieszkanie, meble...

Dina westchnęła.

– Tak, ale to nie trwało długo. Oleg to głupiec. Wiecznie wszystkim dookoła pożyczał pieniądze. Na przykład, Siemionowi. Tamten się przymierzał, żeby kupić mieszkanie, więc w te pędy do Olega i nic, tylko: daj, daj, za rok zwrócę co do grosza. Siemion otrzymał potrzebną sumę. Było to wiosną 1998 roku. W sierpniu rubel katastrofalnie stracił na wartości. Oleg nigdy już nie zobaczył swoich pieniędzy.

– Myśli pani, że tak było raz? – zrzędziła Dina. – Ale skąd! Andriejowi dał na samochód, Ańka wyciągnęła od niego forszę na otwarcie sklepu... Roztrwonił całą kupę docłów. I nikt, ale to nikt nie zwrócił długu. A dlaczego?

Wzruszyłam ramionami.

– Skąd mogę wiedzieć?

– Dlatego – pluła dalej złością Dina – że nie wziął od nikogo pokwitowania. Wciąż mu mówiłam: przyjaźń przyjaźnią, a z pieniędzmi trzeba ostrożnie. Ale nie, on się wściekał i wrzeszczał: „To moi przyjaciele, mam ich ciągnąć do notariusza?”. No i ci przyjaciele puścili go z torbami, a mnie teraz nawet widzieć nie chcą. Gdyby oddali pieniądze, żyłabym dziś jak królowa. Ale wszyscy wiedzą, że Oleg zapił się na amen. To dureń! Zawsze tylko wszystkim chciał pomagać...

– Aleksemu i Nadi też?

– Oczywiście! – prychnęła ze złością kobieta. – Zwłaszcza Loszce, przyjaźnili się jeszcze od szkolnych czasów. Ale Aleksy, chwała Bogu, przynajmniej nie naciągał go na pieniądze. Rznął panisko. Kiedy Oleg chciał mu dać trochę forsy, Loszka odmówił. Niby że jemu jałmużna nie jest potrzebna! Z głodu zdychał, ale trzymał fason. Tylko że mój nie dawał za wygraną. Wziął Aleksego do siebie do firmy, jakoś tak na wiosnę dziewięćdziesiątego ósmego, chyba w maju, a może w czerwcu, z pensją tysiąc baksów. No, czy nie idiota? I tak było ze wszystkim. Niech pani tylko posłucha, co się wydarzyło!

Dina głośno wydmuchała nos w szmatę, którą przyniosłam z łazienki, i cisnęła ją do kubła na śmieci.

– Śmierdzi, cholera, coś jakby rybą – burknęła.

No cóż, jeśli zamiast prac rzeczy, Dina je wyrzuca, trudno się dziwić, że w domu brakuje pieniędzy.

– Zrobił Loszkę swoim sekretarzem i wyjechali kiedyś w teren, służbowo...

Wyruszyli rano, około ósmej. Dinoczka cieszyła się, że męża do późnego wieczora nie będzie w domu. Nie trzeba gotować obiadu, można sobie leżeć i objadać się czekoladkami.

Do ósmej wieczorem Dina wylegiwała się w łóżku, bezmyślnie przerzucając się z jednego programu telewizyjnego na drugi, potem usnęła. Obudziła się około trzeciej w nocy i od razu się zorientowała, że męża nie ma. Choć leniwa, zerwała się z łóżka i rzuciła do telefonu, ale komórka Olega odpowiadała niezmiennie: „Abonent czasowo niedostępny, proszę zadzwonić później”.

Reszta nocy to był prawdziwy koszmar. Dinę dręczyły straszliwe wizje: oto stoi, z wyciągniętą ręką i gromadką dzieci, pod Dworcem Kazańskim, zebrząc o jałmużnę, a śpieszący się przechodnie mijają ją obojętnie. Wyobraźnia usłużnie podsuwała jej coraz bardziej przerażające obrazy. Oto eksmitują Dinę z mieszkania, a ona idzie gdzieś przed siebie, boso po śniegu; odziana w jakieś szmaty, grzebie po śmietnikach. Nie czuła w tych wizjach żalu po stracie męża, ubolewała tylko nad utraconym bezpowrotnie dobrobytem. W południe, gdy zdecydowała się w końcu zadzwonić na milicję, wrócił Oleg, zdrowy i cały.

– Gdzieś ty był? – Dina rzuciła się na niego z pięściami.

– Wyobraź sobie – zaczął niepewnie mąż – co się porobiło...

Sprawa okazała się banalnie prosta. Olegowi i Loszy zepsuł się samochód. Oleg był dobrym kierowcą, bardzo lubił prowadzić. Dlatego zawsze jeździł sam, nigdy nie miał szofera.

Załatwili wszystkie swoje sprawy do ósmej wieczorem, trochę się to przeciągnęło, o tej porze zamierzali już ruszać w drogę powrotną. Żeby zyskać na czasie, postanowili jechać inną trasą. Mijali jakieś osady, trochę błędzili, wreszcie trafili do wsi Kalinowe i... silnik zgasł. Zajrzeli pod maskę i stwierdzili, że sprawa jest poważna. Wysiadł przerywacz, trzeba go było wymienić. Ale skąd wziąć nowy o tej porze, wieczorem, do tego jeszcze na wsi? W dodatku komórka Olega się rozładowała, a Kołpakow nie miał telefonu. Młodzi ludzie próbowali dostukać się do paru domów, ale mieszkańcy wsi okazali się nastawieni nieprzyjaźnie. Nie wpuszczali ich za próg, burcząc zza drzwi:

– Nie ma co się włóczyć po nocy, już dziewiąta, wszyscy dawno śpią.

Na nieśmiałe prośby, żeby pozwolili chociaż zadzwonić, padała odpowiedź:

– Odbiło wam? A skąd niby mamy wziąć telefon? Gaz dopiero w zeszłym roku założyli.

Zdesperowany Oleg zapukał jeszcze do ostatniej chaty w szeregu przekrzywionych chałup i nieoczekiwanie usłyszał życzliwą radę:

– U siebie nie mogę was przenocować, nie ma miejsca, dzieciaki śpią na podłodze, ale idźcie do murowanego domu, do Natalii Siergiejewny Filimonowej. Ona ma telefon.

Oleg i Aleksy nacisnęli guzik domofonu i zostali powitani przez gospodynię bardzo życzliwie. Kobieta, dobrze już po czterdziestce, mieszkała samotnie w ogromnym domu, w podwórzu miała garaż, a w nim dobry, sprawny samochód. Loszka siadł za kierownicą, pojechał do Moskwy, przywiózł potrzebną część i zamontował ją. O pierwszej w nocy wóz był gotowy do dalszej jazdy.

– Więc dlaczego wróciłeś dopiero teraz? – spytała Dina wściekła.

– Natalia Siergiejewna źle się poczuła, coś z sercem – wyjaśnił mąż – nagle zbladła, omal nie straciła przytomności, więc postanowiliśmy zostać. Kobieta mieszka sama, gdyby się coś stało, nawet nie byłoby komu wezwać pogotowia!

Dina posiniała ze złości, zapytała jednak męża:

– A dlaczego nie zadzwoniłeś do domu, skoro był tam telefon?

– Myślałem, że śpisz – spokojnie odpowiedział mąż. – Nie chciałem cię budzić.

Dinoczka zaczęła histerycznie tupać i z wściekłości stłukła drogą chińską wazę.

– No tak, to cały ty! Martwisz się o obcą babę zamiast o mnie. Dobrze sobie! Ja tu konam ze strachu, miejsca sobie znaleźć nie mogę, a on się przejmuje jakimś starym pudłem! Nie bój się, nie umarłaby. Myślałby kto, wielka rzecz, pompa jej nawaliła! Mnie też ciągle serce boli.

– Ale ona tak gościnnie nas przyjęła – usiłował się tłumaczyć mąż – nakarmiła, napoiła, pozwoliła wziąć samochód i nie zażądała ani kopiejki. Jak można było tak ją zostawić?

– Zwyczajnie – wściekała się Dina. – Pomyśleć o żonie i czym prędzej wrócić do domu.

– Zamknij się! – rzucił mąż i wyszedł do sypialni.

Dina nie zwykła jednak odpuszczać Olegowi tak łatwo. Po paru minutach wpadła do pokoju z niezłomnym postanowieniem kontynuowania awantury do zwycięskiego końca i zobaczyła męża śpiącego na łóżku, w dżinsach i swetrze. Już miała zrzucić Olega na podłogę, ale wtedy właśnie zadzwonił telefon, więc musiała podnieść słuchawkę.

- Dina – odezwał się Losza – poproś Olega.
- Twój szef już chrapie w najlepsze – burknęła wściekła.
- To nie budź go – wycofał się Aleksy. – Jest bardzo zmęczony.
- A coście robili w nocy?
- Reperowaliśmy samochód, ledwie się wyrobiliśmy.

Dinoczka nie odmówiła sobie drobnej złośliwości:

- A gospodyni wam nie pomagała?
- No coś ty! – Losza roześmiał się. – To prawdziwa dama. Podjęła nas kolacją, a potem poszedłem spać.

- Wzywaliście do niej lekarza?
- Po co? – zdziwił się rozmówca.
- Rozumiem – wycodziła przez zęby Dina. – Wszystko jasne.

Aleksy, pojawiwszy, że niechcący wsypał przyjaciela, szybko jął wyjaśniać:

- Wiesz, na pewno, kiedy spa...

Ale Dinoczka, cisnąwszy słuchawkę na podłogę, już pędziła do sypialni. Zepchnąwszy Olega z szerokiego łóżka, zaczęła wrzeszczeć:

- Bydlak, łobuz, kłamca! Nie chciało ci się jechać po ciemku!
- Zwariowałaś?
- Świnia!
- Kretynka!
- Idiota!
- Histeryczko, zamknij się wreszcie, ale już!

– A figę! – krzyknęła Dina i podsunęła mężowi pod nos złożone w figę palce. – Spróbuj tylko mnie uciszyć!

Tak doszło do bijatyki. Oleg, wymierzywszy żonie parę policzków, sam podrapany w odwecie ostrymi paznokciami Diny, złapał torbę i pojechał do matki. Małżonkowie kłócili się już wcześniej, ale taka awantura wybuchła po raz pierwszy. Dinoczka nawet się przestraszyła, czy nie przegięła pałki, może Oleg zażąda rozwodu... Ale w końcu mąż wrócił i przez jakiś czas wszystko było jak dawniej. No a w sierpniu nastąpił krach finansowy i szczęście pękło niczym bańka mydlana.

## Rozdział 15

Do księgarni przyjechałam około czwartej i od razu zauważyłam tłum kłębiący się u wejścia.

– Proszę pani – rzucił się ku mnie jakiś dwunastolatek – niech mnie pani weźmie!

– Co tu się dzieje?

– Księgarnia zorganizowała konkurs – poinformował chłopczyna i błyskawicznie zaatakował mężczyznę w skórzanym płaszczu. – Proszę pana, proszę pana, niech pan poczeka!

Spojrzałam na wywieszoną kartkę. „Uwaga, uwaga! Każdy, kto kupi dziś w «Kramie» książkę i prawidłowo odpowie na pytanie, otrzyma nagrodę”. Pod spodem widniało pytanie: „Kto jest autorem poematu *Eugeniusz Oniegin*?”.

Weszłam do sklepu, zobaczyłam, że klientów mamy dwa razy więcej niż zwykle, i ujęłam za ramię zarumienioną Swietę.

– Kto wpadł na ten kretyński pomysł?

– Szura – odparła dziewczyna i odwróciła się do kobiety w zielonej kurtce. – Tak, każdy otrzyma nagrodę, pani też. Proszę przejść do kasy.

– Jaką nagrodę? – Nie bardzo rozumiałam, o co chodzi.

– Pocztówkę okolicznościową – wyjaśniła Swieta – na dwudziestego trzeciego lutego i ósmego marca, Dzień Kobiet. Oczywiście, do tych świąt jeszcze daleko, ale przecież kartka pocztowa jeść nie woła, może poleżeć.

– Tylko że...

– Ja nic nie wiem – wykręciła się Swieta – to wszystko wymyśliły Szura i Ała Siergiejewna, proszę mieć pretensje do nich, tyle że...

– Co?

– Sprzedałyśmy wszystkie buble, dziewczyny już z nóg padają, ludzie u nas są strasznie pazerni, poczuli darmochę, więc zaczęli się pchać jeden przez drugiego.

Ruszyłam na poszukiwanie Ały, ale moja zastępczyni jakby się pod ziemię zapadła. Musiałam więc zapytać Szury:

– To twój pomysł?



– Dobry, co? – Dziewczyna aż przytupywała z zadowolenia. – Niech pani zobaczy, prawie wszystkie pocztówki poszły. I dla was zysk, i mnie się pofarciło, ubiliśmy jednym strzałem dwa zające.

– A jaką ty masz z tego korzyść? – zdziwiłam się. – Rozdajesz towar za darmo...

– Oj, nie mogę! – Szura zachichotała. – Pani to zupełnie jak te zakute łby klienci! Przecież za każdą książkę liczymy teraz akurat o tyle więcej, ile kosztuje pocztówka, i od razu ją im dajemy. Ludzie nie mogą zrozumieć, że nie ma nic za darmo. Kupują zestaw: książka i pocztówka, i są przekonani, że kartkę dostali za frajer. No, czy to nie cyrk?

– Dlaczego pytanie jest takie łatwe?

Szura aż się zgięła w pół ze śmiechu.

– A jakie ma być? Specjalnie wymyśliłyśmy takie, żeby każdy znał odpowiedź.

– No, no! – rzekłam z podziwem. – Masz głowę do interesów. Prawdziwa z ciebie bizneswoman.

– To jeszcze nic! – Szura machnęła ręką lekceważąco. – Wymyśliłam coś lepszego, później pani powiem.

Spojrzałam na jej podnieconą, rozradowaną minę. No cóż, jeden cel został osiągnięty. Dziewczyna jest najwyraźniej zadowolona i pełna twórczych pomysłów. Żenia Beton powinien być mi wdzięczny.

Przygryzając wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, stanęłam koło jednej z kas. Kolejka wiała się jak wąż. Co za spryciara z tej Szury! Chociaż nie wiem, czy miałyśmy prawo podwyższać ceny książek. Ale Ała chyba się na tym zna...

– Komu trzeba podać odpowiedź? – zapytała rzeczowo jakaś jedenastolatka.

– Mnie – powiedziała Lila, wkładając książki do reklamówek. – Słucham, kto napisał Eugeniusza Oniegina?

– Gogol – oświadczyła z przekonaniem uczennica.

Lila zdumiała się, a potem pokręciła głową przecząco.

– Nie.

– Aha! – pisnęła druga dziewczynka, w czerwonej czapeczce. – Głupia jesteś, Lenka, mówiłam ci sto razy, że Lermontow! Lermontow! A ty nic, tylko Gogol i Gogol! Jeżeli chcesz wiedzieć, to on w ogóle nie pisał wierszy, tylko jest autorem komedii *Mądremu biada*, no wiesz, w której ta, jak jej tam, zakochała się w facecie i spędziła z nim noc w jednym pokoju. A jej ojciec wpadł w szal i wyrzucił wszystkich z domu!

Tak swobodna trawestacja sztuki Gribojedowa poruszyła mnie do głębi; Lila też się uśmiechnęła.

– Mylicie się obie. To nie Lermontow i nie Gogol. Idźcie do działu poezji rosyjskiej, znajdźcie Eugeniusza Oniegina i zobaczcie, kto jest autorem.

– Ale nie dostaniemy nagrody! – zaniepokoiły się znawczynie literatury.

– Dostaniecie, tylko musicie podać prawidłową odpowiedź.

– Dasza! – To Ała dotknęła mojego rękawa.

– Tak?

– Chodź, przygotujemy stół.

– Po co?

– Przecież dziś sobota.

– No to co?

– U nas zwykle w wolne dni odbywają się spotkania z autorami.

– Po co?

Ała westchnęła ciężko.

– Z różnych powodów, przede wszystkim dlatego, żeby sprzedać jak najwięcej książek. Ludzie mogą zobaczyć pisarza na własne oczy i rzucają się po autografy.

– A co autor z tego ma?

– Nic oprócz sławy. – Ałoczek uśmiechnęła się. – Wiesz, jak niektórzy uwielbiają robić wokół siebie wielki szum, zresztą dzisiaj sama się przekonasz. Będzie u nas po raz pierwszy Inga Popowa.

– W życiu o niej nie słyszałam.

– Spójrz tam, w dziale „Zdrowie” stoi dziesięć jej książek.

Rzuciłam okiem we wskazanym kierunku.

– Nie widzę tam nikogo poza Elsinor Debois.

– To właśnie ona.

– Kto?

– Inga Popowa – cierpliwie tłumaczyła Ała. – To jej pseudonim, rozumiesz?

– Chyba tak.

– No to świetnie. O piątej poznasz ją osobiście. Jeśli mogę dać ci dobrą radę, nie kryguj się specjalnie przed tą znachorką. Ty jesteś jej potrzebna o wiele bardziej niż ona tobie.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Jeśli nie weźmiesz jej książki od hurtownika, będzie po wieki wieczne zalegać w magazynie. Zachowuj się z godnością.

Za dwadzieścia piąta wokół stolika, na którym umieszczono informację: „Księgarnia «Kram» prezentuje dziś książkę Elsinor Debois *Droga do siebie*”, już tłoczyli się czytelnicy. Parę minut po piątej zjawiała się również sama autorka w obszernym futrze z norek.

– Muszę się rozebrać – oświadczyła, nawet się nie witając z Ałą.

– Proszę na górę, do gabinetu kierowniczkini – rzekła ta z uśmiechem.

– Nie pójdę – oznajmiła Popowa – to za wysoko, utracę po drodze *in*.

– Co takiego? – zapytałam. – Co pani utraci?

Inga pogardliwie wykrzywiła wargi.

– Oczywiście, pracuje pani w księgarni, a więc nic pani nie czyta. *In* to energia, która ginie, kiedy kobieta wchodzi po schodach. Stopnie mają ostre kanty, a wszelkie kanciaste

przedmioty, w których powierzchnię ustawione są wobec siebie pod kątem, działają agresywnie na czakrę płci, rozumie pani?

– Więc co robić? – zapytała niepewnie Ała, odbierając z rąk autorki wydzielające słodkawą woń futro.

Inga zmrużyła mocno umalowane oczy.

– Pani na przykład cierpi na zapalenie przydatków albo mięśniaki.

Ała spurpurowiała.

Autorka mruknęła:

– Wszyscy to samo. Dobrze radzę, proszę nigdy nie wchodzić po schodach.

– Ale jak się dostać do domu? – zapytałam.

– Trzeba korzystać z windy.

– Tyle że do klatki schodowej czy wejścia też często prowadzi parę stopni.

– Należy je przeskoczyć z rozbiegu.

– Mieszkam w czteropiętrowym domu – szepnęła Ała.

– A więc trzeba wzmocnić czakrę za pomocą odpowiedniej diety.

– Jakiej?

– Podpiszę tylko swoim fanom książki i wszystko wyjaśnię – obiecała Inga.

Po takim wstępie spodziewałam się po niej wszelkich możliwych dziwactw, ale ona zachowywała się najzupełniej normalnie. Półtorej godziny ucziwie przesiedziała przy stole, rozdając autografy i miłe uśmiechy. Co prawda, od czasu do czasu nagle ściągała brwi, kładła prawą dłoń na brzuchu i szybko coś mruczała pod nosem, jakby słowa modlitwy, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Herbatę podałyśmy w pokoju wypoczynkowym. Żeby się tam dostać, trzeba pokonać trzy schodki. Autorka westchnęła głośno i przeskoczyła je. Podłoga zaskrzypiała, popularna propagatorka zdrowego życia była osobą przy kości, musiała ważyć około osiemdziesięciu kilo. W ślad za nią skokiem pokonała schodki Ała.

– Oj – jęknęła – skręciłam sobie nogę!

– To nic, przyzwyczai się pani – zlekceważyła sprawę Inga.

Usiadłyśmy przy stole.

– Słuchajcie – nakazała autorka i zamilkła.

My również zachowałyśmy pełne szacunku milczenie. Po pięciu minutach nie wytrzymałam:

– Proszę coś powiedzieć.

– Po co? – Inga uniosła brwi: – O czym miałybyśmy tu rozmawiać?

No cóż, najwidoczniej szacowna dama uciekła z wariatkowa, chociaż może wszystkie osobowości twórcze bywają tak zakręcone?

– Obiecała pani opowiedzieć o dziecie – nieśmiało przypomniała Ała.

– Przecież mówiłam, żebyście słuchały!

– Ależ pani cały czas milczy. – Zaczynała mnie już drażnić.

– Nie mnie należy słuchać.

– A kogo?

– Swojego ciała.

Wymieniłyśmy z Ałła spojrzenia.

– No dobrze, wyjaśnię to – poddała się Inga. – Siadamy przy stole i w myślach wznosimy się ku najwyższemu centrum energii, zwanemu egregorem. Prosimy go: „Przeznacz nam wizję pokarmu!” – i patrzymy, na przykład, na te kanapki z suchą kiełbasą. Organizm sam nam podpowie, jak postąpić: Spróbujmy zrobić to razem.

Wpatrzyłam się w kromki chleba, obłożone kiełbasą z białymi drobinkami tłuszczu. Nie lubię wędlin, zawsze mam po nich zgagę.

– No proszę – obwieściła Inga. – Pani kierowniczką już wie, że kiełbasa nie jest dla niej odpowiednim pokarmem.

Przesunęłam spojrzeniem po stole. Kanapki z serem też nie wyglądały zachęcająco. Wezmę cukierka.

– Proszę to odłożyć – ostro nakazała autorka.

– Dlaczego?

– Czekolada to trucizna sporządzona wedle przepisu samego szatana...

– Ale mój organizm podpowiedział mi, żebym zjadła trufkę.

– Pomylił się. Trufle czekoladowe są groźniejsze niż jad żmii.

– Nie mam ochoty na nic innego!

– Diabeł wodzi panią na pokuszenie – podsumowała Inga. – Wielka jest moc szatana, ale musi się pani jej sprzeciwić. Chociaż istnieje lepszy sposób, żeby sprawdzić, czy pokarm będzie pani służył, czy też należy od razu go wyrzucić.

– Jaki? – zaciekawiła się Ałła.

– Proszę zdjąć z palca obrączkę.

– Nie jestem mężatką. – Ałłoczka znów się zaczerwieniła.

– Dobrze, może być pierścionek, lepiej bez kamienia, o, ten będzie w sam raz. Teraz proszę przynieść nici.

Ałła pobiegła na górę i po chwili podała autorce szpulkę. Inga uwiązała pierścionek na nitce i podniosła nad kanapkami.

– O wielki egregorze, powiedz, czy to pokarm dla mnie?

Pierścionek zaczął zataczać kręgi.

– No – z satysfakcją oznajmiła Inga – lepiej się nawet do niego nie zbliżać.

– Mogę też spróbować? – nieśmiało zapytała Ałła.

Po chwili pisnęła zdumiona:

– Ojej, samo się kręci!

– Naturalnie – przytaknęła Inga. – Jasna sprawa. Niech pani w ten sposób testuje każdy pokarm. W ciągu paru miesięcy nie będzie śladu po mięśniakach, zapaleniu przydatków i innych dolegliwościach. Istnieje zresztą cały system oczyszczania organizmu, uwalniania go od zanieczyszczeń.

Westchnęłam. Któregoś dnia moja przyjaciółka Oksana, która jest chirurgiem, oświadczyła rozdrażniona:

– Cała ta gadanina o zanieczyszczeniach w ludzkim organizmie to kompletne bzdury. Człowiek to nie piec hutniczy.

Dlatego z dystansem odnoszę się do haseł w rodzaju: „Należy oczyścić organizm”. Ała jednak słuchała z płonącymi uszami.

– A jak można się dowiedzieć o nim czegoś więcej? – zapytała.

– Proszę kupić moją książkę *Poza granicami pragnień* i przeczytać uważnie – zaleciła Inga. – Macie ją u siebie w księgarni.

Ała skinęła głową potakująco.

– W takim razie proszę ją przynieść, wpiszę pani dedykację. Mój autograf jest zresztą w prostej linii związany z kosmosem, może pani przykładać stronę, na której go złożę, do bolących miejsc, dolegliwości zaraz miną jak ręką odjął.

Ała wybiegła do sali sprzedaży. Zostałam sama z Ingą.

– Przepraszam, nie wie pani, skąd się biorą duchy? – zagadnęłam ją.

– To jedna z emanacji człowieka, która nie ulega zniszczeniu po jego śmierci.

– Dlaczego?

– Ponieważ zostawił tu, na ziemi, na tym świecie, jakieś niedokończone sprawy. Na przykład dzieje się tak wtedy, gdy matka zginie, a dziecko nadal żyje. Albo gdy dusza nie spełniła w całości swego programu. Wie pani, dlaczego wszystkie religie świata potępiają samobójstwo?

– Uważają, że to grzech...

– Ale czemu?

– Nie wiem.

Inga położyła rękę na brzuchu, zaszeptała coś i odpowiedziała:

– Dusza pojawia się na świecie, by wypełnić określony program. Jeżeli człowiek samowolnie przerwał swoje istnienie, zostaje skazany na wieczną egzystencję w niższych kręgach, bez możliwości podniesienia się w górę, by połączyć się z egregorem. Takimi błędnymi duszami są właśnie samobójcy i niepogrzebani po chrześcijańsku zmarli.

– A w jaki sposób się uwolnić od takiego ducha?

– No-o – mruknęła Inga – to niełatwa sprawa. Najpierw trzeba się dowiedzieć, czego on chce.

– Ale jak to zrobić?

– Zapytać. Po prostu zagadnąć go wprost: „Czego ci potrzeba? Chrześcijańskiego pochówku? Zemsty?”.

– I on odpowie?

– W większości wypadków tak bywa. A potem należy spełnić jego życzenie. I w ten sposób uwolnić się od natrętnego widma.

Moje wątpliwości nie zostały do końca rozwiane, ale właśnie padła podniecona Ała. Inga złożyła podpis na jej egzemplarzu. Potem wtargnęła cała gromada ekspedientek, które także pragnęły mieć autograf Ingi. Posiedziałam jeszcze chwilę, po czym wymknęłam się niepostrzeżenie. Miałam nadzieję, że całe zamieszanie wkrótce się skończy, a ja spokojnie położę się spać, gdyż jutro zamierzałam znowu wybrać się do Kalinowa. Musiałam jeszcze raz pogadać z żoną alkoholika Ziną.

## Rozdział 16

W niedzielę księgarnia była otwarta do szóstej. Około jedenastej zeszłam do sali sprzedaży i ujrzałam niezwykle podnieconą Szurę, która toczyła jakiś spór ze Świętą.

– Z prawej – mówiła ekspedientka.

– Z lewej – upierała się Szura.

– Z prawej.

– Z lewej.

– O co chodzi? – zapragnęłam się dowiedzieć. – O co się sprzeczacie?

– A, główkujemy, z której strony ustawić automat – wyjaśniła Szura.

– Jaki automat?

– Ale bomba! – zachwyciła się Święta. – Niech pani popatrzy.

I podsunęła mi pod nos pocztówkę. Spojrzałam na nią i przeczytałam:

„Z okazji urodzin najserdeczniejsze życzenia miłości i szczęścia przesyła...”. Zamiast podpisu widniała podobizna Hootchusia.

– Co to ma być? – zdziwiłam się.

– Super – zachwyciły się dziewczyny. – To specjalny aparat, niech pani zobaczy.

Obie chwyciły mnie za ręce i zaciągnęły do metalowej skrzynki, w której mrugały kolorowe żaróweczki.

– Tutaj wkłada pani kartkę, do tego okienka przybliża pani twarz i gotowe – ma pani wspaniały prezent za parę kopiejek!

– Ale co ma z tym wspólnego Hootchuś?

– Wypróbowałyśmy na nim, jak to działa, a teraz zrobimy zdjęcie pani.

– Nie chcę.

– No, Dario Iwanowno, kochana – nalegały dziewczyny – bardzo prosimy. Tu jest pocztówka!

Musiałam się poddać.

– Niech pani stanie na stołeczku – szepnęła Święta. – To specjalnie dla osób niższego wzrostu.

Postanowiłam się nie obrażać, wgramoliłam się na podwyższenie, oparłam podbródek na zimnym metalowym występie i zapytałam:

– A jak Hootchuś tu dosięgnął?

– Wzięliśmy go na ręce – wyjaśniła Szura.

Rzeczywiście, na wszystkie pytania istnieją proste odpowiedzi. Wewnątrz urządzenia coś zabuczało, błysnęło i rozległ się cichy szelest.

– Niech pani bierze, szybko – ponagliła mnie Szura. – Pocztówka już wyjechała.

Wzięłam do ręki sztywny kartonik. „Kochanej Mamie najserdeczniejsze życzenia w Dniu Kobiet przesyła...”. Pod napisem wydrukowanym złożonymi czcionkami widniała moja podobizna. Krótkie włosy sterczące w nieładzie, oczy wytrzeszczone, jeden kącik ust opuszczony.

– Trzeba tu będzie powiesić napis: „Prosimy o szeroki uśmiech” – westchnęła Swieta. – No, czy to nie *cool*? Każdy, kto kupi pocztówkę, będzie mógł bezpłatnie zrobić sobie taką fotkę.

– Bezpłatnie? – zdziwiłam się.

Szura uśmiechnęła się chytrze.

– Tak, tylko że będzie musiał wybrać którąś z tych kart. Zobaczyłam półeczkę zastawioną pocztówkami droższymi o dziesięć-piętnaście rubli niż kartki w stoisku.

– Skąd taka cena?

Swieta zachichotała.

– Te pocztówki są lepszej jakości. Inne nie nadają się do automatu.

I obie z Szurą wybuchnęły śmiechem.

Westchnęłam. Od dziś już nigdy nie kupię w sklepie żadnego zestawu w rodzaju: dwa mydełka toaletowe i do tego na dokładkę gąbka w prezencie. Bo przecież za każdym razem, kiedy człowiek widzi napis „bezpłatny upominek”, ręka sama się wyciąga w tę stronę.



## Rozdział 17

Do Kalinowa przyjechałam około drugiej. Wyjęłam z bagażnika ogromny tort, ozdobiony koszmarnymi różyczkami z tłustego kremu, i zapukałam do drzwi Ziny.

– Otwarte – usłyszałam głos ze środka.

Weszłam i omal się nie udusiłam przy pierwszym oddechu. Na małej werandce, służącej jednocześnie jako kuchnia, panował straszliwy smród. Cuchnęło czymś niesamowitym; jeszcze nigdy dotąd moje powonienie nie zetknęło się z podobnym „aromatem”. Zina, mieszkająca w garnku jakąś mało apetyczną strawę, zapytała zdziwiona:

– To pani? Dzień dobry. Stało się coś?

– Nie – wzruszyłam ramionami – po prostu zdecydowałam się kupić dom, spodobał mi się, no i przyjechałam się rozmówić.

Zina zdjęła z haczyka ścierkę, przetrzała taboret i zaprosiła:

– Niech pani siada, jedną chwileczkę, tylko wyniosę karmę dla świń na podwórze, żeby przestygła.

Zręcznym ruchem chwyciła ohydnie cuchnący cebrzyk za ucha, pchnęła tylną częścią ciała drzwi i w zdeptanych kapciach na gołych nogach i cienkiej perkalowej podomce, spocona, wybiegła na styczniowy mróz. Przez szczelinę wdarł się powiew świeżego powietrza.

– No – zagadnęła Zina, wróciwszy ze dworu – o czym chce pani rozmawiać? Przepraszam, będziemy musiały zostać tutaj, bo w pokoju chrapie ten pijus, a smród tam! Może człowieka zemdlili, jak kto nieprzyzwyczajony.

Na werandzie także nie pachniało perfumami, ale Zinoczka widocznie już tego nie czuła.

– To do herbaty – powiedziałam, stawiając na stole barbarzyńską, kremowo-biszkoptowo-cykatową wspaniałość.

– Ale cudo! – zachwyciła się Zina, zdejmując pokrywkę z tekturowego pudła. – Aż szkoda kroić.

Jednakże nałożyła każdej z nas po kawałku. Odważnie spróbowałam ohydnej jasnożółtej cieczy, którą gospodyni podała jako herbatę, zaczęłam rozmowę.

– Bądź co bądź, nie co dzień człowiek kupuje dom.

– Jasna sprawa.

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o sąsiadach...

– No – zaczęła wyliczać Zina – z lewej mieszkają Rybinowie, chleją strasznie, ale są spokojni, nigdy się nie awanturują, wytrąbią wodę do dna i walą się spać jak kłody. Następna chałupa należy do Lenki Melentjewej, ta mieszka sama...

Dziesięć minut słuchałam najzupełniej zbędnych informacji na temat okolicznych wieśniaków, po czym ostrożnie sprowadziłam rozmowę na inne tory.

– Natalia Filimonowa nie miała rodziny?

– Była sama jak palec – rzekła z westchnieniem Zina. – To aż dziwne, nigdy nie przyjeżdżali do niej żadni goście w odwiedziny, żyła jak pustelnica. Czasami tylko jeździła do Moskwy, do fryzjera.

Zapytałam czujnie:

– A w jakim zakładzie się czesała, nie pamięta pani?

Zina roześmiała się.

– Pewnie, że pamiętam. Nazywa się „Błękitny Kwiatusek”. Natalia Siergiejewna raz zabrała mnie tam ze sobą.

Tamtego dnia Zina przyszła jak zwykle posprzątać i poprosiła Natalię Siergiejewnę:

– Czy mogłabym dzisiaj trochę wcześniej wyjść? Po południu. Jutro odpracuję.

– A co się stało? – zainteresowała się Natalia.

– Dziś są moje urodziny, chciałabym pojechać do Moskwy i zrobić ondulację u fryzjera – wyjaśniła Zina.

Natalia Siergiejewna uśmiechnęła się.

– No to życzę wszystkiego najlepszego, ale nic nie wiedziałam o urodzinach i nie przygotowałam prezentu. Chociaż... Wiesz co, pojedziemy razem, zaprowadzę cię do swojego fryzjera, sama też już powinnam coś zrobić z włosami.

Kiedy weszły do salonu fryzjerskiego, Zina zamarła z wrażenia. Było tam niby w jakimś pałacu – wszędzie wokół marmury, złocenia, lustra. Kobieta czuła się skrepowana, wstydziła się odświętnej wprawdzie, ale znoszonej sukienki, rozdeptanych butów i zgrubiałych od pracy rąk. Ale fryzjerki traktowały ją jak najlepszą klientkę i Zina aż zaniemówiła, gdy ujrzała ostateczny rezultat ich zabiegów. Jeszcze pół roku później włosy, choć już dawno odrosły, wciąż same pięknie się układały po myciu. Tak że dostała od Natalii Siergiejewny wspaniały prezent urodzinowy.

– I naprawdę nigdy nikt jej nie odwiedzał?

– Nie przypominam sobie. – Zina pokręciła głową. – Chyba tylko jeden raz. To już dawne dzieje, mogę opowiedzieć, zesłłym razem jakoś się nie zgadało.

– Krewni, tak?

Zina uśmiechnęła się.

– Nie. Natalia Siergiejewna była bardzo dobra, litościwa. Wszyscy ze wsi do niej biegali prosić o pieniądze, a ona zawsze dawała. Wciąż jej mówiłam, żeby tego nie robiła, bo i tak co do kopiejki przepiją, ale ona zawsze powtarzała:

– Nie daję przecież dużo, ot, parę groszy.

Zinę złościło postępowanie Natalii Siergiejewny. Dobrze bowiem wiedziała, że miejscowi, nisko się kłaniający Filimonowej, witają kobietę uśmiechem i przypochlebnie tytułują swoją „dobrodziejką”, a za plecami szydzą z bogaczki, nazywają ją głupią babą, idiotką, która nie potrafi liczyć własnych pieniędzy.

Któregoś dnia Zina przysłała do pracy i ze zdziwieniem zobaczyła na podwórzu nieznanego samochód. Jeszcze bardziej się zdumiała, ujrawszy w domu dwóch obcych mężczyzn, najspokojniej pijących w jadalni kawę. Natalia Siergiejewna sama usmażyła im jajecznicę. Około jedenastej młodzi ludzie zaczęli się zbierać do wyjścia. Kobieta zęgnęła się z nimi jak z bliskimi ludźmi. Chociaż nie, było trochę inaczej. Uściskała i ucałowała jednego z nich, ciemnowłosego, przytuliła go i powiedziała:

– No, bądź zdrow, spotkanie z tobą jest największym szczęściem, jakie mnie spotkało w życiu. Ale nigdy już nie przyjeżdżaj, to wszystko ułuda, miraż, przywidzenie.

Młodzi ludzie wsiedli do samochodu i ruszyli. Niepomierne zdumiona Zina zapytała:

– To pani krewni?

Natalia Siergiejewna, stojąc w zamyśleniu przy oknie, szepnęła tylko cicho:

– To był duch, przybysz z tamtego świata.

– Kto? – zdumiała się Zina, upuszczając ścierkę.

Filimonowa drgnęła i jakby wróciwszy skądś, z daleka, powiedziała:

– Przepraszam cię, Zina, zamyśliłam się i gadam głupstwa. W ogóle nie znam tych młodych ludzi. Zastukali do mnie wczoraj wieczorem, poprosili o nocleg. Zepsuł im się samochód.

– I pani ich wpuściła? – oburzyła się Zina. – Dwóch obcych mężczyzn, ot, tak, z ulicy? Jak tak można, Natalio Siergiejewno?

– A cóż to takiego? – Gospodyni wzruszyła ramionami. – Sympatyczni, kulturalni ludzie, mieli spędzić noc na dworze?

– Przecie to mogli być bandyci – nie mogła się uspokoić Zina – mordercy, zboczeńcy!

– Nie sądzę, żeby mi coś groziło. – Natalia uśmiechnęła się. – Zresztą nic się nie stało.

– Bardzo panią proszę, żeby pani więcej czegoś takiego nie robiła – powiedziała Zina. – Ludzie dziś zupełnie zdiczeli, to nie to, co kiedyś. Potrafią udusić za parę podartych skarpetek, a u pani w domu pełno jest przecież różnego dobra – naczynia, ozdoby, srebro stołowe. Nawet gdy weszli bez złych zamiarów, dużo nie potrzeba, żeby wyjąć nóż, poderznąć gardło i zrabować, co się da.

– Nie – sprzeciwiła się Natalia, znów utkwivszy zamglone spojrzenie w okno – Aleksy nie mógłby mi wyrządzić krzywdy, specjalnie przyszedł, przysłał go...

Zina zerknęła z niepokojem na Natalię Siergiejewną. Żeby tylko z tej samotności i nieustannego czytania książek coś jej się w głowie nie przestawiało!

Filimonowa odeszła wreszcie od okna, westchnęła i powiedziała:

– Ty tutaj sprzątaj sobie spokojnie, a ja tymczasem pojedę do fryzjera.

– Ale po co, przecież ma pani świetną fryzurę!

Natalia znów spojrzała w okno. Zina nie wytrzymała i też podeszła do parapetu. Strasznie ją zaintrygowało dziwne zachowanie pracodawczyni: czegoż to ona cały czas tam wypatruje? Ale za oknem nie dostrzegła nic niezwykłego. Przez szeroko otwartą bramę widać było drogę prowadzącą do lasu. Letnie słońce prażyło mocno, jakieś małe ptaszki wzbijały z ziemi obłoczki wyschniętego kurzu. Po błękitnym niebie leniwie przesuwały się białe poduchy obłoków; panowała szczególna, czerwcową cisza, która zapowiada upalny, duszny dzień.

– Co się dzieje z człowiekiem po śmierci? – spytała nagle z naciskiem Natalia Siergiejewna.

– To jasne, kładzie się go do trumny i sprawia pochówek – odpowiedziała zaskoczona Zina.

– A potem?

– Dusza albo ulatuje do raju, albo idzie do piekła – objaśniła kobieta i przeżegnała się.

– Wszystko zdarzyć się może... Gdy burza rozewrze przestworze i błysnie grom, ja nagle wejdę w dom. Kochana, uwierz mi, i w niebie znajdę drzwi, żeby się wymknąć stąd, ty tylko czekaj, w oknie stój – już wraca miły twój... – wyszeptła Natalia.

– Co pani mówi? – spytała oszołomiona Zina.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – odezwała się po chwili chlebodawczyni – przypomniał mi się jeden wiersz, mój mąż ułożył go przed śmiercią...

Zina znów się zdziwiła. Natalia Siergiejewna nigdy nie wspominała o mężu.

– No dobrze – Filimonowa odeszła od otwartego okna – pojedę do zakładu, do Mai. Powiedz, Zina, kiedy ci ciężko na duszy, też zaraz myjesz głowę?

– Nie, po prostu lubię sobie popłakać gdzieś w kącie. Mycie głowy to nie takie proste – trzeba przynieść wody, rozpalić w piecu...

Natalia Siergiejewna nic więcej nie mówiła i pojechała. Zina sprzątała dalej i w sypialni, na poduszce, znalazła krótkie czarne włosy, najwyraźniej nienależące do Filimonowej, która była blondynką. Zinoczka aż przysiadła na fotelu. A więc to tak! Gospodyni wpuściła gości nie tylko do swego domu, ale i do łóżka. Trudno sobie wyobrazić coś głupszego. Facet mógł być zarażony i zostawić na pamiątkę przygodnej kochance jakieś paskudne choróbsko. Że też Natalia Siergiejewna się nie bała! Nagle spojrzenie Ziny padło na fotografię, zawsze stojącą na nocnym stoliku przy łóżku, i kobieta aż krzyknęła. Mąż Natalii był podobny jak dwie krople wody do młodego ciemnowłosego mężczyzny, którego Filimonowa całowała na pożegnanie. Nic dziwnego, że Zinie się wydawało, iż widziała go już gdzieś wcześniej.

Chwyliła ramkę ze zdjęciem. Wiedziała, że na odwrocie jest data śmierci. Odchyliła ją: 1990 rok. Mężczyzna na fotografii wyglądał na starszego niż ten, który niedawno odjechał.

Nadal nic nie rozumiejąc, odstawiła zdjęcie na miejsce. Może ten, który tu dziś nocował, to syn zmarłego? Nie chcąc dłużej zaprzętać sobie tym głowy, Zina gorliwie zabrała się do sprzątania. Chlebodawczyni, naturalnie, o nic nie pytała. Łączyły je stosunki wprawdzie przyjazne, ale nie na tyle bliskie.

Jesienią Natalia Siergiejewna zmarła. Zina szczerze jej żałowała, zamówiła nawet nabożeństwo w cerkwi. Ona też musiała się zająć pogrzebem. Urna z prochami Natalii miała zostać złożona w grobie jej męża. Pieniądze na pochówek Filimonowa zostawiła w biurku. Wiedziała, że koniec jest bliski, i przygotowywała się na spotkanie ze śmiercią. Ofiarowała Zinie dużą sumę gotówką, a część pieniędzy zapisała jej w testamencie.

– Tylko pochowaj mnie po chrześcijańsku i koniecznie w grobie Aleksego – prosiła.

Zina była kobietą odpowiedzialną, uczciwą i wierzącą. Dlatego też zrobiła wszystko tak, jak sobie tego życzyła Natalia. Kupiła nawet skrzynkę wódki, nasmażyła blinów i sprosiła sąsiadów na stypę. Więcej nikogo na niej nie było. Potem Zina zadzwoniła pod podany numer i powiedziała:

– Natalia Siergiejewna kazała zawiadomić o swojej śmierci notariusza Bodrowa.

Nazajutrz przyjechał do Kalinowa mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, a z nim spadkobierca Filimonowej, Aleksy Kołpakow. Zobaczywszy go, Zina aż się wzdrygnęła. Był to jeden z młodych ludzi, którzy nocowali u Natalii, ale nie ten ciemnowłosy, tak łudząco podobny do jej zmarłego męża, tylko drugi, blondyn z perkatym nosem.

Prawdę mówiąc, Zina myślała, że krewnym gospodyni jest tamten, czarny, tymczasem okazało się, że ten. Wydawało jej się to dziwne, ale oczywiście, nic nie powiedziała. Papierkowe sprawy zostały załatwione jak należy i po pół roku Aleksy stał się pełnoprawnym właścicielem domu. Poprosił Zinę, by nadal tu wszystkiego doglądała, i powiedział:

– Przebudujemy go trochę i wprowadzimy się razem z siostrą.

Zinoczka nie sprzeciwiała się, nic jej zresztą nie upoważniało do zabierania głosu w tej sprawie. Tym bardziej że Losza zaproponował jej przyzwoite wynagrodzenie. Zina pojechała na cmentarz, postąpiła chwilę przy eleganckim nagrobku, na którym wykuto napis: „Śmierci nie ma, jest tylko moja miłość”, i uznała, że zrobiła wszystko, co do niej należy. Potem zmarł również Aleksy, a Nadia postanowiła sprzedać dom.

– Nie pamięta pani adresu tego salonu fryzjerskiego? – zapytałam.

Zina rozłożyła ręce.

– Tylko nazwę, „Błękitny Kwiatusek”. W środku wszystko było na niebiesko, fryzjerki też miały fartuszki w tym samym kolorze, jak niebo, i na piersi przypięte tabliczki z imieniem i namalowanym kwiatkiem – jedna z niezapominajką, druga z irysem, inne z chabrem, fiołkiem... Bardzo ładnie.

– A jak się nazywała fryzjerka Natalii Siergiejewny?

– Maja. Filimonowa zawsze mówiła: „Pojadę do Majeczki, ona ma ręce czarodziejki, nawet migrena przechodzi, kiedy umyje mi głowę”.

Zina umilkła, po chwili zagadnęła ostrożnie:

– A pani, gdyby kupiła dom, przywiezie kogoś do posługi?

– Na razie jeszcze nie jestem ostatecznie zdecydowana – powiedziałam.

Zinoczka westchnęła ze smutkiem.

– Jasne.

\* \* \*

Kiedy się już znalazłam poza Kalinowem, wyjęłam telefon i zadzwoniłam do informacji.

– Biuro informacyjne B-line – odezwał się miły dziewczęcy głos.

– Potrzebny mi adres zakładu fryzjerskiego „Błękitny Kwiatusek”.

– Proszę chwilę poczekać.

W słuchawce rozległy się dźwięki jakiejś smętnej melodii. Peugeot stał na poboczu, po obu stronach drogi ciemniał las. Zapadał wczesny zmierzch i nagle poczułam zimno i strach, gorzej, grozę. Zza drzew wypęła na szosę jakiś szary, skłębiony opar. Nie przejeżdżały żadne samochody. Na wszelki wypadek sprawdziłam, czy okna są szczelnie zamknięte, i usiłowałam się uspokoić. Nie ma się czego bać. Jest czwarta po południu. Mam sprawny wóz, telefon w ręce, żadnych ludzi nie widać, nikt nie zamierza na mnie napaść... A jednak strach oblepiał moje ciało niczym wilgotny całun.

Dygotałam z zimna, chociaż ogrzewanie włączone było na full. Powoli ruszyłam.

– Proszę notować – rozległ się głos w słuchawce. – „Błękitny Kwiatusek”, Profesorski Zaścianek numer dwa, telefon...

Lęk zniknął, zachciało mi się śmiać. Profesorski Zaścianek! Żeby tak nazwać ulicę! Ciekawe, gdzie to jest. Otworzyłam skrytkę, wygrzebałam plan miasta i zaczęłam sunąć po nim palcem.

Nagle od strony pobocza coś białego, straszego, nierozpoznawalnego z przeraźliwym szelestem pacnęło na przednią szybę. W samochodzie od razu pociemniało. Krzyknęłam ze strachu i zamknęłam oczy. Szelest nie milkł. Leciutko uchyliłam powieki i ujrzałam szarą szmatę, sunącą po szkle. Zjawa! Prześladowuje mnie teraz nawet w dzień!

Oszalała z przerażenia, dałam nura na tylne siedzenie, nakryłam się z głową leżącym tam kocem i wybrałam numer 02.

– Milicja, dwunastka słucha.

– Proszę mi pomóc, napadnięto mnie.

– Adres.

– Szosa koło Kalinowa.

– Słucham?

– Siedzę w samochodzie na szosie, przy skrócie na Kalinowo, ktoś próbuje się dostać do samochodu, błagam, pomóżcie.

– Zaraz przekażę – zapewniła dyżurna. – Proszę czekać, zamknąć wóz od środka i w żadnym wypadku nie otwierać drzwi. Czy napastnik jest uzbrojony?

– Nie wiem. Pomóżcie, szybciej, błagam.

– Patrol już jedzie.

Dyżurna rozłączyła się, ja się skuliłam pod kocem, który pachniał Hootchusiem; mops lubił się pod nim zakopywać, gdy jechał ze mną peugeotem. Zamknęłam oczy, z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk...

– Ej – usłyszałam nagle jak przez grubą warstwę waty – ej, proszę otworzyć, milicja.

Zerwałam się gwałtownie, dojrzałam majaczącą za szybą postać i opuściłam szybę.

– Sierżant Jeremiejew – przedstawił się znużonym głosem mężczyzna. – Co się stało?

– Zostałam napadnięta.

– Znaki szczególne?

– Nie widziałam.

– Może pani podać rysopis?

– Wysoki, szary, wypadł z lasu, rzucił się na przednią szybę i szeleścił.

Funkcjonariusz patrzył na mnie przez chwilę, po czym schylił się i podniósł duży, zawinięty w jakąś podartą plastikową płachtę pakunek.

– Tak szeleścił?

Rozległ się charakterystyczny, chrzęszczący odgłos. Popatrzyłam, jak facet mnie w rękach polietylenową folię, i zapytałam:

– Chce pan powiedzieć, że przestraszyłam się rozerwanego worka?

Milicjant skinął głową.

– Dwa kroki stąd jest wysypisko śmieci. Wiatr porwał worek, a potem cisnął nim o pani przednią szybę. Trzeba podleczyć nerwy, zażywać walerianę.

– Przepraszam...

– Zdarza się. – Sierżant obojętnie wzruszył ramionami.

– Naprawdę, strasznie mi wstyd, to okropne, że nie było żadnego napastnika!

– Przeciwnie. – Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując marnie zrobione koronki. – To akurat dobrze, że go nie było.

– Tak, przepraszam, plotę głupstwa.

– Ze strachu Bóg wie co się może przywidzieć – westchnął gliniarz. – Proszę spokojnie jechać.

No, no, jaki grzeczny. Podniesiona na duchu, ruszyłam przed siebie, z telefonem przy uchu.

– Salon „Błękitny Kwiatusek” – zaszczebiotał miły głosik.

– Zakład jest dzisiaj otwarty?

– Oczywiście.

– W niedzielę?...

– Naturalnie. Pracujemy codziennie, również w niedzielę i święta, od jedenastej do dwudziestej trzeciej. Wszystko dla klienta. Co tylko sobie pani życzy: strzyżenie, farba, modelowanie, manikiur, pedikiur, makijaż...

– Czy pracuje u państwa fryzjerka Maja?

– Wołkowa?

– Chyba tak.

– Bo są u nas dwie. Wołkowa i Radko.

Co za pech, to przecież w dzisiejszych czasach dość rzadkie imię, a tu w jednym zakładzie fryzjerskim zatrudnione są aż dwie Maje.

– Jedna z nich czesała moją przyjaciółkę, Natalię Filimonową, może się pani dowiedzieć, która?

– Oczywiście, proszę poczekać.

Usłyszałam szmery, trzaski, mamrotanie, po czym recepcjonistka poinformowała:

– Radko. Natalię Filimonową zawsze czesała Radko.

– Ja też chciałabym się do niej dostać.

– Kiedy?

Spojrzałam na zegarek.

– Dzisiaj, około wpół do szóstej, może być?

– Czekamy niecierpliwie – oświadczyła moja rozmówczyni zachwycona. – Czy ma pani kartę stałego klienta?

– Nie.

– W takim razie nie przysługuje pani zniżka.

– Nie szkodzi – zapewniłam ją. – Nie ma sprawy.



## Rozdział 18

Peugeot szybko sunął ulicami. Mam starą przyjaciółkę Katię Kozłową. Katuszka skończyła szkołę fryzjerską i wiele lat pracuje w swoim fachu. Wszystkie biegałyśmy do niej się czesać za studenckich lat. Katia nigdy nie chciała brać od nas pieniędzy, a tubki farby nie wiadomo dlaczego kosztowały u niej znacznie mniej niż w sklepie. Fakt, w tych dawnych czasach wiecznie brakowało mi forsy, a jako lektorka musiałam przyzwoicie wyglądać. No, wyobraźcie sobie, że na zajęcia ze studentami przychodzi jakiś strach na wróble w podartych rajstopach, wymiętej spódnicy, z rozczochranymi włosami, i palcem o obgryzionym, brudnym paznokciu pokazuje błędy w waszej pracy pisemnej. Słuchacze nie przepadają za takimi postaciami. Dlatego miałam zawsze nienaganną fryzurę i manikiur.

Dopiero teraz, gdy los pozwolił mi rzucić pracę i zacząć leniuchować, mogę sobie pozwolić na pewien luz, ale w czasach mojej kariery nauczycielskiej starałam się wyglądać i pachnieć najładniej ze wszystkich. Z włosami jednak zawsze miałam kłopot – są cienkie, łamliwe i zupełnie nieposłuszne. Żadne układanie czy zakręcanie się ich nie ima. Istnieje tylko jeden sposób, by nad nimi zapanować – strzyć się na chłopaka. Nie ma jednak fryzury, która stale wygląda jednakowo dobrze – musiałam więc co miesiąc ponawiać postrzyżyny. Przy długich włosach dodatkowy centymetr nie jest widoczny, przy krótkich już staje się problemem. O ile dobrze pamiętam, strzyżenie kosztowało wówczas pięć rubli. Była to dla mnie – zarabiającej ich zaledwie sto i samotnie wychowującej dziecko – ogromna suma. Tak więc Katia brała ode mnie pięćdziesiąt kopiejek, protestując, gdy chciałam jej wcisnąć różowy banknot.

– Głupstwo – mówiła z udawaną szorstkością. – Za takie piórka jak twoje wstyd więcej brać, przecież to nie włosy, tylko słoma, w dodatku tak ich mało, że pięćdziesiąt kopiejek to cena w sam raz. Idź lepiej do domu. Przyszłaś obsmyczna i obsmyczna wychodzisz. Tylko trochę wyrównałam te twoje kosmyki. Ale tak naprawdę po interwencji Katki moja głowa wyglądała doskonale. Arkaszkę moja przyjaciółka zawsze strzygła za darmo, zagadując go:

– Głupstwo, rach-ciach, i już mamy śliczną grzywkę.

Moja poczciwa Katiucha, odwiedzając nas czasem i stawiając na kuchennym stole tort, za którym Kieszka przepadał, ale który był absolutnie nie na moją kieszeń, wzdychała:

– Jestem wykończona, kochani, dosłownie mózg mi się gotuje, a uszy odmawiają posłuszeństwa.

– Co z tym mają wspólnego uszy? – zdziwił się pewnego razu siedmioletni wówczas Kieszka. – Przecież nożyce trzymasz w rękach. To one cię powinny boleć.

– Ręce na razie jakoś mi służą, tylko uszy puchną – skarżyła się Katia. – Każda klientka chce koniecznie wszystko o sobie opowiedzieć – ile miała skrobanek, gdzie ją boli, jakiego ma męża niedojdę. Znam całe życie tych bab od podszewki. Gadają, gadają jak najęte, nie uwierzycie, kochani, aż się człowiekowi w głowie od tego kręci. Po cholere mi wiedzieć, że ta ma syna narkomana, a szef tamtej to babiarz? Przyjdzie taka, usiądzie na fotelu, odpręży się i już zaczyna trajlować.

– Powiedz im, żeby się zamknęły – doradził Kieszka. – Niech trzymają języki za zębami.

Katierina tylko westchnęła.

– Nie mogę, zależy mi na klientkach, no to wysłuchuję tych bzdur.

W „Błękitnym Kwiatu” wszystko rzeczywiście było w kolorze niebieskim – umywalnie, fotele, stoliki i kitle fryzjerek. Maja Radko, kobieta mniej więcej w moim wieku, z miłym uśmiechem zapytała:

– Życzy sobie pani skrócić całość czy tylko tutaj troszkę wyrównamy?

Popatrzyłam na jej twarz, na której malował się wyraz zawodowej, usłużnej życzliwości, dostrzegłam zmęczenie w oczach i powiedziałam:

– Proszę mnie po prostu uczesać.

Jakieś dwadzieścia minut Maja wyczyniała różne cuda z moją głową, po czym podała mi niewielkie ręczne lustro, żebym mogła się obejrzeć z tyłu.

– Dziękuję, doskonale.

– Pani rachunek. – Maja podała mi kwitek.

Wyjęłam sto dolarów.

– Proszę do kasy.

– To dla pani. *Pourboir*.

– Przepraszam, ale przyjmowanie napiwków jest surowo zabronione.

– Majeczko – zapytałam – a czy może pani wypić ze mną kawę? Widziałam tu niedaleko, na rogu, przyjemną kafejkę.

Maja zapytała zdziwiona:

– Zaprasza mnie pani?

– Tego też nie wolno?

– Nie, dlaczego, zaraz się zwolnię na pół godzinki.

W kawiarence Maja zamówiła tylko sok, po czym powiedziała:

– Chciała się pani dowiedzieć czegoś ode mnie o Natalii Filimonowej, chyba się nie mylę?

– Tak, to prawda, ale jak pani na to wpadła?

Fryzjerka uśmiechnęła się.

– Doprawdy, nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby się tego domyślić. Najpierw recepcjonistka zawiadamia, że klientka chce się uczesać u fryzjerki, do której przychodziła Filimonowa, potem zjawia się pani z włosami, przy których nie ma nic do roboty, chce mi pani wcisnąć olbrzymi napiwek, a potem zaprasza mnie na kawę!

– Czy nigdy się nie zdarza, że klientki polecają panią znajomym?

– Nawet często – odparła spokojnie Maja – ale od śmierci Natalii Siergiejewny upłynęło dużo czasu, bardzo długo się pani wybierała.

Suwałam chwilę łyżeczką po stole, namyślając się.

– Dobrze, powiem pani prawdę. Poznajmy się. Prywatny detektyw Dasza Wasiljewa. Wynajęli mnie pewni ludzie, żeby wyjaśnić sprawę zabójstwa swojej krewnej. Trop doprowadził mnie do Filimonowej.

– Natalia Siergiejewna była bardzo przyzwoitą, kulturalną osobą – przerwała mi Maja. – Nie mogła być zamieszana w żadne przestępstwo.

Przypomniałam sobie sprawę Przystojniaka i okradzione przez niego przy współudziale Filimonowej głupie gęsi, ale nie chciałam opowiadać o tym wszystkim Mai.

– Tak, racja, Natalia Siergiejewna nie ma z tym nic wspólnego, muszę tylko wiedzieć, czy nie wspominała nigdy, że odwiedził ją duch. Rozumiem, że to brzmi idiotycznie, ale wydaje mi się, że Filimonowa mogła użyć właśnie któregoś z tych słów: duch, zjawa, widmo, przywidzenie, fantom, gość z zaświatów...

Maja skinęła głową.

– Tak, doskonale pamiętam, zjawiała się niezapowiedziana, okropnie wzburzona...

Maja, wzięwszy nożyce do ręki, zajęła się stałą klientką, ale ta nagle poprosiła cichym głosem:

– Proszę otworzyć okno, duszno tu jakoś.

Majeczka szybko włączyła wiatraczek i skierowała na Natalię strumień powietrza. Filimonowa przewróciła oczami i szepnęła:

– Wody, prędzej, słabo mi...

Wystraszona Maja rzuciła się do zbiornika, napełniła szklanekę i próbowała napoić Natalię, ale ta zaczęła się dusić. Zrobiło się zamieszanie, klientki nerwowo, jedna przez drugą, doradzały, co robić, pedikiurzystka przydźwigała butlę amoniaku, dwaj ochroniarze szybko wzięli Filimonową na ręce i zanieśli do pokoju wypoczynkowego dla personelu, gdzie stały kanapy. Majeczka zaczęła odruchowo porządkować swoje fryzjerskie narzędzia. W tej samej chwili wszedł z zaplecza kierownik administracyjny Siemion i z uśmiechem poinformował:

– Drogie panie, proszę zachować spokój. Nic się nie stało. Po prostu Natalia Siergiejewna dziś rano wróciła ze Stanów, lot, zmiana czasu, zmęczenie podróżą, wiadomo, źle się poczuła. To wszystko.

– Boże! – wykrzyknęła jedna z pań, której robiono manikiur. – Nic dziwnego, dwanaście godzin w pozycji siedzącej, dym papierosowy przedostaje się nawet do salonu dla VIP-ów. Zawsze, jak wracam z zagranicznych występów, jestem chora.

– Szkoda mówić – przytaknęła inna klientka, z farbą na włosach. – Chciałam raz zakosztować egzotyki i wybrałam się do Nepalu. Kraj jest, oczywiście, bardzo ciekawy, świątynie, zabytki architektury, muzea, ale jak sobie przypomnę lot w obie strony, skóra na mnie cierpnie.

Zaczęła się ożywiona wymiana zdań i doświadczeń, Siemion oddalił się niepostrzeżenie, spełniwszy swoją misję – zażegnał nieprzyjemne wrażenie, że stało się coś złego. Majeczka jednak wiedziała, że nie powiedział prawdy. Natalia wcale nie była w Stanach.

Ułożywszy równo nożyce i grzebienie na blacie, Maja poszła do pokoju wypoczynkowego. Filimonowa leżała na kanapie, blada, niemal sina. Obok stali dwaj mężczyźni w białych fartuchach i Siemion.

– Co z nią? – cicho spytała go Maja.

– Gwałtowny spadek ciśnienia – poinformował lekarz. – Za chwilę wszystko będzie w porządku.

Natalia zobaczyła Majeczkę i uśmiechnęła się.

– Siemionie, czy Maja może przy mnie posiedzieć? Odpocznę chwilę i pojedę.

– Pani życzenie jest dla mnie rozkazem – odparł z galanterią Sienia.

– Dobrze by zrobiła pacjentce herbata z cukrem i cytryną – powiedział lekarz na odchodnym.

– Za chwilę przyniosę – zaofiarowała się Maja i wyszła do kuchenki.

Ale Natalia Siergiejewna nie miała ochoty na herbatę.

– Po prostu przy mnie posiedź, Majeczko.

– Niech pani wypije chociaż łyżeczek – namawiała fryzjerka.

Naprawdę lubiła Filimonową. Natalia Siergiejewna była miłą kobietą. Do „Błękitnego Kwiatuszka” przychodziły tylko zamożne damy. Strzyżenie kosztowało tutaj tyle, że za taką sumę zwykła rodzina mogłaby przeżyć miesiąc. Dlatego w zakładzie podstawową zasadą było spełnianie wszelkich zachcianek klientek.

Wiele pań, gdy tylko znalazły się na fotelu, zaczynało kaprysić. Ta żądała jednorazowego peniuaru, tamta poduszcзки pod plecy. „Duszno tu, proszę otworzyć okno”, „Moja droga, tak się dziś pani wyperfumowała, że aż mnie rozbolała głowa”, „Ręce pani śmierdzą rybą”, „Proszę tak nie szarpać!”. Różne rzeczy słyszała Maja od antypatycznych klientek. Co prawda, zdarzały się i inne. Siadały w fotelu i z miłym uśmiechem mówiły:

– Moja kochana, proszę robić, co się pani podoba.

A potem zaczynały pytlować, zalewając fryzjerkę potokiem informacji na temat swoich przyjaciółek, mężów, teściowych i szefów.

Majeczka sama nie wiedziała, który gatunek jest gorszy – arogantki czy rozszczebiotane słodkie idiotki. Natalia Siergiejewna jednak nie należała do żadnej z tych kategorii. Zawsze zachowywała się bez zarzutu. Nawet kiedy raz Maja niechcący drasnęła ją nożycami, Natalia uspokoiła wystraszoną fryzjerkę:

– Nic nie szkodzi, proszę się nie przejmować, jutro już nie będzie śladu.

Nigdy też nie wprowadzała Mai w swoje osobiste sprawy. Oczywiście, gawędziła z fryzjerką, ale rozmowa najczęściej dotyczyła pogody, modnych fryzur i strojów. Dlatego teraz, kiedy Natalia źle się poczuła, Maja naprawdę szczerze się zmartwiła. Jej troska nie była udawana.

Filimonowa wyjaśniła:

– Po prostu przeżyłam wczoraj szok, stąd to zasłabnięcie. Sama dobrze wiem, dlaczego zrobiło mi się słabo.

– Spotkało panią jakieś nieszczęście?

– Sama nie wiem, jak to nazwać – powiedziała Natalia. – Może przeciwnie, szczęście.

– Jak to? – zdziwiła się Maja. – Omal pani nie straciła przytomności ze szczęścia?

– Niektórzy ludzie ze szczęścia nawet umierają. – Natalia uśmiechnęła się lekko. – Pracowałam kiedyś w Związku Kompozytorów jako sekretarka. Boże, to było tak dawno, jakby w innym życiu... A więc pewien twórca, starszy już człowiek, mniejsza o nazwisko, jest zbyt znane, zmarł w swoim gabinecie, na kanapie, w ramionach kochanki. Ileż było wokół tego szumu...

Majeczka uśmiechnęła się.

– Słyszałam o takich wypadkach. Przeważnie przytrafia się to starszym mężczyznom, którzy biorą sobie młodziutkie kochanki, chcą się przed nimi popisać i wyprawiają różne sztuczki w łóżku, a wszystko kończy się wylewem albo zawałem. Kobietom takie rzeczy się nie zdarzają, bo są mniej aktywne, nie angażują się tak w sprawy seksu.

– Jest pani zamężna? – spytała nagle Filimonowa.

Maja tylko machnęła ręką.

– I co z tego? Już trzeci raz, a szczęścia ciągle nie widać. Pierwszy mój ślubny małżonek pił, drugiemu tylko baby były w głowie, a obecny ma wszystko gdzieś. Siedzi całymi dniami w swoim instytucie naukowo-badawczym za trzysta dwadzieścia rubli miesięcznie. Śmiech powiedzieć. Nic nie robi, cały czas grają w szachy z kolegami. Ale za to jakie ma wyobrażenie o sobie! Jak tylko coś jest nie tak, od razu słyszę: „Ja przynajmniej zrobiłem doktorat, a ty jesteś po zawodówce, nawet ogólniaka nie skończyłaś”. Cała ta miłość to zwykłe bajki. Nic takiego nie istnieje.

– Nie ma pani racji – cicho powiedziała Natalia. – Miłość istnieje, w każdym razie ja ją przeżyłam, to było wielkie uczucie. Z powodu Aloszy zerwałam z rodzicami, porzuciłam męża i uciekłam z ukochanym. Był ode mnie o wiele młodszy, a mnie się wciąż wydawało, że

jestem jego córką. Świata nie widziałam poza nim, tylko on się dla mnie liczył, mój jedyny. Mądry, odważny, dzielny, szlachetny. Byliśmy jak Bonnie i Clyde. Widziała pani ten film?

Maja skinęła głową. Nie bardzo pojmowała, co ma na myśli Natalia Siergiejewna. Przecież Bonnie i Clyde to historia o parze kochanków, którzy byli groźnymi przestępcami.

– Przez cały czas mnie osłaniał – ciągnęła niezbyt zrozumiale Natalia. – Wszystko wziął na siebie, nic mi nie mogli zrobić. A on, biedak, dostał za swoje. Zabezpieczył mnie, a sam umarł w kwiecie wieku... Do dziś nie wiem, jak zdołałam przeżyć jego śmierć. Było mi potem bardzo, bardzo ciężko, nie materialnie, oczywiście, jak pani widzi, pieniądze mam, ale psychicznie, duchowo. Całymi dniami płakałam, nie chciało mi się nawet wstać z łóżka. Wieczorem brałam tabletki nasenne, a rano... Koszmar. Potem jakoś pogodziłam się z nieszczęściem, po prostu wmówiłam sobie, że Aloszeńka wyjechał gdzieś daleko, a ja na niego czekam.

Natalia umilkła, po czym dodała:

– Wciąż czekam!

– Jak dawno zmarł pani mąż?

– Nie mieliśmy ślubu – ciągnęła Filimonowa – nie poszliśmy do urzędu, bo i po co? Pieczętka w dowodzie nic nie daje, no, jeszcze kiedy są dzieci, to inna sprawa, ale nas Bóg nie pobłogosławił, chociaż nigdy się nie pilnowałam. Alosza zmarł w dziewięćdziesiątym roku.

– Pani tak pięknie wygląda – usiłowała podnieść klientkę na duchu Maja – na pewno jeszcze pani znajdzie swoje szczęście. Czesła się u mnie pewna pani, wyszła za mąż w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat. Wszystko się może zdarzyć, najważniejsze to nie tracić nadziei.

Natalia Siergiejewna rozciągnęła w uśmiechu pobladłe wargi.

– Kochana Majeczko, ja nigdy nie potrafię się choćby zbliżyć do innego mężczyzny. Po pierwsze, wciąż jeszcze kocham Aloszę, a po drugie, nie chcę, by mi zarzucił niewierność, kiedy się spotkamy na tamtym świecie.

Fryzjerka westchnęła ciężko.

– Wierzy pani, że tamten świat istnieje?

– Tak.

– A mnie się zdaje, że to bajki.

Natalia Siergiejewna uniosła się lekko na łokciach.

– Proszę posłuchać, coś pani opowiem. Jeśli mam być szczerą, sama miałam wątpliwości, ale teraz wiem na pewno: dusza nie umiera, żyje gdzieś, nieważne, jak nazwiemy to miejsce – piekłem, rajem, światowym centrum informacyjnym, nie wiem – ale ono jest, istnieje. Oto ta historia.

Alosza, wedle słów Filimonowej, umierał w szpitalu, do którego nikt z zewnątrz nie miał wstępu. Natalia nie powiedziała Mai, że był to obozowy lazaret, z kratami w oknach i strażnikami przy zamkniętych na głucho drzwiach. Napomknęła tylko:

– Leżał w szpitalu zakaźnym, nikogo tam nie wpuszczano.

Natalia za olbrzymią łapówkę zdołała dostać się nocą do umierającego Aloszy. Rozpłakała się, ujrawszy, jak bardzo się zmienił jej ukochany. Na pryczy, pod granatowym bajowym kocem, leżał szkielet obciążony skórą.

– No już, już – odezwał się szeptem – otrzyj łzy, ci tutaj tylko się cieszą z cudzego bólu i nieszczęścia. Nie dawaj im tej satysfakcji.

– Aloszeńka – łkała Natalia – nie zostawiaj mnie, błagam, nie odchodź.

– Będę zawsze z tobą – odparł ukochany. – Tuż obok.

– Boże! – zaszlochała – jeśli jesteś, nie zabieraj mi Aloszy! Boże!

– Słuchaj – wychrypiął Aleksy – zawsze mi wierzyłaś, uwierz i ten ostatni raz. Obiecuję ci, że do ciebie wrócę, znajdę sposób, żeby się wymknąć z tamtego świata, bądź pewna! Tylko czekaj. Latem otwieraj okno i czekaj, nie przestawaj czekać. Wszystko zdarzyć się może, gdy burza rozewrze przestworze i błysnie grom, ja nagle wejść w dom. Kochana, uwierz mi, i w niebie znajdę drzwi, żeby się wymknąć stąd. Ty tylko czekaj, w oknie stój – już wraca miły twój. Czerwcową nocą ujrysz mnie, w przedświtu chłodnej mgły.

Aleksy zmarł. Dla Natalii rozpoczął się nowy okres w życiu, musiała się nauczyć istnieć sama, w pojedynkę. Co prawda, w ostatnich latach byli rozdzieleni – Morozow odsiadywał wyrok w obozie (tego, oczywiście, nie powiedziała Mai) – ale rozłąkę skracaly comiesięczne widzenia, co dzień pisane listy, nadzieja na wspólne życie w przyszłości. Teraz nagle wszystko to runęło w jednej chwili.

Natalia Siergiejewna zamieszkała w Kalinowie i tu wlokła z dnia na dzień swą beznadziejną egzystencję. To nie było życie, lecz wegetacja.

Co rok w czerwcu dręczyła Natalię tęsknota, kobieta przesiadywała całymi nocami przy otwartym oknie, karmiąc się szaleńczą nadzieją: może nagle stanie się cud, zaraz się pojawi ukochany Aloszeńka z kędzierzawą czupryną i bystrymi oczyma, uśmiechnięty, powie: „Kruszynko moja”, i przytuli ją do piersi. Natasza zamykała oczy i czuła jego zapach, zmieszany aromat papierosowego dymu, wody kolońskiej i koniaku... Ale lata mijały, nadzieja słabła, aż wreszcie zupełnie zgasła, pozostało tylko przyzwyczajenie, by siadywać latem przy otwartym oknie i wpatrywać się w skraj czerniejącego w oddali lasu...

Ale wczoraj wieczorem zdarzyło się coś niewiarygodnego. Obejrawszy, jak zwykle, wiadomości w telewizji, Natasza usiadła przy oknie i zaczęła wdychać woń kwitnącego jaśminu. Była za piętnaście jedenasta. Po pół godzinie Natalia postanowiła się położyć, gdy nagle rozległ się dzwonek domofonu.

Zdziwiona, podeszła do monitora telewizyjnego, zainstalowanego przy drzwiach. Niekiedy zaglądali do niej miejscowi, prosząc o parę rubli, ale o tej porze we wsi panowała

już głęboka noc. Od dziewiątej nikt nie włączył się po cudzych podwórkach. W Kalinowie, choć leżało tak blisko Moskwy, wciąż jeszcze hołdowano dawnym obyczajom.

Natalia z niedowierzaniem spojrzała na ekranik monitora i poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Uśmiechał się do niej... Aleksy.

Otworzyła drzwi i nie będąc w stanie wykrztusić słowa, wpatrywała się tylko w ciemnowłosego, kędzierzawego, niezwyklej urody młodego mężczyznę. Ten, zażenowany najściem o późnej porze, zaczął przeproszać:

– Proszę wybaczyć, zepsuł się nam samochód...

Natasza nie bardzo rozumiała, o czym Alosza mówi. Słowa przenikały do jej mózgu niby przez grubą warstwę wody.

– Przerwywacz... komórka się rozładowała...

Wreszcie, opanowawszy się trochę, powiedziała:

– Proszę wejść.

Po półgodzinie blondyn, towarzysz Aloszy, odjechał jej samochodem. Natalia niezdolna dłużej się powstrzymać, rzuciła się młodemu mężczyźnie na szyję.

– Wiedziałam, wierzyłam, że wrócisz!

Ten, speszony, cofnął się odruchowo. I Natasza w jednej chwili uświadomiła sobie, jak głupio się zachowała. Po prostu niespodziewany gość był niezwykle podobny do Aleksego.

Najpierw wybuchnęła szlochem, a potem – z żalu i rozpacz – opowiedziała przybyszowi o wszystkim. Trzeba przyznać, że okazał zrozumienie i... znaleźli się razem w łóżku.

Nieładny blondyn sam zajął się naprawą samochodu, brunet nie opuścił pokoju Natalii do dziesiątej rano. Narzucając szlafrok poprosiła:

– Powiedz chociaż, jak ci na imię.

– Aleksy – odparł przypadkowy kochanek i widząc, że kobieta gotowa zaraz znowu zasłabnąć, dodał szybko: – Aleksy Andriejewicz Kołpakow, urodzony w siedemdziesiątym drugim, mieszkam w Moskwie, ulica Kotowa...

– Dobrze – szepnęła Natalia – jedź już, jedź jak najszybciej.

Filimonowa zamilkła. Majeczka zapytała ostrożnie:

– I co?

– Pojechał – z całym spokojem odparła klientka. – A ja teraz wiem na pewno, że to mój Alosza go przysłał. To samo imię, identyczna powierzchowność... To znak. Czerwiec, siedziałam przy otwartym oknie... Wszystko było tak, jak Loszka obiecał, wszystko się sprawdziło, co do słowa! To znaczy, że niedługo już pójdę za nim, tam...

– Och, niech pani da spokój – zachnęła się Majeczka. – Proszę nie mówić głupstw...

– To nie są głupstwa – zaprzeczyła Natalia i uśmiechnęła się. – Wiem, że mój koniec jest bliski, ale nie boję się, czekam na tę chwilę z radością. Przepraszam cię, Majeczko, za te wynurzenia, ale trudno samemu dźwigać taki ciężar, no i rozgadałam się.

– Proszę mówić, jak długo pani chce – powiedziała Maja. – Chętnie wysłucham.



– To chyba wszystko, muszę jeszcze tylko sporządzić testament. Nie mam przecież nikogo, ani dzieci, ani krewnych. To znaczy, żyje moja matka, ale już dawno stałyśmy się sobie zupełnie obce, od wielu lat nie utrzymujemy ze sobą kontaktu. Wciąż się zastanawiam, komu zostawić dom i całą resztę. Och, nie darmo ludzie mówią, że majątku człowiek ze sobą do grobu nie zabierze. Tyle że bardzo nie chciałam, aby to, co mam, przypadło w udziale państwu, ale teraz już wiem, co zrobię.

## Rozdział 19

Ruszyłam, jak mogłam najszybciej. Było parę minut po ósmej. Księgarnia już dawno zamknięta, Mania bawi gdzieś z wizytą, zwierzęta pewnie spokojnie drzemią po kątach. A ja chyba wiem, kto zamordował Aleksego i Nadię, znam jego motywy i mam uzasadnione podejrzenia, co chciał osiągnąć. Wyciskając ze swojego rumaka siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, wjechałam za bramę kliniki Cicha Przyszań. Moim zadaniem, jako nazwa szpitala fatalnie się to kojarzy, ale tak się widocznie podobało jego właścicielowi, Andriejowi Jegorowowi.

Andrieja znam od wielu lat. Złośliwa Oksanka nazywa go „pucharem przechodnim”. Wiecie, jest taka nagroda, której nie przyznaje się zwycięzcy raz na zawsze; pozostaje ona u niego jakiś czas, powiedzmy rok, a potem przekazuje się ją innemu zawodnikowi, który zajął pierwsze miejsce. Podobnie było z Andriuszką, który kolejno żenił się z moimi przyjaciółkami. Najpierw z Liką Skworcową, potem z Ritą Kołoskową, następnie z Ninel Małkową. Przy żadnej nie zagrzał długo miejsca, jedynie jego małżeństwo z Ritą trwało aż trzy lata, inne związki zaledwie po parę miesięcy. Wielki miłośnik płci pięknej, bonvivant i lekkoduch, smakosz, elegant i hedonista, Andriuszka był beznadziejnym kandydatem na męża – uważał, że kobieta powinna się rozplywać ze szczęścia już choćby dlatego, iż raczył w ogóle zwrócić na nią uwagę. Po Ninel Andriej przestał legalizować swoje związki w urzędzie stanu cywilnego – teraz po prostu bez przerwy zmienia przyjaciółki.

Jednak mimo skomplikowanego, pełnego powikłań życia osobistego Diusza, jak nazywają go najbliżsi przyjaciele, jest dobrym lekarzem i – co niezwykle ważne w dzisiejszych czasach – prawdziwym biznesmenem.

Jego Cicha Przyszań cieszy się niezwykłą popularnością wśród przedstawicieli inteligencji twórczej. Gdybym wam powiedziała, kogo wyciągano w klinice z wielotygodniowych ciągów pijackich, pewnie byście nie uwierzyli. Ludzie, których nazwiska zna cały kraj, dostają się w ręce Diuszy w prawdziwie oplakanyim stanie. Spuśćmy jednak na to zasłonę tajemnicy.

Niektórych niemal siłą przyprowadzają tu wykończone ich nieustannym pijaństwem żony, inni przyczołgują się sami, czując, że pora się opamiętać, resztę najczęściej przywozi pogotowie.

Leczenie w klinice kosztuje zawrotnie – moim zdaniem o wiele za drogo – ale trzeba wziąć pod uwagę specyficzny charakter tutejszych usług i kręgi, z których wywodzą się pacjenci.

W dodatku Andriej zapewnia pełną anonimowość, a pielęgniarki starannie udają, że nie poznają aktora czy prezentera telewizyjnego, który codziennie, z nużącą regularnością, uśmiecha się do widzów z ekranu. Dziewczyny są dobrze wyszkolone, nie proszą o autografy, nie przewracają oczami z zachwytu. Nie ma w tej lecznicy wspólnej sali jadalnej, a z każdego pokoju – naturalnie, są tu tylko jednoosobowe – pacjent może wyjść bezpośrednio do ogrodu. Z medycznego punktu widzenia klinice Andriuszy nic nie da się zarzucić. Ściągnął do siebie najwybitniejszych specjalistów, dysponuje doskonałą aparaturą i lekami najnowszej generacji.

Zostawiłam wóz na parkingu, wpadłam do holu i spytałam przystojną recepcjonistkę:

– Andriej Markowicz jest w klinice?

– Proszę na chwilę usiąść – odparła dziewczyna z profesjonalnym uśmiechem – zaraz go poproszę.

Ale ja podskakiwałam niemal z niecierpliwości, stojąc przy recepcyjnej ladzie. Wydawało mi się, że to oczekiwanie trwa nie pięć minut, ale pięć lat. Wreszcie, rozsiewając wokół zapach drogiej wody kolońskiej Kenzo, ukazał się naczelny lekarz i właściciel kliniki w jednej osobie we wspaniałym garniturze od Hugo Bossa.

– O, Daszutka! – zaśmiał się. – Wreszcie się zjawiałaś! Co się stało? Biała gorączka? Znowu uganiałaś się z siekierą za nieszczęsnym mężem i dziećmi?

– Cicho bądź! – rozeźliłam się. – Doskonale wiesz, że nie mam męża.

– Przepraszam – pokpiwał dalej z łobuzerskim uśmiechem – zapomniałem!

– Słuchaj, przywieziono tu wczoraj niejakiego Olega Rogowa...

– Kochaneczko – podniósł do góry wypiełgnowany palec Andriej – pierwsza zasada, jaka obowiązuje w naszej klinice: nie udzielamy żadnych informacji o pacjentach.

– Ale to ja zapłaciłam za jego pobyt tutaj.

– W takim razie przejdźmy do gabinetu. – Andriej spoważniał. – Czyje pieniądze, tego muzyka.

Nie minęło dziesięć minut, a już prowadzono mnie do pokoju Rogowa. Mężczyzna leżący w wielkim łóżku odłożył „Playboya”, którego czytał, i chciał usiąść, ale zamachałam rękami na znak protestu.

– Nie trzeba, nie trzeba, proszę leżeć.

Teraz, umyty, porządnie uczesany, był wprost łudząco podobny do Przystojniaka na zdjęciu. Prawdę mówiąc, wydało mi się to nawet trochę niesamowite.

– Jak się pan czuje?

– Dziękuję – powiedział Oleg cicho – już dobrze.

– Lepiej niż wczoraj?

Skinał głową.

– Nie ma porównania. Myślałem, że umrę, już się zęgnąłem z życiem. Jestem wdzięczny Dinie, że chociaż mnie nienawidzi, to jednak sprowadziła pomoc.

– Dlaczego pan pije?

– Taki już mój los. A pani pewnie jest psychologiem? Lekarz prowadzący mówił mi, że przyjdzie terapeuta.

– Nie jestem psychoterapeutką.

– A więc neurologiem?

– Nie.

– W takim razie kim? – dopytywał się zaniepokojony Oleg. – Adwokatem? Dina postanowiła się ze mną rozwieść? Ale przecież nie ma pieniędzy. Wszyscy się dziwią, skąd wytrzasnęła dolce na tę lecznicę. Przedtem też już byłem w szpitalu, na odwykówce, ale w zwykłym, miejskim. Tyle że podobny jeden do drugiego mniej więcej jak królik do węża.

Uśmiechnęłam się, rozbawiona tym obrazowym porównaniem, i powiedziałam:

– Nie, nie mam nic wspólnego ze służbą zdrowia. Nie należę do personelu szpitalnego. A Dina wcale nie zapłaciła za pański pobyt tutaj.

– Ale...

– To ja wyłożyłam pieniądze.

– Dlaczego? – Oleg upuścił pismo na podłogę. – Przecież to nie jakieś głupie sto rubli! Musi pani wiedzieć, że nie będę mógł oddać, bo nie mam grosza.

– Spokojnie – odparłam. – Nie potrzebuje pan zwracać ani kopiejki.

– Tak? – Mężczyzna wydawał się zupełnie zdezorientowany.

– Tak. Proszę mi tylko zrobić uprzejmość i wysłuchać pewnej zabawnej historyjki, a potem po prostu powiedzieć, czy jest prawdziwa, czy nie. W ten sposób wyrówna pan swój dług za moją skromną przysługę.

– Co to za historia? – spytał niechętnie Oleg.

– Przed dwoma laty – zaczęłam – pan, wraz ze swoim przyjacielem Aleksym Kołpakowem, wybrał się w sprawach służbowych w teren. Oleg Rogow był wtedy dobrze prosperującym biznesmenem i chciał po prostu pomóc Aloszy, koledze ze szkolnej ławy. Zatrudnił go pan jako swego asystenta, prawda?

– Menedżera – burknął Oleg, nerwowo szarpiąc kołdrę.

– No, to akurat nie jest istotne dla sprawy. Wybraliście się samochodem, a tu, jak na złość, coś się zepsuło.

– Przerzywacz.

– To też nieistotne. Krótko mówiąc, nie można było jechać dalej, zbliżała się noc... Dwaj młodzi ludzie zaczęli pukać do domów, ale nikt nie chciał ich wpuścić, stracili już nadzieję,

kiedy użaliła się nad nimi pewna kobieta imieniem Natalia. Natalia Siergiejewna Filimonowa. Nie tylko pozwoliła pojechać swoim samochodem do miasta po nową część i poczęstowała zmęczonych gości smaczną kolacją, ale w dodatku przespała się z Olegiem. Miała do tego pewne powody. Rogow był niezwykle wprost podobny do jej dawno zmarłego męża. Tak było?

Pacjent skinął głową.

– Widziałem zdjęcie na nocnej szafce. Przedtem myślałem, że baba jest po prostu nimfomanką. Rzuciła się na mnie jak tygrysyca, nazywała Aloszeńką. Cóż, pomyślałem sobie, dlaczego miałbym nie skorzystać, skoro sama lezie w ręce, ale później zrozumiałem i zrobiło mi się jej żal. Biedaczka wzięła mnie za niego, więc zostałem z nią...

– Z litości?

– No tak. Co prawda, dobrze się trzymała, widać, że dbała o siebie, nie to, żebym się zmuszał, Natalia zgasiła światło... Normalka... Ale co w tym takiego nadzwyczajnego?

– Niech pan powie, Oleg, dlaczego podał pan Natalii zamiast swojego imię i nazwisko przyjaciela Aleksego Kołpakowa?

Rogów się spieszył.

– Sama zaczęła mnie nazywać Loszeńką.

– I tylko dlatego pan to zrobił?

– Nie mogłem przecież za każdym razem jej poprawiać, a rano kombinowałem tak: podam jej prawdziwe dane, kobita, nie daj Boże, któregoś pięknego dnia się u mnie zjawi, a ja mam żonę i dzieci. Wybuchnie awantura, Dinka nie da mi żyć, będzie wierciła dziurę w brzuchu, naskarzy matce, potem obie zaczną mnie piłować, robić wymówki. A Loszka nie ma nikogo, tylko siostrę, Nadię, no i podałem jego imię i nazwisko, adres... Wiem, że to głupie. Gdyby chciała mnie odszukać i trafiła na Loszkę, od razu by się połapała, co i jak. Ale ta historia nie miała żadnego dalszego ciągu, pojechaliliśmy i koniec.

Zapanowało milczenie.

– Jednego tylko nie rozumiem – dorzucił po chwili mój rozmówca, wyraźnie wzburzony.  
– Czemu ta sprawa tak panią interesuje? Przecież to było dawno, minęło już dobrych parę lat. Jeżeli tu chodzi o szantaż, źle pani trafiła. Wszystkie pieniądze straciłem właśnie w tamtym roku, w sierpniu, tak że nie ma pani na co liczyć. Donosić o tym Dinie też nie warto, bo już od dawna nie żyjemy ze sobą jak mąż z żoną, ot, nosimy to samo nazwisko i tyle...

– Niech pan powie, Oleg – zwróciłam się do niego przyciszonym głosem – musiał pan chyba być diabelnie wściekły, kiedy się pan dowiedział, że cały szmal, i to niemały, przypadł w udziale Aloszy? A przecież powinien był dostać się panu. Natalia Filimonowa zapisała w testamencie swój majątek, ruchomy i nieruchomy, Aleksemu Kołpakowowi, ale była absolutnie przekonana, że to pan. Oto do czego czasami prowadzi tchórzostwo. Co panu szkodziło powiedzieć prawdę? Podać własne imię i nazwisko? Dostałby pan olbrzymi spadek, znów stanął na nogi...

Oleg milczał, ale pod napiętą skórą twarzy nerwowo drgały mu mięśnie.

– Przedziurawił pan przewód, płyn hamulcowy wyciekł i Alosza wjechał prosto w posterunek milicji drogowej. Oczywiście nie mogę usprawiedliwić pańskiego postępu, ale rozumiem, że postanowił pan usunąć przyjaciela, który miał więcej szczęścia. On zresztą pewnie także szybko się zorientował, jak się sprawy mają. Pojechał do Kalinowa i wszystko od razu stało się dla niego jasne. Musiał pękać ze śmiechu, co? Bawił się pana kosztem? Ale dlaczego zabił pan Nadię? Co ona miała z tym wspólnego? A może oboje zapisali panu wszystko w testamencie?

– Czyś ty, kobieto, zwariowała? – wybełkotał Oleg. – Ja? Lochę? A Nadźka też zginęła? Kiedy?

– Niech się pan nie zgrywa.

– Przysięgam na Boga, że nikogo nie zabiłem – gorączkowo zaczął zapewniać Oleg. – Jak coś podobnego mogło pani w ogóle przyjść do głowy? Zresztą nie były to wcale takie wielkie pieniądze.

– Czyżby?

– Naprawdę. Dom, owszem, działka, wyposażenie, ale co do docłów... No, może jakieś półtora tysiąca, nie więcej, w biurku...

Losza przyszedł do Olega i zapytał:

– I co mam teraz zrobić?

Rogow tylko machnął ręką.

– Zostawiła tobie – bierz, w mojej sytuacji to i tak bez znaczenia.

Kołpakow powiedział:

– Cóż, to jasne, że Filimonowa miała na myśli ciebie. Wiesz co, zróbmy tak: sprzedamy wszystko i podzielimy się forszą pół na pół.

Oleg się zgodził. Tylko na dom, niestety, nie było chętnych. Miejsce okazało się mało atrakcyjne. Ludzie naprawdę zamożni nie chcieli mieszkać na wsi, pośród rozpitego chłopstwa, woleli strzeżone osiedla podmiejskich rezydencji, gdzie były też sklepy, baseny, korty tenisowe, no i towarzystwo na odpowiednim poziomie. Z kolei ewentualni nabywcy o znacznie mniejszych możliwościach finansowych, których marzenia zaspokoiłby domek stojący na sześćsetmetrowej działce, bardzo chętnie zamieszkaliby w tej pięknej, murowanej willi, ale nie dysponowali wystarczającą gotówką. Tak więc sprzedaż domu wciąż jakoś nie mogła dojść do skutku. Aleksey nie chciał obniżyć ceny, licząc na to, że w końcu znajdzie się przecież jakiś kupiec.

– I nie powiedział pan nic Dinie?

– A jak pani sobie to wyobraża? – Oleg uśmiechnął się krzywo. – Miałem usiąść i powiedzieć: „Kochana, bzyknałem przypadkiem jedną staruszkę, a ona zostawiła za to w spadku mnie i Loszce dom”? Jasne, że nie puściłem pary z gęby. No, a potem Loszka zginął. Do Nadźki nie chciałem z tym iść. Ale ona sama przysłała do mnie i powiedziała: „Nie bój się,

Oleżek, wiem o wszystkim, spuścimy trochę z ceny, a nuż ktoś się znajdzie”. Więc po co miałem zabijać Loszkę? Obiecał mi przecież dać połowę tego, co dostanie za dom.

– Widocznie chciał pan wszystko!

– Boże – zirytował się Oleg – zastanów się, kobieto, co mówisz! Przecież „wszystko” przypadłoby Nadźce!

– Więc ją też...

– Naprawdę zwariowałaś! – zaczął krzyczeć Rogów. – Nic głupszego już nie mogłaś wymyślić? Po śmierci Nadźki cały majątek przeszedłby na skarb państwa!

– Czyżby Nadia nie zapisała ci go w testamencie?

– Kto myśli o śmierci przed trzydziestką?

Westchnęłam. To fakt, byli ludzie radzieccy nie nawykli rozmyślać o takich sprawach. Zresztą jeszcze całkiem niedawno większość z nas nie miała nic – prócz książek, mebli i skromnych oszczędności na książeczce – co mogłaby przekazać w spadku swoim dzieciom czy bliskim. Jak może pamiętacie, domy i mieszkania w przeważającej części należały do państwa, a posiadaczami własnych samochodów i dacz byli nieliczni szczęśliwcy. Cóż to zresztą były za budowle! Drewniane, zbite z desek chałupiny na niewielkich działkach, gdzie sąsiad sąsiadowi mógł bez trudu zajrzeć do garnka.

A więc nie było testamentu, czyli również powodu do zabójstwa. Przeciwnie, Olegowi powinno raczej zależeć na tym, by Kołpakowowie pozostali przy życiu, gdyż tylko wtedy mógł liczyć na połowę sumy uzyskanej ze sprzedaży domu.

– Kim pani właściwie jest? – zapytał w końcu Rogów.

– Prywatny detektyw Dasza Wasiljewa – przedstawiłam się. Poczułam nagle jakieś bezmierne znużenie. – Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Nadi Kołpakowej.

– Więc Nadiusza naprawdę została zamordowana? – wyszeptał Rogów. – Nie kłamała pani?

– Nie, nie kłamałam.

– Gdzie?

Popatrzyłam na Olega. Kiedyś Aleksander Michajłowicz opowiadał mi o osobliwym uczuciu, którego doznaje czasem dobry detektyw.

– Zdarza się, że wszystkie dowody czy poszlaki świadczą przeciwko człowiekowi – mówił Diegtiarow – a intuicja podpowiada, że podejrzany jest niewinny. Bywa oczywiście i odwrotnie. Patrzysz – gość niewinny jak anioł, a w środku coś ci mówi: to on, szukaj dalej, pułkowniku, kop głębiej, na pewno czegoś się dogrzebiesz, siedzi przed tobą przestępca.

Zawsze z dystansem odnosiłam się do tego rodzaju opowieści, ale teraz nagle zrozumiałam: Oleg nie kłamie, jest naprawdę niewinny.

– Mogę się napić wody? – spytałam, wskazując na butelkę mineralnej, stojącą na szafce przy łóżku.

– Ależ naturalnie!... – zachnął się Oleg.

Patrzył w milczeniu, jak chciwie piję dużymi łykami, potem wziął ode mnie pustą szklankę i mruknął:

– Co z Nadźką?

Usiadłam w fotelu i opowiedziałam mu wszystko – o zwłokach w szatni, o swoim prywatnym śledztwie i podejrzeniach. Rogow słuchał bez słowa, raz tylko zapytał:

– Jak została zabita?

– Co pan ma na myśli?

– Zastrzelono ją?

Zmieszałam się. Nie wiedziałam przecież, w jaki sposób zginęła. Widziałam tylko złożone na pół ciało w szafce...

– Nie wiem, została zamordowana i tyle... A potem ktoś wepchnął zwłoki do szafy. I cały czas dręczy mnie pytanie: dlaczego?

Oleg podniósł z podłogi „Playboya” i położył na blacie.

– Cóż, przyczyna by się znalazła, nawet ja coś niecoś słyszałem na ten temat.

– Proszę mówić! – ponagliłam.

Rogow wyjął papierosy.

– Szczegółów nie znam, mogę tylko z grubsza powiedzieć, o co chodzi.

– Dobre i to.

– Wiesz, z czego żyli Loszka i Nadia? Jak im się udało wygrzebać z biedy i wzbogacić się?

Popatrzyłam na Olega. Ciekawe, co takiego we mnie jest, że ludzie niemal od razu zaczynają mówić mi „ty”?

– Sądziłam, że to dzięki spadkowi po Filimonowej...

– Ja też słyszałem tę bzdurę! – parsknął Oleg. – Nie, przyływ gotówki rzeczywiście nastąpił po śmierci Natalii Siergiejewny, ale forsa pochodziła z zupełnie innego źródła. W ogóle wiesz coś o Kołpakowach?

– No, o tyle o ile, Dina mi mówiła. Że pochodzą z porządnej, zamożnej rodziny, ale odkąd zostali sierotami, biedowali, potem jakoś wygrzebali się z ubóstwa...

– Moja Dinka chyba od urodzenia jeszcze nic dobrego o nikim nie powiedziała – rzekł Oleg z westchnieniem – a już zwłaszcza o Nadźce i Loszce. Nienawidziła ich z całej duszy.

– Za co?

– Za to, że dobrze ją traktowali. Znasz pewnie powiedzenie: ktoś w ciebie chlebem, ty w niego kamieniem. Nadia całe życie pomagała Dinie, jak mogła, potrafiła jej oddać nową sukienkę pod pierwszym lepszym pretekstem: weź, noś na zdrowie, na mnie jest za duża. Wciąż przynosiła jakieś kosmetyki: masz tu krem, używaj go, ja nie mogę, jestem uczulona. Kiedy zaczęło nam się lepiej powodzić, Dinka wyłaziła ze skóry, żeby Nadię prześcignąć, tylko że ona w ogóle nie była zawistna. Moja żona idiotka na przykład wysuwała nogę w nowym buciku i zaczynała się chwalić:



– Patrz, kupiłam sobie pantofelki, najdroższe, jakie mieli w sklepie, kosztowały pięćset zielonych.

Nadia wtedy w ogóle nie miała forsy, żywili się z Lochą owsianką, ale Dinie odpowiadała:

– Bardzo efektowne, świetnie wyglądają na nodze. Zresztą masz takie ładne stopy, małe jak Chinka, rozmiar trzydzieści pięć. Nie to co ja, czterdzieć. Każdy but wygląda jak kajak.

Dina nie mogła znieść tego, że Nadia, zamiast zgrzytać żabami ze złości, szczerze się cieszy z odmiany naszego losu na lepsze, i wciąż kupowała coraz to nowe, zupełnie niepotrzebne rzeczy. Szafy pękały, a ona czekała, aż nadejdzie wreszcie ten radosny moment, kiedy w oczach Nadii, która donaszała spódnice sprzed trzech lat, błysnie w końcu iskierka starannie skrywanej zawiści.

Potem Oleg zbankrutował, a do Kołpakowów uśmiechnęło się szczęście.

– Trafili na żyłę – wyjaśnił Rogów.

– Na jaką żyłę? – zdumiałam się.

– Złota. – Oleg uśmiechnął się. – Loszka proponował, żebym kopał razem z nim, ale ja już wtedy zacząłem pić.

– Żebyś co kopał?

– Ziemię.

– Mówże do rzeczy! – zirytowałam się.

Rogów zapalił i zaczął opowiadać.

## Rozdział 20

Mniej więcej trzy miesiące przed znanymi już wydarzeniami w życiu Nadi zaszły korzystne zmiany. Jedną z przyjaciółek jej matki, widząc trudną sytuację dziewczyny, która miała mało atrakcyjny w dzisiejszych czasach zawód historyka sztuki, załatwiła jej posadę taksatorki w antykwariacie. I nagle okazało się, że Nadiusza posiada rzadki dar, prawdziwy talent, „nosa”, jak to się mówi. Wystarczy jej jedno spojrzenie na jakiś przedmiot, by ocenić, czy ma przed sobą autentyczne dzieło sztuki, dajmy na to, serwis z manufaktury Kuzniecowa, czy wykonaną zręcznie podróbkę z lat pięćdziesiątych. Porcelana, meble, lampy, zegary... Nadia nigdy się nie myliła, bez trudu określając nie tylko stulecie czy epokę, z której pochodził dany przedmiot, ale wręcz rok jego powstania. Dziewczyna sama nie wiedziała, skąd się u niej wzięło to fantastyczne wyczucie. Loszka kiedyś po paru głębszych zwierzył się Olegowi:

– Masz pojęcie, ona widzi.

– Co? – zdziwił się przyjaciel.

– No, sama mi opowiadała... Bierze do ręki filiżankę, nagle robi jej się ciemno w oczach, i po chwili – bach! – pojawia się obraz. Mężczyzna, majster, przy piecu do wypalania porcelany... Albo czeladnik z heblem... Niezwykle wyrazista wizja. A potem rozlega się jakby jakiś głos „zza kadru”: „Wykonał chłop pańszczyźniany Iwan Fiodorow latem 1802 roku, dnia 27 czerwca”.

– Poradz jej lepiej, żeby sobie mniej likieru dolewała do kawy – zareagował sceptycznie Oleg. – Bzdury opowiada!

Bzdury czy nie, Nadienka nigdy się nie pomyliła. Gdy rozeszły się słuchy o wyjątkowo uzdolnionej taksatorce, do antykwariatu zaczęły napływać tłumy tych, którzy chcieli coś sprzedać, jak i potencjalnych nabywców cennych i rzadkich przedmiotów. Właściciel szybko podniósł Nadiuszy pensję, tak że mogli oboje z Loszką trochę lżej odetchnąć, wydobyć się z biedy i szerzej rozwinąć skrzydła.

Pewnego dnia zjawił się u Nadi w antykwariacie dziwny interesant. Chłopak może dwudziestoletni, w brudnych dżinsach, podartej skórzanej kurtce i wysokich prawie do kolan sznurowanych butach.

– Proszę rzucić okiem – powiedział i położył przed nią srebrną papierošnicę z pięknym monogramem.

Nadia wzięła ją do ręki, poczuła – jak zwykle – zawrót głowy, po czym z szarej mgły wyłonił się obraz, i dziewczyna usłyszała głos, wyraźnie podający datę – rok 1800. Ale potem zaczęło się dzieć coś dziwnego. Przed oczyma Nadi zamajaczyły jakieś cienie, rozległy się wybuchy i pociekła krew, rozlewając się po wieczku papierošnicy. Obraz był tak wyrazisty, że dziewczyna upuściła srebrny przedmiot na podłogę. Już przedtem miewała podobne wizje. Czasami pojawiały się postacie staruszek z lichtarzami w rękach, mężczyzn i kobiet; raz przed oczyma Nadi rozegrał się cały dramat. Wysoki młody człowiek w stalowym kasku rzucił na łóżko ciało zamordowanej przed chwilą kobiety i do wielkiego, ciemnoszarego wora zaczął wrzucać zgarnięte z gzymsu nad kominkiem cacka.

Ale tak wyraźny obraz nigdy jeszcze jej się nie ukazał. Krew wydawała się przerażająco naturalna, wydzielala mdłący, wstrętny zapach... Potem nastąpił wybuch. Nadiusza zobaczyła wylatujące w powietrze grudy ziemi, poczuła jej wilgotną woń, następnie pchnięcie w plecy, upadła w błoto... Usłyszała wyraźnie, jak ktoś powiedział po niemiecku:

– *O, mein Gott, ich bin Klaus, ich sterbe, Ursula, Kinder...*

– Źle się pani czuje? – spytał zaniepokojony chłopak.

– Duszno mi – odpowiedziała pobladła Nadia.

– Może wpadnę później?

– Tak, proszę – wymamrotała dziewczyna. – Za jakieś pół godzinki.

Przez jej głowę wciąż przesuwaly się obrazy, teraz już inne. Noc, czy może raczej zmierzch, ostra krawędź łopaty zagłębiającej się w ziemię, szkielet w przegniłych, szarozielonych łachmanach, ręce myszkujące chciwie w resztkach odzieży. Potem kolejny cios, i oto Nadia znowu leży twarzą w wilgotnej ziemi, a w jej uszach dźwięczy głos:

– Boże, jestem Fiodor, umieram, Lenko, dzieci...

Nadi zrobiło się ciemno przed oczyma. Gdy tylko przyszła do siebie, zadzwoniła do jednej ze swoich przyjaciółek, nauczycielki niemieckiego, i ta przetłumaczyła jej usłyszane zdanie:

– O mój Boże, jestem Klaus, umieram, Ursulo, dzieci...

Pół godziny później interesant znów zapukał do drzwi gabinetu.

– Przedmiot jest niewątpliwie wartościowy – poinformowała Nadia, po czym czując, że za chwilę ponownie zrobi jej się słabo, dodała szybko: – Chcesz mojej rady? Nie podbijaj ceny i czym prędzej pozbądź się papierošnicy.

– A dlaczego miałbym się śpieszyć? – zdziwił się chłopak. – Spryciarze z was, chcielibyście, żebym sprzedał drogą rzecz za bezcen!

Nadia z trudem przezwyciężyła napływającą wizję i powiedziała cicho:

– Przepraszam, masz prawo myśleć, co chcesz, ale na tej papierošnicy jest dużo krwi. Zginęły przez nią co najmniej dwie osoby, Niemiec Klaus i Rosjanin Fiodor. Ona przynosi

nieszczęście, sprzedaj ją czym prędzej, a jeszcze lepiej komuś podaruj. Istnieje taki przesąd, że jeśli rzecz, na której ciąży klątwa, ofiaruje się komuś z dobrego serca, bez żalu, to zły czar się rozwiewa. Ale ja nie wierzę, że to pomaga. Pozbądź się papierośnicy jak najszybciej.

Chłopak zbladł, a potem zapytał cicho:

– Skąd wiesz o Fiedce?

Nadia westchnęła ciężko.

– Nic o nikim nie wiem. Aha, miał żonę Lenę i dzieci.

Właściciel papierośnicy niemal otworzył usta ze zdumienia.

– Zgadza się, Lenka i dwójka dzieciaków.

– Został zamordowany z powodu tego kawałka srebra – szepnęła cicho Nadia. – Właśnie wygrzebywał go z ziemi.

– Skurwiel – syknął młody chłopak.

– Kto?

– A, nikt, jeden z kopaczy – zaczął wyjaśniać chłopak – przyszedł do mnie i powiedział, że Fiedka wpadł do dołu i skrzył kark, a on, nie wiedząc o tym, przysypał go ziemią.

– Nie. – Nadia pokręciła głową. – Ktoś go pchnął w plecy, kiedy Fiodor chciał podnieść papierośnicę, która należała do Klause. Niemiec chyba zginął na wojnie.

– Na imię mi Jura – przedstawił się chłopak. – A pani co, jest jasnowidząca?

– Sama nie wiem. Jak dotąd, zdarza mi się to tylko, gdy mam do czynienia ze starymi przedmiotami.

– Wie pani co, chodźmy, napijemy się kawy – zaproponował Jura.

Przy stoliku opowiedział Nadi o sobie. Był kopaczem, człowiekiem, który jeździ po terenach, gdzie niegdyś toczyły się najkrwawsze bitwy.

– Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie rzeczy można znaleźć w miejscach pochówku – odznaczenia, złote ozdoby, zegarki, broń...

– Na co to komu? – zdziwiła się Nadia. – Przecież te wszystkie przedmioty są stare, zniszczone...

– Co ty mówisz! Kolekcjonerzy płacą za nie jak za zboże! Raz odkopałem kordzik, rękojeść zdobiona szylkretem, na ostrzu napis gotykiem, słów nie potrafiłem odczytać. Facet, który zbiera takie rzeczy, bez mrugnięcia okiem wybulił za niego tysiąc dolców. Ucieszyłem się jak głupi, a potem się okazało, że za tanio oddałem, bo sztylet należał do jakiegoś esesmana z dywizji Totenkopf, dostawali takie tylko najwyżsi stopniem oficerowie z dowództwa, to był prawdziwy rarytas, a ja się go pozbyłem za grosze. Chyba sam los nas ze sobą zetknął. Wiesz co, pracujmy razem.

Nadiusza tylko westchnęła.

– To nie dla mnie zajęcie. Ale mój brat akurat nie ma pracy.

Alosza szybko znalazł z Jurą wspólny język i razem zaczęli jeździć po dawnych polach bitew. Kołpaków zaproponował Olegowi, żeby też się przyłączył do biznesu. Rogow parę

razy wybrał się z nimi, po czym zdecydowanie odmówił udziału w dalszych wyprawach. Wtedy zaczął już pić bez umiaru, a takie wykopki to nie robota dla pijanego. Poza tym Olegowi nie odpowiadał brudny, na poły kryminalny proceder, wolał spędzać wieczory w ciepłym mieszkaniu, popijając z kumplami, niż w zabłoconych gumiakach, zmarznięty, stać po pas w wodzie i grzebać w rozmięklej glinie.

– Ale Aloszce się pofarciło – ciągnął Oleg. – Szło mu jak po maśle. Miał chyba nosa do tej roboty, a może po prostu szczęście. Zaczęło mu się dobrze powodzić. Dopiero na krótko przed jego śmiercią znów spotkałem Jurkę, no, tego, z którym Aloszka razem kopał. A wiesz gdzie?

– Gdzie?

– W życiu byś nie zgadła. – Oleg się uśmiechnął. – W cerkwi Gawriły Męczennika, w Riabinowym Zaułku.

Rogow znalazł się w tym miejscu przypadkowo. Poprzedniego wieczoru pił z jakimiś nieznanymi mężczyznami pod sklepem, a potem film mu się urwał. Ocknął się Oleg na drugim końcu Moskwy, w pobliżu obwodnicy.

– Całkiem jak w kinie – opowiadał z uśmiechem, wspominając tamten dzień. – Był taki film, wepchnęli pijanego do nieprzytomności faceta do samolotu, a on przez pomyłkę znalazł się w Leningradzie... Tak samo ja, nic nie pamiętam. Kto mnie tam zawiózł i po co.

Wytrzeźwiał dopiero wczesnym rankiem. Dygocząc z zimna, ruszył wzdłuż szosy. Próbował zatrzymać jakiś samochód, ale nikt nie kwapił się wpuścić do wozu osobnika, który wyglądał na bezdomnego włóczęgę. Była wyjątkowo chłodna jesień, mimo że dopiero październik, wszędzie leżał już śnieg. Rogów zmarzł w cienkiej kurteczce, a w dodatku cały się trząsał z przepicia. Nagle załśniła przed nim złota kopuła. Oleg wszedł do zupełnie pustej cerkwi i oparł się plecami o kaloryfer. Przyjemne ciepło zaczęło się rozlewać po jego skostniałym z zimna ciele, w powietrzu unosiła się słodkawa woń kadzidła, święci posepnie spoglądali z ikon, ale ich twarze nie były złe, tylko smutne, jakby pytały z żalem: co z tobą, bracie? Nagle Rogow przypomniał sobie, jak wiele lat temu, gdy jeszcze był dzieckiem, babcia potajemnie zabierała go ze sobą do cerkwi. Napłynęły wspomnienia. Oto staruszka żegna się, klęcząc przed ikoną Pantelejmona Uzdrawiciela, po czym wstaje i mówi:

– Bądź tak dobry, Oleżku, i nie mów nic ojcu ani matce, bo wyśmieją starą. A mnie, kiedy się pomodłę, robi się lżej na duszy, zaraz czuję się zdrowsza, nogi mi nie mdleją i głowa przestaje boleć. Wiesz co, chodźmy, kupię ci po drodze cukierków.

Oleg poczuł na języku smak landrynek z blaszanego pudełeczka, przypomniał sobie ciepło babcinej ręki, łagodne objęcia staruszki, i raptem zaszlochał głośno. Nikt nigdy nie kochał go bardziej niż babusia. Ale lata dzieciństwa nie wrócą, trzeba żyć dniem dzisiejszym, zmagać się z nieprzyjazną rzeczywistością. Łkanie rozrywało mu pierś, łzy płynęły po policzkach, Olegowi zabrakło tchu i chwycił go kaszel. Nagle poczuł na ramieniu ciężką dłoń i spokojny głos wyrzekł słowa:

– Nie przypadkiem nogi cię tu same przyniosły. Jesteś ochrzczony?

– Nie. – Oleg pokręcił głową i zawstydzony jął wycierać oczy.

– A więc Pan wskazał ci drogę – ciągnął bas. – Powinieneś przyjąć chrzest, oczyścić duszę, wyrzucić z niej wszystkie brudy, niechaj zostanie czysta niczym źródłana woda.

Oleg w końcu opanował histeryczny szloch, spojrzął na mówiącego i zamarł. Przed nim stał kopacz Jurka, kompan Aloszki.

– Co ty tu robisz? – zdumiał się Rogow.

– Jestem sługą bożym – odparł tamten. – Zwę się teraz ojciec Joann.

– Jak to?

Jura wzruszył ramionami.

– Różnie bywa, niejedna droga wiedzie do świątyni i nie każdy potrafi wybrać słuszną za młodu.

– Ale przecież nie znalazłeś nawet żadnej modlitwy!

– Nauczyłem się.

– I już nie kopiesz?

– Przestałem.

– Loszka pracuje teraz sam? – Oleg nie wiedział, co się dzieje z przyjacielem.

Od dawna już nie robił nic innego, tylko pił, i nie widywał się z Aloszą.

Jura westchnął ciężko.

– Tak, sam, ale czuje moje serce, że do niczego dobrego go to zajęcie nie doprowadzi.

– Dlaczego tak myślisz?

Tamten wyjaśnił:

– Losza był u mnie, przyszedł się poradzić, ma kłopoty.

– I co mu powiedziałaś?

– Skończ z tym, przestań się grzebać w mogiłach, to grzeszne zajęcie.

– Posłuchał cię?

Jura pokręcił głową.

– Nie, i dlatego boję się, że to wszystko na złe się obróci. Czemu tak drżysz?

– Strasznie zmarzłem. – Oleg szcząkał zębami. – Może dasz łyk mszalnego wina z chrześcijańskiego miłosierdzia? U popa przecież zawsze się znajdzie coś do wypicia.

Jura, pominąwszy milczeniem niestosowny żart, zaprowadził Olega do niewielkiego domku, gdzie milcząca, chuda kobieta w ciemnej chustce na głowie nałała mu talerz zupy.

– Wybacz – odezwał się Jura, patrząc, jak łapczywie Rogow łyka gorącą strawę – mamy dzisiaj post, kapuśniak jest bez mięsa.

Potem wytłumaczył Olegowi, jak trafić na przystanek autobusowy, dał mu pieniądze na bilet i pożegnał słowami:

– Przyjdź, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

– Dziękuję – mruknął Oleg i ruszył poboczem.

– Poczekaj! – zawołał Jura.

Rogow odwrócił się.

– Aleksy wpakował się w nieprzyjemną historię – powiedział ojciec Joann. – Proszę cię, wstąp do niego i powtórz mu, że jeżeli będzie szukał bezpiecznego schronienia, niech przyjedzie tutaj, ukryję go tak, że nikt się nie dowie, gdzie jest. Nie zapomnisz?

– Nie – przyrzekł Oleg i widząc nadjeżdżający autobus, ruszył biegiem na przystanek.

Wsiadł do ikarusa, odwrócił się i przez tylną szybę zobaczył smukłą, wysoką postać. Silny wiatr szarpał poły sutanny, tak że zdawało się, iż na skraju drogi przysiadł jakiś olbrzymi czarny ptak i macha skrzydłami. Doprawdy, ten duchowny zupełnie nie przypominał dawnego Jury, żartownisia, beztroskiego gawędziarza, który nie wylewał za kołnierz, miał niewyparzony język i zwykle chodził w dżinsach i starej skórzanej kurtce.

– I powtórzyłeś Loszy to, co powiedział Jura?

Oleg pokręcił głową przecząco.

– Nie, poszedłem w tango, miałem ciąg i o wszystkim zapomniałem. A teraz sumienie mnie gryzie. Może Jurka uratowałby Lochę? Jedno jest pewne: on wie, za co załatwili Kołpakowa.

Do księgarni dotarłam bardzo późno. Psy, usłyszawszy, że drzwi się otwierają, rzuciły się do mnie, chcąc czym prędzej wyjść.

– Zaraz, zaraz – mruczałam uspokajająco, zakładając całej sforze smycze. – Pospacerujemy, a potem dostaniecie jeść.

Na dźwięk tych dwóch czarodziejskich słów psy tak mnie szarpnęły, rwąc się na dwór, że omal nie upadłam. Pół godziny później już spożywały pedigree pał, a koty mięso. Dla siebie nic nie znalazłam. Na maleńkim talerzyku leżały dwa twarde jak kamienie pierniczki, puszka z kawą okazała się pusta, jakby ktoś ją wylizał, a do dna cukiernicy przywarło zaledwie kilka ostatnich drobinek cukru. Żadnych zapasów nie odkryłam naturalnie również w małej lodówce Smoleńsk.

Musiałam więc skoczyć do czynnego całą dobę supermarketu, gdzie kupiłam jakąś ohydną błyskawiczną zupę: plastikowy pojemniczek z suchymi grudkami makaronu. Zwykle nie jadam podobnych przysmaków, ale dziś miałam okropną ochotę na coś gorącego, a cóż można przyrządzić, dysponując jedynie czajnikiem? Pozostaje tylko zalać wrzątkiem tak zwany gorący kubek.

Mimo późnej pory przy kasie supermarketu tłoczyło się mnóstwo klientów. Przedemną stała mocno już starszawa, ale dobrze ubrana pani w futrze z nutrii. Wyłożyła na gumową taśmę swoje zakupy.

– Trzysta czterdzieści dwa ruble – powiedziała kasjerka.

– Już, kochana – rzekła starsza pani, otwierając portmonetkę, i nagle jęknęła: – O Boże! Zostawiłam pieniądze w domu!

Myślę, że gdyby zdarzyło jej się to gdzieś na targu, potraktowano by ją dosyć ostro, ale tu, w supermarkecie, i to w takim, gdzie każdy produkt kosztuje o rubel drożej niż gdzie indziej, obsługa zachowywała się uprzejmie. Klientka była w prawdziwym futrze, w eleganckim skórzanym kapelusiku i takich samych rękawiczkach. W rękę trzymała wytworną portmonetkę, a na palcu miała pierścionek z brylantem. Absolutnie nie wyglądała na osobę ubogą i prawdopodobnie rzeczywiście zapomniała włożyć pieniądze do portmonetki. Kasjerka jednym spojrzeniem, jak to potrafią wszyscy pracownicy handlu, oceniła wypłacalność klientki, po czym dość spokojnie zapytała:

– I co teraz zrobimy?

– Odłóżmy moje zakupy, o tutaj, na bok, a ja wrócę do domu po pieniądze – odparła starsza pani. – Mieszkam dwa kroki stąd, w tym domu, gdzie jest księgarnia, wie pani?

Kasjerka skrzywiła się i poinformowała ludzi czekających w kolejce:

– Przepraszam, ale będą państwo musieli wszyscy trochę poczekać.

– A niby dlaczego? – oburzył się stojący za nią tęgi mężczyzna w kozuchu. – Cóż to znowu za pomysły?

– Wybiłam już ceny, kasa jest zablokowana, nic nie mogę zrobić, dopóki nie otrzymam pieniędzy, muszę nacisnąć ten guzik, widzą państwo?

– To naciśnij i będzie po sprawie – warknął chłopak w skórzanej kurtce. – Po co to całe gadanie?

– Ale nie mogę, bo wybije paragon – tłumaczyła kasjerka.

– No i dobrze – powiedziałam. – Zacznie pani obsługiwać nas.

– Tak, ale wtedy wyjdzie na to, że ta pani za wszystko zapłaciła – upierała się kasjerka.

– I co z tego?

– A to – burknęła – że klientka wyjdzie i nie wróci, a ja będę musiała uregulować należność z własnych pieniędzy.

– Moja kochana – rzekła dama z uśmiechem – przecież zostawię zakupy w sklepie.

– No to co?

– To, że nic pani nie straci.

– Ale ja tego, co pani chce kupić, akurat wcale nie potrzebuję, a właściciel każe mi za wszystko zapłacić. Nie, nie, proszę przynieść pieniądze.

– Wracam za piętnaście minut – zapewniła starsza pani.

– Co za bajzel! – ryknął facet w kozuchu. – Uruchomcie drugą kasę!

– Na nocnej zmianie czynna jest zawsze tylko jedna.

– Przecież to idiotyzm! – oświadczyła kobieta w kurtce z lisów. – Mamy tu teraz sterczeć cały kwadrans, dopóki ta mumia nie przywlecze się z powrotem?

– Dlaczego pani mnie obraża? – zwróciła się do niej starszka.

– Nie gadaj tyle, babo! – wrzasnął ten w kozuchu. – Szoruj lepiej po pieniądze, no już, szybko!



– Ale jak pan mo... – zaczęła stara pani.

– No prędzej, leć! – przynaglił chłopak w kurtce.

Oczy kobiety napełniły się łzami.

– W takim razie rezygnuję z zakupów.

– Ale ja już wybiłam paragon! – oburzyła się kasjerka. – Tak nie można!

– A to stara rura! – wrzasnął kozuch. – Co cię napadło, żeby po nocy zakupy robić?! Do sklepu się chodzi rano.

– Widzi pan, młody człowieku – odparła z godnością dama – o tej porze akurat pracowałam.

– Jako co? Strach na wróble?

– Pisałam wiersz. Jestem poetką.

Zapadła cisza. Pierwszy przerwał ją chłopak w kurtce.

– Achmatowa, kurna, się znalazła!

Zrobiło mi się żal staruszki, dobrze ją rozumiałam. Sama parę razy znalazłam się w podobnej sytuacji, choć, co prawda, rozwiązała wówczas sprawę karta kredytowa.

– Proszę pani – dotknęłam ramienia starszej pani – mieszka pani koło księgarni?

– Tak.

– Wobec tego zapłacę za te zakupy, odwiozę panią do domu, a pani zwróci mi pieniądze.

– Bardzo to miło z pani strony – ucieszyła się staruszka. – Wielkie dzięki.

## Rozdział 21

Pięć minut później, podjeżdżając pod „Kram”, wskazałam palcem na żółty dom po prawej.

– Tutaj?

– Nie.

– A więc ten zielony?

– Nie, nie, mieszkam w różowym.

– Ale przecież tam jest księgarnia!

– Zgadza się – odparła dama z uśmiechem. – Na parterze i na pierwszym piętrze sprzedaje się książki, a moje mieszkanie jest na drugim.

– Jak to? – spytałam zaskoczona, wyjmując z peugeot’a paczuszkę. – Tam mieści się podobno jakaś firma.

– Racja. I firma, i ja. – Moja pasażerka skinęła głową. – A właśnie, nie przedstawiłam się. Tatiana Borisowna Ałtufjewa.

– Dasza.

– Ach, jakie piękne imię! – wykrzyknęła Tatiana Borisowna. – Moja matka miała na imię Daria. Sam jego dźwięk budzi we mnie najcudowniejsze wspomnienia!

Obeszliśmy dom i po chwili znalazłyśmy się na klatce schodowej, dosyć czystej. Moja towarzyszka bez wątpienia miała już swoje lata, ale stopnie prowadzące na drugie piętro pokonała bez wysiłku, nie przystając po drodze dla złapania oddechu.

– No, kochanie, jesteśmy na miejscu – oznajmiła, wsuwając długi klucz do zamka w drzwiach. – Proszę, proszę wejść.

Przekroczyłam próg i nagle znalazłam się w dziewiętnastym stuleciu. W ogromnym, wręcz bezkresnym przedpokoju stał piękny, dębowy wieszak z mosiężnymi haczykami, obok wisiało stare, pociemniałe lustro w ozdobnej ramie, a po obu jego stronach umieszczono na ścianie kandelabry z brązu. Schyliłam się, żeby rozpiąć botki.

– Nie trzeba! – Tatiana Borisowna machnęła ręką. – Nie znoszę, kiedy goście zdejmują obuwie.

Mówiąc to, przekręciła wyłącznik, pod sufitem jasnym światłem rozbłysnął żyrandol, a ja aż jęknęłam z zachwytu:

– Co za parkiet! Po prostu dzieło sztuki! Nie, nie mogę po nim chodzić w butach.

– Głupstwo – zlekceważyła moje obiekcje gospodyni. – Gdyby pani widziała, jakie podłogi były na pierwszym piętrze, tam gdzie teraz jest księgarnia! Mój ojciec sam dobierał każdą kłepkę, chociaż układanie parkietu to może nie taka znowu wielka sztuka. Tatuś bardzo kochał mamusię, z takim pietyzmem urządzał rodzinne gniazdo! Marzył, że będą tu dorastać całe pokolenia Ałtufjewów. Niestety, los chciał inaczej. Ale dlaczego stoimy w korytarzu? Proszę, kochanie, proszę do salonu.

Kompletnie oszołomiona weszłam do przestronnego pokoju i aż drgnęłam z wrażenia. Na ścianach rozwieszono portrety, jeden przy drugim, stykały się niemal ramami. Damy w balowych sukniach, mężczyźni w surdutach i mundurach. Dumne, szlachetne rysy, tchnące spokojem twarze, bez śladu owego popłochu, który widoczny jest dziś w spojrzeniu każdego zagonionego, pędzącego nie wiadomo dokąd moskwianina dwudziestego pierwszego wieku.

– Pani ojciec był architektem? – Chyba znów palnęłam jakieś głupstwo, ale salon zrobił na mnie wstrząsające wrażenie.

Tatiana Borisowna roześmiała się dźwięcznie i wyjęła z kredensu bombonierkę.

– Nie, kochanie, mój tatuś, Boris Siergiejewicz Ałtufjew, był wysokim urzędnikiem państwowym w ministerstwie kolei. Wie pani, w początkach ubiegłego stulecia inżynier to była wspaniała, rzadka, doskonale płatna profesja. Naturalnie ojciec pochodził z arystokracji. A mamusia, Daria Iwanowna Wasiljewa, z rodziny kupieckiej, co prawda, bardzo bogatej. Tatuś zobaczył ją w teatrze i zakochał się bez pamięci. Jego rodzice nie byli zachwyceni małżeństwem jedynego syna z córką kupca, ale nie sprzeciwiali się temu mezaliansowi. Tatuś, człowiek wielkiej zacności, nigdy nie wypominał mamusi pochodzenia. Wprawdzie przestano go zapraszać do niektórych domów, ale nie bardzo się tym przejął, w dziewięćset trzynastym roku zbudował ten dom i spędził w nim kilka szczęśliwych lat... Dlaczego pani tak zbladła, kochaneczko? Głowa panią rozbolała? Proszę wziąć jeszcze jedną czekoladkę.

– Nie – wymamrotałam, czując, że za chwilę zemdleję – tylko że ja też nazywam się Daria Iwanowna Wasiljewa.

– Ach! – Tatiana Borisowna klasnęła w ręce. – Co za zbieg okoliczności! Jest pani moją bliską krewną. Po prostu musimy napić się herbaty, proszę tylko spojrzeć, jakie mam pyszne czekoladki! Muszę się przyznać, kochanie, że straszny ze mnie łakomczuch, co oczywiście nie świadczy o człowieku najlepiej. Ale pani wzięła tylko jedną, niechże się pani częstuje!

Jej słowa dźwięczały w moich uszach głucho, jakby ktoś włożył mi na głowę grubą, obcisłą czapkę, żołądek się skręcał. W pokoju pełnym starych mebli panował straszny zaduch, czułam silną woń jakiegoś środka do czyszczenia drewna, chyba pronto, i jeszcze jakiś słodkawy, mdlący zapach...

– Przepraszam, Tatiano Borisowno – powiedziałam szeptem, w strachu, że zaraz przewrócę się na podłogę jak kręgiel – muszę już iść.

– Oczywiście, kochaneczko, a jeśli znajdziesz chwilę czasu, wstąp do mnie, opowiem ci wiele interesujących rzeczy o tym domu. Ach, któż tu nie bywał!

W obawie, że za chwilę zostanę pogrzebana pod lawiną wspomnień, chwyciłam kurtkę i uciekłam.

Na dworze poczułam się trochę lepiej. Przez pięć minut starałam się oddychać głęboko, potem otworzyłam drzwi księgarni i dałam nura do środka. Sala sprzedaży, tak ożywiona i pełna gwaru za dnia, teraz wyglądała ponuro niczym dom przedpogrzebowy. Szczerze mówiąc, już od dawna miałam dość tego koczowania w gabinecie. Chciałam wreszcie położyć się we własnym łóżku, wejść do wanny... Przez ostatnie dni myłam się w umywalce, dobrze przynajmniej, że włosy mam krótkie. Chociaż i tak dzisiaj rano ledwo-ledwo udało mi się je umyć pod kranem. Musiałam się przy tym strasznie nagimnastykować. A już zupełnie nie miałam ochoty nocować w księgarni sama, strasznie się bałam. Każdy dzień zaczynałam od telefonu do Irki, do Łożkina, i nieodmiennie słyszałam:

– Niech się pani nie denerwuje, niedługo skończą.

Nie mogłam się już doczekać...

W tej chwili z dołu dobiegło ciche skrzypnięcie. Odruchowo chwyciłam ciężki tom *Historii cywilizacji*, a nogi same poprowadziły mnie w stronę kuchenki. Uchyliłam drzwi i przy stole zobaczyłam ducha. Tym razem powłóczysta szata nie okrywała go z głową. Dziś długie, jakby martwe, białe pasma włosów opadały na ramiona, a dalej, aż do ziemi, spływał całun. Widmo podniosło ręce... Ostrożnie podkrađłam się od tyłu i z całej siły walnęłam zjawę *Historią cywilizacji* po głowie. Rozległ się zdławiony jęk i duch runął na podłogę, najwyraźniej ogłuszony. Wydałam zwycięski okrzyk Komanczów i spojrzałam na pokonanego wroga. Nieraz oglądałam w telewizji horrory; w nich zjawa zaatakowana przez człowieka zawsze zaczyna powoli się dematerializować, ale ta ani myślała zniknąć.

Przykucnęłam, żeby zobaczyć, kto się tu włóczy i straszy mnie po nocach. Chwyciwszy leżącą na podłodze istotę za włosy, odwróciłam jej głowę twarzą do siebie i krzyknęłam. Miałam przed sobą Lolę Syromiatnikową. Nagle usłyszałam tupot, szczekanie, a potem drzwi do pomieszczenia szeroko się otwały.

– Wiesz, co się... – zaczęła Mania, potem zobaczyła mnie i ucieszyła się: – Mamuśka przyszła!

Następnie jej spojrzenie powędrowało w dół.

– Mamuś, co z Lolą?

– Walnęłam ją w głowę *Historią cywilizacji*, poczekaj, widzisz przecież, że dzwonię po pogotowie.

– Ale dlaczego uderzyłaś Lolkę? – spytała zdumiona Mania.

To samo zresztą pytanie zadał mi lekarz, gdy pojawił się na miejscu zdarzenia.

– Dlaczego zadała pani dziecku cios w głowę ciężkim przedmiotem?

– Niechcący.

Doktor uniósł brwi.

– Niechcący?

– Wzięłam ją za ducha.

– Za kogo? Przepraszam, dziewczynka jest w nocnej koszuli, cóż to, mieszkacie tu, w sklepie?

– Tak, chwilowo.

– Data urodzenia poszkodowanej? – spytał sanitariusz.

– Nie wiem – zmieszałam się. – Maniu, pomóż.

– Nie pamięta pani daty urodzenia własnej córki?

– To nie jest moja córka.

– A czyja?

– Finansisty Syromiatnikowa.

– Aha – usiłował zorientować się w sytuacji doktor – weszła pani do kuchni...

– Chwileczkę – wtrąciła się Mania – ktoś tu chodził, świecił prosto w witrynę, chcieliśmy go złapać, mama się przestraszyła, myślała, że to duch, a na dodatek jeszcze Soames wplątał mi mysz we włosy!

– Mysz we włosy?

– No tak – zaczęłam wyjaśniać – Soames sam jej nie zjadł, tylko przyniósł Mani, z wdzięczności, potem ja zostałam sama, a on, ten duch, łaził po księgarni, Hootchuś się go przestraszył.

– Nic nie rozumiem! – zirytował się lekarz. – Kim są Soames i Hootchuś? To też dzieci finansisty Syromiatnikowa?

– Mojemu tatusiowi nie rodzą się zwierzęta – oświadczyła gniewnie Lola, która tymczasem na dobre już przyszła do siebie. – Soames to kot, a Hootch – mops, tylko dziwne, że ich teraz tutaj nie ma.

– Nie wpuściłam ich – wyjaśniła Mania. – Myślałam, że będą przeszkadzać panu doktorowi, wszystkie są w sali sprzedaży, Bundy, Snap, Julie, Cherry, Hootch, Soames, Kleopatra i Fifina.

– Tyle psów? – spytał lekarz, zerkając na mnie z wahaniem.

Wyobrażam sobie, co będzie opowiadał kolegom, kiedy skończy dyżur! Przyjechał na wezwanie, w nocy, do księgarni, gdzie kierowniczką wali po głowie *Historią cywilizacji* ducha, a wokół wałęsa się cała sfora psów.

– Soames, Kleopatra i Fifina to koty – poinformował Lola.

– Zabrać ją do szpitala?

– A trzeba? – przestraszyłam się.

– Mam obowiązek zapytać, jeżeli przyjeżdżam na wezwanie do miejsca użyteczności publicznej.

– Ale my tu mieszkamy! – wykrzyknęły dziewczynki.

– Więc jak? – zniecierpliwiał się lekarz.

– Nigdzie nie jadę! – zapiszczała Lola. – Nic mnie nie boli!

– Jeżeli małpa ma wstrząśnienie mózgu, mdli ją – z mądrą miną oznajmiła Mania. – Lolka, masz mdłości?

– Nie jestem małpą – odparła urażona Lola.

– No cóż, człowiek w pewnym sensie prędzej może przypomina świnie – wtrąciłam.

– Dostyc tego – zirytował się doktor. – Jedziemy. Dziewczyńce nic nie jest, tylko guz jej wyskoczył, można przyłożyć ciepły okład.

– Ale pan wymyślił! – osadziła go Mania. – W takich wypadkach przykładą się lód!

– Jesteś profesorem? – rzucił ze złością lekarz.

– Nie – zaprzeczyła z godnością moja córka – ale jeśli małpa dozna takiego urazu, stosuje się lód!

– A jeśli człowiek – ciepło.

– Lód i maść. Troxevasin, żeby nie zrobił się siniak – upierała się przy swoim Mania.

– To dopiero twoja przyjaciółka się ucieszy, jak wetrzesz jej we włosy tłustą maść.

Gorący termofor na głowę!

– Worek z lodem!

– Miska, bierz walizeczkę, zabieramy się z tego domu wariatów!

– Sam masz tylko *gyrus rectus* w głowie – odcięła się Marusia, w ferworze dyskusji zapominając o wszelkich względach przyzwoitości.

– No to zaraz zadzwonimy po milicję! – warknął sanitariusz, na oko niewiele starszy od Mani. – Nieuzasadnione wezwanie i na dodatek obraza personelu medycznego!

– Och, nie wytrzymam! – Mania zaczęła chichotać. – Ten nieuk nie wie nawet, co to takiego *gyrus rectus*. To zakręt prosty, największy zwój, który dzieli mózg na dwie półkule.

– No – zauważył szyderczo lekarz – widzę, że mamy tu samych Hipokratesów. Wychodzimy.

Nie zatrzymywałyśmy ich. Grzechocząc metalową walizeczką, ekipa wyszła do sali sprzedaży.

– Lolu, bardzo cię przepraszam... – zaczęłam i w tej samej chwili dobiegły stamtąd dzikie wrzaski, szczekanie i łoskot.

Wpadłyśmy do pomieszczenia i zobaczyłyśmy porzucane wszędzie dookoła poradniki, encyklopedie i książki kucharskie. Doktor stał na wysokiej ladzie, sanitariusz wskoczył na pokrywę ogromnego akwarium.

– Co się stało? – Byłam zaskoczona niezwykłym widokiem.

– Tam... – wybełkotał lekarz – tam... pies Baskerville'ów...

Spojrzałam w tę stronę, gdzie wskazywał.

– To nasze psy, pitbull i rottweiler, no już, marsz na górę, chłopcy.

Snap i Bundy, okazawszy lekką skruchę, zwałowo pomknęły schodami.

– Co za koszmar! – jęknął doktor, złącząc z lady. – Chodź, Miszka, byle dalej stąd!

Sanitariusz kiwnął głową i oparł się z jednej strony o pokrywę gigantycznego akwarium.

– Ostrożnie! – krzyknęła zaniepokojona Mania.

Ale było już za późno, chłopak wrzasnął, pokrywa spadła na podłogę i jakimś dziwnym trafem się nie rozbiła, za to Miszka znalazł się w wodzie.

Akwarium stoi w sali sprzedaży wyłącznie dla ozdoby. Jest ogromne, kiedy przy nim stanę, nie sięgam głową górnej krawędzi, a mam, bądź co bądź, metr sześćdziesiąt wzrostu. W środku pływają sobie rybki, pełzają ślimaki, wiją się i falują różne rośliny. Wielu klientów przystaje, by podziwiać to чудо, a dzieciaki aż piszczą z zachwytu. Ałoczka mówiła, że Lena z, poprzedniego wystroju księgarni zostawiła tylko dwa elementy – akwarium i olbrzymi globus na specjalnej podstawie. Moja zastępczyni, która przepracowała tu ponad dwadzieścia pięć lat, zapewniała też, że „słów” jest podobno bardzo stary i wręcz bezcenny. Do czyszczenia akwarium zamawia się fachowca, to cała, wysoce skomplikowana operacja. I oto teraz Misza znalazł się w środku. Po chwili, wykonawszy w wodzie kilka niezbornych ruchów rękami i nogami, zdołał wstać.

– Wyciągnijcie mnie stąd – zaniósł do nas błagalną prośbę.

A doktor dorzucił gniewnie:

– To wasza wina!

– Nas tu w ogóle nie było! – oburzyłam się.

– No właśnie, kto to widział, taka psiarnia w publicznym miejscu!

– Nasze psy w ogóle nie są groźne – wtrąciła Mania.

– Pomóżcie mi się stąd wydostać – niemal z płaczem błagał Misza. – Zaraz się utopię!

– Głowę masz nad wodą – skonstatowała bezlitośnie Lola.

– Bo stoję na palcach, ale w normalnej pozycji... Patrzcie.

Sanitariusz stanął na całych stopach. Nad powierzchnią wody ujrzeliśmy tylko jego oczy.

– Podaj ręce – zakomenderował lekarz.

Miszka wysunął kończyny.

– Ciekawe, w jaki sposób zamierza go pan stamtąd wydobyć? – zainteresowałam się. – I jak w ogóle znalazł się na akwarium?

– Nie wiem – zawodził Misza. – Kiedy zobaczyłem te potwory, po prostu wlałem na górę po ścianie. To straszne bestie! Ślepią rozjarzone, zębiska wielkości mojej pięści, jęzory jak łopaty. Psiska całe aż się trzęsą, żeby rzucić się na ofiarę i ją zagryźć. Jeden wył z wściekłości, coś straszego, o tak: u-u-u!

Parsknęłam cichym śmiechem. Strach ma wielkie oczy. Co za idiota z tego Miszki! Nasze psy mogą człowieka co najwyżej oblizać do utraty przytomności. Ich zęby rzeczywiście

wyglądają groźnie, ale Snap i Bundy robią z nich użytek wyłącznie podczas jedzenia, języki mają najzupełniej normalne, w każdym razie krowie bywają z pewnością dłuższe, a nikt przecież nie traci głowy na widok oblizującej się krasuli, przyczyna zaś tego, że psy się trzęsły, mogła być tylko jedna – pitbull i rottweiler musiały bardzo energicznie machać ogonami na powitanie gości – skąd miały wiedzieć, że tych dwóch durniów zechce dać drapaką przed uroczymi psinami. Bundy, oczywiście, nie wył, tylko śpiewał. W chwilach szczególnej radości i podniecenia, na widok nowego przybysza czy miski z racuchami, wydaje wysoki, gardłowy dźwięk: u-u-u! Po czym pędzi w waszą stronę, spragniony pieszczot.

– A potem jak się na mnie nie rzucą! – płaczącym tonem zakończył swoją relację Misza.

– Antonie Michajłowiczu, niech mnie pan stąd wyciągnie, strasznie mi zimno.

Wszystkie nasze wysiłki okazały się jednak daremne. Miszka, chłopiec drobnej, powiedziałabym nawet, wątłej budowy, nie miał dość sił, by podciągnąć się na rękach, Anton Michajłowicz zaś, przypominający zasuszoną krewetkę, również nie był w stanie wyciągnąć z wodnych odmętów swego pechowego pomocnika.

– Zaprzyj się nogami! – krzyczał spocony doktor.

– Kiedy się ślizgam!

– To zdejmij adidasy!

– Ale jak?

– Obojętne. To już twoje zmartwienie.

W końcu Miszy udało się jakoś ściągnąć buty, potem skarpetki, nie zmieniło to jednak sytuacji.

– Może spróbujemy przewrócić akwarium na bok? – podsunęła Lola.

– Rybki pozdychają! – przestraszyła się Mania.

– Ale za to Misza się wydostanie – zauważyła Lola.

Mina Mani wyraźnie świadczyła o tym, że o wiele bardziej jej żal ślicznych rybek niż gapowatego sanitariusza.

– Akwarium się stłucze – wtrąciłam szybko, widząc, że moja córka już otwiera usta, by wygłosić jakieś zdanie w rodzaju: „A niech go diabli wezmą”. – Wszyscy się pokaleczymy. Już lepiej wezwę ochroniarzy z milicji.

– A co oni pomogą? – Anton Michajłowicz westchnął ciężko.

– Zaraz przyjedzie dwóch silnych facetów. Na pewno chłopaka wyciągną – obiecałam, naciskając guzik.

Po dziesięciu minutach zamajaczyły przed wejściem dwie sylwetki. Otworzyłam drzwi i ujrzałam znajome twarze. Na wezwanie znów przyjechali Dmitrij Jurjewicz Sołowjow i Paweł.

– Witam – rzekł z westchnieniem kapitan. – Co się stało tym razem?

– Mam człowieka w akwarium, pomóżcie go wyciągnąć!



Paweł zarżał śmiechem.

– Tomcio Paluszek, tak? Właził tam, żeby popływać z rybkami?

– Nie, jest normalnego wzrostu, chyba z metr sześćdziesiąt.

– Dasza – z lekkim wyrzutem rzekł Sołowjow – pamiętasz? Dałaś słowo honoru, że koniec z piciem, a tymczasem znowu się urżnęłaś.

Paweł zajrzał do sklepu i aż gwizdnął z wrażenia.

– Ale burdel! Duch znowu narozrabiał?

– Nie, to pogotowie.

– A co, jeździło po księgarni na sygnale? – Paweł aż się skręcał ze śmiechu.

– Cicho bądź – uspokoił go kapitan.

– Przepraszam, źle się wyraziłam. Nie chodzi o karetkę, oczywiście, byli tu lekarz i sanitariusz. Potem jeden wskoczył na ladę, a drugi wylądował w akwarium.

– Słyszysz pan, Dmitriju Jurjewiczu? A może naprawdę wezwać łapiduchów? – podsumował rozsądnie Paweł.

– No cóż, dobra myśl – zaczął Sołowjow, ale w tej samej chwili rozległ się gniewny głos Miszy:

– Długo tam jeszcze będziecie marudzić? Skostniałem cały, mam już skurcze w nogach!

– Kto to? – zapytał Paweł.

– Sanitariusz w akwarium.

Mężczyźni bez słowa odsunęli mnie na bok i weszli do księgarni.

– Tak – odezwał się Paweł. – Pamięta pan, Dmitriju Jurjewiczu, jak raz zadzwonił do nas facet i powiedział, że ma w mieszkaniu boa dusiciela? Też z początku nie uwierzyliśmy.

– Skąd w Moskwie boa dusiciel? – zainteresowałam się.

– Przedostał się przez rury kanalizacyjne z innego lokalu – wyjaśnił ochoczo skory do śmiechu sierżant. – Wysunął głowę z muszli klozetowej, a gościa akurat przypiliło! Dał nam wtedy sto baksów i dwie butelki jakiejś drogiej wódki. A tutaj też mamy niezły cyrk. Człowiek-amfibia!

– Cisza! – rzucił surowo Dmitrij Jurjewicz i zaczął chodzić dookoła „słoja”, zastanawiając się głośno: – Jak go, u diabła, stamtąd wyciągnąć?

Potem, rozdrażniony faktem, że żadne konstruktywne rozwiązanie nie przychodzi mu do głowy, Sołowjow ryknął:

– A po jaką cholere w ogóle żeś tam włąził?!

– To wszystko jej wina – rozpoczął wyjaśnienia Anton Michajłowicz, wymierzywszy we mnie brudny, bynajmniej nie sterylny palec. – Najpierw walnęła ducha *Historią cywilizacji* po głowie, a kiedy ten padł bez przytomności, wezwała nas. Po księgarni grasowała cała sfera psów Baskerville'ów, więc się przestraszyliśmy. Kto by zresztą nie stchórzył na ich widok!

Przez chwilę kapitan w oszołomieniu spoglądał na lekarza. Paweł, realniej oceniając sytuację, podsumował błyskawicznie:

– Szaleństwo jest zaraźliwe. Wariaci chodzą stadami!

– Wiem, jak go wyjąć – nieśmiało odezwała się Lola.

Wszyscy jak jeden mąż zwrócili się w jej stronę.

– Trzeba wstawić do akwarium stołek, Misza na niego wejdzie i łatwiej się stamtąd wygrzebie.

– Bomba! – wrzasnęła Mania i pobiegła po taboret.

– Mądra z ciebie dziewczynka – pochwalił Sołowjow zarumienioną Lolę. – Bystra jak rzadko. Po maturze idź do szkoły milicyjnej. Potrzebne nam są takie kadry.

Wkrótce przemoczony do nitki Misza, szczęśliwie wydobyty z wodnej pułapki, trzęsąc się z zimna, rozpaczał:

– Ale jak tu jechać? Jestem cały mokry!

Zmierzyłam chłopaka wzrokiem, oceniając jego gabaryty.

– Dam ci moje dzinsy i sweter.

– A buty? Noszę rozmiar czterdzieści trzy...

Po półgodzinie wszyscy wreszcie wyszli. Sołowjow i Paweł wzięli po encyklopedii *Życie zwierząt*, Anton Michajłowicz zaopatrzył się w *Poradnik lekarza internisty*, Misza zadowolił się naszym ubraniem, przy czym grymasił, jak mógł. Zwykle niebieskie dzinsy Lee nie odpowiadały mu, musiałam się rozstać ze sztruksami, sweter chłopak wybierał co najmniej dziesięć minut, po czym poinformował:

– A, właśnie, majtek też nie mam.

– Weź te. – Marusia podała mu białe trykotowe figi, kokieteryjnie ozdobione koronką i atłasowymi kokardkami.

– To dobre dla pedałów – oburzył się Misza. – Dajcie mi normalne majtki.

– Innych nie ma – ucięłam sprawę. – Wciągaj dzinsy na goły tyłek.

Miszka jednak wziął figi i wyszedł do kuchenki się przebrać. Trzeba przyznać, że wyglądał bardzo szykownie; jeden tylko drobny szczegół nieco psuł ogólny efekt. Otóż chłopak musiał włożyć moje domowe pantofle, różowe klapki z pomponami, gdyż obuwia w odpowiednim rozmiarze nie udało się, niestety, znaleźć.

## Rozdział 22

Rano, ledwie zdążyłam schować pościel, do gabinetu wpadła ogromnie wzburzona Ałłoczka i zamiast, jak zwykle, przytulić Hootchusia do piersi, wykrzyknęła:

– Co się tutaj w nocy działo?

Zdumiałam się. Postanowiłyśmy wszystkie trzy nikomu o niczym nie opowiadać i do rana porządkowałyśmy księgarnię. Tym razem dopilnowałam, żeby porozrzucane książki znalazły się na odpowiednich stelażach. Umieściłyśmy nawet na swoim miejscu szklaną pokrywę akwarium, umyłyśmy podłogę i ladę. Słowem, żadnych śladów nocnych zajęć oprócz guza na głowie Loli nie było.

– Przepraszam cię, Loleńko – mamrotałam, suwając szmatą po podłodze – nawet przez myśl mi nie przeszło, że to ty. Byłam pewna, że przyjdziecie jutro... Jak się dostałyście do księgarni?

– Mam klucz – wyjaśniła Mania.

– Skąd?

– Dorobiłam duplikat z twojego u ślusarza za rogiem.

– Po co?

– No cóż, ty swój, zgodnie ze swoim zwyczajem, zgubisz, więc postanowiłam się zabezpieczyć – wytłumaczyła rozbawiona Maszka.

Nie pojmując, jak Ałła się domyśliła, że wieczorem w sklepie doszło do burzliwych wydarzeń, zesłam na dół i zobaczyłam, że wszystkie ekspedientki oraz Szura tłoczą się przy akwarium.

– No, no, czegoś takiego jeszcze nie widziałam – obwieściła poruszona Ałłoczka.

Podeszłam bliżej do gigantycznego szklanego zbiornika i oniemiałam. Wczoraj we trzy starannie posprzątałyśmy całe pomieszczenie, zatarłyśmy wszelkie ślady, a o akwarium na śmierć zapomniwałyśmy. Przypominało teraz eksponat z wystawy sztuki awangardowej. W środku najspokojniej stał taboret, na dnie leżały adidas, a w wodzie, niby duże, płaskie ryby, pływały skarpetki sanitariusza Miszy.

– A niech to diabli! – wyrwało mi się.

– Faktycznie, cała sprawa wygląda na diabelską sztuczkę – podchwyciła Ałła. – Jak to wszystko się tam znalazło?

– W starych domach nie takie rzeczy się zdarzają – oświadczyła autorytatywnie Szura. – Jeden nasz znajomy kupił mieszkanie na Arbacie, wykwaterował dotychczasowych lokatorów i sam się wprowadził. Ale wyobraźcie sobie, zaczął go prześladować duch, wył po nocach, hałasował... Trzeba było wezwać specjalistę od kontaktów z siłami nadprzyrodzonymi.

– Ja też nie lubię zostawać tu wieczorami sama – przyznała się nieoczekiwanie Ałłoczka. – Raz nawet mi się wydawało, że widzę jakąś białą postać. Jak Daria Iwanowna może tu nocować? Lepiej się stąd wynieść, to nie jest bezpieczne miejsce.

– Głupstwa gadacie – wtrąciła się rozsądna Swieta. – Myślę, że było tak. Ktoś postanowił okraść akwarium, wstawił do środka taboret, wlaź, wylaź i...

– A adidas i skarpetki? – przerwała jej Lila.

– No, najpierw bezmyślnie władował się w butach, potem stwierdził, że trudno się w nich poruszać, i zdjął je – odparła Swieta.

– Nonsens – oświadczyła zdecydowanie Szura. – Po jakiego grzyba złodziej miałby wlaźć do akwarium? Przecież tam nie ma nic wartościowego. Już prędzej rąbnąłby coś z papierniczego, na przykład to pióro za dwadzieścia kawałków.

– Już wiem! – wykrzyknęła Swieta. – Ałło Siergiejewno, przypomina pani sobie tę starowinę z drugiego piętra? Tę, co tu przychodziła i opowiadała o skarbie? Może dlatego złodziej wlaźł do wody. Te kamyki na dnie wyglądają na prawdziwe, szlachetne. Spójrzcie same, zupełnie jak szmaragdy!

– Dość już tego gadania – ostro przerwała Swiecie Ałła. – Najwyższy czas otwierać. Akwarium zasłońcie, a ja zadzwonię do Makara Iwanowicza, niech przyjdzie wieczorem, wyjmie te rzeczy i przy okazji od razu zrobi ze wszystkim porządek.

Dziewczyny zabrały się do pracy, a ja poszłam za Ałłą na górę, do jej gabinetu, i tam zapytałam:

– Co to za historia ze skarbem?

– Bzdura! – Moja zastępczyni machnęła lekceważąco ręką. – Nie nabijaj sobie głowy głupstwami...

– Mimo wszystko chciałabym się dowiedzieć.

Ałłoczka zaczęła opowiadać:

– Na drugim piętrze, nad księgarnią, mieszka staruszka, ma alzheimera czy zaawansowaną sklerozę, nie wiem dokładnie. I kiedy Jelena Nikołajewna zaczęła przebudowę sklepu, ta babcia co dzień się tu zjawiała i patrzyła robotnikom na ręce.

Tatiany Borisowny nikt o to nie prosił, ale też specjalnie nie przeszkadzała, obserwowała tylko, jak ekipa rozwała i wyburza ceglane ściany. Po tygodniu Lenka nie wytrzymała i zagadnęła starą damę:

– Co pani w tym widzi takiego interesującego? Brud, kurz...

Tatiana Borisowna odparła z godnością:

– Chcę wyegzekwować swoje prawa do skarbu, są tam rzeczy należące do mojej rodziny.

– Do skarbu? – Lena wytrzeszczyła oczy.

– Właśnie. – Dama skinęła głową, po czym opowiedziała niewiarygodną historię.

W 1924 roku, zanim jej ojca, Borisa Ałtufjewa, osadzono w kazamatach Czeki, inżynier, przeczuwając, że może już nigdy stamtąd nie wrócić, zdążył ukryć, jak powiedziała siedmioletniej wówczas Tani matka, to, co najdroższe i najcenniejsze. Skarb!

– A ty, mamusiu, wiesz, gdzie on jest? – dopytywała się córka.

Daria Iwanowna nie zdradziła jej miejsca, ale Taniusza, bystra dziewczuszka, zrozumiała, że matka je zna. Jakżeby tatuś, kochający żonę do szaleństwa, mógł jej nie powiedzieć, gdzie ukrył skarb? Po prostu mamusia na razie nie chciała o tym mówić... Kiedy Tania podrośnie, mama na pewno zdradzi jej tajemnicę. Z pewnością tak właśnie by się stało, gdyby w 1936 roku Daria Iwanowna nie wpadła pod jeden z nielicznych wówczas samochodów, ale niestety, w wyniku wypadku zmarła, nie zdążywszy przekazać córce żadnej informacji. Dziewiętnastoletnia wówczas Tania przeszukała starannie wszystkie dostępne pomieszczenia, jednak nic nie znalazła.

– Ale to przecież bzdury – zakończyła relację Ała. – Żadnego skarbu tutaj nie ma.

– A jeżeli jest?...

– Daszeńko – spytała Ałoczka z uśmiechem – wiesz, ile razy przebudowywano tę kamieniczkę? Najpierw były tu mieszkania komunalne, potem zamieniono je na biura, w czasie wojny mieścił się w tym domu szpital, a na początku lat pięćdziesiątych otwarto księgarnię. Bóg wie ile razy burzono ściany, kładzono nowe podłogi, robiono kapitalny remont, wymieniano instalacje i rury. Gdyby coś tutaj było, już dawno by się znalazło. To wszystko bajki, możesz mi wierzyć. Chociaż trudno wykluczyć, że któryś z poprzednich mieszkańców znalazł w swoim pokoju jakąś szkatułkę. A jeśli nawet tak było, z pewnością nie trąbił o tym wszystkim dookoła, prawda? Pomyśl tylko sama! Starowinie po prostu w głowie się pomieszało, i tyle.

Nic już nie mówiąc, wróciłam do swego gabinetu. Tatiana Borisowna bez wątplenia wyglądała na osobę wiekową, ale nie robiła wrażenia pomyłonej. Była przyzwoicie ubrana, mówiła do rzeczy, tyle że, wybierając się po zakupy, zapomniała wziąć ze sobą pieniędzy, ale i mnie nieraz się to zdarzało...

– Ałoczko – znowu weszłam do gabinetu mojej zastępczyni – muszę ci się przyznać z ręką na sercu, że strasznie się boję zostawać tutaj na noc.

Jednakże nie chciałam jej opowiadać o duchu, jeszcze pomyśli, że kierowniczką ma nie po kolei w głowie. Przecież nikt – ani Mania, ani milicjanci, ani lekarz pogotowia – mi nie uwierzył...

– To nie nocuj w księgarni! Możesz się przenieść do mnie. Chcesz? Choćby dzisiaj.

– Do ciebie?

– Naturalnie. Mieszkanko mam, co prawda, niewielkie, dwa pokoje, i dosyć daleko, bo aż na Tiopłym Stanie, ale jakoś się pomieścimy.

– Dzięki, zastanowię się, a teraz chciałabym pojechać do Łożkina, zobaczyć, jak się posuwa remont domu.

– Oczywiście, jedź.

Szybko wskoczyłam w peugeota, w duchu dziękując losowi za to, że zesłał mi tak dobrą przyjaciółkę jak Ała. Ałoczka przypadła do gustu również Mani i psom. Nawet Kleopatra, która na ogół nie przepadała za obcymi, z zadowoleniem zwijała się w kłębek na jej kolanach. Było mi przykro, że muszę oszukiwać Ałę, ponieważ bynajmniej nie wybierałam się do Łożkina. Zamierzałam pojechać do cerkwi Gawriły Męczennika, by odwiedzić kopacza Jurę, przepraszam, ojca Joanna.

Budowlę z krzyżem na kopule zobaczyłam od razu, tyle że była zamknięta na cztery spusty. Z daleka widziałam olbrzymią kłódkę. Dwie staruszki w ciemnych chustach stały przy furtce cerkiewnego ogrodzenia.

– Przepraszam – zagadnęłam ostrożnie – nie wiecie, gdzie mogłabym znaleźć ojca Joanna?

– Chyba w refektarzu – wymamrotała jedna. – Obejdź cerkiew, z tyłu zobaczysz domek, wejdź i tam zapytaj.

Posłusznie ruszyłam we wskazanym kierunku, pociągnęłam ciężkie drzwi i znalazłam się w ciemnym, nisko sklepionym pomieszczeniu. Podłogę ułożono tu z desek pomalowanych brązową farbą. Stałam chwilę, zastanawiając się, w którą stronę długiego korytarza się skierować. Ale zaraz otworzyły się małe drzwi i wyjrzała zza nich młoda kobieta w fartuchu. Jej bladą, nieumalowaną twarz rozjaśnił uśmiech. Usłyszałam pytanie:

– Szuka pani kogoś?

– Ojca Joanna.

– Ostatnie drzwi po lewej.

Szłam po skrzypiących deskach, usiłując rozpoznać zapach, który czułam. Co to było? Perfumy? Wciąż jeszcze niepewna, zapukałam do drzwi z ciemnego drewna.

– Otwarte – rozległo się ze środka.

Wsunęłam głowę do pomieszczenia.

– Można?

Dość jeszcze młody człowiek z czarną, starannie przystrzyżoną brodą odłożył na bok grubą księgę, oprawną w skórę, i uśmiechnął się zachęcająco.

– Proszę wejść i usiąść. W czym mogę pomóc? Wydaje mi się, że nie jest pani chyba z naszej parafii.

Już miałam oświadczyć, że w ogóle nie należę do żadnej parafii, ale powstrzymałam się i powiedziałam tylko:

– Przyszłam w sprawie Aleksego i Nadi Kołpakowów. Pan przecież dobrze ich znał, ojciec Joannie.

Duchowny obrzucił mnie uważnym spojrzeniem i rzekł łagodnie:

– Proszę mnie nazywać Jurijem Nikołajewiczem. Tak, to prawda, był w moim życiu okres, kiedy bardzo się zbliżyłem z Kołpakowami, pracowałem razem z Aleksym, ale teraz już się nie widzimy, nasze drogi zbyt szybko się rozeszły.

– Mówiąc o pracy, ma pan na myśli rozkopywanie cudzych mogił?

Szczerze mówiąc, chciałam zbić Jurę z pantaląku, ale on znów tylko uśmiechnął się lekko.

– Długa i kręta droga wiodła mnie do świątyni Pańskiej. Pani jest z milicji? Czy Aleksemu coś się stało?

– Dlaczego pan tak myśli? Może Kołpakowowie chcą pana z jakiejś okazji zaprosić do siebie?

– Jak pani na imię? – spytał Jura.

– Daria, Dasza.

– Widzi pani, Daszeńko – powiedział – nie wiem dlaczego, mam jakieś niedobre przeczucia. Aleksy nie żyje?

Popatrzyłam na ojca Joannę. Dziwna rzecz, Jura był o wiele młodszy ode mnie, a czułam się przy nim jak mała dziewczynka.

– Tak, przeczucie pana nie myli. Aleksy zginął.

Jura przeżegnał się zamazyście.

– Jesteśmy zaledwie gośćmi na tym świecie, mamy do przejścia krótką drogę – od pieluszek do śmiertelnego całunu.

– Wie pan, dlaczego został zamordowany?

Jura pokręcił głową.

– Mogę się tylko domyślać. Więc co, rzeczywiście jest pani z milicji?

Nie zaprzeczyłam, potwierdziłam szybko:

– Tak, major Daria Iwanowna Wasiljewa.

Dopiero wtedy pomyślałam, że powinnam była w porę ugryźć się w język, gdyż ojciec Joannę pewnie zaraz z miłym uśmiechem powie: „Czy mogę zobaczyć pani legitymację?”, po czym kulturalnie, ale zdecydowanie wyprosi samozwańczą panią major za drzwi.

Jura jednak nie zapytał o dokument. Zaczął obracać w rękach gruby czerwono-granatowy ołówek. Ciekawe, skąd go wzięł. Przestano je teraz produkować. Kiedyś babcia dała mi w prezencie dziesięć takich, a ja, uczennica drugiej klasy, nie posiadałam się ze szczęścia. Ołówki wydawały mi się niezwykle oryginalne. Dzisiejsi ośmiolatki, którzy mają wszystko, nie zrozumieliby owego uniesienia.

Duchowny milczał.

– Nie może pan naruszyć tajemnicy spowiedzi? – chciałam go jakoś ponaglić.

Jura wzruszył ramionami.

– Aleksy się nie spowiadał, był człowiekiem niewierzącym, ateistą. Nie dlatego, że świadomie doszedł do takich przekonań, ale po prostu z niewiedzy, braku rozeznania. Próbowałem go nawrócić, zbliżyć do Boga, ale Losza tylko się śmiał. Jednak kiedy wpadł w tarapaty, przyszedł do mnie po radę. Pytał, jak ma postąpić.

– A pan?

– Zasugerowałem mu, żeby poszedł na milicję i wszystko opowiedział, przyznał się do winy... Ale on tylko się roześmiał i orzekł, że chyba mam nierówno pod sufitem. Kiedy potem przeanalizowałem swoje zachowanie, zrozumiałem, że postąpiłem niesłusznie. Oto człowiek, cóż z tego, że niewierzący, zbłądził i przyszedł do świątyni z prośbą o pomoc, a ja, powodowany pychą, uważając się za sprawiedliwego sędziego, z wyżyn swego autorytetu udzielałem mu rad. Trzeba było zaproponować Aleksemu schronienie, zapewnić strawę i dach nad głową. Proszę mi wierzyć, długo jeszcze czułem się paskudnie, zadzwoniłem nawet do Nadi, ale usłyszałem od niej: „Dziękuję, sami sobie poradzimy, klep dalej swoje pacierze, a nas zostaw w spokoju”.

– W jakie tarapaty wpadł Aleksy?

– Zaraz spróbuję to pani wyjaśnić, chociaż – po pierwsze – wiem o wszystkim tylko od niego, a po drugie, będę musiał zacząć od samego początku. To dawne dzieje.

– Nie szkodzi, mam mnóstwo czasu – zapewniłam.

Do „wykopkowego” interesu wciągnął Aleksęgo Jura. Kołpakow nie miał wtedy pracy i – żeby zarobić choć parę groszy – woził pasażerów na tak zwanego łebka. Wyjeżdżał wieczorem samochodem na ruchliwe ulice i szukał pasażerów – było to zajęcie niezbyt przyjemne i raczej niebezpieczne. W dodatku Loszka nie miał szczęścia. Prześladował go pech. Parę razy wpadł w łapy drogówki, zażądano od niego licencji na prywatne przewozy, kiedy indziej spuścili mu łomot taksówkarze z rewiru, gdzie Locha „klusował”, a w dodatku pasażerowie często gęsto nie płacili za kurs. Słowem, zajęcie to nie przynosiło ani dochodu, ani satysfakcji, ale cóż innego Aleksy mógł robić? Wprawdzie ukończył wydział samochodowy i mógł poszukać zatrudnienia w jakimś warsztacie czy – w ostateczności – zająć się blacharką, ale brudna robota za nędzne wynagrodzenie niezbyt go pociągała. Wożąc łebków, przynajmniej nie był od nikogo zależny.

Potem Nadia zaczęła pracować w antykwariacie. Z jej pensji dało się już jakoś wyżyć. No a później pojawił się Jura i zaproponował Loszy, żeby został jego współnikiem. Z początku Aleksy był absolutnie zafascynowany nowym zajęciem. W swej naiwności sądził, że przyniesie mu ono niewiarygodne wprost zyski.

Mówi się, że nowicjuszom szczęście sprzyja; Loszce też się pofarciło. Podczas swej pierwszej wyprawy znalazł hełm z czasów nie drugiej, lecz pierwszej wojny światowej. Pewien kolekcjoner zapłacił mu za niego taką kupę forsy, że chłopak omal nie zwariował ze szczęścia i przez dziesięć dni sumiennie oblewał ten sukces. Ale potem pieniądze się



skończyły, a wraz z nimi odwróciło się koło fortuny. Aleksy przestał być dzieckiem szczęścia. Nie trafiały mu się już żadne ciekawe znaleziska. Minęło lato, nadeszła deszczowa jesień, Kołpakowowi odeszła ochota na kopanie. Nie, nie z powodu jakichś skrupułów moralnych – tych bynajmniej nie odczuwał, rozgrzebując cudze mogiły. Po prostu miał dość taplania się w mokrej, rozmięklej ziemi i przejmującego zimna. Wtedy usłyszał o poszukiwaczach skarbów. Nowe zajęcie bardziej mu odpowiadało.

Wprawdzie trzeba było pracować po nocach, ale za to na miejscu, w Moskwie. Skończyły się wyjazdy w teren, na wieś, gdzie pijani chłopcy, także zajmujący się „wykopkami”, w swej sielskiej prostocie potrafili zabić człowieka, który znalazł coś wartościowego. Loszka mógłby wymienić nazwiska kolegów z branży, po których wszelki słuch zagaął. Zrozpaczone matki i żony poszukiwały ich przy pomocy jasnowidzów. Do wszystkich, którzy przepadli bez wieści, w chwili zniknięcia akurat uśmiechnęło się szczęście, trafili na bogaty łup, a zatrzymywali się na nocleg u okolicznych mieszkańców.

W stolicy było bezpieczniej. Losza o zmierzchu wślizgiwał się do starej moskiewskiej kamienicy, przeznaczonej do rozbioru, i zabierał stamtąd wszystko, co głupi lokatorzy, nieświadomi wartości posiadanych czy użytkowanych rzeczy, zostawiali w opuszczonych mieszkaniach. Były to najróżniejsze przedmioty – klamki z brązu, mosiężne uchwyty, rzeźbione dębowe listwy. Tu demontował Losza klepki ułożonego w piękne wzory parkietu, tam kafel po kafel rozbierał staroświecki kominek, jeszcze gdzie indziej na opustoszałej antresoli odkrywał oryginalną, dziewiętnastowieczną lampę naftową czy pociemniałe lustro w mahoniowej ramie.

Oczywiście, nie bez znaczenia był fakt, że Nadia pracowała jako taksatorka w antykwariacie. Odwiedzali go często amatorzy staroci, gotowi za wymarzoną klamkę z brązu, mosiężną kołatkę czy dzwonek do drzwi zapłacić ogromne pieniądze. A więc Loszka starał się, jak mógł. Zaczął też doskonale zarabiać i nawet kupił Nadźce futro. Z kopaniem skończył, a drogi jego i Jurki się rozeszły. Kołpakow, co prawda, próbował namówić przyjaciela do penetracji opuszczonych mieszkań, ale ten zaczął już wtedy poważnie rozmyślać nad sensem życia i nie chciał łązić po piwnicach i strychach. Potem wstąpił do seminarium duchownego i kontakty obu młodych mężczyzn zupełnie się urwały. Interes Kołpakowa kwitł. Aleksy teraz już rzadko sam wypuszczał się na poszukiwania. Miał „stajnię” liczącą dziesięciu ludzi, którzy przynosili mu najróżniejsze znaleziska. Loszka zaczął nawet przyjmować zamówienia na konkretne przedmioty, aż wreszcie nadszedł dzień, gdy Kołpakow, który nieraz już przecież bywał na bakier z prawem, zdecydował się na prawdziwą kradzież.

## Rozdział 23

Loszka miał pewnego klienta, zagorzałego, wręcz patologicznego kolekcjonera, nazwiskiem – niezwykle trafnie dobranym – Sundukow<sup>2</sup>. Marlen Jefimowicz uwielbiał starocie. Jego mieszkanie przypominało prawdziwy antykwariat. W pokoju nie było dosłownie skrawka wolnego miejsca, ściany, nawet podłoga, wszystko było zastawione, zawieszane, zasłane. Słowem, nora Pluszki. Chociaż nie, to nie jest właściwe porównanie. W odróżnieniu od tego niesympatycznego Gogolowskiego bohatera, Marlen Jefimowicz odczłochał płacić za antykwaryczne rarytasy. Facet był naprawdę szurnięty. Prawie wszyscy amatorzy staroci i kolekcjonerzy chętnie sprzedają to i owo ze swoich zbiorów, by następnie kupić jakąś wymarzoną figurkę czy wazę. Ale nie Marlen Jefimowicz! On z niczym nie potrafił się rozstać. Co więcej, był po prostu chory, gdy nie udawało mu się zdobyć upragnionego przedmiotu. Loszkę naprawdę zdumiewała ta nieopanowana żądza posiadania.

Pewnego dnia Marlen Jefimowicz, kupiwszy od Kołpakowa doskonale zachowany kominkowy pogrzebacz, jął się uskarżać, że ostatnio nie ma szczęścia. Jedną z jego znajomych, mocno już starsza pani, która jak rok dłużej mieszka samotnie na daczce, jest posiadaczką wspomnianego przedmiotu – podnóżka ze skrytką. Ten niewyróżniający się niczym szczególnym sprzączek od dawna kusił Marlana Jefimowicza, który proponował staruszce za kawałek drewna obity zetłalym pluszem sporą sumę. Był przekonany, że kobieta chętnie pozbędzie się tego bezużytecznego w gruncie rzeczy drobiazgu, ale ta nieoczekiwanie odmówiła, motywując to w doprawdy niedorzeczny sposób. Otóż oświadczyła, że podnóżek ma dla niej wartość pamiątkową. Przypomina jej czasy, gdy siadywała na nim przy kominku, słuchając śpiewu matki. Gdy tylko sama zamknie oczy, Marlen Jefimowicz może sobie zabrać mebelek.

Ale on nie chciał czekać. W dodatku dama, choć wyglądała na sędziwą, czuła się doskonale i wcale się nie wybierała na tamten świat.

– Gdyby tak ktoś rąbnął ten podnóżek – powiedział Marlen Loszy, nie owijając sprawy w bawełnę – zapłacę po królewsku. Pogadaj, z kim trzeba.

---

<sup>2</sup> Sunduk (ros.) – kufer, skrzynia.

Suma, którą zdecydował się wyłożyć kolekcjoner, była w istocie niebagatelna; Loszka pomyślał, pogłównował i sam zabrał się do rzeczy. Podnózek świsnął bez najmniejszego trudu. Zaczekał, aż niefrasobliwa staruszka pójdzie do kuchni gotować obiad, i dostał się do domku przez otwarte okno pokoju.

Tak to Locha stał się złodziejem i zaczął przyjmować zamówienia. Słuchy o tym, że potrafi zdobyć dosłownie wszystko, błyskawicznie rozeszły się w kręgach kolekcjonerów. Kołpakow nigdy nie łączył się na nic więcej – nawet jeśli w domu na najbardziej widocznym miejscu leżały pieniądze czy kosztowności, brał tylko zamówiony przedmiot. Dlatego nie uważał się za złodzieja, chociaż wkrótce stał się prawdziwym artystą w otwieraniu wszelkich zamków. Na jego korzyść działał jeszcze fakt, że posiadacze cennych starych rzeczy byli przeważnie ludźmi w podeszłym wieku i nie składali na milicji doniesień o kradzieżach. Najczęściej domyślali się, w czyich rękach się znalazła ich ulubiona figurka czy tabakierka, ale podejrzania to za mało – trzeba mieć dowody. Tak więc zwykle z góry dawali za wygraną. Pomyślcie sami, co zrobią w wydziale kryminalnym, widząc zawiadomienie o kradzieży porcelanowej filiżanki? Najprawdopodobniej będą usiłowali wmówić poszkodowanemu, że stłukł ją któryś z jego wnuków, a teraz boi się przyznać.

Aleksy dość długo uprawiał opisany proceder z pomyślnym skutkiem i wspinał się na szczyty finansowego dobrobytu. Bliższym i dalszym znajomym, zdziwionym, skąd całkiem jeszcze niedawno klepiące biedę rodzeństwo Kołpakowów wzięło pieniądze na remont mieszkania i samochód, brat i siostra odpowiadali najspokojniej w świecie:

– Daleka krewna zostawiła nam w spadku dom i kupę forsy.

Ale w końcu zdarzyła się wpadka. Najpierw drobna. Loszka – na zamówienie – ukradł pewnemu starowinie pozytywkę, ale kiedy klient zobaczył szkatułkę, aż splunął z wściekłości. Aleksy wziął nie to, co powinien. Okazuje się, że dziadunio miał w domu kilka pozytywek. Trzeba więc było odwiedzić mieszkanie jeszcze raz. Wszystko niby poszło dobrze, ale nazajutrz do Kołpakowa wdarła się cała gromada młodych ludzi w kominiarkach i pobiła Lochę niemal do utraty przytomności. Następnie goście oblali go lodowatą wodą, przywiązali do stołka i zapytali:

– Dlaczego obrobiłeś ojczulka?

– Kogo? – zdumiał się Loszka. – Jakiego znowu ojczulka? Jeżeli wam chodzi o pozytywkę, to owszem, wziąłem, ot, diabeł mnie podkusił, spodobała mi się, ale mogę oddać.

– Jesteś jeszcze głupszy, niż na to wyglądasz – oświadczył z pogardą jeden z bandziorów.

– Włazisz do cudzej chałupy i nawet wiesz, do kogo ona należy?

– Do Nikodima Jefimowicza Bielkina – odparł skołowany Locha. – To były wojskowy, chyba pułkownik.

– Zgadza się. – Bandyta zarżał śmiechem i dla porządku trzasnął Kołpakowa jeszcze raz w zęby. – Fakt, ksywę ma Pułkownik, bo to ważna figura, nasz szef. Wiesz teraz, na kogo się narwałeś, gnoju śmierdzący?

Losza zmartwiał. Trudno było sobie wyobrazić gorszą sytuację. Ukradł pozytywkę człowiekowi zajmującemu wysoką pozycję w środowisku przestępczym, kontrolującemu porządek w podległym mu rejonie. Alosza ani przez chwilę nie wątpił, że zapłaci za to głową. Ale bandyta dał mu jeszcze raz w ucho i oświadczył dość spokojnie:

– Pułkownik jest litościwy, bo ja wyrwałbym ci nogi z dupy i wkręcił w uszy. Ale ojczulek prosił, żeby bez mokrej roboty. A więc tak. Zwrócisz zabaweczki i zapłacisz karę – dwadzieścia kawałków zielonymi. Masz termin na jutro.

Loszka usiłował tłumaczyć, że pozytywki zostały sprzedane, a on nie ma żadnej gotówki, ale w odpowiedzi dostał tylko jeszcze parę razy w zęby oraz usłyszał, co następuje:

– Weź, skąd chcesz, nam to wisi i powiewa, ale jak jutro nie przyniesiesz towaru i szmalu, lepiej uważaj!

Aloszka pognął do klienta, błagając o zwrot pozytywek, kolekcjoner jednak tylko rozłożył ręce. Jedna jest u niego, owszem, a drugą, niepotrzebną, zaniósł do Nadi, do antykwariatu.

Locha nie bardzo się palił do tego, by wprowadzać siostrę w całą sytuację, ale niestety, musiał jej opowiedzieć o najściu. Nadia wpadła w panikę. Aleksey nigdy dotąd nie wspominał, że sam zajmuje się kradzieżą antyków. Napomykał jedynie, że ma kontakty z kryminalistami obrabiającymi mieszkania, tak więc dla Nadiuszy był to podwójny szok. Dowiedziała się nie tylko, że ukochany brat jest złodziejem, ale również, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Błyskawicznie więc zaczęła działać. Dolary – pod zastaw domu w Kalinowie – pożyczył Lowa Jaszyn.

– Kto? – spytałam, usiłując sobie przypomnieć, skąd znam to imię i nazwisko.

– Lew Jaszyn – spokojnie powtórzył Jura. – Jeden ze współwłaścicieli antykwariatu i kochanek Nadi.

Ciekawe, facet pożycza pieniądze przyjaciółce, ale nie po prostu tak, na zasadzie wzajemnego zaufania, tylko pod zastaw. Od razu przypomniała mi się pewna anegdota. Telefon do biura jednego z „nowych Rosjan”. Finansista podnosi słuchawkę.

„Słucham, mów prędko, kochana, mam zebranie. Pożyczyć ci sto tysięcy dolarów? A jaki zastaw? Twoje brylanty? Śmiechu warte. Już prędej samochód, ale i to za mało. Dacza? No dobrze, dostaniesz sto tysięcy pod zastaw samochodu i daczy, tak, tak, dzisiaj! A teraz, mamusiu, nie przeszkadzaj, pa, pa, naprawdę jestem zajęty!”

– Skąd znam to nazwisko? – mamrotałam pod nosem. Lew Jaszyn... Musiałam je gdzieś słyszeć, jak wszyscy nauczyciele, mam dobrą pamięć do nazwisk. Lew Jaszyn...

Jura uśmiechnął się.

– Chce pani, to pomogę. Był swego czasu taki bramkarz, szalenie popularny, nazywał się Lew Jaszyn, prawdopodobnie dlatego zbitka tego imienia i nazwiska utkwiała pani w pamięci. Zapewniam panią jednak, że Lowa, który jest współwłaścicielem antykwariatu, nie ma nic

wspólnego z piłką nożną ani żadnym innym sportem. To wielki, gruby facet, prawdziwy niedźwiedź. On właśnie dał dolary, ale tylko piętnaście tysięcy. Może nie miał całej sumy, może trudno mu było rozstać się z pieniędzmi.

Pozytywka, na szczęście, nie została jeszcze sprzedana. Losza przybiegł wtedy do Jury i ze łzami w oczach opowiedział całą historię, a następnie poprosił:

– Bądź kumplem, pożycz pięć baniek. Jak tylko zarobię, od razu ci oddam.

Ale Jura pokręcił głową.

– Nie mam.

– Jak to? – zdumiał się Losza.

– Po prostu.

– Przecież zawsze trzymałeś dziesięć tysięcy w rezerwie – nalegał Loszka. – Bądź spokojny, załatwimy wszystko jak pan Bóg przykazał, dam ci pokwitowanie.

– Nie boję się, że mnie oszukasz – wyjaśnił spokojnie Jura – tylko naprawdę nie mam pieniędzy. Kiedy odszedłem ze świeckiego życia, wszystkie oszczędności przekazałem na remont kopuły tej cerkwi. Teraz moje dochody są bardzo skromne, nie dysponuję taką sumą. Chcesz rady? Idź na milicję i wszystko tam opowiedz, oni ci pomogą wydobyć się z tarapatów.

– A co on na to?

Ojciec Joann odparł z westchnieniem:

– Najpierw splunął na podłogę, a potem zaczął kłać jak szewc, najgorszymi wyrazami. Ale naturalnie wybaczyłem mu to. Złość przez niego przemawiała.

Aleksy wyszedł, nie pożyczwszy pieniędzy, a na odchodnym tak trzasnął drzwiami, że obraz ze sceną biblijną, w ciężkiej drewnianej ramie, zerwał się z haka i runął na podłogę. Ojciec Joann uznał to za znak i zaczął analizować całą sprawę.

Nazajutrz rano zadzwonił do Aleksego. Pieniądzy rzeczywiście nie miał, ale postanowił zaproponować Loszy schronienie, w którym ludzie Pułkownika z pewnością go nie odnajdą. Słuchawkę podniosła Nadia i wtedy to właśnie rzuciła z gniewem:

– Sami sobie poradzimy, a ty klep dalej swoje pacierze.

Jura nie próbował więcej kontaktować się z Aloszą i o jego śmierci dowiedział się ode mnie.

Wsiadłam do peugeota i włączyłam radio. Z głośnika buchnęła rubaszna piosenka:

*Czy tę dziewczynę znasz,*

*Czy nie wiesz o niej nic?*

*Może nie lubi palić,*

*Może nie lubi pić?*

*Lecz nam to jedno w głowie tkwi:*

*Poderwać Alice chcemy dziś...*

*Ubrana jak laleczka jest  
I śliczną bużkę ma.  
Paczki dostaje z Izraela,  
Angielski także zna.  
Więc choć prostacki mamy gust,  
Ty, Alice, nie krzyw ust...*

No cóż, ja też z grymasem na twarzy, zgoniona, biegam po całej Moskwie i wciąż spotykają mnie same niepowodzenia! Teraz się okazuje, że Aleksy wpakował się po uszy w kryminalne rozgrywki. Ale co miała z tym wspólnego Nadia? Może w ogóle jestem na fałszywym tropie? A jeżeli po prostu popełniła samobójstwo? No tak, przyszła do księgarni, mając przy sobie cudzy dowód osobisty, wcisnęła się do szafki, złożyła na pół i przestała oddychać. Coś fantastycznego! Odlotowa koncepcja, ale innej nie mam. Pozostaje cieniutka, słabiutka niteczka, prowadząca do faceta nazwiskiem Lew Jaszyn. Może przynajmniej on rzuci snop światła na tę mroczną historię.

Jeśli Jura się nie myli, znaczy, że Nadia była kochanką współwłaściciela antykwariatu. Czyżby w ogóle nic mu nie powiedziała? Coś jeszcze mi tu nie gra. Aleksy zginął jesienią, a Nadiuszę zamordowano w styczniu. Przypuśćmy, że zrobili to ludzie dziarskiego Pułkownika. Dobrze, rozumiem, dlaczego sprzątnęli Loszkę – okradł ich szefa i nie zapłacił wyznaczonej sumy, ale Nadia?...

W porządku, świat przestępczy jest okrutny i za błędy jednego człowieka często odpowiadają wszyscy członkowie rodziny, chociaż jeśli dobrze się orientuję, szefowie kryminalnych struktur nie lubią niepotrzebnego rozlewu krwi, uciekają się do tego tylko w ostateczności.

Bez powodu, dla własnej satysfakcji, zabijają jedynie maniakalni mordercy. Dlaczego zabójca zwlekał kilka miesięcy i dopiero wtedy zlikwidował Nadię? Logiczne byłoby wyeliminowanie jednocześnie i brata, i siostry. Ale może te dwie śmierci w ogóle nie mają ze sobą związku? I już na początku popełniłam błąd, łącząc oba przestępstwa? Bo jeśli Loszę załatwili ludzie Pułkownika, a Nadię... Kto zamordował Nadię? I za co? Jaką korzyść miał z tego zabójca? Nie wiem. Nie dowiedziałam się niczego oprócz kilku nieistotnych szczegółów i ani o krok się nie przybliżyłam do rozwiązania zagadki, głupia baba!

Wyrzucając sobie w duchu własną nieudolność, nadepnęłam na hamulec, poczułam lekkie szarpnięcie i poleciałam do przodu.

– ...twoja mać! – wrzasnął wysoki, chudy facet w czarnej skórzanej kurtce, wyskakując z podrasowanego żiguli w kolorze bakłażana. – Po jaką cholere hamujesz bez żadnego powodu! Rozbiłem przez ciebie reflektor!

Powinam oczywiście odszczeknąć coś w rodzaju:

– Sam jesteś idiota, zachowuj odstęp, wina zawsze leży po stronie tego, kto jedzie z tyłu!

Ale nagle zrobiło mi się strasznie żal siebie samej! Biedna, nieszczęśliwa Daszeńka, tłucze się cały dzień po mieście, i wszystko na próżno! Nie dowiedziałam się niczego, absolutnie niczego! Remont domu w Łóżkinie nigdy się nie skończy, na kierownika księgarni w ogóle się nie nadaję, jestem beznadziejna, a w dodatku prześladowuje mnie zjawa! Funkcjonariusze ochrony uznali mnie za alkoholicką, biedna Lola oberwała encyklopedią po głowie! Dobrze jeszcze, że córka Syromiatnikowów to spokojna, uległa, nawet z lekka apatyczna istota. Gdyby odwrócić sytuację i na chwilę wyobrazić sobie, że Karina Syromiatnikowa wali z całej siły w potylicę grubym tomiskiem moją Manię, to ta z pewnością nie padłaby bez przytomności, lecz odwróciłaby się i bez namysłu ogłuszyła w odwecie madame Syromiatnikową, czym popadnie. Później, naturalnie, dręczyłyby ją wyrzuty sumienia, bo ja i Mania jesteśmy do siebie bardzo podobne – reagujemy identycznie.

Ja także najpierw robię, a potem myślę, czy było warto. No i dlaczego nacisnęłam ten hamulec? Przecież chciałam właśnie dodać gazu! Pomyliłam pedały. Czemu ciągle mi się to zdarza? Przecież nie jestem jakimś świeżo upieczonym kierowcą! Prowadzę nie rok i nie dwa. Koszmar!

– Niektórzy w ogóle nie powinni siadać za kółkiem! – wściekał się wysoki. – Lepiej daj sobie z tym spokój, kobito! Mąż ci chyba po to kupił wóz, żeby się ciebie jak najszybciej pozbyć!

Już otwierałam usta, by oznajmić z godnością:

– Młody człowieku, nie mam męża, a peugeota kupiłam za własne pieniądze – ale nagle uświadomiłam sobie, że nie posiadam żadnych pieniędzy, kapitał należy do Arkaszy, Mani i Nataszki. Jestem absolutnie bezużyteczną, pasożytniczą istotą, którą dzieci i najlepsza przyjaciółka trzymają w domu z litości.

– Ma pan rację – powiedziałam cicho – ma pan absolutną rację. Jestem nikomu niepotrzebnym, tępym zerem!

Nogi się pode mną ugięły, więc usiadłam na krawężniku, a z oczu popłynęły mi strumienie gorących łez.

– Ej, ej – zmieszał się wysoki – co się pani stało? Niech pani da spokój, roboty tu najwyżej na pięć minut. Reflektor to głupstwo, nic od pani nie wezmę! Tak pani rozpacza z powodu swojego zderzaka? Niepotrzebnie, słowo daję. Blacharz stuknie parę razy młotkiem, wyklepie, i zderzak będzie jak nowy. No już, niech się pani uspokoi.

Ale ja nie przestawałam płakać.

– Dosyć, dosyć. – Facet gładził mnie po głowie. – Już dobrze! Boi się pani, że mąż panią skrzyczy?

– Nie mam męża – wyszlochałam.

– To nic – pocieszał mnie chudy – nie jest pani jeszcze stara, i do pani szczęście się uśmiechnie. No już, już. O tak, zuch kobieta. Gdzie pani mieszka?

– W księgarni, przy Fiedosiejewa.

– No to niech pani jedzie spokojnie do domu, proszę wsiąść do wozu.

Skinęłam głową i po chwili już siedziałam w peugeotcie. Facet wrócił do swojego wozu.

– Ej! – krzyknął.

Wysunęłam głowę przez okno.

– Tak?

– Nie martw się, bardzo dobrze prowadzisz, ja sam, idiota, jestem sobie winien, trzeba było zachować odstęp.

– Weź ode mnie forszę za reflektor!

– E tam – machnął ręką – daj spokój, mówię ci, że to gówniane pieniądze! Nie ma o czym gadać. No to cześć!

Zręcznie wrzucił pierwszy bieg i wystartował przy akompaniamencie hałaśliwej muzyki z radia. Ja ruszyłam w stronę księgarni, czując, jak gorąca gula, która dławiła mnie w gardle, powoli ustępuje. Coś podobnego! Pierwszy raz w życiu dopadł mnie atak hysterii.



## Rozdział 24

Przez resztę dnia usilnie starałam się być dobrym kierownikiem. Choć, prawdę mówiąc, nie miałam właściwie nic do roboty, sprzedażą książek żelazną ręką rządziła Ała. Kiedy opuścili sklep ostatni klienci, patrzyłam, jak rozchodzą się ekspedientki; zwróciłam uwagę na to, że Swieta i Lila wsiadły do pięknego srebrzystego mercedesa Szury, i postanowiłam skoczyć do supermarketu po coś słodkiego dla Mani i Loli.

– No co, Daszeńko – usłyszałam nagle za plecami – zanocujesz u mnie? – W drzwiach pojawiła się uśmiechnięta Ała.

– Nie, dzięki, nie chciałabym cię krępować.

– Będzie mi bardzo miło.

– Może innym razem.

– Cóż, jak chcesz.

Ałoczka zniknęła za drzwiami. Pojechałam do supermarketu, kupiłam całą górę jedzenia i przez cały wieczór sumiennie grałam rolę dobrej matki, przyszyłam nawet Maszce urwany guzik do spódnicy, czego nigdy nie robię, gdyż krawcową jestem jeszcze gorszą niż kierowcą, stale płaczą mi się nici, kłują się też igłą.

Okolo północy dziewczynki usnęły. Psy także się położyły i wkrótce dało się słyszeć spokojne posapywanie. Soames wyruszył na łowy, a leniwe Fifina i Klepcia nie miały ochoty włączyć się nocą po zakamarkach księgarni, rozwaliły się na biurku, pod stojącą lampą.

Poczytałam trochę, schrupałam kilka jabłek i usnęłam, z twardym postanowieniem, że od jutra zacznę nowe życie – będę się rano gimnastykować, nacierać ciało zimną wodą, przestanę się żywić hamburgerami, zacznę sprawdzać zeszyty Mani, a przede wszystkim dam sobie spokój z tym idiotycznym śledztwem. Koniec, mam tego dość!

Przymknęłam oczy, powoli zapadając w sen. Nagle Hootchuś wylazł spod koca, usiadł na kanapie i zaskomlał.

– Śpij, maleńki – wymamrotałam.

Ale mops był zdenerwowany. Zeskoczył na podłogę i podreptał do drzwi. Reszta psów spała u dziewcząt, więc pomyślałam, że Hootch chce się przyłączyć do tamtych. Wstałam i otworzyłam mu drzwi.

– No, biegnij do Mani.

Ale Hootchuś nie poszedł w stronę gabinetu Ałły, tylko zbiegł po schodach.

– Ej, a dokąd to?

Mops, nie zwracając na mnie uwagi, po chwili znalazł się już w sali sprzedaży.

– Poczekaj! – krzyknęłam i w tej samej chwili ujrzałam na dole bladą smugę światła latarki.

Tak, duchów nie ma, a więc to znaczy, że na zewnątrz, na ulicy, znów ktoś robi podchody, by rozbić witrynę i ukraść z wystawy, co się da. Zaraz po cichutku dojdę do przycisku i wezwę milicję, niech wylegitymują złodziejaszka. Chociaż nie można też wykluczyć, że to tylko jakiś ciekawski...

Szybko zbiegłam po schodach, skręciłam w prawo i wrzasnęłam. Obok stelaży z książkami na temat motoryzacji chwiała się szare widmo. U jego nóg siedział Hootchuś i wymachiwał ogonem.

– Lola, to ty? – chciałam się upewnić na wszelki wypadek.

Zjawa milczała, potem zrobiła krok w moją stronę.

– Ej, ej! – Cofnęłam się.

Duch zaczął powoli podnosić ręce. Poprzednim razem wywołało to we mnie paniczny strach i rzuciłam się do ucieczki, ale dziś, z niewiadomych powodów, nie czułam lęku. Może mój system nerwowy wyczerpał wszystkie swoje możliwości w ataku hysterii po stłuczce samochodowej? Zaskoczona własną reakcją, stwierdziłam, że w ogóle się nie boję – byłam za to naprawdę wściekła. Widmo znów zrobiło krok do przodu, a ja wycofałam się w stronę stoiska, gdzie zobaczyłam długą, polerowaną, piękną wskazówkę do map. Chwyciłam ją i wystawiając przed siebie niczym pikę, zaatakowałam zjawę. Teraz zobaczmy, kto będzie górą! Czy ja tu rządę, czy to idiotyczne widmo!

Odziana w biel postać zrobiła w tył zwrot i pobiegła w stronę działu papierniczego. Pędziłam za rozwiewającą się szatą, usiłując przebić upiora zaostrozonym końcem wskazówki. Pod nogami plątał mi się popiskujący Hootchuś. Duch, uciekając, przewrócił kilka stelaży z książkami. Zrobił to chyba celowo, mając nadzieję, że jego prześladowczyni będzie musiała zwolnić biegu albo, co byłoby jeszcze lepsze, potknie się o rozsypane tomy i gruchnie jak długa na podłogę. Ale ja zręcznie wyminęłam wszystkie przeszkody i wykrzyknęłam z tryumfem:

– No! Teraz cię załatwię!

Duch najprawdopodobniej zorientował się, że wybrał niewłaściwy kierunek ucieczki. Dziesięć metrów przed nim była ściana. Przy niej stał automat do pstrykania zdjęć na pocztówkach, na prawo od niego wysoki stojak, od góry do dołu wypełniony jaskrawymi, kolorowymi kartami pocztowymi, na lewo – ułomny staroświecki globus na drewnianej podstawie. Zjawa znalazła się w ślepych zaułku. Zaraz przygwoździła ją do ściany.

Duch dobiegł do automatu, potknął się, uderzył twarzą o niewielki występ, o który należało oprzeć podbródek przy pstrykaniu zdjęcia na pocztówce, rozległ się lekki szmer i z maszyny wysunęła się prostokątna kartka. Zjawa zamachała rękami, chwyciła się stojaka, by złapać równowagę, a ostatnie pocztówki opadły na podłogę niby jesienne liście podczas wietrznej pogody.

Już miałam jednym zręcznym ruchem pochwycić skraj szarobiałej chlamidy, w którą postać była zakutana z głową, ale właśnie w tej chwili wdepnęłam w lakierowane pocztówki, i nogi mi się rozjechały – wpadłam w poślizg. Chcąc utrzymać równowagę, oparłam się o to, co akurat miałam pod ręką. Niestety, była to szklana gabłota, w której, bezpiecznie zamknięte, spoczywały drogie wieczne pióra. Moje palce z obrzydliwym zgrzytnięciem ześliznęły się z witrynki, a ja runęłam na podłogę. Wskazówka wypadła mi z ręki i potoczyła się gdzieś na bok.

Widmo wydało dziwny dźwięk, coś w rodzaju nerwowego chichotu, oparło się o globus, potem przywarło do ściany i... zaczęło się w nią wtapiać. Leżąc na podłodze zasłanej pocztówkami, gapiłam się z niedowierzaniem na to, co się dzieje. Najpierw duch wsunął w ścianę głowę, następnie ramię, nogę, a później bez najmniejszego wysiłku resztę, aż na koniec skrył się cały, wniknąwszy w mur.

Byłam tak oszołomiona, że aż uszczypnęłam się w rękę, żeby sprawdzić, czy nie śnię. Święci Pańscy! Więc to naprawdę niematerialna istota. A ja podejrzewałam, że pod fałdami białej szaty kryje się człowiek. Żadne jednak stworzenie z krwi i kości nie potrafi przeniknąć przez ceglana ścianę.

– Mamuś – krzyknęła Mania – co się stało?!

Potem rozległ się tupot nóg – to moja córka zbiegała schodami na dół.

– Mamusku! Zrobiłaś sobie krzywdę?

– Nie – uspokoiłam ją, zbierając się z podłogi.

– Upadłaś?

– To głupstwo, dziecinko, po prostu położyłam się na chwilę, żeby odpocząć.

– Mamo – powiedziała nagle Marusia takim tonem, jakim zwykle zwraca się do mnie Arkasza – natychmiast mów, co tu robiłaś. Kategorycznie domagam się wyjaśnień.

– Goniłam ducha!

Mania zachichotała. No cóż, tak jest zawsze. Najpierw żądają, bym była szczerą, a następnie, kiedy w swej naiwności mówię prawdę, zaczynają mnie wyśmiewać. Gdybym skłamała, że szłam się napić wody i upadłam po drodze, zwalając stojak z pocztówkami, Marusia, lamentując nade mną, ostrożnie pomagałaby mi wstać. Ale ponieważ powiedziałam prawdę, zaśmiewała się do łez.

– Nie widzę w tym nic zabawnego – oświadczyłam zirytowana. – Duch jeszcze przed chwilą biegał po księgarni.

– Więc gdzie się podział?

– Zniknął w ścianie!

Ponowny wybuch śmiechu wstrząsnął murami księgarni.

– Mamuś, przyznaj się, znowu czytałaś przed snem jakąś „Wyrocznję”, tak?

Zaczęłam w milczeniu zbierać rozsypane kartki. Większość była zgnieciona, niektóre podarte; wątpliwe, czy te pocztówki znajdą jeszcze nabywców. Mimo to umieściłam je z powrotem na stojaku, po czym obie z Marusią postanowiłyśmy wrócić na górę.

– A to co? – spytała nagle córka, wskazując palcem jakiś przedmiot pod ladą. Schyliłam się i wyciągnęłam sportowy but, zasnurowany, ba, sznurowadła zawiązano nawet kokieteryjnie na kokardkę.

– To twój? – spytałam Manię.

– Jasne, że nie – zaprzeczyła dziewczynka. – Spójrz tylko, jaki to rozmiar! Co najmniej czterdzieści cztery. Na pewno któraś z ekspedientek zostawia tu adidas na zmianę.

Miałam co do tego wątpliwości. Dziewczyny rzeczywiście zmieniają w pracy obuwie, ale chowają je w szufladach szafek na garderobę w szatni. Żadnej z ekspedientek nie przyszłoby do głowy przebierać się w sali sprzedaży. A więc ten sportowy but musiał zgubić ktoś inny, i to z pewnością mężczyzna, jako że Mania miała rację, na podeszwie wyraźnie widniał numer – 44. Kobiety nie noszą takiego rozmiaru. Jednakże w „Kramie” płęć męska w ogóle nie była reprezentowana, w każdym razie żadnego mężczyzny nie zatrudniano tu na stałe. Elektryk, hydraulik i kierowcy, którzy przywozili paczki z książkami, pojawiali się jedynie od czasu do czasu.

– Może zgubił go któryś z klientów? – zasugerowała Lola, która też zeszła na dół.

Mania znów zachichotała.

– Aleś wymyśliła! Mamy styczeń, kto teraz chodzi w adidasach? A zresztą co, uciekł na bosaka po śniegu?

– A może to adidas Miszy, no, te, co pływały w akwarium?

– Nie – chórem zaprzeczyły dziewczynki. – Ała je wyrzuciła, bo podeszwy odpadły. Zresztą tamte były czarne, a te są szare, właściwie prawie białe.

Bez słowa ruszyłam na górę z cudzym butem w ręku. Mogłam zrobić tylko jedno: przepytac jutro wszystkie ekspedientki, czy adidas należy do którejś z nich, a jeśli żadna się do niego nie przyzna, to będzie znaczyło, że but jest własnością ducha.

Na dworze od rana było paskudnie. Zacinał deszcz ze śniegiem, niebo zasnuwały szare, ołowiane chmury, panowało wilgotne, przenikliwe zimno. Z trudem otworzyłam oczy.

– Ej, na spacer! – nawoływała Mania, stojąc na dole, w księgarni. – Szybciej, bo spóźnimy się do szkoły. Lolka, włóż Bundy’emu kaganiec. Hootchuś, Hootchuś, Hootch... Hootch!

Drzwi mojego gabinetu uchylily się.

– Mamuś, Hootchuś jest u ciebie?

Rozejrzałam się po pokoju.

- Nie.
- A gdzie?
- Nie wiem.
- Nie spał tutaj?

Uprzytomniwszy sobie, jak wygodnie było mi dzisiejszej nocy na wąskiej kanapie, powiedziałam:

- Chyba nie.
- No to gdzie?
- Myślałam, że u was.
- Ale nigdzie go nie ma!

Usiadłam na posłaniu i ziewnęłam.

– Nie martw się, wiesz przecież, że Hootch nie cierpi takiej pogody, widać, jak usłyszał, że chcesz wyprowadzić psy, gdzieś się schował.

Była to święta prawda. Mopsy to ciepłolubne stworzenia, które uwielbiają spędzać czas zagrzebane w stercie koców i poduszek. Wiosny, jesieni i zimy Hootchuś nie znosi. Jego krótkie, krzywe łapki nie są przystosowane do spacerów po śniegu i kałużach. Nie, Hootch lubi wodę, ale tylko podgrzaną do temperatury trzydziestu siedmiu stopni i koniecznie w wannie. Tam czuje się komfortowo, tapla się radośnie, przepływa jacuzzi od krańca do krańca, a w chwilach szczególnie dobrego humoru pozwala sobie nawet umyć łebek.

Co prawda, Hootch jest kapryśny. Bundy zgadza się na każde mydło, nawet szare. Kiedyś, gdy w Łóżkinie akurat skończył się szampon, leniwa Kicia, zamiast pojechać do sklepu po nowy, wykapała Bundy'ego, używając zwykłego mydła.

Z Hootchusiem taki numer by nie przeszedł. Mops pozwala używać jedynie wyrobu firmy kosmetycznej Chico, która produkuje biały, bezzapachowy żel do mycia, przeznaczony dla alergicznych niemowląt. Nie wspomnę już o cenie małej, pięćdziesięcimililitrowej buteleczki; uwierzcie mi na słowo, że za tę sumę można dostаточно przeżyć parę dni.

Jeśli na dworze jest brzydko, mops za nic nie pozwoli się wyprowadzić. Hootch to spryciarz i dobrze wie, że jeśli pan czy pani go znajdą, bez pardonu wywloką biedaka na deszcz, a on będzie musiał przebierać delikatnymi łapkami, taplając się w błocie. Dlatego też wyszukuje jakiś ciemny kąt i zaszywa się w nim. Zwykle Mania, na próżno usiłując go przywołać prośbą czy groźbą – „Hootchuś, chodź tutaj!”, „No, poczekaj, jeszcze dostaniesz za swoje!” – otwiera drzwi i wypuszcza naszą sforę na dwór. Hootch, posapując błogo, zasypia w swej kryjówce; wreszcie dali mu spokój, może spokojnie odpocząć.

Zapytacie pewnie, jak w takim razie rozwiązuje problem potrzeb fizjologicznych. Otóż bardzo prosto. Kiedy Hootchusiowi chce się siusiu, najspokojniej korzysta z kocięj toalety. Kleopatra i Fifina jeżą się ze złości, kiedy widzą mopsa przy swojej kuwecie, zaczynają syczeć i machać łapami, wysuwając pazury. Hootch jednak absolutnie nie zwraca na to uwagi, a zrobiwszy, co należy, oddala się z godnością. Kleopatra zwykle biegnie za nim,

usiłując dosięgnąć go i skarcić, a Fifina sadowi się obok toalety i miaucząc rozdzierająco, domaga się, by natychmiast wymienić żwirek.

Dlatego dzisiaj ani mnie, ani Mani nie zdziwiła nieobecność mopsa. W „Kramie” pełno jest rozmaitych zakamarków, a na dworze leje deszcz.

Upływał dzień jak co dzień. Najpierw złożył mi wizytę przedstawiciel lokalnych władz samorządowych, ale ja nauczyłam się już doskonale sobie radzić z takimi gośćmi. Koperta z dolarami, torba z książkami – i do widzenia, kochani, żegnam. Do następnego razu. W niespełna pół godziny miałam faceta z głowy.

Potem do mego gabinetu wpadła Szura i tupiąc ze złości, rzuciła:

– Widziała pani moje pocztówki? Co się stało?

W odpowiedzi tylko westchnęłam. Szura coraz bardziej mi się podobała. Była wesoła, energiczna i zdecydowanie niegłupia. Pierwszego dnia, gdy zjawiała się w księgarni do obsługi swego stoiska, przysła w wyzywających spodniach z błękitnej skóry i z brylantowymi kolczykami w uszach. Dziewczyny, naturalnie, nie skomentowały tego ani jednym słowem, ale nazajutrz Szura, właściwie zinterpretowawszy spojrzenia, którymi obrzucały ją ekspedientki, włożyła najzwyczajniejsze tweedowe spodnie i plastikowe klipsy.

– Moje pocztówki! – niemal szlochała dziewczyna.

Już chciałam jej opowiedzieć o duchu, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłam.

– Bardzo cię proszę, nic nikomu nie mów.

– Dlaczego? – chciała wiedzieć zirytowana Szurka.

– Wczoraj do księgarni wszedł jakiś nieproszony gość, widocznie wieczorem zapomniałam zamknąć drzwi, a on postanowił zwinąć to, do czego jest najłatwiejszy dostęp. Tymczasem natknął się na automat...

– A co pani zrobiła?

– Pobiegłam za nim, ale nie zdążyłam go złapać, wymknął się na dwór.

– Bardzo głupio się pani zachowała – skonstatowała Szura. – A gdyby tak miał broń? Chociaż to była kobieta.

– Skąd wiesz? – zdumiałam się.

Szura prychnęła i podała pocztówkę. Przeczytałam: „Serdeczne życzenia szczęścia i wszelkiej pomyślności z okazji urodzin”. U dołu widniało zdjęcie jakiegoś nieokreślonego, krągłego, szarego kształtu...

– Co to jest?

– Złodziej chciał się sfotografować w automacie, ale nie zdążył zabrać kartki, widocznie go pani spłoszyła...

Przypomniałam sobie, jak duch uderzył twarzą o urządzenie, i powiedziałam:

– Nie, wpadł na automat, uciekając, niechcący zaczepił brodą o występ, i aparat pstryknął zdjęcie.

– No tak – przyświadczyła Szura – działa, kiedy tylko ktoś przytknie głowę do podstawki.

– Ale na tej fotografii nic nie widać, złodziej miał na głowie jakiś kaptur...

– Albo naciągnął na łeb pończochę – zasugerowała Szura.

– A na jakiej podstawie twierdzisz, że to była kobieta?

– Niech pani się dobrze przyjrzy – odparła dziewczyna, kierując światło lampy na zdjęcie.

Wpatrzyłam się w fotografię. Rzeczywiście, przez tkaninę prześwitywało coś niby przez grubą warstwę wody.

– To oczy – mruknęła Szura.

Fakt, można było, choć z trudem, rozróżnić nos, usta, szyję. Ale wszystko bardzo niewyraźne, zamazane. Szatę najwidoczniej uszyto z jakiejś przejrzystej materii, może z tiulu.

– A w uszach – oznajmiła z tryumfem małżonka Żeni Betona – ma kolczyki!

Wyteńczyłam wzrok i istotnie dojrzałam zarys dwóch dość sporych kulek.

– Ale przecież mężczyźni także noszą kolczyki!

– E, nie – zaprzeczyła Szura. – Jeden kolczyk, w prawym albo lewym uchu. Wciąż zapominam, którzy w którym. Geje w lewym czy w prawym? Zresztą nieważne, grunt, że faceci nigdy nie noszą dwóch, zwłaszcza takich dużych, okrągłych. Lubią kółka albo krzyżyki. Nie, nie, to musiała być baba! No, czy nie łajdaczka?

Nie wiedziałam, jak postąpić. Powiedzieć Szurze, że zjawa wniknęła w ścianę? Tłumaczyć, że musiała być istotą niematerialną? Nie, to bez sensu. A może wysłać tę fotografię do „Wyroczni”? Niewykluczone, że to będzie prawdziwa sensacja, zdjęcie ducha...

Jednak coś mnie powstrzymywało od tego kroku. Szura wyszła. Chwilę przekładałam ołówki na biurku, po czym zadzwoniłam do Diny, zawistnej przyjaciółki Nadi Kołpakowej.

– Kto tam znowu dobija się w środku nocy? – usłyszałam rozespany głos.

Spojrzałam na zegarek: wpół do dwunastej, najwyższy czas się obudzić.

– Przepraszam, mówi Dasza, ta, która umieściła pani męża, Olega Rogowa, w klinice odwykowej. Jak on się czuje?

– Sama bym tak chciała! – szczeęknęła Dina w odpowiedzi. – Czego pani znów trzeba, do cholery? Po diabła mnie pani obudziła? Ledwie mi się udało zasnąć o czwartej!

– Dinoczko, mówi pani coś nazwisko Lew Jaszyn?

– No!

– To znaczy, że zna go pani, czy nie?

– Znam. To gach Nadźki. Obmierzły typ, kryminalista, tępak, głupi jak cep, skończony głąb, ale za to przy forsie. Nadiucha nigdy nie zadawała się z gołodupcami.

– Niech mi pani da jego telefon.

– Czyj?

No, no, a jeszcze ma czelność innym wytykać tępotę!

– Lowy.

– A skąd go pani wezmę? Nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów towarzyskich, nie bywaliśmy u siebie.

– To może zna pani jego adres domowy?

– Po cholere mi jego adres? Niech pani jedzie do antykwariatu, facet tam siedzi na okrągło.

Tak, utraciłam chyba zdolność kojarzenia faktów. Przecież już parę razy słyszałam, że Lowa jest szefem Nadi.

– A gdzie się mieści ten antykwariat?

– Diabli go wiedzą. – Dina ziewnęła. – To wszystko? Nie mam czasu na przelewanie z pustego w próżne.

– Niech mi pani chociaż poda nazwę.

– Czego?

– Antykwariatu – wycodziłam przez zaciśnięte zęby.

– Nie mam pojęcia, jak się nazywa.

Z trzaskiem odłożyłam słuchawkę i wyjęłam telefon komórkowy.

– Biuro informacji B-line, w czym mogę pomóc?

– Proszę mi podać telefony wszystkich antykwariatów w Moskwie.

– Chodzi pani o wszystkie punkty handlu antykami?

– Właśnie.

Dziewczyna milczała chwilę, a potem poinformowała nieśmiało:

– Jest ich osiemnaście.

– Już notuję.

Telefonistka biura B-line, która ma surowy zakaz sprzeciwiania się klientom, zaczęła mi dyktować numery. Kiedy skończyła, położyłam przed sobą spis i zaczęłam wydzwaniać.



## Rozdział 25

Oczywiście, właściwy okazał się dopiero ostatni, osiemnasty numer. Siedemnaście razy powtarzałam:

– Chciałabym mówić z Lwem Jaszynem.

I za każdym razem słyszałam w odpowiedzi:

– Pomyliła pani numer.

Dopiero gdy doszłam do końca listy, poinformowano mnie:

– Lew Andrijanowicz pojechał na obiad.

– A kiedy będzie?

– O koło czwartej.

– Czy na pewno wróci?

– Oczywiście – zapewniła mnie niewzruszenie uprzejma sekretarka. – Lew Andrijanowicz zawsze punktualnie o dziewiętnastej osobiście zamyka antykwariat.

Chwalebny zwyczaj! A co najważniejsze, także i mnie bardzo na rękę, ponieważ zaraz, nie zwlekając, pojedę prosto do salonu antykwarycznego o poetyckiej nazwie „Atena”.

Już siedząc w peugeocie, uprzytomniłam sobie, że nie uprzedziłam Ałłoczki, iż wychodzę, i chciałam naprawić ten błąd, ale deszcz bębniący o jezdnię skutecznie mnie powstrzymał. Nic nie szkodzi, nikt nawet nie zauważy, że kierowniczkę nie ma.

Miejsce, gdzie znajdował się antykwariat, wybrano znakomicie. W starej części Moskwy, niedaleko stacji metra Kropotkińska, w cichej, krętej uliczce. Zresztą mały spłachetek ziemi, na którym stały zaledwie dwa domy, trudno było nawet nazwać uliczką.

Pociągnęłam ku sobie ciężkie drzwi z czarnego dębu, rozległ się delikatny brzęk dzwoneczka, a ja weszłam do środka. Trzeba przyznać, wewnątrz robiło wrażenie. Jak dotąd, widywałam coś takiego tylko w kinie, w angielskich adaptacjach filmowych powieści Karola Dickensa.

Masywne, staroświeckie meble z różnych epok tłoczyły się w sali. Dwa kredensy, okrągły stół, niemal kwadratowe biurko, osiem krzeseł, kozetka, reklamiera, dwa pufy, trzy, nie, cztery boule’owskie komody, dwa wolterowskie fotele... Zupełnie nie na miejscu wydawały mi się tutaj trzy wieszaki za stojakiem na parasole i korytkiem na kalosze, nie pasował też do reszty

klawesyn z dwoma kandelabrami z brązu. Dobrano natomiast bardzo dobrze portierey, ciężkie, aksamitne, zawieszane na wielkich pierścieniach, nanizanych na grubą mosiężną rurę – karnisz wpuszczony w ścianę nad szerokim oknem. Chyba gdzieś już taki widziałam. No jasne! W księgarni, w moim gabinecie, zasłony także przesuwają się na dużych kółkach po staroświeckim karniszu, który chyba pamiętał jeszcze czasy pierwszego właściciela domu.

– Witamy serdecznie w „Atenie” – usłyszałam za plecami miły głosik.

Odwrociłam się. Z głębi pomieszczenia bezszelestnie wynurzyła się szczuplutka blondynka w eleganckim czarnym kostiumie.

– Mamy tu kilka sal – ciągnęła z promiennym uśmiechem. – W tej, gdzie jesteśmy teraz, znajduje się ekspozycja mebli, w następnej – srebra, porcelana i inne przedmioty użytkowe, w ostatniej – obrazy. Co panią interesuje?

– Muszę się koniecznie zobaczyć z panem Jaszynem.

Blondynka, nadal uśmiechnięta, poinformowała:

– Proszę bardzo, jest u siebie.

– Gdzie go znajdę?

– Trzeba obejść budynek, to od podwórka.

Wysłałam więc z antykwariatu, okrążyłam dom i zobaczyłam wejście – tym razem były to zwykłe metalowe drzwi z eleganckim szyldzikiem „Dyrekcja”.

Wewnątrz wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w części handlowej. Wszędzie skóra, chromowane lampy, podwieszane sufity, szklane biurka na giętych nóżkach i kilometry wykładziny dywanowej. Tylko urzędniczka siedząca przy szarym biurku u wejścia wyglądała dokładnie tak samo, jak blondyneczka z antykwariatu. Identyczny czarny kostium, dyskretny makijaż i życzliwy uśmiech, ukazujący równe, białe zęby.

Dziewczyna obrzuciła mnie bystrym spojrzeniem, błyskawicznie podliczyła, ile kosztuje garsonka od Lagerfelda i złote kolczyki od Tiffany’ego, dojrzała na moim przegubie zegarek od Cartiera i stała się od razu przesadnie uprzejma.

– Wejście do antykwariatu jest od ulicy. Zaprowadzić panią?

– Chciałabym się widzieć z panem Jaszynem.

– Jedną chwileczkę. Proszę spocząć.

Usiadłam na skórzanej kanapie w kolorze ecru. Sekretarka nacisnęła idealnie wymanikiowanym paluszkiem guzik interkomu.

– Lwie Andrijanowiczu, ma pan gościa. Pragnie się z panem widzieć pewna pani.

– A ładna chociaż? – zachrypiało z głośnika.

Pan Jaszyn nie pomyślał zapewne, że jego głos będzie słychać w całym sekretariacie. Dziewczyna jednak błyskawicznie obróciła *faux pas* szefa w sympatyczny żarcik.

Uśmiechnęła się czarująco, mrugnęła do mnie i odpowiedziała wesoło:

– Moim zdaniem, po prostu piękność!

– No to wpuść.

- Można prosić o pani wizytówkę? – zwróciła się do mnie dziewczyna.
- Nie mam.
- Wobec tego proszę podać imię i nazwisko.
- Daria Iwanowna Wasiljewa.
- Słucham? – wykrzyknęła raptem nerwowo blondynka. – Słucham?!
- Daria Iwanowna Wasiljewa – powtórzyłam zaskoczona. – Co panią tak zdziwiło?
- Och, nic, przepraszam, to głupstwo, nic ważnego. Po prostu moja siostra nazywa się Daria Iwanowna Wasiljewa.

Wydusiwszy z siebie to wyjaśnienie, blondynka zanotowała moje dane na karteczce i zniknęła za drzwiami gabinetu szefa. Popatrzyłam za nią z lekkim niedowierzaniem. Bardzo dziwne. Zaledwie przed chwilą zręcznie obróciła wpadkę Jaszyna w zgrabny żart, a parę sekund później zareagowała w sposób absolutnie nieprofesjonalny, słysząc moje imię i nazwisko.

– Lew Andrijanowicz oczekuje pani – poinformowała blondynka, ukazując się na powrót w drzwiach.

Weszłam do gabinetu, zwalisty grubas podniósł głowę, mimo woli postąpiłam krok do przodu, zawadziłam o krzesło i omal nie upadłam. Przedemną siedział obrzydliwie tłusty Lowa, sąsiad Leony Romancewej. Tej, która za określoną opłatą wypożyczyła swoje żiguli Nadii Kołpakowej.

Uprzytomniłam sobie błyskawicznie ciąg wydarzeń. Oto ja, doszedłszy do wniosku, że zamordowana musiała przyjechać samochodem, wsiałam do żiguli, znalazłam polisę ubezpieczeniową i wybrałam się z wizytą do Leony. Kobieta, będąca w ostatnich dniach ciąży, poinformowała mnie, że wynajmuje pojazd różnym ludziom. Następnie wezwała swego sąsiada Lwa Jaszyna i zasypała go wymówkami:

- Co za nieodpowiedzialną osobę mi poleciłeś? Porzuciła mój samochód na ulicy!
- Nadia Kołpakowa – mamrotał Jaszyn – jest jak najbardziej w porządku.

Wtedy właśnie poznałam nazwisko ofiary.

- Dzień dobry – powiedział teraz Jaszyn. – Słucham, o co chodzi?

Postanowiłam działać przez zaskoczenie, więc uśmiechnęłam się i siadając na krześle, oznajmiłam:

- Jestem z milicji. Major Daria Iwanowna Wasiljewa.

Lew Andrijanowicz podniósł ręce do góry.

– Proszę nie strzelać bez ostrzeżenia, będę mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Ale, ale, czy myśmy się już wcześniej gdzieś nie widzieli? Pani twarz wydaje mi się znajoma.

– W drugim programie telewizji jest prezenterka, czyta wiadomości – powiedziałam szybko. – Podobna do mnie jak siostra bliźniaczka.

– Rzadko oglądam telewizję – odparł z uśmiechem Lowa. – Wciąż tylko praca i praca. Co panią do mnie sprowadza? Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że w milicji służą takie czarujące i eleganckie kobiety. Jest pani mężatką?

Prychnęłam z niesmakiem. Pamiętam, że gdy zobaczyłam Lowę po raz pierwszy, zrobił na mnie wrażenie kompletnego idioty, a więc znaczy, że należy z nim rozmawiać jak z zupełnym kretynem.

– Interesuje mnie wszystko, co ma związek ze śmiercią pańskiej pracownicy, Nadzieży Kołpakowej.

Jaszyn wybałuszył oczy.

– Co?

No tak, zaczyna się.

– Chciałabym zadać panu kilka pytań dotyczących zabójstwa Nadzieży Kołpakowej.

– Kogo?

O Boże! Zbaw nas od głupców, z wrogami sami sobie poradzimy.

– Zna pan Nadieżdę Kołpakową?

– No...

Cóż, rąbać drzewa w lesie to chyba lżejsze zajęcie niż rozmowa z takim tępakiem.

– Nadieżda! Kołpakowa! Pracowała w „Atenie”! Jako taksatorka!

– Dlaczego pracowała?

Dobre pytanie!

– Z pewnością po to, żeby zarobić na życie. – Wzruszyłam ramionami

– Nie o to chodzi. – Góra tłuszczu ruszyła wreszcie mózgiem. – Dlaczego użyła pani czasu przeszłego: „pracowała”?

– Dlatego, że ona nie żyje! Umarła! A właściwie została zamordowana!

– O Boże – jęknął grubas. – Wody! Prędzej!

Nie pojmując, dlaczego tak nagle zbladł, rozejrzałam się po pokoju, dostrzegłam na parapecie zieloną butelkę perriera, i chwyciłam ją, ale nim zdążyłam otworzyć, do gabinetu wpadła młoda kobieta w jasnogranatowym spodniemie.

– Lowa – zaczęła – jak myślisz... Co ci jest? Serce?

Beczka tłuszczu kiwnęła głową.

– Gdzie nitrogliceryna? – krzyknęła zdenerwowana dziewczyna.

Lowa wskazał wzrokiem na stojącą w kącie teczkę. Młoda kobieta szybko przyskoczyła do niej i zręcznie wyłowiła z jej głębi plastikowe pudełeczko, wytrząsnęła na dłoń białą tabletkę, po czym podbiegła do Jaszyna, wsunęła mu lekarstwo do ust i pewnym głosem uspokoiła go:

– Nie ma powodu się denerwować, to ta zmiana pogody, ciśnienie skacze i dlatego gorzej się poczułeś.

– Nie – bełkotał Lowa – to nie to! Ona... ona... powiedziała przed chwilą... że...

– Co? Co cię tak przestraszyło? – usiłowała dowiedzieć się kobieta.

– Ona... ona twierdziła, że zostałaś zamordowana!

– Ja? – zdumiała się przybyła.

– Ty – ciągnął szeptem Lowa, tak blady, że niemal siny. – Jest majorem milicji, powiedziała: „Nadia Kołpakowa nie żyje, a właściwie została zamordowana”.

Buteleczka wody mineralnej wysliznęła mi się z rąk.

– Pani to Nadieżda Kołpakowa?

– We własnej osobie.

– Taksatorka antykwariatu „Atena”?

– Tak jest.

– Kochanka Lowy Jaszyna?

– Żyjemy jak małżeństwo – obruszyła się dziewczyna.

Nie interesowały mnie jednak w tej chwili jej ambicje osobiste.

– Jest pani siostrą Aleksiego Kołpakowa?

– Tak. O co, do diabła, chodzi?

– Więc kto zginął wtedy w księgarni „Kram”? – wyrwało mi się mimo woli. – Kogo wepchnięto do szafki?

Nadia załamała rękę.

– Czy tam u was, w milicji, pracują sami kretyni? Tłumaczyłam już ze sto razy dziesięciu różnym funkcjonariuszom, że zabito Ksenię Szmielową!

– Ale miała na sobie pani ubranie! Widziałam zdjęcie.

– A ty to właściwie kto? – opamiętała się Nadia. – No już, pokazuj legitymację, szybko! Lowie możesz wciskać kit, że jesteś z milicji. On to po prostu naiwne, duże dziecko, ale ze mną taki numer nie przejdzie! Legitymacja, mówię! Wystraszyłaś mi chłopca, a on choruje na serce!

Opadłam na krzesło.

– Tylko nie krzycz, zaraz wszystko wyjaśnię.

– No już, gadaj!

– Lepiej będzie, jeżeli porozmawiamy w cztery oczy.

– Nie mam sekretów przed Lową!

Zaczęłam przyciszonym głosem:

– A więc można mówić o wszystkim: o domu w Kalinowie, o Olegu Rogowie, o Przystojniaku, o kopaczu Jurze, przepraszam, ojcu Joannie...

Nadia najwyraźniej straciła kontenans – zupełnie innym tonem bowiem zaproponowała:

– Chodźmy stąd, napijemy się kawy u mnie w gabinecie.

– O czym ona gada, Nadieńko? – zainteresował się grubas.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, Lowuszka – szybko uspokoiła go Nadia, wypychając mnie na korytarz. – To moja stara przyjaciółka, okropnie lubi kawały. No i chciała sobie z nas zrobić jaja.

– A! – Lew uśmiechnął się zbieleńcami wargami. – Ależ mnie wystraszyła! O mało nie umarłem. Masz pojęcie, Nadienka, powiedziała, że zostałam zamordowana! To okropne, wiesz, że bez ciebie bym sobie nie poradził!

Nadia podbiegła do niego i czule ucałowała górę sadła.

– Nie martw się mój kochany, nic mi nie będzie. Odpocznij teraz spokojnie. No chodź, usiądź sobie przy komputerze. Gdzie masz *Bohaterów bitew*?

– Tu. – Grubas kliknął myszą.

– Pograj trochę, odpręż się, zaraz powiem Wice, żeby nikogo do ciebie nie wpuszczała.

Lowy skinął głową i wpatrzył się w ekran, gdzie atakowali się wzajemnie rycerze w zbrojach.

– Chodź ze mną – syknęła Nadia, boleśnie chwyciła mnie za nadgarstek i powlokła w drugi koniec korytarza. Gdy już znalazłyśmy się w małym pokoiku, w którym oprócz biurka z trudem mieściły się dwa krzesła i chwiejna etażerka z papierami, oznajmiła gniewnie: – Nie wyjdiesz stąd, dopóki wszystkiego nie wyjaśnisz. Zresztą – dodała nieco innym tonem – doskonale wiem, że to Ańka cię nasłuchiwała!

– Kto?

– Była żona Lowy, Ania, ma nadzieję, że Lowy dostanie zawału i całe mieszkanie przypadnie jej. Co za kanalia! Wie, że Lew ma chore serce, więc wynajmuje różnych drani, żeby go zdenerwować. Tobie też kazała tu przyjść. Lowy, biedaczysko, jest za dobry, za łagodny. Powinien był wezwać milicję.

– Myli się pani.

– Tak? – Nadia wzięła się pod boki. – Ciekawe. A co, może Ańka zdecydowała się zrezygnować z mieszkania?

– Nie znam byłej żony pani przyjaciela.

– Mojego męża – poprawiła mnie, zaczerwieniwszy się ze złości.

Nie miałam zamiaru irytować Kołpakowej, więc zgodziłam się szybko:

– Tak, tak, męża, oczywiście. Przyszłam tutaj z zupełnie innego powodu.

– Z jakiego?

– Cóż, poznałam ostatnio wiele pani tajemnic, ale proszę mi wierzyć, nigdy nie posunęłabym się do szantażu.

– Kim pani jest, do cholery?

– Prywatnym detektywem – oświadczyłam i zobaczywszy, że to wyznanie jeszcze bardziej rozwścieczyło Nadie, dodałam: – A właściwie detektywem amatorem. To znaczy... Chwileczkę, zaraz wszystko wyjaśnię.

## Rozdział 26

Dobłą godzinę tłumaczyłam Nadi, jak mozolnie i gorliwie szukałam... jej zabójcy. Położyłam na biurku swój rosyjski i francuski dowód tożsamości, wyjęłam z portmonetki platynową kartę kredytową...

Nadiusza obróciła parę razy w rękach kartę wydaną przez bank Credit Lyonnais i powiedziała:

– Widziałam takie u klientów. Jeśli się nie mylę, musi pani mieć kupę szmalu na koncie.

– Owszem.

– Więc po co bawi się pani jeszcze w detektywa?

Puściłam nietaktowne pytanie mimo uszu, by zadać kilka swoich:

– Ale Ksenia Szmielowa zginęła, prawda? Kim była, dlaczego znalazła się w księgarni?

Może mi pani to wyjaśnić?

Nadia westchnęła zrezygnowana.

– Co za dociekliwość! Dokopać się do tego wszystkiego! Do domu w Kalinowie i do Olega Rogowa! Teraz rozumiem...

– Co?

– Dlaczego Oleg dzwonił wczoraj do mnie do domu.

Nadia podniosła słuchawkę i zanim jeszcze zdążyła się odezwać, usłyszała nerwowe pytanie:

– Proszę pani, czy po śmierci Nadeжды znaleziono jakiś testament?

– Kto mówi?

– Oleg Rogow.

Nadia krzyknęła zirytowana:

– Schlałeś się, tak? A żebyś sam zdechł!

Uznała, że przyjaciel Aleksego znów urznął się do nieprzytomności i teraz robi sobie głupie dowcipy.

– Nie – pokręciłam głową – chciał sprawdzić, czy nie dostanie mu się dom w Kalinowie.

– A gównu – spokojnie obwieściła Nadia.

– Niech pani posłucha, sama pani widzi, ile czasu straciłam, prowadząc śledztwo w sprawie pani śmierci. Kim właściwie była ta Ksenia Szmielowa?

Nadieżda nagle się uśmiechnęła.

– Fakt, nieźle się napracowałam... Cóż, to żadna tajemnica. Już dawno powiedziałam wszystko milicji. Ksiusza była zatrudniona tutaj, w antykwariacie...

Któregoś wieczoru Nadia, zbierając się do wyjścia, spostrzegła, że Ksenia wyjmując z szafy polówkę, zapytała więc:

– Masz zamiar nocować w pracy?

– Tak – najzupełniej serio odpowiedziała tamta.

Nadia zdumiała się.

– Ale dlaczego?

Ksiucha rozłożyła łóżko i nieoczekiwanie się rozplakała. Nadiusza, dziewczyna o dobrym sercu, zaczęła ją pocieszać i uspokajać:

– No już dobrze, w porządku, opowiedz, co się stało.

Rozmazując łzy po twarzy, Ksiusza zaczęła relację. Prawdę mówiąc, historia okazała się dość banalna, niestety, podobne sytuacje zdarzają się często.

Ksenia, rodowita moskwianka, miała własne mieszkanie, co prawda, niewielkie, dwupokojowe, i w dodatku na Tiopłym Stanie. Ale za to tylko dla siebie. Ojciec Ksiuszy nie żył, a matka mieszkała oddzielnie. Potem Ksenia wyszła za mąż za sympatycznego chłopaka imieniem Walera, który mieszkał razem z matką w całkiem przyzwoitym trzypokojowym mieszkaniu, i to w dobrym punkcie, bo na Solance. On właśnie zaproponował młodej żonie, by przeniosła się do nich.

– A twoją chatę się wynajmie. Parę dolarów więcej nie zawadzi – namawiał Ksenię.

Ta zresztą specjalnie się nie sprzeciwiała. Solanka była o wiele lepszym miejscem niż Tiopły Stan. Dziewczyna mogła teraz spać półtorej godziny dłużej, miała o wiele bliżej do antykwariatu. Teściowa okazała się miłą, stosunkowo jeszcze młodą kobietą, całymi dniami przesiadywała w pracy, Ksiusza także jako sekretarka była zajęta od dziewiątej rano do dziewiątej wieczór. Gdy miała wolny dzień, nikt jej nie przeszkadzał, mogła spacerować po mieszkaniu choćby nago, z jajeczno-miodową maseczką na twarzy, ponieważ Walera i jego matka pracowali w świętek i piątek, na okrągło, bez żadnych przerw. Wieczory teściowa spędzała w swoim pokoju, nie wchodziła w drogę młodej synowej, tak że Ksiusza czuła się najzupełniej zadowolona.

Potem jednak jej matka dostała zawału i znalazła się w szpitalu. Teściowa Ksiuszy bardzo się tym przejęła, współczuła dziewczynie i nawet ugotowała rosół z kury dla chorej. A któregoś dnia rzuciła mimochodem:

– Och, nie daj Boże, żeby Maria Konstantinowna zamknęła oczy! Przecież mieszkanie przepadnie!

– Mama zapisała mi je w testamencie – powiedziała Ksiusza.



– Dziecko drogie – odrzekła na to teściowa – a czy ty w ogóle wiesz, jaki podatek będziesz musiała zapłacić? Zupełnie się zarznieś. Co innego, gdybyś była tam zameldowana, wtedy tak, mieszkanie przeszłoby na twoją własność bez opłaty skarbowej...

Ksiusza zamyśliła się. Matce stuknęło sześćdziesiąt pięć lat, no i ten zawał... Pieniądzy na zapłacenie podatku nie ma skąd wziąć, pakować się w długi, żeby otrzymać to, co i tak ona, Ksenia, zawsze uważała za swoją przyszłą własność, nie ma najmniejszego sensu.

I przyszło jej do głowy genialne rozwiązanie.

– Musimy zrobić tak – podzieliła się swoim pomysłem z Walerą – ty zameldujesz się u mnie jako mąż. Potem ja przemelduję się do matki. Moje spółdzielcze mieszkanie nie jest wykupione, ale zawsze zdążymy to zrobić potem. Teraz trzeba działać szybko i załatwić sprawę meldunków, twoja matka jest jeszcze młoda, a moja ma już swoje lata, no i przeszła zawał.

Jak powiedziała, tak zrobili, wszystko poszło bardzo sprawnie i gładko, ale – prawdziwy pech! – Ksiusza złamała nogę i spędziła trzy miesiące na urazówce.

Kiedy zaś, wciąż jeszcze kulejąc, mogła wreszcie opuścić szpital, sytuacja uległa całkowitej zmianie.

Umierająca tak niedawno matka poznała w klinice dziarskiego wdowca, pułkownika, i wyszła za niego za mąż. W sześćdziesiątym piątym roku życia! Ksiusza tylko zamrugnęła oczyma, usłyszawszy tę nowinę. Mamusia odmłodziła, ostrzygła się modnie, odnowiła garderobę i zaczęła się żwawo krzątać po mieszkaniu, gotując obiadki dla ukochanego. Ale to był dopiero początek. Pułkownik miał dorosłą córkę, która urodziła mu niedawno parkę wnuków. Bliźniaki, drące się bezustannie, wkrótce doprowadziły dziadka do rozstroju nerwowego, więc ten postanowił rozwiązać niezwłocznie swoje problemy, żeniąc się z matką Kseni i przenosząc do niej. Ksiusza próbowała otworzyć jej oczy na to, że pułkownik najwyraźniej kieruje się własnymi, egoistycznymi pobudkami, nalegając na zalegalizowanie związku, gdy spotkał dziewczynę nowy cios, i to ze strony, z której najmniej się go spodziewała.

Nie zdążyła jeszcze przyjść do siebie po nowinie o małżeństwie matki, kiedy Walera poinformował ją najspokojniej w świecie:

– Wybacz, moja droga, ale pokochałem inną kobietę.

– Jak to? – nie mogła zrozumieć oszołomiona dziewczyna.

Mąż wzruszył ramionami.

– Całkiem po prostu. Bardzo przepraszam.

Dotknięta do żywego Ksiusza, nie namyślając się długo, złożyła pozew rozwodowy, zapominając zupełnie, że w jej mieszkaniu zameldowany jest teraz Walery.

W ten oto sposób została bez własnego dachu nad głową i musiała gnieździć się u matki w przechodnim pokoiku. A wkrótce sytuacja stała się absolutnie beznadziejna. Rodzicielkę, która wielokrotnie powtarzała, że Ksenia jest jej jedynym promyczkiem i oczkiem w głowie,

nagle jakby ktoś odmienił – ciągle robiła córce jakieś nieprzyjemne uwagi. Dziewczynę dobił kategoriyczny zakaz:

– Żebyś mi się nie ważyła chodzić po domu w szlafroku!

– Dlaczego? – spytała szczerze zdziwiona Ksenia.

Matka po chwili wahania wyłożyła kawę na ławę:

– Nogi masz odsłonięte powyżej kolan i piersi też widać, a Wadim to, bądź co bądź, mężczyzna, choć może i nie pierwszej młodości.

Ksiusza nie wierzyła własnym uszom. Matka jest o nią zazdrosna! Sytuacja pogarszała się z każdym dniem. Docinkom i aluzjom nie było końca, wreszcie matka oświadczyła wprost:

– Załatwiliśmy ci z ojcem mieszkanie, żeby mieć spokój na stare lata... A tymczasem co się dzieje? Siedzisz mi tu na karku... A ja chciałabym jeszcze mieć coś z życia dla siebie.

Ksiusza zdenerwowała się okropnie i wyszła z domu, trzaskając drzwiami. Ale gdzie się podziać? Biedaczka została dosłownie na ulicy, bez dachu nad głową, więc teraz musi nocować w pracy. Ma już tego wszystkiego naprawdę dość.

Nadiusza zapytała, oszołomiona:

– A gdzie się myjesz?

– W umywalce. Wczoraj poszłam do łaźni.

– Wiesz co? – zdecydowanym tonem oświadczyła Nadia. – Na razie pojedziemy do mnie i tam zastanowimy się spokojnie, co robić dalej.

W ten sposób Ksenia znalazła się u Nadi. Kobiety, które do tej pory wymieniały jedynie uprzejme ukłony w pracy, zaprzyjaźniły się. Ksiusza była nieco starsza od Nadii, ale wyglądały jak rówieśnice. W dodatku okazało się, że łączy je wiele wspólnych zapatrywań na różne sprawy, poczynając od muzyki, kończąc na sposobie ubierania się. Obie nie znosiły Zemfiry, krzywiły się na widok pielmieni i nie lubiły minispódniczek, zdecydowanie preferując spodnie. Ksiusza zresztą nie miała żadnych rzeczy. Wyszła z domu, trzasnąwszy drzwiami, nie zabierając ze sobą niczego. W zdenerwowaniu zapomniała wziąć choćby to, co najpotrzebniejsze, a z matką nadal wcale nie chciała się widzieć. Dlatego Nadienka pozwoliła nowej przyjaciółce korzystać ze swojej garderoby, zwłaszcza że figury miały właściwie identyczne.

– To dlatego zamordowana była w pani spodniach i żakiecie – mruknęłam.

Nadiusza skinęła głową.

– A jednak to dziwne.

– Co?

– Mówiłam już, że byłam u pani w mieszkaniu, przekonana, że to panią znalazłyśmy w szafce. W łazience zauważyłam tylko jedną szczoteczkę do zębów, w przedpokoju – jedną parę domowych pantofli, a wszędzie unosiła się woń charakterystyczna dla domu, w którym nikt nie mieszka. Nadia znów przytaknęła skinieniem głowy.

– Zgadza się. Nie było mnie w Moskwie kilka dni. Wyjeżdżałam do Petersburga.

– Ale dlaczego Lowa, którego poprosiłam o pani adres, nie powiedział, że pani nie ma?

Nadiusza milczała chwilę, po czym wyjaśniła:

– Lowuszka to wspaniały człowiek, dobry, miły, kulturalny, ale jak pewnie sama już pani zauważyła, niezbyt bystry.

– Więc jak sobie radzi w biznesie?

– A to już nie ma żadnego związku ze śmiercią Kseni – odparowała Nadia. – Zepsuł mi się samochód, w serwisie powiedziano, że naprawa potrwa tydzień. Poskarżyłam się, że zostałam przymusowo spieszona, więc Lowa zaproponował, żebym pożyczyła samochód od jego sąsiadki, która wynajmuje swoje żiguli za określoną opłatą. Oczywiście, bardzo się ucieszyłam, postawiłam wóz pod domem, a tymczasem się okazało, że muszę pilnie lecieć do naszej Palmiry Północy, no to co miałam zrobić? Nie wiedziałam nawet, że Ksenia umie prowadzić, nigdy się jakoś nie zgadało. Wzięła samochód pod moją nieobecność.

– A jak znalazł się u niej dowód osobisty na nazwisko Darii Iwanowny Wasiljewej?

Nadia wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może wcale nie należał do Kseni?

Po chwili milczenia spytałam:

– Nadiu, kto jest właścicielem antykwariatu?

– Właściciele jest dwóch – odparła spokojnie. – Lowa i Żenia Bronsztejn. Ale Jewgienij mieszka w Izraelu, zainwestował tylko pieniądze w interes. Wszystkie sprawy prowadzi teraz Lowa.

– Nadienko, kto naprawdę rządzi całym tym biznesem?

– Ja – powiedziała Nadia. – Lowuszka wkrótce załatwi formalności rozwodowe i...

Nie dokończyła, ale i tak było jasne, jak potoczą się sprawy, gdy Lew Jaszyn zostanie znów mężczyzną wolnego stanu. Cóż, daj Boże Nadi dużo szczęścia, ale mnie interesowało w tej chwili zupełnie co innego. Z pewnością pracownicy „Ateny” dobrze wiedzą, kto trzyma stery całego przedsięwzięcia.

– Nadiu, w sekretariacie Lowy siedzi dziewczyna, ładna, całkiem jak laleczka Barbie, zna ją pani, prawda?

– Naturalnie. – Nadia uśmiechnęła się. – To Wika. A o co chodzi?

– Może pani ją tu wezwać i polecić, żeby odpowiedziała na moje pytania?

– Jasne, ale dlaczego?

– Wika wie, kto zamordował Ksenię.

Kołpakowa aż podskoczyła w fotelu.

– Skąd pani to przyszło do głowy?

– Trzeba by długo tłumaczyć. Niech mi pani po prostu uwierzy na słowo.

Nadiusza ściągnęła wargi i popatrzyła w okno.

– No cóż, to całkiem możliwe – odezwała się po chwili. – Wiktoria jest złym człowiekiem, dla pieniędzy gotowym zrobić wszystko. Wie pani, dlaczego wyniknęły kłopoty

z rozwodem Lowy? Jego żona skądś zdobyła zdjęcie... Ja i Lowa w gabinecie, no... rozumie pani?

Skinęłam głową.

– Wciąż się zastanawiałam – ciągnęła Nadia – kto nas tak załatwił. To mogła być tylko Wika. Ale nie mam przeciwko niej żadnych dowodów, a Lowuszka, święty człowiek, nawet słyszeć nie chciał o moich podejrzeniach. No dobrze, zaraz zawołam tę parszywą gnidę i trochę ją postraszę, przynajmniej tyle z tego będę miała. Tylko umówmy się, że przedstawię panią jako pracownicę milicji, żeby łajdaczka nie wykręciła się sianem...

– Bardzo proszę – zgodziłam się.

Nadia przycisnęła palcem jakiś guzik i powiedziała:

– Wika, przyjdź do mnie.

Chwilę później blondyneczka, mile uśmiechnięta, pojawiła się w drzwiach, pewna, że usłyszy: „Podaj kawę”, ale Nadia poleciła surowo:

– Siadaj.

– Czy coś się stało? – spytała Wika, momentalnie blednąc pod grubą warstwą makijażu.

– Tak – wyrębała Kołpakowa – i to coś bardzo nieprzyjemnego dla ciebie. Proszę, oto Daria Iwanowna Wasiljewa, pułkownik milicji...

Westchnęłam cichutko. Dotąd przedstawiałam się jako major, pułkownik to już przesada. Oficerowie w stopniu pułkownika nie przesłuchują chyba osobiście świadków. Wika jednak najwyraźniej nie orientowała się w zawilosciach milicyjnej hierarchii, gdyż posiniała z wrażenia.

– Ledwie uprosiłam Darię Iwanownę, żeby cię nie aresztowała – wyrzuciła z siebie ze złością Nadieżda. – Zrobiłam to, ponieważ dobrze ci życzę. Daria Iwanowna to porządny człowiek, zgodziła się, ale pod jednym warunkiem...

– Jakim? – zmartwiały mi wargami szepnęła oszołomiona sekretarka.

– Że powiesz jej całą prawdę, rozumiano?

– O czym?

– O Kseni Szmielowej i dowodzie na nazwisko Wasiljewa – włączyłam się do dialogu.

– To ona – wymamrotała Wiktoria. – To był jej pomysł, ja...

I nagle zaniósła się głośnym szlochem.

– Natychmiast wytrzyj te smarki – poleciła Nadia, przesuwając niedbale po biurku paczkę jednorazowych chusteczek. – I lepiej tu nie histeryzuj, bo za chwilę znajdziesz się na komisariacie!

Wika chwyciła chusteczkę i zaczęła gorliwie wycierać oczy.

– No dobrze – oznajmiła Nadia – pójdę do antykwariatu, a wy tu sobie spokojnie porozmawiajcie.

Nachyliła się do mnie i szepnęła:

– W kącie stoi laska z żelaznym okuciem. Możesz nakłaść nią laluni po gębie.

Drzwi trzasnęły. Wika podniosła na mnie zrozpaczone oczy i wybełkotała:

– To ona, ona...

– Skąd wziął się u Ksiuszy cudzy dowód osobisty?

– Bo prosiła...

– Kogo?

– Mnie.

– Po co?

Wiktoria znów zaszlochała. Podsunęłam jej chusteczki i powiedziałam:

– Wytrzymaj nos i mów spokojnie.

## Rozdział 27

Ksenia Szmielowa i Wika przyjaźniły się wiele lat. Mieszkały na tym samym piętrze, razem się bawiły i chodziły do jednej szkoły. Potem Ksiusza zaczęła studiować historię sztuki, a Wika zapisała się do szkoły sekretarek.

Jeśli sądzicie, że osoby w wieku przedemerytalnym bezskutecznie poszukują pracy, to jesteście w błędzie. One mają zatrudnienie. Istotnie, był taki okres, gdy wszyscy pracodawcy chcieli zatrudnić jako sekretarki eleganckie ślicznotki o idealnych kształtach, ale z czasem wszystko wróciło do równowagi. Teraz w sekretariatach siedzą czterdziestoletnie damy, wytwornie ubrane, zadbane i z doświadczeniem zawodowym.

Dostać dobrą posadę to dla dziewczyny po szkole sekretarek marzenie ściętej głowy; wiele małżonek właścicieli firm wpada w złość na widok ładniutkich laleczek w sekretariatach swoich mężów. Dlatego też Wika nie miała szczęścia – nigdzie nie chciano jej zatrudnić. Za to Ksenia szybko znalazła pracę. Jej matka była dobrą znajomą matki Lwa Jaszyna, który od razu przyjął Szmielową do antykwariatu, gdzie nie dość, że obracała się w kulturalnym towarzystwie, to jeszcze otrzymywała godziwą pensję. Wika nawet zazdrościła przyjaciółce. Sama musiała żebrać u ojca o pieniądze na rajstopy i wysłuchiwać skądinąd usprawiedliwionych wyrzutów matki:

– No i po cośmy wydawali ostatnie grosze na twoje wykształcenie? Jaki z tego pożytek? I tak siedzisz nam na karku.

Potem rodzice kupili Ksiuszy spółdzielcze mieszkanie i drogi przyjaciółek się rozeszły. To znaczy, oczywiście, dziewczyny dzwoniły do siebie, pamiętały o urodzinach i życzeniach świątecznych, ale widywały się znacznie rzadziej. W ogromnej aglomeracji nawet zakochanym parom brakuje czasu na wyprawy z Miedwiedkowa na Tiopły Stan czy z Mitina na Jasieniewo. Słowem, kontakty się rozluźniły.

Wika nawet się zdziwiła, kiedy przyjaciółka z dziecięcych lat zatelefonowała do niej nieoczekiwanie i powiedziała:

– Wika, szef poszukuje sekretarki, biegiem do antykwariatu, zatrudnię cię z mojego polecenia.

I tak zaczęły razem pracować w „Atenie”. Naturalnie Wika zdawała sobie sprawę, ile zawdzięcza Ksiuszy, ale wciąż jakoś nie miała okazji się zrewanżować. Wreszcie pewnego dnia Ksiusza zapytała przyjaciółkę:

– Coś mi się zdaje, że twoja matka pracowała w milicji, w wydziale ewidencji ludności, tak?

– Kiedy to było! – Wika roześmiała się.

– Czyli już stamtąd odeszła?

– Dawno temu.

– Szkoda – powiedziała z żalem Ksiusza – prawdę mówiąc, bardzo liczyłam na Wierę Kuźminiczną.

– A o co chodzi?

– Potrzebny jest dowód osobisty na nazwisko Darii Iwanowny Wasiljewej.

– Komu? – zdziwiła się Wika.

– Mnie.

– Po co? A w ogóle mama nie mogłaby ot, tak sobie, wydać dowodu osobistego, dobrze wiesz, że to nie taka prosta sprawa.

Ksiusza skrzywiła się.

– Wcale nie chciałam narażać Wiery Kuźminicznej. Teraz gliniarze za pieniądze zrobią wszystko. Myślałam tylko, że może doradzić, komu wsunąć kopertę.

– Ale po co ci dowód? – nie mogła pojąć Wika.

Ksenia usiadła przy niej i ściszywszy głos, powiedziała:

– Zaraz ci wyjaśnię.

Wika zamieniła się w słuch. Jej oczy z każdą chwilą coraz szerzej otwierały się ze zdumienia. Pół roku wcześniej teściowa Ksiuszy poprosiła ją, by wystawiła w „Atenie” na sprzedaż stare, antyczne biurko. Mebel nie był szczególnie cenny, ale teściowa wyjaśniła:

– Kochanie, to własność Tatiany Borisowny Altufjewej.

Ksenia zdziwiła się – przecież jej mąż Walery nosił to samo nazwisko – i zapytała:

– To jakaś wasza krewna?

Teściowa skinęła głową.

– Tatiana Borisowna jest matką mojego zmarłego męża Konstantego.

– Czyli pani teściową?

– Tak – potwierdziła matka Walerego – tylko że po śmierci Kosti Tatiana Borisowna ograniczyła kontakty ze mną niemal do zera. Próbowalam odwiedzić staruszkę... Ale wiesz, ludzie w pewnym wieku mają swoje dziwactwa. Tatiana Borisowna jest osobą zamożną, mieszkanie po prostu pęka od antycznych mebli i bibelotów, starowina pomalutku je sprzedaje i z tego żyje. Pomoc materialna nie jest jej potrzebna, to raczej ona sama mogłaby kogoś wesprzeć finansowo.

A więc, niestety, jako się rzekło, z wiekiem u tej kulturalnej damy pojawiły się różne obsesje. Ałtufjewej zaczęło się wydawać, że z mieszkania zaczynają ginąć jakieś drobiazgi. Z początku nie mogła się doliczyć kilku porcelanowych figurek, potem paru sztuk srebra stołowego, a kiedy ze szkatułki zniknął pierścionek, rzuciła w oczy żonie swego zmarłego syna:

– Jesteś złodziejką!

– Bóg świadkiem – broniła się synowa – że nawet nie przyszłoby mi do głowy, by zrobić coś podobnego.

– To nie mógł być nikt oprócz ciebie – upierała się przy swoim staruszka. – Sprzątaczką przychodzi do mnie od trzydziestu lat i nigdy jeszcze nic nie zginęło. Wszystkie moje przyjaciółki także znam od wieków. Pozostajesz tylko ty.

Synowa była w kłopotcie, nie wiedząc, jak zareagować na takie oskarżenie, ale w końcu uznała, że Tatianie Borisownie po prostu ze starości rozum się zmącił, i postanowiła nie zwracać uwagi na bezpodstawne zarzuty.

Druga obsesja Tatiany Borisowny, na którą cierpiała całe życie, była nawet na swój sposób wzruszająca. Otóż stara dama wielokrotnie opowiadała synowej i synowi, że w domu ukryty jest skarb. Coś niezwykle cennego, przekazywanego w rodzinie Ałtufjewów z pokolenia na pokolenie. Konstanty pokpiwał z matki, jego żona też się podśmiewała, słysząc te bajki.

Dwa dni po nieprzyjemnej rozmowie, w której teściowa zarzuciła jej złodziejstwo, synowa zjawiała się u niej i stwierdziła, że w drzwiach zamontowano nowy zamek. Tatiana Borisowna nie wpuściła gościa i przez zamknięte drzwi oświadczyła:

– Okradłaś mnie i nie chcę cię tu więcej widzieć.

Synowa naturalnie się zirytowała i zerwała ze staruszką wszelkie stosunki. Minęło kilka lat, aż tu nagle teściowa zadzwoniła i jakby nigdy nic powiedziała:

– Kochaneczko, chciałabym sprzedać biurko. Pracujesz w handlu, zrób coś, wyświadczy mi przysługę!

Wdowa po Kostii rzeczywiście pracowała w handlu, chociaż sklep, w którym była zatrudniona, z handlem antykami nie miał nic wspólnego. Jednakże nie wypadało odmówić. Sprawa wydawała się całkiem oczywista. Walery, syn Kosti, był jedynym krewnym Ałtufjewej, oprócz wnuka nie miała żadnej rodziny. Po śmierci Tatiany Borisowny to on miał odziedziczyć piękne mieszkanie w centrum, pełne cennych antyków. Teraz nietrudno zrozumieć, dlaczego wdowa po Kosti, matka Walerego, zwróciła się do swojej synowej Ksiuszy z prośbą o pomoc w sprawie sprzedaży biurka.

Ksenia wstawiła je do antykwariatu, wyznaczając za mebel niebotyczną cenę, ale nieoczekiwanie trafił tam pewien stary dziwak, profesor, i kupił biurko. Krótka mowa, wszyscy byli zadowoleni. Ksiusza wyświadczyła przysługę swojej teściowej, a ta – Tatianie Borisownie.



Potem Ksenia złamała nogę, zaczęła się afera z mieszkaniami, rozwód... Parę dni temu zadzwonił telefon. Profesor, który kupił w „Atenie” biurko Ałtufjowej, Fiodor Walerjanowicz Zyrianow, zapytał Ksenię:

– Ksiuszeńko, czy mogłaby pani wpaść na chwileczkę do mnie do domu?

Zyrianow mieszkał dwa kroki od antykwariatu, ale Ksenia od razu chciała wiedzieć, o co chodzi.

– Coś nie w porządku z biurkiem? Ma pan jakieś reklamację?

– I tak, i nie – odparł zagadkowo staruszek. – Niech pani będzie tak dobra, mój aniele, i wstąpi do mnie na chwilę.

Ksenia poszła do Fiodora Walerjanowicza, który zaprowadził ją do gabinetu i wyjaśnił, w czym rzecz. Biurko jest wspaniałe, w bardzo dobrym stanie, ale mimo wszystko konieczna była renowacja. Zyrianow oddał je więc w ręce fachowca, a ten odkrył sprytnie wmontowaną skrytkę. Ani Ałtufjewa, ani Ksiusza nie miały pojęcia, że pod blatem umieszczono maleńką szufladkę. Leżała w niej poźółkła koperta z napisem: „Daria Iwanowna Wasiljewa – do rąk własnych”. Właśnie tak, bez adresu.

Fiodor Walerjanowicz oddał przesyłkę Ksiuszy.

– Naturalnie, dziecino, nie przeczytałem tego, co jest w środku. Tak już mnie wychowano, wpojono mi, że do cudzych listów nie należy zaglądać. Ale myślę, że poprzednia właścicielka biurka będzie nim zainteresowana, bądź co bądź, dotyczy przeszłości rodziny. Proszę mi wyświadczyć uprzejmość i przekazać jej kopertę.

Ksenia tylko westchnęła. Trudno było przecież opowiadać Fiodorowi Walerjanowiczowi całą historię o rozwodzie, aferze z mieszkaniem i całkowitym zerwaniu stosunków z teściową.

Szmielowa włożyła kopertę do torebki i szczęśliwie udało jej się o niej nie pamiętać aż do wieczora. O dziewiątej sięgnęła po telefon komórkowy, natknęła się na przesyłkę i otworzyła ją. W odróżnieniu od Fiodora Walerjanowicza, człowieka starej daty, hołdującego dawnym obyczajom, Ksenia nie uważała czytania cudzych listów za rzecz naganną. Ten list napisano dawno temu, adresatka z pewnością już nie żyje... Czyż nie publikuje się korespondencji Puszkina, Tołstoja, Czechowa?... Cały świat czyta ich najintymniejsze wyznania, i cóż z tego? Zanim jeszcze zdążyła wymyślić sobie to usprawiedliwienie, jej ręce już rozkładały arkusz cienkiego papieru.

„Witaj, Dariuszko, mój jasny promyczku. Tak się akurat szczęśliwie złożyło, że mogę przesłać Ci ten list za pośrednictwem pewnego dobrego człowieka. Choć to czerwonoarmista, odebrał stosowne wychowanie, tak że nie musisz się go obawiać, okaż raczej temu młodemu człowiekowi serdeczną wdzięczność.

Aniele mój, Dariuszko, nie wiem, czy będzie nam dane jeszcze się kiedyś zobaczyć. Być może są to ostatnie linijki, które piszę własną ręką. Ale Bóg jest miłosierny; doświadczając nas, wypróbuje po prostu siłę naszej wiary. Moja najdroższa przyjaciółko, nie narzekaj na

los, nieś cierpliwie swój krzyż i módl się za oprawców i ciemnych, by Stwórca przywrócił im rozum i oświecił nieszczęsnych, gdyż za grobem czeka ich kara, a nas – mnie i Ciebie – nagroda. Nie rozstawaj się z ikoną Matki Bożej, zawsze uciekaj się pod Jej obronę.

Co się tyczy spraw ziemskich, proszę Cię, radości moja, strzeż Tatiany jak żrenicy oka. Pamiętaj, że nosi ona nazwisko Ałtufjewów i powinna być godną przedstawicielką swego rodu.

Czy pamiętasz o tym, co leży w ukryciu? Błagam Cię, ukochana, pilnuj tego i przechowaj za wszelką cenę. Wiele pokoleń Ałtufjewów przekazywało sobie ten skarb z rąk do rąk, a ja nie potrafiłbym nawet znieść myśli, że mógłby on znaleźć się w posiadaniu ludzi, którzy wykorzystaliby jedynie jego wartość materialną. Proszę Cię bardzo, Dariuszko, strzeż go i przekaz Tatianie. Ród Ałtufjewów nie powinien wygasnąć. Mając pewność, że moi potomkowie otrzymają w spadku rodzinne relikwie, ze spokojnym sumieniem stanę przed obliczem Pańskim i czekać będę na Jego wyroki. Ziemskie cierpienia i udręki nie są mi straszne, można żyć i w więziennej ciemnicy, a co się tyczy jedzenia i wygod, nigdy, jak wiesz, nie miałem wielkich wymagań. Kubek wrątku z Twoich rąk zawsze był mi słodszy niż czekolada podawana na wytwornych salonach. O skrytkę się nie martw. Jest tak pomysłowo wykonana, że nie znając sekretu, nikt nie zdoła jej odkryć. Zachowaj rzecz w tajemnicy, a kiedy poczujesz, że nadchodzi pora stanąć przed tronem Stwórcy, wyznaj wszystko Taniuszy. Tymi słowami żegnam Cię, droga przyjaciółko, okrywając niezliczonymi pocałunkami Twoje miłe liczka. Zostań z Bogiem. Niech anioł stróż chroni Was przed wszelkimi nieszczęściami i przykrymi doświadczeniami.

Twój ślubny małżonek Boris Ałtufjew.

Więzienie Butyrki, 16 marca 1924 roku, godzina czwarta po południu”.

Ksiusza, przeczytawszy napisane wyblakłym fioletowym atramentem linijki, zaczęła w podnieceniu krążyć po pokoju. A więc skarb istnieje, i to na tyle cenny, że Boris Ałtufjew, przeczuwając zbliżającą się śmierć, znalazł sposób, by przypomnieć żonie o konieczności pilnego strzeżenia ukrytych brylantów. Dziewczyna ani przez chwilę nie wątpiła, że chodzi o drogie kamienie. Dobrze, jeśli nie diamenty, to rubiny, szmaragdy, szafiry... Bo cóż jeszcze mogłoby być równie wartościowe?

Ksenia spędziła bezsenną noc, przewracając się na niewygodnej, rozkładanej kanapie. Och, gdyby tak odnalazła skarb! To by dopiero było życie! Kupiłaby sobie mieszkanie, wyprowadziła się od Nadi Kołpakowej, ubrała się od stóp do głów, zaczęła podróżować... Wyobraźnia usłużnie podsuwała coraz to piękniejsze obrazy. Oto Ksiusza spaceruje po ulicach Paryża, ogląda obrazy w Luwrze, potem leci do Hiszpanii, zwiedza Prado, dalej Londyn, Waszyngton, Indie...

Na myśl o podróży do Delhi Ksenia zerwała się z niewygodnego posłania i zaczęła niemal biegać po pokoju. Po co starej Ałtufjewej pieniądze? Jej życie już prawie się skończyło, a Ksiuszy – dopiero się zaczyna. Na myśl o tym, że majątek mógłby przypaść w

udziale temu łajdakowi, jej byłemu mężulkowi, wnukowi Tatiany Borisowny, aż szczęki się Kseni zacisnęły ze złości. Wtedy to przyszedł dziewczynie do głowy genialny plan. Dlatego był jej potrzebny dowód na nazwisko Darii Iwanowny Wasiljewej.

– No właśnie, dlaczego? – nie wytrzymałam.

– Pamięta pani, mówiłam, że stara Altufjewa miała różne obsesje? – spytała Wika.

Skinęłam głową.

– No więc matka Tatiany Borisowny nazywała się Daria Iwanowna, a z domu była Wasiljewka. Pochodziła z rodziny kupieckiej, nie z arystokracji. Altufjewa wcześniej straciła matkę i z pietyzmem przechowywała pamięć o niej, posuwając się niekiedy aż do śmieszności. Każdą kobietę, noszącą imię Daria, od razu zaczynała traktować jak bliską przyjaciółkę. Jeśli zaś zdarzyła się pełna zgodność imienia, patronimiku i nazwiska – Daria Iwanowna Wasiljewka – to Altufjewa uważała taką osobę za swoją krewną. Dlatego właśnie Ksiusza postanowiła wkraść się w łaski staruszki, pokazując fałszywy dowód osobisty, zdobyć jej zaufanie i poznać rodzinną tajemnicę.

Przypomniałam sobie, jaka miła była dla mnie Tatiana Borisowna, gdy się przedstawiłam, jak ucałowała mnie na pożegnanie i nalegała, bym ją koniecznie odwiedzała, i od razu uwierzyłam Wice.

– I zdobyła pani dla niej ten dowód?

Dziewczyna przytaknęła ruchem głowy.

– Wyłącznie w imię długoletniej przyjaźni?

Wiktoria zaczerwieniła się, ale nic nie odpowiedziała. Zresztą wszystko i tak było jasne – Ksiusza z pewnością zapłaciła jej za przysługę.

– Kiedy dostarczyła pani dokument Kseni?

– Jakies dwa tygodnie przed jej śmiercią – odparła szeptem Wika. – Poszła wtedy do staruszki, zaniósła jej list, akurat znalazł się dobry pretekst do wizyty. A kiedy oddawała kopertę, powiedziała, że nazywa się Dasza Wasiljewka. No i od razu zapałały do siebie wielką sympatią. Ale staruszka ani rusz nie chciała „pęknąć”, wciąż tylko wzdychała i powtarzała:

– Mamusia nic mi nie zdążyła powiedzieć, ale wiem, że skarb jest gdzieś w domu.

W przeddzień śmierci Ksenia przybiegła do antykwariatu niezwykle podniecona i zwierzyła się przyjaciółce:

– Wikusiu! Nie masz pojęcia, co znalazłam!

– Brylanty! – wykrzyknęła sekretarka.

– Ciszej – syknęła Ksiusza. – Zwariowałaś? Nie jesteśmy tutaj same. Nie, na razie nie brylanty. Ale starowinka tak mnie polubiła, że pokazała mi bardzo interesujące miejsce. Mówię ci, bomba! Sama nie była tam od Bóg wie jak dawna, za to ja wszystko dobrze obejrzałam i znalazłam jeszcze jedną skrytkę, a w niej kartkę z wyrysowanym planem. To tak, jakbym już miała skarb w ręku. Teraz tylko muszę obmyślić, jak się dostać do tych kosztowności.

– Dosyp jej do herbaty jakiegoś środka nasennego – doradziła Wika – staruszka zaśnie, a ty przetrząsniesz wszystkie kąty.

– To nie takie proste – powiedziała Ksiusza – a nawet więcej, bardzo skomplikowane. Do Borisa Ałtufjewa należał cały dom, dwupiętrowa kamienica. Tatianie Borisownie zostało tylko mieszkanie, co prawda, ogromne, trzypokojowe. Jej mąż był konstruktorem samolotów, takich ludzi komuniści szanowali, dlatego zostawili Ałtufjowej ten wspaniały lokal. Rozumiesz, w czym tkwi problem?

– Nie – przyznała szczerze Wika. – Nie mam pojęcia.

– Skarb jest ukryty na pierwszym piętrze – wyjaśniła Ksiusza – a tam mieści się teraz księgarnia. Będę musiała odwiedzić staruszkę, dać jej coś na sen, a potem, nocą, dostać się do sklepu.

– Ale jak chcesz to zrobić? I po co masz usypiać staruszkę, skoro i tak nie przenikniesz na dół przez podłogę?

– Nie – odpowiedziała Ksenia zupełnie poważnie – nie przez podłogę, tylko przez ścianę.

## Rozdział 28

W księgarni zjawiłam się kompletnie ogłupiała. O co mogło chodzić Kseni, gdy mówiła o przenikaniu przez ścianę? Nie wymyśliwszy nic rozsądnego, poszłam na górę, do swego gabinetu, i postanowiłam chwilowo dać sobie spokój z wszelkimi rozważaniami na temat ukrytych kosztowności, zwłaszcza że niemiłosiernie rozboleła mnie głowa. Przypomniałam sobie, że na dole, w kuchence, jest jakaś apteczka, zeszłam więc tam i zobaczyłam pobladałą Swietę, która odmierzała do szklanki walerianę. Silny zapach leku wypełniał niewielkie pomieszczenie.

– Źle się czujesz? – zaniepokoiłam się.

Dziewczyna dolewała właśnie do bezbarwnych kropeł wody. Krzywiąc się, wypila niesmaczny płyn, i jęknęła:

– O Boże!

– Może wezwać lekarza? – Byłam na dobre wystraszona.

– Nic mi nie jest. – Ekspedientka machnęła ręką z lekceważeniem.

– To po co zażywasz walerianę?

– Okropnie się zdenerwowałam.

– Klienci tak ci się dali we znaki?

– Nie – zaprzeczyła krótko Swieta i umilkła.

Zdziwiło mnie jej zachowanie. Swietoczka, chociaż ma stanowisko starszej ekspedientki, czyli jest jak gdyby szefową średniego szczebla, w istocie niewiele różni się od Mani – i wiekiem, i mentalnością. Zwykle usta jej się nie zamykają i ze wszystkiego, co tylko się wydarzy w księgarni, natychmiast zdaje relację Ałłoczce albo mnie. Jeśli przypadkiem jesteśmy obie na miejscu, Swieta zawsze odwiedza najpierw jeden gabinet, potem drugi. Zmusić ją do milczenia mogą tylko nadzwyczajne okoliczności.

Mania, na przykład, traci dar mowy jedynie wówczas, gdy termometr wsunięty pod jej pachę wskazuje czterdzieści stopni. Moja córka kładzie się wtedy do łóżka i leży cichutko, a cały dom zamiera ze strachu, gdyż milcząca Marusia budzi taką samą grozę, jak balet *Jezioro łabędzie* nadawany w programie pierwszym o dziewiętnastej zero-zero.

Swietoczka należy do tego samego gatunku. Ilekroć przechodzę przez księgarnię, zawsze słyszę jej dźwięczny głosik, górujący nad monotonna mieszaniną innych dźwięków. Swieta potrafi jednocześnie streszczać nową powieść Marininej, wskazywać drogę do działu literatury naukowej i wydawać polecenia innym ekspedientkom... A teraz milczy i zażywa krople. Mój niepokój był jak najbardziej uzasadniony.

– Swieto – powiedziałam ostro – jako kierownik żądam natychmiastowych wyjaśnień. Co się stało?

– Nie uwierzy pani.

– Mów.

– Wyśmiej mnie pani.

– Opowiadaj.

Dziewczyna westchnęła z rezygnacją.

– Mamy tu ducha.

Aż podskoczyłam.

– Skąd wiesz? Ty też go widziałaś?

Swieta otworzyła usta ze zdumienia.

– Jak to „też”?

– Widywałam tu po nocy jakąś postać w białej szacie. Nikomu o tym nie mówiłam, bo szczerze mówiąc, bałam się, że ludzie pomyślą, że zwariowałam. A teraz zjawą ukazała się również tobie.

– Nie – pokręciła głową Swieta – ja ją dziś cały dzień tylko słyszę. Wyje i wyje, nie mogę już tego znieść. Najpierw pytałam Szury, potem Lili, ale one nic nie zauważyły, a mnie aż się słabo robi. No i jeszcze Ała Siergiejewna...

– A co ona ma z tym wspólnego?

Swietka westchnęła z goryczą.

– Poszłam do niej w południe i poprosiłam, żeby mnie zwolniła do domu, bo się źle czuję, zaczyna mi się migrena.

Wtedy oczywiście Ała zapytała, co się stało.

Swieta opowiedziała o niesamowitym wyciu, a moja zastępczyni tylko machnęła ręką.

– Nie zwracaj na to uwagi, w osiemdziesiątym którymś roku, jak księgarnia jeszcze była państwowa, na rurze w toalecie powiesiła się jedna z ekspedientek. Od tamtej pory czasem błąka się tu jej duch.

– To jakiś nonsens! – oburzyłam się.

– Aha – rzekła Swieta urażona – a przed chwilą sama pani opowiadała o postaci w białej szacie. To znaczy, jeśli pani widzi ducha, wszystko jest w porządku, a kiedy ja słyszę wycie, to oczywiście nieprawda?

– Wiesz co, chodźmy, sprawdzimy razem.

Przeszliśmy przez salę sprzedaży, zupełnie pustą, gdyż księgarnia już była zamknięta, i stanęliśmy przy ścianie, pod którą stał automat do zdjęć na pocztówkach. Swieta spytała po chwili:

– No i jak?

Wyteżyłam słuch.

– Nic.

– Nie szkodzi. Niech pani postoi jeszcze chwilę.

Czekałam posłusznie. W ciszy rozlegało się tylko jakby lekkie poskrzypywanie, a z ulicy dobiegał szum przejeżdżających samochodów. Nagle w te zwyczajne, monotonne odgłosy wdarł się jakiś obcy dźwięk. „A-a-a-a – usłyszałam cienki skowyt – U-u-u-u...”.

– No proszę. – Swieta podniosła w górę palec. – To właśnie to. Z początku myślałam, że dzieciak którejś z klientek popłakuje, i nie zwracałam uwagi na ten odgłos, ale potem zorientowałam się, że dobiega zza ściany.

Przytknęłam ucho do wskazanego miejsca.

– Au-au-au...

– To jakiś koszmar. – Swieta drgnęła nerwowo. – A pani ma tu zostać na noc.

Że nie miałam ochoty nocować w gabinecie, to jeszcze mało powiedziane. Ale gdzie się podziać? Resztę wieczoru spędziłam na kanapie, starając się bez potrzeby nie schodzić na dół. Co prawda, przeciągłe, rozpaczliwe wycie słycać było tylko w sali sprzedaży, koło automatu. W kuchence panowała cisza, jednak i tam czułam się nieswojo i starałam się z niej korzystać jak najrzadziej. Mani i Loli nic nie wspominałam o dziwnych odgłosach, nie chcąc dziewczynkę niepotrzebnie straszyć.

Nagle olśniła mnie bardzo prosta, lecz krzepiąca myśl: ale z nas – to znaczy ze mnie i Swiety – idiotki! Dźwięk musiał dobiegać z podwórza, z miejsca, gdzie, jeśli się nie mylę, stały pojemniki na śmieci, koło nich zaś stale buszowały bezpańskie koty w poszukiwaniu jedzenia. A co przychodzi do głowy sytemu kocurowi? Oczywiście, że warto by się zabawić, więc zaczyna szukać partnerki. Fakt, jest styczeń, nie marzec, ale co to w końcu za różnica? Uradowana, że sprawa tak łatwo dała się wyjaśnić, wzięłam powieść Polakowej i poszłam do siebie.

O dziewiątej Mania i Lola wróciły z psami ze spaceru.

– Kolacja! – zawołała po chwili moja córka. – Smaczna, pożywna karma Pedigree Pal, którą polecają weterynarze na całym świecie!

Dziarski tupot łap sygnalizował, że nasza wygłodniała sfora już pędzi do misek.

Nie minęło pięć minut, gdy Maniunia wpadła do mojego gabinetu.

– Mamuś, gdzie jest Hootchuś?

Odłożyłam książkę i tłumiąc ziewnięcie, odpowiedziałam:

– Wałęsa się po księgarni.

– Nie ma go u ciebie?

– Nie.

– Dziwne.

– Dlaczego?

– Myślałam, że siedzi tu za zamkniętymi drzwiami i nie może wyjść. Nie przyszedł na kolację – wyjaśniła Mania.

Usiadłam. Sprawa wyglądała poważnie. Hootchuś był strasznym żarłokiem. Co prawda, gotowy pokarm spożywał bez specjalnego entuzjazmu. Zresztą żaden z naszych psów nie przepadał za tymi suchymi grudkami, które producenci wychwalają pod niebiosa. Nie mówiąc już o kotach! Słyszeliście z pewnością nieraz głos z telewizora, obwieszczający: „Gdyby wasz kot umiał mówić, z pewnością kupowałby whiskas...”.

Nie wiem, co robią specjaliści od reklamy z nieszczęsnymi zwierzętami, by zmusić je do wylizywania misek przy akompaniamencie pomruków zadowolenia. Fifina i Klepcia nawet się nie zbliżają do tych kocich smakołyków, i dobrze wiem, co by powiedziały, gdyby umiały mówić... W każdym razie z pewnością nie to, co sobie wyobrażają producenci whiskasu. Fifa i Kleopatra klęłyby jak szewcy, odsuwając z niesmakiem miski pełne „pysznych kawałków w galaretkę”.

– Ej, ej, kochani państwo, chyba wam odbiło? – zapytałyby. – Gdzie mięso?

Nawet teraz muszę im kupować surową wołowinę. Psy są mniej wybredne. W domu gotuje się dla nich smaczną kaszę na wywarze z mięsa lub drobiu, ale tu, w księgarni, sypimy im do misek pedigree pał. Pogodziwszy się z tym, że na inną strawę nie ma co liczyć, nasza sfera przeprosiła się z suchą karmą, a Hootchuś zawsze przybiegał pierwszy. Wystarczy, że usłyszy brzęk miski, a już pędzi jak szalony w nadziei na jakiś ulubiony przysmak. Wszystkie nasze psy uwielbiają trzy rzeczy: spacer, jedzenie i sen. Ale Hootchusia pełna miska wprawia po prostu w stan ekstazy. Jeszcze nigdy nie widziałam psiaka, który tak kochałby jeść. Tymczasem dzisiaj w ogóle się nie zjawił na kolację.

Zaczęłyśmy go szukać po całej księgarni, nawołując przy tym:

– Hootch, Hootchuś, kochany, gdzie jesteś?

Ale mopsik zniknął.

– Może się wymknął na dwór? – zasugerowała Lola.

Spojrzałam w okno, za którym szalała śnieżna zamieć.

– Mało prawdopodobne.

– Och! – wykrzyknęła Lola. – A może rano, jak wyprowadzałyśmy wszystkie psy, Hootch został na podwórku?

– Wcale nie wychodził, nie chciał – powiedziałyśmy z Maszą chórem i wymieniliśmy spojrzenia.

– Na śniadaniu też go nie było – szepnęła Maruśka. – Inne psy przybiegły, zaczęły jeść, a Hootchuś nie. Śpieszyłam się do szkoły, pomyślałam, że pewnie zaraz przyjdzie, i wyszłam.



Dreszcz mnie przebiegł i zaczęłam gorączkowo odtwarzać w pamięci wydarzenia ubiegłej doby. A więc tak. W nocy pies nie spał ze mną na kanapie, rano nie jadł śniadania, w ciągu dnia Ałoczek szukała mopsika, żeby dać mu sera, ale nigdzie go nie znalazła, teraz nie zjawiał się na kolację. Chyba w ogóle go tutaj nie ma.

– Mamusku – ze łzami w oczach wykrzyknęła Mania – a jeżeli naprawdę zostawiłam go wczoraj przez nieuwagę na podwórku?! To straszne! Hootchuś nie żyje!

Spojrzałam na dziewczynkę. To rzeczywiście koszmar. Każdy pies z naszej sfory, pozostawiony na mrozie, przeżyłby. Cherry i Julie mają gęstą sierść, Snap jest bardzo sprytny i znalazłby schronienie w klatce schodowej, Bundy też zaszyłby się gdzieś w piwnicy, zresztą to duże psy, ludzie boją się je zaczepiać, współbracia również... Tylko miniaturowy, głupiutki Hootchuś usiadłby na tłustej pupinie i popiskując rozpaczliwie, czekałby na nieunikniony koniec...

Następne dwie godziny biegałyśmy po okolicznych podwórkach i zaułkach, a towarzyszyły nam pozostałe psy, którym nakazałyśmy szukać Hootcha. Z początku nawoływałyśmy pieska, wabiły, potem, kompletnie ochrypnięte, o jedenastej wróciłyśmy do księgarni. Szlochające dziewczynki poszły do gabinetu Ałły.

– No już dobrze, uspokójcie się – próbowałam je pocieszyć. – Hootchuś to maleńki, przymilny piesek. Pewnie znalazły go jakieś litościwe dzieciaki i zabrały do domu. Jutro rozkleimy ogłoszenia...

O wpół do dwunastej Mania i Lola, zażywszy walerianę, zapadły w ciężki sen. Gdy do nich zajrzałam, z gardła Marusi co jakiś czas wyrывał się rozpaczliwy szloch, a na twarzy Loli widniał pełen smutku grymas. Nawet w objęciach Morfeusza dziewczynki nie mogły zapomnieć o losie biednego Hootcha.

Prawdę mówiąc, i ja nie potrafiłam przestać myśleć o nieszczęsnym mopsie. Dobrze, jeśli rzeczywiście ktoś go znalazł i piesek śpi teraz bezpiecznie w ciepłe, ale jeżeli nie? Chcąc odegnąć wizję maleńkiego ciała, leżącego koło pojemników na śmieci, zeszłam do sali sprzedaży. Biedny, biedny Hootchuś, na pewno okropnie cierpiał przed śmiercią, drżał na lodowatym zimnie, skarżył się, płakał, nie pojmując, dlaczego państwo go porzucili. Łzy trysnęły mi z oczu. Stojąc na środku pomieszczenia, obok stelaży z kryminałami, mimo woli powiedziałam na głos:

– Hootchuś, mój kochany Hootchuś!

– Hau! – rozległo się spod ściany.

Aż podskoczyłam.

– Kto to?

– Hau!

– Snap, to ty?

– Hau, hau – potwierdził rottweiler.

Podeszłam do niego. Snap stał obok automatu i głośno sapał.

– Co się stało?

– Hau!

– Mysz?

– Hau! – denerwował się rottweiler.

Szkoda, że psy nie umieją mówić. Snap najwyraźniej usiłował mi przekazać jakąś ważną informację.

– Hau, hau!

– Chodź, mój kochany, pora spać, to myszy, ale ty nigdy ich nie złapiesz.

Snap jednak usiadł i znów zaszczekał nagłaco:

– Hau, hau!

Potem zaczął popiskiwać nerwowo i drapać przednimi łapami podłogę i ścianę.

– Snap, spokój!

– Hau!

– Chodźmy spatki.

– Hau!

– Podejź tu, dostaniesz cukierka.

– Hau!

– Na litość boską, czego tam szukasz?

Nachyliłam się z niedowierzaniem. W Łóżkinie nie ma karaluchów, w księgarni niby też nie, ale od czasu do czasu przebiega pojedynczy żwawy gość. Kiedy nasze psy po raz pierwszy zobaczyły prusaki, po prostu osłupiały z wrażenia, po czym natychmiast rozpoczęło się polowanie.

– Chodź, Snapciu, pójdziemy na górę. Zostaw tego biednego karalucha w spokoju. Na pewno śpieszy się do domu, do żony i dzieci. – Znów rzuciłam z westchnieniem: – Biedny Hootchuś!

– Auu! – zawył Snap i zaczął jak szalony drapać ścianę.

– A-u-u-u – odezwał się ledwie dosłyszalnie duch.

– Auuu! – ryknął basem rottweiler.

– A-u-u-u... – zawyło piskliwie w odpowiedzi.

Nagle w moim mózgu coś drgnęło, rozsypane fragmenty łamigłówek wskoczyły na swoje miejsca i z masy niezrozumiałych elementów ułożył się sensowny obraz. Błyskawicznie przypomniałam sobie wnikające w ścianę widmo, Hootchusia kręcącego się pod nogami, potem adidas znaleziony pod ladą. Przepytałam wszystkie ekspedientki. Sportowy but nie należał do nikogo z personelu. A teraz powiedzcie, czy zjawa może nosić całkowicie materialne obuwie? W mojej pamięci odżyło zdanie wypowiedziane dzisiaj przez Wikę: „Ksiusza o czymś się dowiedziała i chciała się dostać nocą do sklepu z mieszkania Ałtufjewej. Zapytałam zdziwiona: «Masz zamiar przeniknąć przez podłogę?» – «Nie, przez ścianę» – odpowiedziała Ksiusza”.

Podbiegłam do Snapa i zawołałam:

– Hootchuś, maleńki!

– U-u-u – odezwał się niewidoczny mops.

– Poczekaj, kochany, już, zaraz!

– A-a-a – płakał nieszczęśliwy Hootch.

Zaczęłam obmacywać ścianę. Na co trzeba nacisnąć, żeby się rozstała?

Ale moje ręce wciąż dotykały tylko płytek, którymi zamaskowano ukrytą przestrzeń.

– O-o-o – zanosił się Hootchuś histerycznym szlochem.

– Już, już, mój złoty! – krzyknęłam i wybiegłam na dwór.

## Rozdział 29

– Kto tam? – zapytała czujnie zza drzwi Tatiana Borisowna.

– Kierowniczką księgarni Dasza Wasiljewa.

– Ach, moja kochana! – Staruszka zaczęła szczerkać zasuwanami: – Wejdz, aniele niebieski.

– Bardzo przepraszam, proszę wybaczyć – zaczęłam pytlować nerwowo, całkiem jak Masza – już strasznie późno, przykro mi, że niepokoję panią o takiej porze...

– Ależ co pani, Dariuszko! – Altufjewa uśmiechnęła się. – Po pierwsze, uważam panią za członka rodziny. Jakże mogłabym inaczej, przecież nosi pani to samo imię, co moja najdroższa mateńka. A po drugie, nocny marek ze mnie, do czwartej nad ranem się nie kładę. Już jako młoda dziewczyna mało sypiałam, a teraz, na starość sen mnie zupełnie odbiegł. Co prawda, w ostatnim czasie, jakieś dwa tygodnie temu, nie uwierzy pani, kładłam się o ósmej wieczorem i spałam do południa prawie bez snów, co nigdy przedtem się nie zdarzało. Ale teraz znów...

– Tatiano Borisowno, kochana – przerwałam – proszę mi pokazać, jak się otwiera podziemne przejście.

Altufjewa obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem, po czym poprawiła kameę przy kołnierzyku bluzki i uściśliła:

– Nie podziemne, tylko tajemne.

– Co?

– Podziemne przejście, jak sama nazwa wskazuje, znajduje się pod ziemią. A tatuś kazał zbudować tajemny korytarz, prowadzący z drugiego piętra na parter.

– Bardzo proszę mi go pokazać.

– Dlaczego pani tak na tym zależy?

Ledwie żywa z napięcia i zmęczenia, opowiedziałam o zjawie i Hootchusiu.

– Biedny piesek! – przeraziła się staruszka. – Szybko, niech pani po niego zejdzie.

Podbiegła do dużego lustra i nacisnęła jeden z brązowych elementów, zdobiących staroświecką ramę. Rozległo się ciche skrzyknięcie, wionęło chłodem i lekkim zapachem wilgoci... Ogromne lustro przesunęło się na bok i ukazało się wejście. Zajrzałam w głąb. Na dół prowadziły strome, kręcone żelazne schody, bardzo wąskie, o cienkich poręczach.

– Widzi pani, jacy kiedyś byli mistrzowie – rzekła z westchnieniem staruszka. – Zbudowano to tyle lat temu, a wciąż działa bez zarzutu. Mechanizm ani razu się nie zaciął, choć praktycznie w ogóle nie jest używany. Nie mogę już zejść ani wejść, nogi odmawiają mi posłuszeństwa, ale pani niech idzie i wszystko sobie obejrzy.

– Hootchuś, Hootchuś! – zawołałam.

Rozległ się płacz, potem sapanie, a w końcu ukazał się nieszczęsny mops. Na mój widok pisnął z zachwytem i rzucił się do całowania.

– Mój maleńki – bełkotałam, wycierając pulowerem jego mordkę, po której łzy toczyły się jak groch – no już, już, uspokój się, zaraz pójdziemy do domu, dostaniesz jeść.

Usłyszawszy znajome słowo, wygłodzony Hootch zawył niczym syrena wozu strażackiego.

– Co za uroczy piesek! – zachwycała się Tatiana Borisowna. – Mogę go czymś poczęstować?

– Proszę.

– A czym?

– Hootch jada wszystko.

– Posłucha, gdy go zawołam?

– Jeśli obieca mu pani coś do zjedzenia, pójdzie za panią na koniec świata.

– Kochaneczku, chcesz twarożku? – zapytała staruszka.

Mops usiadł przed nią i z oddaniem zaglądając jej w oczy, zaczął machać tłusciutkim, zwiniętym w obwarzanek ogonkiem.

– To chodźmy do kuchni.

Weszłam do tajnego przejścia. Hootch chwilę się wahał, nie wiedząc, jak postąpić – biec za swoją panią, czy pokrzepić nadwątlone siły.

– Kochaneczko – zawołała staruszka – zobaczy tam pani, na każdej kondygnacji, z boku, dźwignienki! Trzeba za nie pociągnąć i wejście się otworzy. Hootchuś, chodź tu, masz swój twarożek.

Naturalnie mops uznał, że wróć, wobec tego nie ma powodu do niepokoju, a zaproszenia do miski drugi raz mogą już nie powtórzyć. Dlatego nie pobiegł za mną, lecz za Ałtufjewą.

Zaczęłam schodzić po stromych stopniach sama. Wkrótce rzeczywiście dotarłam do niewielkiego podestu, gdzie ze ściany sterczało coś w rodzaju dźwigni. Pociągnęłam za nią, a ściana bezszelestnie odjechała na bok. Wysunęłam głowę na zewnątrz. Tak, wszystko się zgadzało. Miałam przed oczyma salę sprzedaży. Z lewej – automat i stoisko z pocztówkami, z prawej – nieruchomego niczym rzeźba Snapa. Rottweiler, ujrawszy głowę swojej pani, wystającą ze ściany, otworzył pysk, po czym szczeknął zduszonym głosem:

– Hau!

– Nie denerwuj się, kochany – uspokoiłam psa – jesteś zupełnie zdrowy, to nie halucynacje. Zaraz wróć.

Dalsze stopnie zawiodły mnie na następny podest. Znów pociągnęłam dźwigienkę i znalazłam się w piwnicy, w luce między szafkami na odzież. Rozejrzawszy się po pustym pomieszczeniu, wróciłam na górę.

W kuchni Tatiany Borisowny mops ucztował w najlepsze.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam – poinformowała mnie stara dama. – Dałam mu jeszcze jogurt, kawałek sera i kanapkę z pasztetem. Ale wydaje mi się, że Hootch chyba się nie najadł. Pochłonał to wszystko w mgnieniu oka, a mimo to wciąż wygląda na głodnego.

– Hootchuś jest nienasycony, potrafiłby się rozprawić z całym magazynem żywności i nadal robić wrażenie umierającego z głodu – uspokoiłam Tatianę Borisownę. Byłam niezwykle podniecona zwiedzaniem tajnego przejścia. Kto wpadł na taki pomysł? I jak to możliwe, że się zachowało, przetrwało tyle kolejnych remontów i przebudów?

– Może się napijemy herbatki? – zaproponowała Tatiana Borisowna. – Mam dobry keks i pyszne czekoladowe cukierki. Muszę się przyznać, że straszny ze mnie łakomczuch, przepadam za słodyczami, a pani, Dariuszko? Połusujemy trochę, pogadamy...

Dziesięć minut później Ałtufjewa nalała herbaty do filiżanek. Wszystkie moje znajome staruszki pijają jasnożółtą ciecz, którą złośliwa Maniunia nazywa sikami prosięcia. Jedne robią to z oszczędności, zalewając herbaciane listki wrzątkiem po dziesięć razy, byleby tylko woda była lekko zabarwiona – to wystarczy. Inne, zamożniejsze, piją tę ohydną lurę ze względów zdrowotnych, w obawie o serce i ciśnienie. Tatiana Borisowna nie należała jednak do żadnej z tych kategorii. Zaparzyła herbatę Ahmad i napełniła wytworne, stare filiżanki ciemnobrązową, mocną, aromatyczną esencją, nie rozwadniając jej wrzątkiem.

– Dom projektował mój tatuś – zaczęła swoją opowieść. – Mamusię po prostu ubóstwiał, ożenił się, mając już solidną pozycję materialną, zawodową i towarzyską.

Borys Ałtufjew, który – jako się rzekło – bardzo kochał swą połowicę – starał się spełniać wszystkie jej zachcianki. Daria zresztą nie była osobą kapryśną i wymagającą, nie zamęczała męża ustawicznymi prośbami o to czy tamto. Okazała się też domatorką. Od balów i innych rozrywek madame Ałtufjewa wołała robótki ręczne i książki. Borys, również niezbyt wielki amator światowych uciech, gotów był jednak dla dogodzenia młodej małżonce bywać na salonach, składać wizyty. Dariuszka przez pierwsze pół roku wspólnego życia pokornie, u boku męża, spełniała obowiązki towarzyskie. Pewnego dnia jednak po prostu rozplakała się.

– Borys, idź sam, beze mnie.

– Co się stało, serdeńko? – dopytywał się zaniepokojony mąż. – Chyba nic ci nie dolega?

– Najdroższy – łkała żona – nie mam już siły bywać na rautach. To nie dla mnie, nie nadaję się do światowego życia, nie gniewaj się, Kochany, ale wolę zostać w domu, wymówię się chorobą, jedź sam, może księżna się nie obrazi, jeśli powiesz, że mam straszną migrenę.

– Nigdzie nie pojedę – oświadczył Borys – ja sam nie cierpię wszystkich tych wizyt.

– Więc po co wciąż bywamy na balach?

– Robiłem to ze względu na ciebie, sądziłem, że młode damy lubią tańczyć.

– Najdroższy – rzuciła się mężowi na szyję Dariuszka – ależ ja sto razy wolę siedzieć w domu, w szlafroku, z książką!

Tak więc zaczęli spędzać czas w domowych pieleszach, przy kominku, wybierając się z wizytą tu czy tam jedynie w razie absolutnej konieczności. Podobnie jak wiele dam w owych czasach, Dariuszka uwielbiała powieści Jane Austen i sióstr Bronte. Wiele uroczych, miłych wieczorów spędziła na wspólnych lekturach z mężem, czytając o starych zamczyskach, duchach i rodzinnych sekretach. Dlatego kiedy Borys rozpoczął budowę domu, postanowił zrobić ukochanej niespodziankę – tajemne przejście.

Na widok kręconych schodów Daria aż klasnęła w ręce z zachwytem. Borys śmiał się, uradowany, że jego pomysł tak się spodobał żonie. Później bawili się razem jak dzieci, spędzając wiele czasu w wymyślonej kryjówce...

Minęło parę lat, nastąpił bolszewicki przewrót. Beztroskie życie się skończyło. Ałtufjewom z początku pozwolono zatrzymać mieszkanie na drugim piętrze, później Borysa aresztowano, aż wreszcie zaginał gdzieś w piekle GUŁAGu. Dariuszka żyła cicho i skromnie, pracowała w wydawnictwie jako korektorka, w ustawicznym strachu, że przekłęci bolszewicy nie zostawią w spokoju jej ani córki. Jednakże tryby straszliwej maszyny represji niekiedy się zacinały. Ani żony Ałtufjewa, ani Tatiany nie spotkały żadne przykrości, jakby zupełnie o nich obu zapomniano. Na parterze i pierwszym piętrze gnieździli się lokatorzy komunałek. Na drugim mieszkały Ałtufjewe. Co prawda, sześć z dziewięciu pokoi, które się tu mieściły, zajmowało biuro notarialne, ale pozostałe trzy, nawet po śmierci matki, pozostawiono Tatianie. Był to niebywały wprost luksus, wręcz niewyobrażalny dla przeciętnego mieszkańca Moskwy tamtych lat.

Później Tatiana Borisowna – pomyślnym zbiegiem okoliczności – wyszła za mąż za konstruktora samolotów. System komunistycznych represji na ogół oszczędzał ludzi, którzy poświęcali swe siły i umiejętności na rzecz obronności kraju; wkrótce też wybuchła wojna i NKWD na jakiś czas zwolniło trochę obroty.

Mijały lata, upływało życie. Przyszedł na świat syn Tatiany, Kostia, zmarł jej mąż. Potem z parteru i pierwszego piętra wykwaterowano mieszkańców i zaczęto je przebudowywać na księgarnię. Tatiana Borisowna wybrała się do jej kierownika i opowiedziała mu o tajnym przejściu. Ten zachwycił się nim i kazał robotnikom zostawić wszystko, tak jak jest. Szczerze mówiąc, stracił głowę dla Ałtufjowej i nawiązał się nawet między nimi romans. Kierownik korzystał z kręconych schodów, by niepostrzeżenie odwiedzać damę swego serca. W piwnicy wejście otwierało się za naciśnięciem guzika ukrytego za grzejnikiem, na parterze należało pod odpowiednim kątem obrócić staroświecki globus – i ściana się odsuwała.

Potem kierownik zmarł, przyszedł nowy, ale jemu Tatiana Borisowna nic nie powiedziała o przejściu, zachowywała tajemnicę przez długi czas, powierzywszy ją tylko synowi, jego żonie, Jelenie Karielinej, i jeszcze jednej osobie. Gdy Lena kupiła lokal, natychmiast rozpoczęła przebudowę i od razu odkryła tajemne przejście. Moja przyjaciółka, jak każda

kobieta, uwielbia wszelkie sekrety i niezwykle historie. No i, oczywiście, było jej po prostu szkoda zniszczyć pomysłową konstrukcję. Mechanizm działał sprawnie, więc Lenka postanowiła zachować ukryte przejście, niczego nie zmieniając.

– Komu jeszcze pani o nim opowiadała? – spytałam.

– Ach, dziecino, można by o tym powieść napisać! – odparła Ałufjewa.

Po czym powtórzyła mi całą historię na temat biurka. Nie szczędziłam ochów i achów, udając zdumienie i niedowierzanie. Następnie staruszka pokazała mi list i zakończyła z goryczą:

– A więc to znaczy, że w domu naprawdę był ukryty skarb. Tyle że, oczywiście, już dawno ktoś go znalazł.

– Dlaczego pani tak sądzi? Może gdzieś leży i czeka na panią!

Ałufjewa uśmiechnęła się.

– Na pewno nie. Widzi pani, Dariuszko, pokoje wiele razy przebudowywano. Na parterze w ogóle wyburzono wszystkie ściany z wyjątkiem nośnych... Wprawdzie...

– Co? – nie wytrzymałam.

– Myślę, że skrytka znajdowała się na pierwszym piętrze.

– Dlaczego?

Tatiana Borisowna podeszła do ładnej komódki, ozdobionej rozetami, wysunęła szufladę, wyjęła elegancką papierośnicę i powiedziała:

– Moja duszko, skoro jesteśmy krewnymi, muszę się przyznać do jeszcze jednego grzechu. To okropne, wiem, i zupełnie nie przystoi damie, ale ja pałę! Teraz już wiesz.

I wyzywającym gestem nastolatki pstryknęła zapalniczką. Roześmiałam się i wygrzebałam z kieszeni gauloise'y. Ałufjewa nie posiadała się z radości.

– Ach, kochanie, najwyraźniej jesteśmy pokrewnymi duszami! Zaraz pani powiem, co sądzę na temat skarbu.

Na parterze domu Ałufjewów znajdowały się sala balowa, salon, gdzie przyjmowano gości, jadalnia i kuchnia.

– Tam tatuś z pewnością niczego by nie chował – tłumaczyła Tatiana Borisowna. – Zbyt wiele obcych osób miało dostęp do tych pomieszczeń.

Na drugim piętrze, w prawym skrzydle, mieściły się pokoje Tanieczki – dziecinny, do nauki i sypialnia niani. Lewe zajmowali kamerdyner Borisa, dwie pokojówki i kucharz Francuz. Może wyda wam się dziwne, że pokoje dziecinne i pomieszczenia dla służby mieściły się na tym samym piętrze. Ale, po pierwsze, dzielił je ogromny hol, dziewczynka nigdy nie miała styczności z żadnym z mieszkańców lewego skrzydła, a po drugie, po prostu tak było wówczas przyjęte. Dzieci kochano, zapewniano im staranne wychowanie i gruntowne wykształcenie, ale... Ale do ukończenia szesnastego roku życia nie miały wstępu na salony. Kiedy w domu wydawano przyjęcie, dla dzieci nakrywano osobno, jadły przy oddzielnym stole. Wedle takich zasad wychowywano młode pokolenie.



Synowie i córki zwracali się do rodziców z szacunkiem, nigdy na „ty”, dzieci nie wskakiwały do matczynego łóżka ani nie pozwalały sobie na swobodne figle z ojcem. Między starszym i młodszym pokoleniem istniał dystans, którego przestrzegano; zresztą kto czytał powieści dziewiętnastowiecznych autorów, ten zna obyczaje panujące wśród arystokracji w tamtej zamierzchłej epoce. Dlatego też Tatiana Borisowna sądziła, że skrytka nie mogła się znajdować także na drugim piętrze. Pozostawały więc pokoje na pierwszym. Zamieszkivali je Boris i Daria. Przestronne sypialnie, gabinet, garderoba, biblioteka, łazienki... Gdzieś tam, w amfiladzie pokoi, musiał się kryć skarb.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, Dariuszko – ciągnęła staruszka – dzięki Bogu, jestem doskonale zabezpieczona finansowo, niczego mi nie brakuje, ani jedzenia, ani ubrania. Po matce też zostały jakieś oszczędności. Nie interesuje mnie wartość materialna skarbu, proszę mi wierzyć. No bo niech pani powie sama, komu miałabym zostawić majątek? Mąż zmarł, jedyny syn nie żyje... Pozostali tylko wnuk i synowa. Ale to osoba nie na poziomie, prostaczka. Dziwne, że Kostia wybrał akurat ją. Nie chcę nawet wymieniać jej imienia i nazwiska, to paskudny typ, a w dodatku ma lepkie ręce. No, a z wnukiem właściwie nie utrzymuję żadnych kontaktów. Jako dziecko ogromnie przypominał Kostię, co było dla mnie źródłem radości, ale potem stawał się coraz bardziej podobny do matki, tak więc nasze stosunki właściwie zupełnie ustały. Co prawda, synowa ostatnio próbowała być miła, parę razy odwiedziła mnie, przyniosła nawet jakieś obrzydliwe, czekoladopodobne cukierki. Ja, naiwna istota, skosztowałam jeden, żeby nie robić jej przykrości. Odgryzłam kawałek czekoladki, niby nic, chociaż, oczywiście, w smaku świństwo. Ale po dziesięciu minutach zrobiło mi się słabo, dostałam zawrotów głowy, położyłam się, zasnęłam i obudziłam się dopiero nazajutrz w południe. To oczywiste, że czekoladka musiała być nieświeża. Znalazłam później na opakowaniu datę przydatności do spożycia, niech pani sobie wyobrazi, kochanie, że wyrób był przeterminowany o dwa miesiące! To rozumiałe, że mój organizm, przyzwyczajony do dobrych, świeżych produktów, tak gwałtownie zareagował, chociaż...

Nagle zamilkła.

– Co takiego? – ponagliłam starą damę.

– Pamięta pani, kochaneczko – z godnością odparła Tatiana Borisowna – wspomniałam o mojej nowej krewnej, także Darii Iwanownie Wasiljewej, tej, która przyniosła mi list?

Skinęłam głową. Trudno by było nie pamiętać. Tyle że to nie żadna Daria Iwanowna Wasiljewa, ale Ksenia Szmielowa. Dziewczyna, która zaprażyła sięgnąć po cudzy majątek.

– A więc ona, ta miła osóbką – ciągnęła Ałtufjewa – zaczęła tu do mnie zaglądać co wieczór. To sierota, dlatego ciągnie ją do starszych ludzi.

Westchnęłam. Biedną Tatianę Borisownę, która wszystkie Darie uważa za swoje krewne, łatwo oszukać! Żyje przecież matka Kseni, z pewnością całkiem jeszcze energiczna osoba, skoro potrafiła złapać męża, zbliżając się do siedemdziesiątki.

– Ona też przyniosła czekoladki do herbaty, ale świeże, smaczniejsze – opowiadała staruszka. – I dziwna rzecz! Ja, która całe życie cierpię na bezsenność, gdy tylko zjem parę tych czekoladek, czuję, że oczy same mi się zamykają, muszę się natychmiast położyć i budzę się dopiero koło południa. Z początku myślałam, że to reakcja na zmianę pogody, ale potem się zorientowałam, że czekolada tak na mnie działa. Lepiej niż wszystkie tabletki nasenne.

O Boże, pomyślałam, przecież cukierki nie mają tu nic do rzeczy, w każdym razie mieszanka czekoladowa, produkowana w zakładach cukierniczych, jest absolutnie nieszkodliwa. Po prostu Ksiusza nafaszerowała smaczne trufle, wiewiórki i miszki końską dawką środka nasennego. A kiedy ufna Tatiana Borisowna udawała się na spoczynek, dziewczyna znów wchodziła do mieszkania i rozpoczynała poszukiwania. Strasznie chciała być bogata!

– I opowiedziała jej pani o tajemnym przejściu – stwierdziłam raczej, niż spytałam.

– Jakoś tak samo wyszło – przytaknęła staruszka. – Wspominałyśmy dawne czasy i niechący się wygadałam. Tak się nim zachwyciła, biegała po schodach w górę i w dół i wciąż wykrzykiwała:

– Boże, ależ to wspaniałe!

– Tatiano Borisowno, a kto jeszcze wie o istnieniu tego przejścia?

Stara dama zaczęła wyliczać na palcach:

– Naturalnie, wiedział mój mąż, następnie syn i jego żona, ale nie mam pojęcia, czy powiedziała o tym wnukowi... Oleg Nikołajewicz...

– Kto to taki?

Tatiana Borisowna zarumieniła się.

– Pierwszy kierownik księgarni, pamięta pani, opowiadałam, że byliśmy w bliskiej przyjaźni. No i wie jeszcze Jelena Karielina, do której należy „Kram”, Daria Iwanowna i pani, aniołeczku. To chyba wszyscy.

## Rozdział 30

Leżąc na kanapie, z Hootchusiem spokojnie posapującym przy moim boku, rozważałam sytuację. A więc trzeba dokonać bilansu: postawić kropki nad „i”, uporządkować informacje i rozegrać sprawę do końca.

W księgarni po nocach buszuje zjawa. Z początku przeraziłam się i nawet byłam skłonna przypuszczać, że w kamienicy naprawdę straszy jakiś duch, ale teraz uzyskałam już absolutną pewność, iż nieproszony gość nie ma z siłami nadprzyrodzonymi nic wspólnego. Po pierwsze, zgubił but, po drugie, kiedy zobaczył, że nie tylko się go nie boję, ale chcę się z nim zmierzyć, umknął, znikając w tajnym przejściu. Gdyby nie Hootchuś, który rzucił się za „ektoplazmą” w białym prześcieradle i został uwięziony w pułapce za ścianą, pewnie do tej pory sądziłabym, że widmo przeniknęło przez mur. Ale gość bardzo się śpieszył i czym prędzej zamknął za sobą przejście.

Mopsik, małe tłuszczutkie stworzonko na krzywych łapkach, nie nadażył za złodziejem, który wbiegł po schodach na górę i wyszedł na drugim piętrze, i kiedy został sam, zamknięty w ceglany szybie, zaczął wyć i piszczeć, czym śmiertelnie przeraził Świętę. Biedny Hootchuś, jakże musiał się wystraszyć i zdenerwować! Ale dlaczego zostawił mnie, swoją panią, i pobiegł za widmem?... Poglądziłam jedwabistą sierść pieska. Mops głośno zasapał i liznął moją rękę ciepłym językiem.

– Śpij, kochany, mamusia nie pozwoli zrobić ci krzywdy.

Hootchuś, jak gdyby zrozumiał sens tych słów, otworzył szeroko brązowe oczy o bezdennej głębi spojrzenia, mrugnął parę razy i znów zapadł w sen.

A więc to nie żaden duch, tylko sprytny, wyrachowany złodziej, który chce sobie przywłaszczyć ukryty skarb. Dlaczego, spytacie, uznałam, że tym niegodziwcem musi być mężczyzna? Mój Boże, przecież to proste, na adidasie był numer – 44. Pokażcie mi choć jedną kobietę, która nosiłaby kajaki takiego rozmiaru. No, może któraś z zawodniczek reprezentacji koszykówki, ale każda z nich ma prawie dwa metry wzrostu, duch natomiast nie był tak okazałej postury, wyższy ode mnie, ale niewiele...

Przypomnijmy raz jeszcze, kto wiedział o tajnym przejściu. Sam Boris Ałtufjew i jego żona; tych skreślamy od razu. Następnie mąż Tatiany, konstruktor samolotów. Jego, ich syna

Kościę i pierwszego kierownika księgarni również możemy spokojnie wykluczyć. Wszyscy oni zmarli na długo przed rozgrywającymi się obecnie wydarzeniami.

Synowa Tatiany Borisowny. No cóż, wydaje mi się podejrzany ten nagły przyptyw uczuć do teściowej. Tyle lat nie utrzymywały ze sobą kontaktów, aż tu raptem synowa postanawia złożyć wizytę Ałtufjewej i przynosi jej czekoladki. A biednej staruszce, która tak lubi słodczyce, po zjedzeniu kilku czekoladowych cukierków nagle robi się słabo. Może istotnie przyczyna leży w tym, że wyrób był przeterminowany, ale niewykluczone, że synowa również naszprycowała czymś czekoladki, a kiedy Tatiana usnęła, zaczęła przeszukiwać mieszkanie w nadziei znalezienia czegoś cennego. Nie schodziła jednak z pewnością do księgarni, but musiał zgubić mężczyzna.

Weźmy teraz Ksenię Szmielową. Ta niewątpliwie biegała krętymi schodami tam i z powrotem, myszkowała też po księgarni, ale w żaden sposób nie mogła mnie wystraszyć, gdyż jej zwłoki znajdowały się w kostnicy, zjawa natomiast najspokojniej spacerowała po sklepie.

A zatem kto pozostaje, jeśli, oczywiście, wykluczmy moją osobę? Wnuk Tatiany Borisowny. Pasuje do całej układanki jak ulał, a adidas też pewnie jest jego własnością. Co prawda, Ałtufjewa nie była w stu procentach pewna, czy wnuk wie o tajemnym przejściu, ja jednak uważałam, że tak.

Jakaż matka mogłaby zataić przed własnym synem historię o ukrytych brylantach? Zwłaszcza taka jak synowa Ałtufjewej, chciwe, prymitywne babsko, które nie wahało się okradać teściowej z cennych drobiazgow? Tak, wnuk z pewnością wie o wszystkim. Głowę daję, że wspólnie z matką zastanawiał się, gdzie ukryto skarb, że razem planowali, jak sobie przywłaszczyć rodzinny majątek... Nie znam wprawdzie tych ludzi, ale właśnie tak ich widzę: jako parę odrażających chciwców o rozbieganych oczach i spoconych rękach.

I jeszcze jedna sprawa. Najprawdopodobniej to wnuk Tatiany zabił Ksenię, gdy wpadli na siebie w tajemnym przejściu. Wyobrażam sobie jego wściekłość, zwłaszcza że był przecież byłym mężem Ksiuszy Szmielowej. Czy tok mojego rozumowania jest dla was jasny? Pamiętacie historię z biurkiem? Tatiana Borisowna poprosiła swoją synową, która pracowała w jakimś sklepie, by pomogła jej sprzedać mebel. Ta z kolei zwróciła się do żony syna, zatrudnionej w „Atenie”. Biurko zostało sprzedane, potem młodzi się rozwiedli... A więc tak: jutro wszystkiego się dowiem, muszę tylko poznać nazwisko byłego męża Kseni i będę miała zabójcę w ręku.

Dzień rozpoczął się tryumfalnym okrzykiem Mani:

– Mamuśku, Hootchuś się znalazł!

Dziewczynki wpadły do mego pokoju około siódmej rano w piżamach, z mopsem na rękach. Lola trzymała go za przednie łapy, Mania za tylne.

– Zobacz – potrząsały psem – sama zobacz!

Już miałam opowiedzieć im całą historię, ale w porę powściągnęłam język. Mania natychmiast roztrąbiłaby wszystko pośród pracownic księgarni. Ekspedientki, pisząc z zachwytem, zaczęłyby biegać tam i z powrotem po kręconych schodach za ścianą. Mało, że cały dzień pracy można będzie spisać na straty; w dodatku wcale nie wiadomo, jak Tatiana Borisowna zareaguje na to, że jej tajemnica stała się powszechnie znana. Trudno też przewidzieć, czy taki obrót spraw spodoba się Lenie Karielinej. Ona sama przecież, kupiwszy księgarnię, nie wspomniała nikomu ani słowem o ukrytym przejściu, nawet mnie, mimo że jesteśmy bliskimi przyjaciółkami.

Choć jeszcze niezupełnie przytomna po gwałtownym przebudzeniu, zdołałam jakoś wszystko to sobie uświadomić, dlatego też usiadłszy na posłaniu, ze starannie udawanym zdumieniem wykrzyknęłam:

– O Boże, co za szczęście!

– Spójrz – cieszyły się dziewczynki, rzucając mi Hootcha na koc – wcale nie schudł! Gdzie się ten wstręciuch chował?

Dzień toczył się zwykłym trybem. Około pierwszej zadzwoniłam do antykwariatu i zapytałam Wikę:

– Nie pamięta pani przypadkiem, jak się nazywa były mąż Kseni Szmielowej i gdzie mieszka?

– Pamiętam, byliśmy u nich parę razy z bratem, a oni u nas. Na imię ma Walery, a po ojcu... zaraz... Siergiejewicz, Michajłowicz... nie, Konstantinowicz! Tak, Walery Konstantinowicz Ałtufijew, ponury, nadęty facet.

– Takie na pani zrobił wrażenie?

Wiktoria zmieszkała się.

– No cóż, jesteśmy młodzi, lubimy się powyglupiać, pożartować. Raz, nie pamiętam już, z jakiej okazji, byliśmy u Kseni, zaprosiła wtedy sporo gości, może z piętnaście osób, no i zaczęliśmy rozmawiać o imionach i nazwiskach.

Jakiś rozbawiony młody człowiek, dowiedziawszy się, że Walery nosi nazwisko Ałtufjew, rzucił ze śmiechem:

– To pewnie na cześć Szosy Ałtufjewskiej! Może twój dziadek ją budował?

Kogo innego ubawiłby ten żarcik, ale Walery nagle się zerwał, teatralnym gestem otworzył drzwi i wyniośle oświadczył:

– Proszę natychmiast opuścić ten dom. Nikomu nie wolno robić sobie kpin z nazwiska arystokratycznej rodziny Ałtufjewów!

Goście po prostu zamarli ze zdumienia na widok tak gwałtownej reakcji.

– Jeszcze adres, adres i telefon – przypomniałam niecierpliwie.

– Aha, już. Solanka, to dobrze pamiętam. Taki ogromny szary dom, na dole jest sklep z materiałami, ma neon „Tkaniny”, numeru mieszkania zapomniałam, ale telefon mogę podać.

Ręce aż mi drżały z podniecenia, gdy notowałam kolejne cyfry i słuchałam wskazówek Wiki:

– Tylko niech pani długo nie odkłada słuchawki, proszę przeczekać jakichś dwadzieścia, trzydzieści dzwonek. Na pewno ktoś się zgłosi.

– A jeżeli nikogo nie będzie w domu?

– Walery jest malarzem – powiedziała Wika. – W jednym pokoju urządził sobie pracownię.

Po tej rozmowie chciałam wybrać następny numer, ale nagle przeszył mnie ostry ból z tyłu, poniżej pasa. Wrogowi takiego nie życzę. W oczach mi pociemniało, zgięłam się wpół, po czym padłam twarzą na kanapę, obok telefonu komórkowego. Bojąc się głębiej odetchnąć, wycisnęłam numer.

– Pogotowie, dwunastka, słucham.

– Błagam, pomóżcie, ból w plecach, umieram.

– Adres?

– Księgarnia przy Fiedosiejewa.

– Nazwisko chorego?

– Daria Iwanowna Wasiljewa, kierowniczką.

– Kto dzwoni?

– Ja sama, pośpieszcie się, zaraz umrę!

– Proszę czekać – obojętnie rzuciła w słuchawkę dyspozytorka i rozłączyła się.

Upływały minuty. Do gabinetu nikt nie zaglądał – albo akurat nie ma do mnie żadnych spraw, albo Ała, jak zwykle, radzi sobie ze wszystkim sama. Marusia i Lola są w szkole, Kicia i Arkaszka spacerują po Pitrze, Aleksander Michajłowicz wypoczywa w Tajlandii. Nikomu z nich przez myśl nie przejdzie, jak ja w tej chwili potwornie, niesamowicie, przeraźliwie cierpię...

Ból wręcał mi się w plecy niczym korkociąg, jednocześnie czułam mdłości i skurcze żołądka, cała byłam zlane potem, nogi i ręce mi się trzęsły, a pogotowie wciąż nie przyjeżdżało.

W pewnej chwili zdołałam wziąć głęboki oddech. Ból w plecach ustał, przestało mnie mdlić i zapadłam w jakąś błogą nirwanę. Boże, jak dobrze jest, kiedy nic nie boli, co za szczęście być zdrowym, choć ta prosta prawda objawia się człowiekowi dopiero wtedy, gdy naprawdę zaniemoże.

Najpierw usiadłam, potem wstałam. Korkociąg zniknął, pot wysechł, tylko nogi jeszcze lekko mi drżały. Ciekawe, co to było? Zresztą nieważne, nie czas teraz zaprzętać sobie głowę głupstwami, cokolwiek mnie dopadło, minęło bez śladu. Aha, muszę anulować wezwanie, jestem zdyscyplinowaną obywatelką i jeśli pomoc lekarska już mi niepotrzebna, powinnam o tym zawiadomić dyspozytorkę. Lepiej niech skieruje karetkę do kogoś, kto naprawdę może umrzeć, jeśli ekipa pogotowia w porę nie udzieli mu pomocy.

– Pogotowie, dziewczątka.

– Przepraszam, chciałam odwołać wezwanie do księgarni przy Fiedosiejewa.

– Co się stało?

– Karetka nie przyjeżdżała bardzo długo, nie jest już potrzebna, chora nie wymaga pomocy lekarskiej.

– Daria Iwanowna Wasiljewa nie wymaga pomocy lekarskiej? – upewniła się dyspozytorka..

– Tak – potwierdziłam. – Karetka nie jest już potrzebna.

– Dobrze. Zrobię, co należy – zapewniła dziewczyna.

Położyłam się na kanapie i zamknęłam oczy. Nic mnie nie bolało, ale w całym ciele czułam niewiarygodną słabość, byłam kompletnie rozbita. Poleżę sobie trochę, może mi przejdzie, ale nie – zmęczenie przerodziło się w jakąś kamienną ociążałość, skrzyżowałam ręce na piersi, wyciągnęłam się na wznak i... usnęłam. Skroś sen, niby przez mgłę, słyszałam jakieś szuranie i zgrzyty. Potem czyjeś silne, szorstkie ręce chwyciły mnie za nogi, przywiązano mi chyba coś do palca... Usiłując się obudzić, zamruczałam, usiadłam i usłyszałam okrzyk:

– ...co, do cholery?

Koło kanapy stał niechlujnie ogolony mężczyzna w krótkim, brudnym, niegdyś białym kitlu. W rękach trzymał bandaż.

– Co jest, do... – powtórzył. – Ty żyjesz?

– Jasna sprawa – potwierdziłam i nagle zauważyłam, że na dużym palcu mojej prawej nogi dynda ceratowa przywieszka.

Spojrzałam na brązowy prostokąt, zdumiona odczytałam napis zrobiony fioletowym flamastrem i zupełnie ogłupiała spytałam:

– Co to?

– A, przyczepia się takie wszystkim umarłakom – poinformował mnie sanitariusz. – Zwłoki nie mogą mówić. No to i tobie przywiązałem „Daria Iwanowna Wasiljewa”. Ale jakoś nie kapuję – ty żyjesz?

– Chcesz, to cię ugryzę? Od razu się przekonasz, że nie masz przed sobą trupa – rozzłościłam się. – Co się w ogóle dzieje? Skąd się tu wzięłeś?

– Przewóz zwłok – wyjaśnił facet prostolinijnie. – Był telefon z pogotowia, powiedzieli: na Fiedosiejewa, w księgarni, znajdują się zwłoki kierowniczkę, Darii Iwanowny Wasiljewej.

– Co?!

– A to – odciął się sanitariusz – że ponieważ to miejsce publiczne, a nie prywatne mieszkanie, przyjechaliśmy od razu, w te pędy.

Otwierałam tylko i zamykałam usta, niezdolna wykrztusić słowa. Zupełnie nie rozumiałam, co się stało. Nim zdołałam jako tako zebrać myśli, rozległy się krzyki i do gabinetu wpadła gromadka zaczerwienionych, podnieconych ekspedientek. Na ich czele

ujrzałam – jakżeby inaczej – rozsierdzoną Swietę. Na mój widok dziewczyna stanęła jak wryta, po czym zaczęła wrzeszczeć piskliwie:

– A-a-a, idioci, sukinsyny, bydlaki! Dziewczyny, łać ich!

Szura i Lila błyskawicznie wczepiły się w dwóch dość mizernej postury chłopaków, którzy weszli za nimi do mego gabinetu. Młodzi ludzie trzymali coś, co przypominało jakby gigantyczną mydelniczkę z pomarańczowego plastiku. Kiedy rozwścieczone dziewczyny zaatakowały ich ostrymi paznokciami, ci upuścili przedmiot na podłogę, a ja nagle pojąłem, że to takie dziwaczne mary.

– Skurwiele! – syczała Swieta, celując ostrym noskiem pantofelka w jednego z chłopaków.

– Palanty! – wtórowała jej Lila, zajadle szarpiąc drugiego za włosy i wyrywając całe ich pęczki.

– Poczekajcie, zaraz zadzwonię po męża, to wam się odechce żartów – zagroziła Szura, częstując szturchańcem tego, który stał nade mną. – Nie zazdroszczę wam tego spotkania. Mój chłop raz-dwa sprawi wszystkim betonowe buty i spuści was na dno rzeki.

– Sienia! – jęknął pierwszy chłopak, wyrywając się Swiecie. – Wytłumacz tym gówniarom!

– Coś ty powiedział? – Szura puściła Sienie, którego szarpali, i rzuciła się do tamtego. – My jesteśmy gówniary? A ty... gówniarz!

– A-a-ach! – ryknął tylko wkurzony chłopak.

I zaczęło się.

Nigdy dotąd nie byłam świadkiem tak zacieklej, rzecz można, masowej bójki. Nie mam żadnego doświadczenia w walce z, dlatego też siedziałam skulona, z podciągniętymi nogami, na kanapie i przerażona obserwowałam rozgrywaną się przed moimi oczyma scenę. Sześć ciał utworzyło jeden wielki kłęb. Z rzadka wydobywały się z niego pojedyncze przekleństwa i piski. Na sekundę zamajaczyła w drzwiach twarz kierowniczkii magazynu Lidoczki, która ujrawszy, co się dzieje, błyskawicznie zniknęła. Po jakichś pięciu minutach zaczęłam się nie na żarty bać. Dziewczyny nie zamierzały dać za wygraną, chłopaków także ogarnął bitewny zapal.

– Natychmiast przestańcie! – pisałam z kanapy.

Rozumiecie sami, że mój apel przeszedł bez echa. Trzeba było wezwać milicję. Sięgałam właśnie po telefon, gdy drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem i pojawili się w nich dwaj funkcjonariusze.

– No już, dość tego, koniec zabawy!

Zdumiało mnie, że ochrona tak dobrze pracuje. Wystarczy pomyśleć o wezwaniu, a oni już są na miejscu. Coś fantastycznego!

Kłęb walczących rozpadł się na pojedyncze części składowe. Przyjrzałam się uczestnikom bitwy. Swieta miała podartą bluzkę i rajstopy, Lila potarganą fryzurę, Szuroczka



straciła naszyjnik z pereł. Białe kuleczki rozsypały się po całym pokoju. Chłopcy wydawali się bardziej poszkodowani. Sienia miał podbite oko i skaleczoną wargę, a dwaj pozostali sanitariusze – podrapane twarze i powyrywane kępki włosów. Ubranie wszystkich trzech było w strzępach, jakby stoczyli walkę z lwami, a nie z trzema kruchymi dziewczątkami.

– Wszyscy milczeć! – ryknął jeden z gliniarzy.

Spojrzałam na niego i westchnęłam ciężko. Na wezwanie znowu przybyli Dmitrij Jurjewicz Sołowjow i Paweł.

– No już, szybko – rzucił Dmitrij Jurjewicz, wskazując na jednego z chłopaków. – Imię, nazwisko?...

– Andriej Mosin.

– Dlaczego wdałeś się w bójkę?

– Te gówniary...

– Sam jesteś gówniarz! – odcięły się dziewczyny.

– Milczeć! – uspokoił je Sołowjow. – Mów dalej.

– Te gówniary...

– Sam jesteś gówniarz!

– Te gówniary...

– Kochany Dmitriju Jurjewiczu – zaproponowałam nieśmiało – może niech lepiej one powiedzą, co zaszło, bo Andriej się zaciał na gówniarach jak zdarta płyta.

– Aa, powitać, Dario Iwanowno – rzucił zjadliwie gliniarz. – Mam już potąd twojego obiektu! – Przeciągnął kantem dłoni po szyi. – Co noc jakaś rozróżba! To duch straszy, to facet topi się w akwarium. A teraz jeszcze w biały dzień urządzają sobie bitwy! Wstyd, doprawdy, niby kulturalny, przyzwoity lokal, księgarnia.

– Jak pan się dowiedział o bójce?

– Lidia, kierowniczka magazynu, nas wezwała. Co się znowu stało?

– To ich się trzymają idiotyczne żarty! – poskarżyła się oburzona Szura.

– Mów!

Szura zaczęła opowiadać. Najpierw w księgarni pojawił się Sienia i zapytał Swiętę:

– Gdzie ta wasza Daria Iwanowna Wasiljewa?

Widok mężczyzny w białym kitlu nie zdziwił dziewczyny. Po sklepie wiecznie snują się jacyś kontrolerzy, może ten przyszedł z sanepidu, więc odpowiedziała zgodnie z prawdą:

– W gabinecie, na kanapie.

– Skąd wiedziałaś, że leżę na kanapie? – zdumiałam się.

– Zaglądałam do pani jakieś dziesięć minut wcześniej, zobaczyłam, że pani śpi, i pomyślałam, że migrena panią dopadła – wyjaśniła Swietoczka.

Siemion skierował się na górę. Za nim pojawili się w księgarni jeszcze dwaj faceci z dziwnymi noszami.

– Ej, ej, dokąd to? – usiłowała ich zatrzymać dziewczyna.

– Przyjechaliśmy po zwłoki – oznajmił bez ogródek Andriej.

– Czyje? – spytała oszołomiona Lila.

– Darii Iwanowny Wasiljewej.

– To niemożliwe – zaprotestowała Szura. – Przecież dopiero to biegała żywiuteńka po księgarni!

– Tak to właśnie bywa – filozoficznie podsumował sprawę Andriej. – Człowiek jest, potem fik, i już go nie ma!

Przerażone ekspedientki razem z sanitariuszami wbiegły do mojego gabinetu i zobaczyły mnie siedzącą na kanapie.

– Ładne mi żarty! – wściekała się Szura. – Zaraz się poskarżę mężowi.

– A pani mąż to kto? – zainteresował się Paweł.

– Żenia Beton – zaspokoila jego ciekawość Szurka.

Gliniarze umilkli na chwilę, po czym Sołowjow odezwał się dyplomatycznie:

– To znana osobistość, no dobrze, skoro nieporozumienie zostało wyjaśnione, myślę, że najlepiej będzie się rozejść.

– Nie aresztuje ich pan? – spytała Lila.

– Za co?

– Za idiotyczne dowcipy! – ze złością rzuciła Szura.

– Dostaliśmy zlecenie – bronił się Sienia. – Niech pani tylko pomyśli, jak ja się przestraszyłem, kiedy ona nagle usiadła.

Paweł zerknął na przywieszkę założoną na duży palec u mojej nagi i burknął:

– Ciekawe, kto wydał to zlecenie?

– O, proszę, tu wszystko jest. – Sienia podsunął gliniarzowi jakiś papierek.

– Zaraz to sprawdzimy – ostrzegł go Sołowjow i zaczął gdzieś dzwonić.

– No i co? – spytałam, gdy skończył rozmowę. – O co chodzi?

– Pogotowie zawiadomiło – wyjaśnił Sołowjow – że było wezwanie do księgarni przy Fiedosiejewa. Następnie zatelefonowała jakaś kobieta i poinformowała, że pomoc nie jest już potrzebna, za późno, a ponieważ sprawa dotyczyła miejsca publicznego, dyspozytorka zamówiła samochód do przewozu zwłok. Jest nowa, dopiero co została przyjęta do pracy, no i popełniła błąd. Więc jak, było wezwanie?

– Było – potwierdziłam oszołomiona.

– Kto powiadomił o śmierci?

– Ja.

– Dlaczego?!

– To znaczy nie ja, a właściwie ja, ale źle mnie zrozumiano. Powiedziałam po prostu, że karetka długo nie przyjeżdża, spóźnia się, chora już nie potrzebuje pomocy lekarskiej... Miałam na myśli to, że poczuła się lepiej, wyzdrowiała, a tamci uznali, że zmarła. Co za koszmar! I jeszcze przysłali samochód do przewozu zwłok!

– Koszmar polega na czym innym – rzekł z westchnieniem Sołowjow. – Na tym, że u pani wiecznie dzieją się jakieś cuda. Jeszcze się pani kiedyś doczeka, że otrzymamy sygnał, a nie zjawimy się na wezwanie.

– Nie macie prawa! – wybuchnęła Szura. – Spróbujcie tylko się nie pokazać, to zobaczycie!

– Idziemy, Pawłucha – zakomenderował Dmitrij Jurjewicz.

– My też, my też! – zakrzyknęli sanitariusze, chwycili nosze i rzucili się do schodów za milicjantami.

Ekspedientki również opuściły gabinet. Szura jeszcze odwróciła się w drzwiach i powiedziała:

– Dario Iwanowno, niech pani chociaż zdejmie z nogi tę przywieszkę, bo strach na to patrzeć!

Zdarłam z palca kawałek bandaża, na którym dyndała trupia wizytówka. Fakt, dlaczego właśnie mnie stale zdarzają się takie przygody?

## Rozdział 31

Walery rzeczywiście długo nie podchodził do telefonu. Liczyłam przeciągłe dzwonki: dziesięć, piętnaście, dwadzieścia.

– Halo – rozległo się wreszcie w słuchawce.

– Dzień dobry! – wykrzyknęłam radośnie. – Czy pan Ałufjew?

– Tak, słucham.

– Dowiedziałam się, że maluje pan portrety na zamówienie.

– Portretów nie.

– Nie? W takim razie co?

– Pejzaże.

– Świetnie, akurat przydałby mi się jeden do salonu.

– Obraz kosztuje tysiąc dolarów – poinformował mnie skwapliwie artysta.

– O, pieniądze nie grają roli, byleby obraz był dobry.

– Interesuje panią jakiś konkretny pejzaż czy chciałaby pani obejrzyć gotowe prace? – podjął pertraktacje malarz.

– Mogę zaraz przyjechać, proszę mi podać adres...

Mniej więcej po półgodzinie, wymalowana jak Indianin wstępujący na wojenną ścieżkę, jechałam ogromną windą, wyłożoną mahoniową boazerią. Wyobraźcie sobie, że było w niej nawet duże lustro i obita pluszem ławeczka. Przedtem widziałam podobną windę tylko we Francji, w hotelu „Negresco”, ale tamtejsza administracja usilnie stwarza pozory, że wciąż trwa dziewiętnasty wiek; w pokojach nie ma telewizorów ani lodówek, a pokojówkę wzywa się, pociągając za jedwabny sznur. Mimo braku cywilizacyjnych udogodnień stali bywalcy zamawiają tu apartamenty na całe miesiące naprzód, bo tylu jest chętnych.

Zabytkowa winda dowiozła mnie pod zwykłe, obite blachą drzwi, które błyskawicznie się otworzyły. W progu stał dość tęgi blondyn o twarzy chorej owcy.

– Pani w sprawie pejzażu? – zapytał, nawet się nie witając.

Kiwnęłam głową.

– Proszę wejść – zaprosił gospodarz.

W przedpokoju podał mi parę rozlatujących się kapci. Musiałam zdjąć botki od Gucciego i wsunąć stopy w przepocone filce. Jak tylko wrócę do księgarni, wyrzucę rajstopy.

– Tędy – wskazał mi drogę artysta. – Korytarzem w lewo.

Posłusznie postępowałam za nim. W końcu znaleźliśmy się w przestronnym pokoju, gdzie zrobiono wszystko, by dochodziło jak najwięcej światła dziennego. W czystych, starannie umytych oknach nie było rolet ani zasłon, a sztalugi ustawiono tak, by padały na nie słoneczne promienie. Był dzisiaj piękny dzień – jasny, bezchmurny, tyle że zimny.

– Tutaj są gotowe prace – powiedział Walery i zaczął kolejno pokazywać płótna.

Mój pierwszy mąż, Kostik, był malarzem, stąd też wiem, jakie obyczaje panują w środowisku artystów, i dobrze znam określenia, jakich należy używać, chwając obraz. Niestandardowa kompozycja, nasycone plany, czyste, żywe kolory, wyrazisty nastrój, ręka mistrza – wszystkie te wyświechtane frazesy natychmiast ożyły w mojej pamięci. Już się szykowałam, by zacząć wypowiadać je na głos, gdy Walery odwrócił w moją stronę pierwszy pejzaż, a ja natychmiast utraciłam dar mowy.

Obraz wywierał dziwne wrażenie. Przedstawiał spokojny, świerkowy las. Trochę mroczny, ale najzupełniej zwyczajny. Wystarczyło jednak popatrzeć na ciemnozieloną gęstwinę trochę dłużej, by w serce powoli zaczął się wsączać lęk. Drzewa były krzywe, dziwacznie pokręcone, rosły bezładnie, wygięte pod nieprawdopodobnymi kątami. Obok pieńka, również nienaturalnie sterczącego i na w pół spalonego, siedział wyliniąły, najwyraźniej bardzo chory, dogorywający zajac. Sierść zwierzęcia była zbita w sterczące kępki, długie uszy zwisały żałośnie, w oczach gasło życie. W górze, na częściowo ogołoconej z liści brzozie, gnieździło się kilka nastroszonych kruków, jakby zmarzniętych i nieszczęśliwych. Ptaki z nadzieją spoglądały na żegnającego się z tym światem zajaczką. Wszyscy wiedzą, że kruki są wielkimi amatorami padliny; te na obrazie najwyraźniej czekały, kiedy na polance zostanie wreszcie stygnące, nieruchome ciało. W obrazie dominowały odpychające, fioletowo-szaro-żółte barwy.

Malarz uchwycił tę krótką chwilę dnia, kiedy słońce, zapadające już za horyzont, ostatkiem sił stara się jeszcze rzucić nieco światła na mroczniejący krajobraz. Pejzaż namalował niewątpliwie utalentowany artysta. Płótno najwyraźniej nosiło piętno, jak to określają krytycy, osobowości autora. Bywa tak, że czyta się książkę czy ogląda obraz, ale nic człowieka nie porusza. Słowom i zdaniom niczego nie można zarzucić, a jednak przy lekturze ziewamy spazmatycznie, barwy są pięknie dobrane, tyle że płótno przypomina nam widokówkę... Kiedy indziej po prostu człowiek, stojąc przed jakimś obrazem, niemiej z zachwytem, choć to niby nie żadne arcydzieło... Jak to się dzieje? Nie wiem, ale pejzaż, na który teraz patrzyłam, namalował, jako się i rzekło, utalentowany artysta, tylko że był to talent jakby ze znakiem minus. Nie budził w duszy jasnych, czystych uczuć, lecz przeciwnie – smutek i lęk. Za nic nie chciałabym mieć tego obrazu w domu.

Trzeba przyznać, że Walery był nie tylko człowiekiem uzdolnionym, ale i obdarzonym dużą wrażliwością. Odstawił pejzaż na bok i powiedział z lekkim uśmiechem:

– Widzę, że ta praca nie przypadła pani do gustu. Wobec tego pokażę pani coś innego.

Uśmiech – rzecz dziwna – sprawił, że twarz mężczyzny wydała mi się nieprzyjemna, surowa, nawet okrutna.

Otrząsnęłam się jednak z tego wrażenia i usiłowałam robić dobrą minę, w ogóle zachowywać się jak najuprzejmiej – słowem, sam miód. Nie wychodziło mi to jednak najlepiej, gdyż na widok nowego pejzażu, który pokazał mi artysta, wzdrygnęłam się wewnętrznie. Tym razem ujrzałam pole, zryte jamami. Dreszcz przebiegł mi po plecach. „Jakby ktoś nadepnął na mój grób” – tak to uczucie określała babcia.

– Ten też się pani nie podoba – zauważył Walery.

Kiedy jednak ustawił przede mną trzeci obraz, wykrzyknęłam radośnie:

– Biorę go!

W istocie nie było to nic nadzwyczajnego. Ciemny, pokryty rzesą staw, obrośnięty łopianami – był w tym malowidle jakiś smutek, ale tylko smutek, nic więcej.

– Proszę bardzo.

– Czy jest sygnowany?

– Tak, tu, w rogu, widać podpis. Ałtufjew.

– Och – klasnęłam w ręce – czyżby z tych?...

– Co pani ma na myśli?

– Z tych Ałtufjewów? Czy pański pradziadek miał na imię Boris? Padł ofiarą represji w latach dwudziestych?

Walery przytaknął ruchem głowy.

– Owszem.

– A prababka pochodziła z rodziny kupieckiej, Daria Iwanowna Wasiljewa?

– I co z tego?

– Nic, pytam tak, po prostu... Chodzi o to, że na jej cześć dano mi... Zresztą niech pan sam zobaczy.

Wyjęłam dowód osobisty. Malarz rzucił na niego przelotne spojrzenie.

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza. Zaczęłam łąać w żywe oczy:

– Moja prababka była pokojówką Darii Iwanowny, przeżyła razem z nią wiele trudnych chwil i bardzo rozpaczała, kiedy jej pani tragicznie zginęła. Moja babka bywała u Tatiany Borisowny. Wie pan, tam, w domu, jest tajemne przejście. A słyszał pan o skarbie? No i niedawno zamordowano w księgarni Ksenię Szmielową... Tatiana Borisowna opowiedziała dziewczynie o sekretnym przejściu, ta zeszła kręconymi schodkami na sam dół, a tam już czekał na nią zabójca...

– Co za bzdury pani wygaduje! – przerwał mi ostro Walery, ale na czoło wystąpił mu kroplisty pot, co bardzo mnie ucieszyło.

A więc strzał okazał się celny.

– A propos, czy to prawda, że Ksenia to pańska była żona?

– Proszę natychmiast wyjść!

– Co takiego?

– Precz stąd! – ryknął Walery.

– Jak pan śmie...

Nie zdążyłam dokończyć, gdyż gospodarz silną, żelazną ręką złapał mnie za ramię i wypchnął z mieszkania. Próbowałam chwycić kurtkę, ale ten grubianin chciał wyrzucić mnie na mróz bez okrycia. Zaczęłam uporczywie dzwonić do drzwi. W środku została nie tylko kurtka, na oparciu krzesła wisiała jeszcze moja torebka ze wszystkimi dokumentami, kluczami i pieniędzmi.

Naciskałam dzwonek ze wszystkich sił, ale drzwi się nie otwierały. Dobra, niech go diabli wezmą, pojedę tak, jak stoję, grunt, że w schowku pod zderzakiem mam zapasowe kluczyki.

Wyszłam na ulicę i omal nie upadłam. Z góry, z okna, wyleciała moja kurtka, lądując na chodniku. Nie zdążyłam jej podnieść, gdy boleśnie uderzyła mnie w głowę torebka, która się otworzyła, a jej zawartość rozsypała się wokół. Szminka, grzebień, chustka do nosa, tic-taki, notes z telefonami, długopis, wizytownik i dziesięć studolarowych banknotów... Kilku przechodniów zaczęło mi pomagać w zbieraniu porzucanych drobiazgów.

W rezultacie odzyskałam grzebień, chustkę do nosa, wizytownik i siedem studolarówek. Wspaniała nowa szminka firmy Bourgeois, tani, groszowy długopis i trzysta zielonych znalazły nowych właścicieli. Z początku byłam zła, ale potem doszłam do wniosku, że nie warto się przejmować. Kupię sobie nową pomadkę, prawdę mówiąc, odcień tamtej, skradzionej, nie bardzo mi się podobał, długopisem za półtora rubla nie ma co sobie zaprzętać głowy, a forsa... Cóż, uznajmy, że Pan Bóg w swej łaskawości postanowił odwrócić ode mnie jakieś nieszczęście i policzył mi za to jedynie marnych trzysta baksów. Oczywiście, dobrze jest mieć pieniądze, ale przecież ani zdrowia, ani pomyślności, ani miłości, ani spokoju ducha nie można za nie kupić.

Wieczorem, zupełnie wykończona, leżałam na kanapie. Sen nie przychodził; zwykle przeganiają go różne myśli, dziś jednak miałam taką pustkę w głowie, że ta przypominała raczej balon na sznurku. Przewróciłam się parę razy z boku na bok, potem zachciało mi się pić, stwierdziłam, że w gabinecie stoi tylko pusta butelka po wodzie mineralnej, więc postanowiłam zejść do kuchenki.

Szczerze mówiąc, nie miałam wielkiej ochoty spacerować nocą po sklepie, ale pragnienie było strasznie dokuczliwe. Wziąwszy ze sobą Hootchusia, zeszałam na dół, zapaliłam światło, wypłam chciwie dwie szklanki wody i zamierzałam wrócić do gabinetu.

W sali sprzedaży panowała jakaś przejmująca cisza. Dziwnie się poczułam. Podobne wrażenie ogarnia człowieka nocą w pustej cerkwi – to nawet nie lęk, lecz groza. Wie się

przecież, że nikogo więcej nie ma w świątyni, ale za plecami wyczuwa się czyjąś obecność. Teraz też wydawało mi się, że Ktoś dyszy mi w kark.

Żeby odzyskać spokój, szybko się odwróciłam, mając nadzieję ujrzeć za sobą jedynie pustą salę i stelaże, ale mój wzrok padł na szarawą postać, mającą koło akwarium. A więc duch znowu nawiedził księgarnię. Zanim zdążyłam pomyśleć, co dalej robić, zjawa podniosła wychudłą rękę, po czym wyciągnęła ją przed siebie, a ja zagapiłam się na kawał żelastwa, sterczący z rękawa.

Zupełnie nie mogłam zrozumieć, co się dzieje z dłońmi widma. Parę dni wcześniej widziałam nagie kości, ozdobione pierścieniami. Powiedzcie: jeżeli zjawa jest istotą ludzką, która udaje tylko ducha czy upiora, jak może mieć ręce szkieletu? Nie znajdując odpowiedzi na to pytanie, uznałam, że i tak nic nie wymyślę, ale dzisiaj duch mnie znowu zaskoczył.

Kiedyś, w początkach dziewiętnastego stulecia, żołnierze, którzy stracili w walce górną kończynę, zastępowali ją przerażającym metalowym hakiem, gdyż ludzkość nie wymyśliła jeszcze wtedy przyzwoitych protez. Być może mój nocny gość także nie ma prawej ręki... Nagle moje rozważania przerwał dość donośny odgłos, jakby suchy trzask, z żelastwa w rękawie coś wyskoczyło, przeleciało ze świstem nad moim prawym uchem i utkwilo w *Encyklopedii życia rodzinnego*. Gruby tom został przebity na wskroś przedmiotem, który przypominał długi gwóźdź z dużą, okrągłą główką. I jeszcze raz to samo! Identyczna strzała sterczała teraz z drzwi do piwnicy.

Z krzykiem rzuciłam się do ucieczki. Widmo pędziło za mną, strzelając z nieznanej, lecz straszliwej broni. Gwoździe śmigały wokół, bzycząc niczym muchy, jeden drasnął mnie nawet w ucho. Po szyi spłynęła mi gorąca strużka.

W pierwszym odruchu chciałam uciec do gabinetu i tam się zabarykadować, ale potem przyszedł mi do głowy inny pomysł. W pokoju obok sypia dziewczynki i psy. Dałam więc nura pod ladę działu papierniczego, a za mną wpadł tam Hootchuś. Chwyciłam mopsa i przytuliłam do piersi. W tej samej chwili duch pochylił się i dopiero wtedy zrozumiałam, jak głupio postąpiłam. Nie miałam drogi odwrotu, zablokowana w ciasnej przestrzeni.

Zjawa zaśmiała się, czy może zakaszłała, wyciągnęła rękę z pistoletem, wycelowała, ja zamknęłam oczy, ale wtedy nagle Hootch, który wyrwał się z moich objęć, pomknął w stronę ducha, wlaź łąpkami na jego stopę i zaczął machać tłustym ogonkiem, jakby pytając: „To przecież ja, Hootchuś, naprawdę chcesz nas zabić?”.

– Uciekaj, kochany – cichym, znajomym do bólu głosem przemówiło widmo. – Uciekaj, maleńki.

Hootch wciąż drapał pazurkami nogę mordercy.

– Kim jesteś? – szepnęłam i przypomniawszy sobie wskazówki autorki-uzdrowicielki, dodałam: – Czego chcesz?

– Twojej śmierci – odparł duch i... runął na podłogę.



Siedziałam pod ladą, nie czując rąk ani nóg, kompletnie zdrętwiała. Hootchuś biegał wzdłuż leżącej zjawy i szarpał łapkami tkaninę całunu.

– Dario Iwanowno, żyje pani? – usłyszałam dźwięczny głos.

– Kto to?

– To ja, Szura.

Połowica Żeńki Betona zajrzała pod ladę.

– Szuroczko – szepnęłam – to straszdyło najpierw chciało mnie zabić, a potem upadło...

– To ja walnęłam je w łeb *Historią cywilizacji* – wyjaśniła Szura.

Nagle dotarło do mnie, co się dzieje, i spytałam zdumiona:

– Skąd się tu wzięłaś o tej porze?

– Zaczaiłam się w księgarni.

– Po co?

– Chciałam przyłapać tego bydlaka, który niszczy pocztówki. Siedziałam za automatem, czekałam, później na chwilę przysnęłam. Nagle otwieram oczy, a ten stwór goni panią i strzela, koszmar! Przestraszyłam się, ale widzę, że pani daje nura pod ladę. No, myślę, nie będę się spokojnie przyglądać, jak robi z pani gulasz. Chwycałam pierwszy z brzegu gruby tom i buch go w łeb. Chyba jeszcze poprawię, żeby się za wcześnie nie ocknął.

Ale ja już biegłam do przycisku alarmowego. Następných dziesięć minut Szura trzymała straż przy leżącym ciele, nie wypuszczając z rąk *Historii cywilizacji*, ja tuliłam do siebie wrywającego się Hootcha. Mops nie wiadomo dlaczego upodobał sobie widmo.

Wreszcie drzwi się otworzyły i weszli Dmitrij Jurjewicz Sołowjow i Paweł. Nie zdziwiłam się ani trochę na ich widok; widocznie tak mają: przyjeżdżać do księgarni.

– No – zapytał Paweł – co tym razem?

– Złapałyśmy ducha, to on – powiedziała Szura.

– Biegł i strzelał – dodałam, puszczając Hootcha. – O, niech pan zobaczy...

– Nie dotykać – ostrzegł Dmitrij Jurjewicz. – Zobacz no, Paweł, to jakby skreper...

– Co to takiego? – zainteresowałam się.

– No – wyjaśnił Sołowjow – mówiąc prościej, pistolet, którym budowlańcy wstrzeliwują w ściany stalowe kołki.

– Więc to nie prawdziwa broń?

Paweł prychnął.

– Niech pani sobie wyobrazi, co się stanie, jeżeli ktoś pani wbije w ciało dziewięciocentymetrowy gwóźdź.

– Dość tego gadania – przywołał go do porządku Sołowjow. – Dawaj kajdanki, zawieziemy go na komisariat. Pani też będzie musiała pojechać.

– Mamuś, co się dzieje? – krzyknęła z góry Mania.

Potem rozległ się tupot – moja córka na złamanie karku zbiegała po schodach.

– Cześć, Szura!

– Złapałyśmy zjawę – obwieściła z dumą małżonka Betona. – Ech, szkoda, że Żenki tu nie ma, musiał wyjechać do Mińska w interesach.

– Na pewno by ci nie pozwolił urządzić tu zasadzki – wtrąciłam.

– Mamo! – wrzasnęła Mania, dotykając palcem leżącego na podłodze ciała. – Mamusiu, to nie zjawa, spójrz!

Odwróciłam głowę i poczułam, że nogi się pode mną uginają. Na biało-różowych, czysto wymytych terakotowych płytkach podłogi leżała, z nogami wsuniętymi pod ladę i szeroko rozrzuconymi rękami, okutana w jakieś stare, zetlałe prześcieradło... Ałloczka, Ała, miła, sympatyczna kobieta, moja zastępczyni i zarazem przyjaciółka. Przy jej głowie siedział Hootchuś i delikatnie lizał po twarzy swoją wielbicielek, która każdego ranka częstowała go delikatesowym serem.

## Rozdział 32

Nazajutrz rano, mimo iż w głowie mi huczało po wczorajszych pełnych napięcia przeżyciach, usiłowałam pełnić obowiązki kierowniczkki księgarni. Szura, naturalnie, roztrąbiła już wiadomość o tym, że Ałłoczka w przebraniu ducha gonila mnie w nocy po całej sali sprzedaży, uzbrojona w pistolet do wbijania kołków. Jeśli mam być szczerą, gdy dzisiaj rano, przed otwarciem księgarni, technik z dochodzeniówki, przeprowadzając oględziny miejsca zdarzenia, wyciągnął z drzwi do piwnicy piętnastocentymetrowej długości ostry stalowy bolec, zrobiło mi się słabo.

Francuzi mają znane na całym świecie określenie: *esprit d'escalier*, co oznacza mniej więcej spóźniony refleks. Na przykład, gdy coś się wydarza, a człowiek dopiero po paru godzinach uświadamia sobie, co się naprawdę stało. Ten mechanizm działa w moim wypadku bezbłędnie, nigdy jeszcze nie zawiódł. Wczoraj nie bardzo się przejęłam, kiedy Ałłoczka, która nie wiadomo dlaczego postanowiwszy mnie zabić, strzelała gwoździami. Myślałby kto, wielka rzecz, gwoźdź, tłumaczyłam sobie, to przecież nie kula. Ale dziś, zobaczywszy, jaki kawał stali mógł utkwic w mojej głupiej głowie, przeraziłam się tak, że omal nie zemdlalam, a technik kazał mi wypić jakieś ohydne, gorzkie krople na uspokojenie.

Słowem, kiedy przyszły ekspedientki, czułam się fatalnie. Fizycznie dlatego, że prawie całą noc nie spałam, najpierw uganiając się po księgarni, a potem siedząc na komisariacie, psychicznie zaś z tego powodu, że Ałłoczkę, moją kochaną Ałłę Siergiejewnę, aresztowano, przedstawiając jej zarzut o usiłowanie zabójstwa...

Ekspedientki, rozumiejąc, w jakim jestem stanie, zachowywały się bez zarzutu, pracowały, ani na chwilę nie opuszczając stanowisk, by zapalić papierosa czy napić się herbaty, uprzejmie obsługiwały klientów. Koło południa poczułam, że zaraz zasnę, i położyłam się na chwilę na kanapie.

– Dario Iwanowno – wsunęła głowę do gabinetu Swieta – jest tu taka sprawa... Ojej, nie, nic, lepiej zajrzę później.

– Mów – powiedziałam, siadając. – Co się jeszcze złego stało?

– Wszystko w porządku – uspokoiła mnie Swietka – po prostu przyszedł jakiś facet, który chciałby kupić większą ilość książek. Pięćdziesiąt egzemplarzy tytułu *Sto lat kryminalistyki*.

– Kto to wydał?

– EKSMO.

Położyłam się.

– Odeślij go do nich, przy prospekcie Miczurina mają magazyn, zaopatrują się tam drobni hurtownicy, dostanie rabat.

– Ale on chce kupić te książki u nas!

Znów usiadłam.

– Wy tłumaczyłaś mu, że w magazynie może je nabyć taniej?

– Tak.

– O Boże, przyślij tu tego durnia!

Świeta zniknęła. Wstałam i podeszłam do okna. Wciąż nie rozumiałam, dlaczego Ała chciała mnie zabić. Czy z powodu kierowniczego stoika? Za plecami usłyszałam pokasływanie. Odwróciłam się i w jednej chwili ogarnęła mnie wściekłość. W drzwiach stał Witka Riemizow. Tak, tak, zastępca Aleksandra Michajłowicza Diegtiarowa, obrzydliwy major, który ochrzcił mnie Niezawodnym Generatorem Kłopotów. Nagle cała moja złość gdzieś się ulotniła, pozostała tylko gorzycz. Witkę uważałam za swego dobrego przyjaciela, Ałoczkę za dobrą przyjaciółkę, tymczasem okazuje się, że Riemizow mnie nie znosi i ma za kompletną idiotkę, a moja zastępczyni chciała się ze mną rozprawić raz na zawsze. I za co to wszystko? Z trudem powstrzymując łzy, zapytałam szeptem:

– Czego pan sobie życzył

– No, Daszka, nie wściekaj się – zahuczał Witka.

Czując, jak w gardle buszuje mi jeź z postawionymi na sztorc rozpalonymi igłami, wymamrotałam:

– Nie mam czasu na pogawędki, panie Riemizow, zaraz tu przyjdzie klient, który pragnie dokonać hurtowego zakupu, żegnam, interes przede wszystkim.

– Ale, Daszuniu – nie ustępował Witka – to ja chcę kupić pięćdziesiąt egzemplarzy.

– Po co?

– Dziewiątego maja organizujemy spotkanie weteranów wojennych.

– Teraz mamy styczeń.

– To nic, książki poleżą.

Popatrzyłam na zaczerwienionego Witkę i nagle się rozbeczałam. Major dwoma susami pokonał odległość od drzwi do okna, objął mnie za ramiona i zaczął pocieszać jak dziecko:

– No, no, daj spokój, już po wszystkim.

– Tak, ale ty mnie nienawidzisz!

– Uwielbiam cię!

– Mierzysz kłopoty w daszkach!

– Kto ci powiedział?

– Są jeszcze życzliwi ludzie.

– To kłamstwo – z przekonaniem zapewnił mnie major. – Całe życie zazdrościłem Diegtiarowowi, że ma przy sobie taką kobitę jak ty!

– Łżesz!

– Jak Boga kocham.

Witka wyjął z kieszeni chusteczkę, otarł łzy z moich policzków, po czym nakazał:

– Dmuchnij! – i ścisnął mój nos przez chusteczkę.

Wyjęłam mu ją z rąk i poskarżyłam się:

– W nocy o mało nie zginęłam.

– Wiem.

– Dlaczego Ała chciała mnie zabić?

– Riumina?

– Tak.

– Nie domyślasz się?

– Cóż, pewnie dlatego, że zajęłam stołek, na który liczyła.

Witka pokręcił głową.

– Nie.

– A ty wiesz dlaczego?

– Tak.

Wbiłam w majora wyczekujące spojrzenie, ale on milczał.

– Wiesz co, Witienka, wybaczę ci wszystko, jeżeli opowiesz mi całą historię ze szczegółami.

Mój przyjaciel uśmiechnął się.

– Prawdę mówiąc, przyjechałem się z tobą pogodzić, myślałem, że się dasz przebłagać, jak usłyszysz o hurtowym zamówieniu.

– Nawet o tym nie myśl, chyba że dowiem się od ciebie całej prawdy o Riuminej!

Witka spojrział na zegarek.

– Szantażystka!

– Niech ci będzie.

– No dobrze, twoje na wierzchu. Przyjedź dziś wieczorem, o dziewiątej, do mnie do pracy.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo dla mnie samego jeszcze to i owo pozostaje niejasne – zagadkowo odparł Witka – ale do wieczora się wyjaśni.

Punktualnie o dwudziestej pierwszej zero-zero weszłam do gabinetu majora. Witka upiększał trochę rzeczywistość, nazywając gabinet „swoim”, znacznie bardziej na miejscu byłby tu zaimek „nasz”, gdyż niewielkie pomieszczenie zastawiono ciasno biurkami i krzesłami.

Ciekawe, jak ludzie mogą pracować, szturchając się łokciami? Pracownikom dużego żółtego gmachu na Pietrowce wiecznie wszystkiego brakuje – benzyny, materiałów piśmiennych, wyposażenia technicznego... A o ich zarobkach lepiej już w ogóle nie wspominać, bo łyżę się cisną do oczu. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego państwo tak skąpi środków na służby powołane w celu ochrony spokoju i bezpieczeństwa obywateli. Ale to pytanie retoryczne. Choćby się je zadawało tysiąc razy, i tak nic się od tego nie zmieni.

Zresztą na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych narzekają wszyscy. Zarówno ci, którzy znaleźli się w jego trybach bynajmniej nie na własne życzenie, to znaczy przestępcy, jak i ci, którzy zajmują się ich ściganiem i przesłuchiowaniem. I tu znów rodzą się problemy. Jeśli dobrze pamiętam tekst konstytucji, znajduje się tam zdanie tej mniej więcej treści: nikt nie może zostać uznany za winnego na innej podstawie niż wyrok sądu. A przecież ta zasada jest stale naruszana!

W areszcie butyryckim siedzą ludzie, których jedynie podejrzewa się o popełnienie przestępstwa. Dlaczego więc trzyma się po sto dwadzieścia osób w celach przeznaczonych dla czterdziestu i niemal morzy się je głodem?

Dla nikogo nie stanowi tajemnicą, że utrzymanie aresztanta spada dziś wyłącznie na barki rodziny. Nieszczęsne matki i żony dostarczają do aresztu, a później do więzień czy obozów dosłownie wszystko: żywność, ubranie, mydło, leki, a nawet materiały budowlane do remontu baraków. Na morale strażników więziennych spuśćmy zasłonę milczenia. Władze, którym podlegają wspomniane zakłady karne, nie lubią wypowiadać się na ten temat, ale wiadomo, że wśród funkcjonariuszy Butyrek kilka razy przeprowadzono surową czystkę, a niektórzy z nich znaleźli się na powrót w murach tego słynnego więzienia, lecz w charakterze osadzonych. Niestety jednak, miejsca zwolnionych ze służby szybko zajęli inni, o równie lepkich rękach.

Ale wróćmy do sprawy. A więc weszłam do gabinetu.

– Cześć, siadaj, kawa skończyła się już rano, chcesz herbaty? – powitał mnie Riemizow.

– Wybacz, wprawdzie nie pijam rozpuszczalnej, ale przyniosłam wam w prezencie – powiedziałam, wykładając na biurko słoik kawy Ambassador, kilogramowe opakowanie cukru, herbatę Ahmad w torebkach, dwie puszki pasztetu, ser, kielbasę i bagietkę.

– Pycha! – ucieszył się Witka i stuknął pięścią w ścianę.

Po chwili do gabinetu wszedł młody, nieznany mi chłopak.

– O co chodzi... – zaczął, ale na mój widok porzucił oficjalny ton i rzekł z zachwytem: – O, stoliczku, nakryj się! Poczęstujesz nas?

– Bierz. – Witka szerokim gestem wskazał biurko.

Do pokoju władował się jeszcze jeden facet.

– Co, płacą dzisiaj pensję? – zainteresował się.

– Witka ma urodziny – wyjaśnił pierwszy.

– No już – zniecierpliwiał się Riemizow. – Zróbcie sobie kawę i do widzenia, my tu musimy pogadać.

Potem zapalił papierosa i strząsając popiół na pusty spodeczek z napisem „Stoł. MSW”, zaczął w końcu opowiadać:

– Żył sobie kiedyś dama imieniem Ałła Siergiejewna Riumina. Pracowała całe życie w branży księgarskiej i wspinając się powoli po szczeblach drabiny służbowej, robiła karierę. Najpierw asystent sprzedawcy, potem młodszy sprzedawca, sprzedawca, starszy sprzedawca... Najdłuższy okres jej awansu zawodowego przypadł na lata absolutnego deficytu książek, więc Ałłoczka, wzorem wielu pracowników handlu, próbowała poprawić swoją sytuację materialną, sprzedając spod lady Proskurina i Pikula, choć prawdę mówiąc, powodziło jej się całkiem nieźle, była szczęśliwą mężatką, a małżonek też przecież musiał przynosić do domu jakieś pieniądze.

Koleżanki z księgarni zazdrościły jej. Za ladą stało wiele rozwiedzionych kobiet, Ałła zaś miała swego Kostię. Był malarzem i, jak się zdawało, całkiem przyzwoicie zarabiał. Nasza para posiadała piękne mieszkanie na Solance, daczę, moskwicza, no i, naturalnie, spore oszczędności. O mieszkaniu i samochodzie wiedzieli wszyscy, ale co do rezerw finansowych na książeczce, koleżanki tylko domyślały się ich istnienia, chociaż dawały się zauważyć jego widome oznaki – Ałła świetnie się ubierała, używała tylko francuskich perfum, co roku jeździła na Krym, nad morze, więc trudno było wątpić, że dysponuje sporym zasobem gotówki. Tak to wyglądało z zewnątrz, naprawdę jednak rzeczy się miały całkiem inaczej.

Konstanty właściwie prawie wcale nie zarabiał, on i jego żona zawdzięczali swój dobrobyt jego matce, Tatianie Borisownie Ałtufjowej.

– Co? – wykrzyknęłam, podskakując na krześle. – Ałła jest synową staruszki? To niemożliwe!

– Dlaczego? – spytał z rozbawieniem Witka.

Zupełnie zbił mnie z tropu. Rzeczywiście, dlaczego?

– No, przecież nosi nazwisko Riumina, nie Ałtufjewa...

Major skinął głową.

– Istotnie. Ale czy nigdy się nie zdarza, że żona pozostaje przy własnym nazwisku? Przypadkiem jednak trafiłaś właśnie w najboleśniejszy punkt Ałły.

Tatiana Borisowna od dnia, gdy po raz pierwszy ujrzała przyszłą synową, była wobec niej wrogo nastawiona i oświadczyła Kostii kategorycznie:

– Konstanty, jeżeli ta osoba będzie nosić nazwisko Ałtufjewa, nie licz na moją pomoc!

Syn, który ubóstwiał matkę i całe życie kierował się zasadą: za wszelką cenę unikać konfliktów i mieć święty spokój, łatwo się zgodził na warunki Tatiany Borisowny.

Z początku młoda para i Ałtufjewa zamieszkali razem w kamienicy przy Fiedosiejewa. Na dole – pomyślnym zbiegiem okoliczności – mieściła się księgarnia, więc Ałła znalazła tam zatrudnienie jako zastępca kierownika. Wkrótce jednak Tatianę Borisownę zmęczyło

przebywanie pod jednym dachem z synem i synową, zrobiła im zatem istic królewski podarunek: mieszkanie na Solance. Pominiey tutaj historię, jak je zdobyła, wystarczy powiedzieć, że udało jej się to załatwić doprawdy wielkim nakładem sił i środków.

Życie płynęło, dorastał synek Ałły i Kosti, Walera. Ałtufjewa regularnie wypłacała Konstantemu sporą sumę, więc rodzina miała się dobrze. Za każdym razem jednak, gdy się spotykali wszyscy razem z okazji urodzin, Nowego Roku, Wielkanocy i różnych rocznic czy świąt, Tatiana Borisowna nieodmiennie kierowała rozmowę na jeden tor, zaczynając od słów:

– Mój tatuś Boris...

Po czym następował panegiryk na cześć nieżyjących rodziców, opowieści o ich świetnej sytuacji materialnej, ich pochodzeniu...

W końcu Ałła znienawidziła z całej duszy wszystkie kobiety imieniem Daria i wszystkich Borisów. A Tatiana Borisowna, niepomna zasad dobrego wychowania, za każdym razem kończyła nietaktownie:

– Szkoda, że w naszych czasach szlachetne pochodzenie jest rzadkością, i kiedy człowiek pragnie, by do jego rodziny weszła nowa, godna tego zaszczytu osoba, to...

W tym miejscu milkła i zaczynała wzdychać, rzucając wymowne spojrzenia na Ałłę, a po chwili następowała nowa porcja rodzinnych opowieści. Następnie Tatiana Borisowna demonstrowała sekretne przejście i napomykała o ukrytym skarbie.

W domu, na Solance, Kostik czule obejmował Ałłoczkę.

– Nie przejmuj się gadaniną matki, jest bardzo czuła na punkcie pochodzenia.

Ałłoczka przyznawała mężowi rację. Nie było sensu psuć sobie stosunków z teściową, na której utrzymaniu pozostawali.

– Jak myślisz, czy te jej opowieści o skarbie to może być prawda? – zapytała męża, gdy po raz pierwszy usłyszała tę historię.

Kostia wzruszył ramionami:

– Niewykluczone, że coś tam było, ale pewnie przepadło już dawno temu, dom bez przerwy przebudowywano.

Ałłoczka traktowała więc gadaninę staruszki z rezerwą, uważając wszystko za idiotyczne wymysły. Potem Konstanty zmarł. Ałłoczka została sama z synem. Tatiana Borisowna natychmiast zakręciła kurek z pieniędzmi. Ałła, oburzona i dotknięta postępowaniem teściowej, wyniosła z jej mieszkania parę cennych figurek i pierścionek. Nie czuła żadnych wyrzutów sumienia. Brała to, co – można powiedzieć – do niej należało, jako że po śmierci chępiącej się swym pochodzeniem starej nudziary i tak wszystko miało przypaść w udziale wnukowi, a trudno przecież, by chłopak, czekając na spadek, chodził w dziurawych butach!

Syna Ałła kochała bez pamięci, po prostu go ubóstwiała, był teraz dla niej wszystkim – nie miała już przecież męża, a także rodziny ani przyjaciół. Do dwudziestego roku życia Walera wszędzie bywał razem z matką, nieomal trzymali się za ręce. Nietrudno zatem zrozumieć, jak musiała się ucieszyć Ałła na wieść o tym, że syn zamierza się ożenić z



Ksiuszą. Ale – tu trzeba jej oddać sprawiedliwość – okazała się mądrzejsza od Tatiany Borisowny. Zachowywała się wobec synowej, która wprowadziła się na Solankę, poprawnie, a mieszkanie Kseni zostało wynajęte.

Potem Waleroczka postanowił zmienić żonę. Podobnie jak ojciec, był artystą malarzem, i tak samo jak on – pechowcem. Mówiąc bez ogródek, siedział po prostu matce na karku, ta jednak, uważając syna za geniusza, bynajmniej nie miała nic przeciwko temu. Co więcej, to właśnie Ała obmyśliła plan, jak pozbawić Ksiuszę mieszkania. Kiedy cała operacja pomyślnie się zakończyła, Ałoczka przeniosła się na Tiopły Stan, zostawiając Walerze apartament przy Solance.

Malarz bowiem ożenił się powtórnie, rozwiódł po miesiącu, następnie wprowadził do domu przyjaciółkę, więc Ała, zmęczona procesją coraz to nowych obcych kobiet w kuchni, uznała, że powinna zostawić najukochańszemu syneczkowi więcej swobody. Zamieszkali zatem oddzielnie.

Niedługo przed rozwodem Walerego z Ksiuszą zatelefonowała Tatiana Borisowna w sprawie biurka. Ała ucieszyła się z oficjalnego odnowienia stosunków z teściową. Przez ostatnie lata żyła bardzo skromnie, każdą zaoszczędzoną kopiejkę oddając synowi. Dlatego w głębi jej duszy odżyła nieśmiała nadzieja na spadek.

No dobrze, mnie może nienawidzić, tłumaczyła sobie Ałoczka, ale przecież Walera nosi nazwisko Ałufjew, więc to jemu powinna wszystko zapisać.

Jej miłość do syna zaczęła przybierać formy patologiczne, Ała była przekonana, że cały świat myśli wyłącznie o tym, by go skrzywdzić i poniżyć. Mściła się na osobach, które – w jej pojęciu – „obrażały” Waleroczkę. Sąsiadce, która przy jakiejś okazji zauważyła z westchnieniem: „Starzejemy się, Ała, nawet Walery zaczyna siwieć”, pocięła żyłką obite dermą drzwi.

Nikt nie miał prawa powiedzieć złego słowa na temat jej syna. Mężczyznę, który w supermarkecie burknął pod jego adresem: „Czego się pchasz, niedojdo!”, Ała oblała kefirem, niby to się potknęła i niechcący wypuściła z ręki otwarte opakowanie. Nie wolno było nikomu krytykować Walery. Riumina zerwała kontakty z większością przyjaciółek. Jedna z nich pozwoliła sobie na uwagę:

– A może twój syn powinien zmienić zawód? No bo jak długo jeszcze ma zamiar wyciągać od ciebie pieniądze?

Druga rzuciła kiedyś:

– Nie powinnaś Walerce tak we wszystkim pobłażać, wychowałaś sobie trutnia.

Trzecia chlapanęła bez zastanowienia:

– Ależ twój Walera się upasł, wygląda jak wieprzek!

Oczywiście żadna z nich nie miała już więcej wstępu do domu Ały. Miłość przerodziła się w obsesję, szaleństwo, chorobę psychiczną.

Na pierwszą po wielu latach przerwy wizytę Ałoczka wybrała się do teściowej z bombonierką, dobrze pamiętając słabość Tatiany do wszelkich słodczy. Ale czekoladki były z „nadzieniem”. Ała nafaszerowała je dimedrolem.

– Po co? – nie wytrzymałam.

– Miała wielką ochotę pogrzebać w papierach staruszki, żeby sprawdzić, kogo uczyniła w testamencie swoim spadkobiercą – wyjaśnił major – ale ten numer nie wyszedł. Teściowa zjadła parę czekoladek zupełnie bez wrażenia.

Ała wróciła do domu, wściekła na siebie. No bo jak mogła zapomnieć, że stara nudziara, całe życie cierpiąca na bezsenność, wciąż powtarzała:

– Dimedrol w ogóle na mnie nie działa, a właściwie wywiera odwrotny skutek, jestem po nim tak ożywiona, że najchętniej puściłabym się w tany.

– Teraz rozumiem – powiedziałam, kiwając głową.

– Co?

– Kiedy przyszedłam do niej po raz pierwszy, Tatiana Borisowna wyjęła otwartą już bombonierkę i poczęstowała mnie czekoladkami. O mało nie straciłam przytomności, fatalnie znoszę dimedrol.

Ała postanowiła ponowić próbę i odwiedziła teściową powtórnie. Tym razem przyniosła pudełko wiśni w czekoladzie, naszpikowanych rodedorem. Po zjedzeniu jednej czekoladki Ałufjewa zasnęła.

Riumina przeszukała pokój, znalazła masę różnych papierów i testament. Kamień spadł jej z serca – stara wszystko zapisała Walerze.

– Wiem! – wykrzyknęłam. – Teraz już wszystko wiem!

– No to mów – zaproponował urażony major.

– Ałoczka, swoim zwyczajem, przyszła do pracy pierwsza, zobaczyła, jak z tajnego przejścia wyłania się Ksenia, i zabiła ją!

– Po co? – trzeźwo spytał Witka. – I dlatego cię potem straszyla?

– No... – zawahałam się na sekundę – ...to także wiem! Ksenia zwierzyła się swojej przyjaciółce Wice, że znalazła plan, który zawiera wskazówkę, gdzie ukryto skarb. Ałoczka pewnie się dowiedziała, że Szmielowa zna sekret, i zabiła ją!

– W zasadzie tak – zgodził się z moim wywoodem Riemizow. – Nieszczęsna Ksenia zginęła właśnie dlatego, że wiedziała, gdzie się znajduje skarb, masz rację. Tyle że to nie Ała ją zabiła. Ona nikogo nie pozbawiła życia, tylko ciebie chciała „przygwoździć”, ale Ksiuszy nie tknęła palcem. Chociaż właściwie tak, ale już po jej śmierci.

– Więc kto zabił Szmielowa?

Witka zapalił, po czym podsunął mi tekturową teczkę.

– No cóż, trudno, popelnię wykroczenie służbowe. Masz, czytaj!

## Rozdział 33

Sunęłam oczyma po linijkach. „Ja, Tatiana Borisowna Ałtufjewa...”.

– Niemożliwe – szepnęłam, odsuwając papiery. – Staruszka?!

Witka kiwnął głową.

– Tak.

– Dlaczego?

Major rozłożył ręce.

– Z powodu skarbu.

– Nic nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz.

– Ale przecież Ałtufjewa to słaba, nieporadna starowinka! Urodziła się w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku!

Witka parsknął śmiechem.

– To było pokolenie ludzi z żelaza, a Tatiana Borisowna jest chyba z damasceńskiej stali.

Całe życie marzyła o odnalezieniu skarbu i przez długie lata dręczyła ją myśl, że któryś z mieszkańców komunałek go sobie przywłaszczył.

Kiedy lokatorów wykwaterowano i przerobiono mieszkania na księgarnię, Ałtufjewa, wcale jeszcze wówczas niestara, energiczna kobieta w średnim wieku, rozpoczęła prawdziwe śledztwo, które trwało rok.

W administracji dowiedziała się o nowe adresy dawnych lokatorów i metodycznie, po kolei, zaczęła odwiedzać wszystkich. Na podstawie tych działań operacyjno-śledczych doszła do wniosku, że skarb musi się znajdować na swoim miejscu. Jej niegdyśsi sąsiedzi żyli bardzo, bardzo skromnie. Ich mieszkania w blokach umeblowane były najprostszymi sprzętami, nikt też nie miał samochodu. Można, oczywiście, podać w wątpliwość logikę rozumowania Tatiany Borisowny, niemniej operacja „Sąsiedzi” utwierdziła ją w przekonaniu, że skarb nadal pozostaje tam, gdzie jest ukryty. Dlatego bacznie śledziła poczynania ekipy budowlanej, gdy właścicielka „Kramu” rozpoczęła remont; wciąż miała nadzieję, że a nuż pośród pokruszonych cegieł błysnie nagle szkatułka...

Niestety, zawiodła się, ale nie przestawała łamać sobie głowy nad zagadką, gdzie też może się znajdować skarb.

Potem zjawiała się u niej z listem znalezionym w biurku samozwańcza Daria Iwanowna Wasiljewa. Tatiana, uważająca wszystkie imienniczki swojej matki za bliskie krewne, przyjęła ją z otwartymi ramionami i... opowiedziała o ukrytym przejściu.

Ksenia w duchu zacierała ręce z radości i następnym razem przysłała z czekoladkami, w które wstrzyknęła środek nasenny. Gdy lek zadziałał i Tatiana Borisowna usnęła, Ksiusza zaczęła myszkować po domu. Staruszka jednak była nie w ciemną bita. Po kolejnej wizycie fałszywej Darii zorientowała się, że w czekoladkach jest środek nasenny. Postanowiła więc udać, że zasypia, i tak też zrobiła, a Ksiusza tymczasem późną nocą zakradła się do tajemnego przejścia i niespodziewanie znalazła tam skrytkę, a w niej szkatułkę. Drżącymi z podniecenia rękami podniosła wieczko i zobaczyła w środku karteczkę z planem. Po prostu miała szczęście. Tatiana Borisowna wiele razy odwiedzała sekretne przejście, ale nigdy nic nie zauważyła. Ksiusza natomiast potknęła się na niewygodnych, wąskich stopniach, zleciała z nich i upadła u podnóża kręconych schodów. Początkowo przstraszyła się, że złamała rękę lub nogę, ale po chwili upewniła się, że kończyny są całe. Wstając, oparła się o ścianę i jedna z płytek odpadła. Okazało się, że sprytnie maskowała wnękę, w której znajdowała się szkatułka z planem. Po prostu wyjątkowo pomyślny zbieg okoliczności.

Półprzutomna z radości Ksiusza prześlizguje się do piwnicy, chcąc stamtąd czym prędzej dotrzeć do miejsca, gdzie ukryto skarb, ale nagle pojawia się całkiem przytomna Ałufjewa i żąda, by Ksenia oddała jej plan. Dziewczyna naturalnie ani myśli dzielić się skarbem ze staruszką. Dochodzi do kłótni. Rozgorączkowana Tatiana Borisowna tak nieszczęśliwie popycha Ksenię, że ta, padając, uderza skronią o kant metalowej szafki. Śmierć następuje w ułamku sekundy. Wystraszona Ałufjewa nachyla się nad dziewczyną, żeby wyszarpnąć jej z ręki karteczkę z planem, gdy nagle słyszy, że ktoś otwiera frontowe drzwi księgarni. Staruszka rejteruje, czym prędzej kryjąc się w tajnym przejściu, nie zdążywszy zabrać planu. Zgadnij, kto teraz wchodzi do piwnicy?

– Ałoczka – powiedziałam cicho. – Zawsze pierwsza zjawia się w pracy.

– I tym razem było tak samo. – Witka pokiwał głową.

Ała natychmiast poznaje swoją byłą synową, wyjmując z jej ręki paperek i w jednej chwili orientuje się, co znalazła. Błyskawicznie wciska ciało Ksiuszy do szafki, ściera z niej krew, myje też podłogę i... jakby nigdy nic zabiera się do pełnienia codziennych obowiązków. A dlaczego od razu nie wezwała milicji?

– Musiałyby wtedy opowiedzieć o planie i sekretnym przejściu. Tymczasem wszystko doskonale się złożyło: ktoś inny odkryje trupa dziewczyny, który nie wiadomo jak znalazł się w szafce. Ałoczka dołożyła starań, żeby wszyscy widzieli, że zeszła do szatni ostatnia. Zależało jej bardzo na tym, żeby nikt się nie dowiedział o planie. Uważała, że skarb powinien się stać własnością Walerego. Ucieszyła się ogromnie, gdy się okazało, że w kieszeni Ksiuszy

znaleziono fałszywy dowód osobisty. A więc ta podstępna dziewczucha przedstawiła się Ałtufjowej jako Daria!

– Tylko skąd w dowodzie wziął się adres przy Szosie Wołokołamskiej?

Witka znowu zapalił.

– W takim dokumencie musi figurować miejsce zamieszkania i pieczętka biura meldunkowego. Szmielowa kupiła fachowo podrobiony dowód. Lokatorzy mieszkania numer jeden przy Szosie Wołokołamskiej jeden nie mają nic wspólnego z całą tą sprawą.

Z planu Ała dowiaduje się, że skarb znajduje się w... gabinecie kierowniczkii. Wydawałoby się, że już ma go w rękach. Nic prostszego niż zostać w księgarni po godzinach; nikogo to nie zdziwi, jako że Ała zawsze przychodzi do pracy pierwsza i wychodzi ostatnia. Upragniony kasek jest jednak nieosiągalny, gdyż – jak na złość – huragan wyrządził dotkliwe szkody w osiedlu Łożkino i kierowniczka wraz ze swoją zwariowaną rodziną i menażerią rozgościła się na dobre w księgarni. Ałoczka łamie sobie głowę, jak by wykurzyć stąd tę babę, i wpada na sprytny pomysł, żeby udawać ducha.

– Ale czemu tak jej zależało na tym, żeby nie było mnie tam akurat w nocy? Przecież całymi dniami, kiedy wychodziłam, gabinet stał pusty. Mogła w nim robić, co chciała.

– I tak, i nie! Często zaglądały tam pracownice. Poza tym Ała nie mogła zniknąć nie wiadomo gdzie na kilka godzin. Musiała być cały czas na miejscu. Dziesięć, piętnaście minut, no, góra pół godziny – najwyżej tyle dałoby się wykroić. Ktoś wciąż miał do niej jakieś interesy – ekspedientki, księgowo, magazynierki. Wyobraź sobie tylko, co by się stało, gdyby Ała zniknęła, powiedzmy, na godzinę. Najpierw zapytano by dziewczęta, które dyżurują przy wejściu, czy Riumina wychodziła, a gdyby się okazało, że nie, zaraz by wszczęto alarm. Nie, Ała potrzebowała całej nocy, żeby spokojnie wszystko załatwić. Musiała przecież dostać się do schowka. To kawał roboty. Wezwaliśmy fachowca, a i jemu ta praca zajęła parę godzin. Nie tak łatwo poradzić sobie z czymś, co nie było ani razu ruszane przez prawie sto lat.

Więc Ała zaczęła cię straszyć. Spacerowała nocą po sali sprzedaży, zaczajala się na ciebie w kuchence i doprowadziła cię prawie do obłędu. Co więcej, wciąż napomykała, że nocować w księgarni jest niebezpiecznie, zmyśliła historyjkę o ekspedientce, która się powiesiła, wylała do doniczki butelkę koniaku, otworzyła zasuwę w drzwiach wejściowych, słowem, robiła wszystko, żeby zmusić wystraszoną kierowniczkę do opuszczenia tymczasowego lokum.

– Proponowała mi, żebym się przeniosła do niej – wtrąciłam. – Właściwie byłam już prawie zdecydowana... Teraz rozumiem, dlaczego Hootchuś pobiegł za zjawą i został uwięziony w tajnym przejściu. Mops lubi Ałoczkę, zawsze karmiła go serem... Automat z pocztówkami też pstryknął zdjęcie ducha. Szuroczka dopatrzyła się na fotografii kobiecej twarzy z kolczykami w uszach, ale ja wciąż uważałam zjawę za mężczyznę.

– Można wiedzieć dlaczego?

– Adidas miał rozmiar czterdzieści cztery, był wielki jak kajak, ze sznurowadłami zawiązanymi na kokardkę...

– No właśnie – mruknął Witka. – Na kokardkę. Ten szczegół nie wydał ci się zastanawiający?

– Nie.

– No widzisz. A przecież jeśli ktoś gubi zasznurowany i zawiązany starannie but, to znaczy, że musi być dla niego...

– ...za duży!

– Brawo.

– Ale po co Ała włożyła męskie obuwie?

– Bała się, że zauważysz damskie pantofle i, nie daj Boże, domyślisz się wszystkiego. To głupie, oczywiście, duch w ogóle powinien ukazywać się boso, ale gdyby przestępcy nie popełniali błędów, nie moglibyśmy ich złapać – podsumował sprawę Witka.

– A dlaczego ona chciała mnie zabić?

– Sama sobie jesteś winna – powiedział Riemizow. – Zjawiłaś się w domu jej ukochanego syneczka, nagadałaś mu Bóg wie jakich głupstw o tajnym przejściu, skarbie i Kseni... Walery cię wyrzucił, a potem, naturalnie, opowiedział wszystko mamusi. Co więcej, naszkicował twój portret, w końcu to artysta. Ała błyskawicznie skojarzyła, co to za klientka odwiedziła Walerkę. I wtedy właśnie postanowiła się ciebie pozbyć. Przestraszyła się, pomyślała, że ty także szukasz skarbu, i sięgnęła po pistolet.

– Skąd go wzięła?

– Został po remoncie księgarni. Ałoczka mieszka na Tiopłym Stanie, kawał drogi od metra, wraca do domu późno, sama, więc nosi go przy sobie, żeby w razie czego móc się bronić, jeśli ją napadną jacyś bandyci. No a teraz pistolecik przydał jej się, żeby wyeliminować Daszutkę.

– To wariatka!

– Nie, po prostu nadopiekuńcza, obłądnie zakochana w swoim synu matka, gotowa wszystkich wokoło rozerwać na strzępy, byleby jej pupilkowi nie stała się krzywda. Są jeszcze jakieś pytania?

– Tak. Kto zabił Loszę Kołpakowa?

Wiktor uniósł brwi.

– Dlaczego założyłaś, że to było zabójstwo? Zwykła rzecz, skorodował przewód, przez dziurkę wyciekł płyn hamulcowy i tyle.

– Wydawało mi się, że...

– Czasami za bardzo ponosi cię wyobraźnia – mruknął Witka. – Przecież jego siostrę też już uśmierciłaś. Przyczyną wypadku Loszy była niesprawność techniczna pojazdu, nic więcej. Jeszcze jakieś niejasności?

– Będziesz się śmiał...

– Mów!

– Skoro to Ała udawała ducha, skąd te dłonie szkieletu? Widziałam na własne oczy, otaczała je dziwna zielona poświata i miały pierścienie na palcach. Coś potwornego!

Witka westchnął, otworzył szufladę biurka, wyjął z niej upiorną, kościstą dłoń i przesunął ją po blacie w moją stronę.

– Taka?

Pisnęłam przerażona i w tej samej chwili pojęłam, że mam przed sobą plastikową atrapę.

– Można je kupić w sklepie z gadżetami „Czarny Humor” – poinformował mnie major. – Są pokryte specjalną farbą, dlatego świecą w ciemności, to taki bajer. Ała zademonstrowała ci klasyczny repertuar chwytów z filmu grozy, wiesz o tym?

Kiwnęłam głową.

– A co ze skarbem?

– Pozostaje nadal w twoim gabinecie.

– Wydobędziemy go?

– Jutro... – zaczął Witka i nagle urwał.

Drzwi gabinetu otwarły się z trzaskiem i w progu stanął opalony na Murzyna i niewiarygodnie przystojny Diegtiarjow.

– Meldujcie natychmiast, czym raczycie się tu zajmować! – wyszczał groźnie Aleksander Michajłowicz.

– Pijemy kawę – wybąkaliśmy oboje, zaskoczeni tym niespodziewanym najściem. – A co, nie wolno?

– Do kawy nie mam zastrzeżeń – rzucił oschłym tonem pułkownik. – No, Daria, biegiem do księgarni. Arkady i Kicia przyjechali z Pitra, a Mania opowiada im niestworzone historie o pistoletach do wstrzeliwania kołków, tajemnych przejściach i skarbach. Stevenson może się schować. To jakiś koszmar! Na minutę nie można cię zostawić bez nadzoru!

# Epilog

Wybiegając nieco naprzód, powiem, że o losach Tatiany Borisowny i Ałły nic mi nie wiadomo. Rozprawa jeszcze się nie odbyła, ale zważywszy, że jedna urodziła się w roku 1917, a druga mimo wszystko mnie nie zabiła, sądzę, iż obie otrzymają najniższy wymiar kary. Zwłaszcza że Ałtufjewa powtarza jak nakręcona:

– Po prostu ją odsunęłam, nie chciałam nikogo zabić, pchnęłam ją lekko w pierś, a ona straciła równowagę, nie utrzymała się na wysokich obcasach.

Śledczy skłonny jest dać wiarę zeznaniom staruszki, myślę więc, że Tatiana wykreśli się sianem. Walera, syn Ałły, przedstawił stosownym organom całą stertę zaświadczeń lekarskich o chorobach matki. Ałłoczkę, tak samo zresztą jak Tatianę Borisownę, zwolniono z aresztu, zakazując jedynie im obu opuszczać miejsce stałego pobytu. Moja zastępczyni natychmiast przybiegła do mnie, padła na kolana i tłukąc głową o podłogę, zaczęła krzyczeć histerycznie:

– Przebacz mi, przebacz, diabeł mnie opętał, to wszystko z miłości do Waleroczki!

W rezultacie uprzedziłam Riemizowa, że na rozprawie zeznam, iż wygłupiałyśmy się z Ałłą, udając duchy, to była tylko niemądra zabawa, i Riumina niechcący odwiodła kurek pistoletu, nie wiedząc, czym to grozi.

– Siedmiokrotnie! – rzucił drwiąco Witka.

– No dobrze – szybko zmieniałam wersję – w takim razie wieszaliśmy obrazy, więc trzeba było wbić kołki w ścianę, a w ucho drasnęła mnie przypadkowo...

– Idiotka! – ryknął Riemizow.

Ale ja twardo obstawałam przy swoim: nic wielkiego się nie stało, wszystko to głupstwa, nikt nie chciał mnie zabić. Na myśl, że obłąkana z miłości do syna Ałła znajdzie się w więzieniu, robiło mi się słabo. W końcu przecież mnie nie zabiła! W dodatku przyrzekła uroczyście, że nigdy więcej nie będzie nastawać na niczyje życie. Witka omal nie dostał szału, kiedy się o tym wszystkim dowiedział, ale w dniu, gdy dokonywaliśmy odkrycia skarbu, nie znał jeszcze moich zamiarów, więc zachowywał się bardzo sympatycznie.

Nigdy byście się nie domyślili, gdzie został ukryty skarb. Pamiętacie, wspominałam wcześniej, że zasłony wisiały na staroświeckim karniszu? Otóż schowano go wewnątrz tej metalowej rury. Boris Ałtufjew rozumował prawidłowo: wątpliwe, by ktoś zechciał wrywać



ze ściany wpuszczony w nią na stałe, solidny karnisz. Tak się też stało, zarówno lokatorzy komunałki, jak i kierownik księgarni wieszali na kółkach z zębatymi żabkami swoje zasłony, nie mając bladego pojęcia, co znajduje się w środku metalowej rury.

Kiedy Witka wytrząsnął na podłogę podłużny futerał, rzuciłam się do niego, otworzyłam i wysypałam zawartość... Wiecie, co było w środku? Zeszyt, w którym ojciec, dziad, pradziad i jeszcze dalsi przodkowie Borisa odnotowywali fakt narodzin swoich dzieci. Oprócz tego – kilka złotych krzyżyków na szyję i sygnet-pieczęć z herbem Ałufjewów. Dla Borisa to właśnie było najcenniejsze – pamięć o protoplastach rodu, jego historia, rodzinne relikwie. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że potomni okażą się tak przyziemnymi materialistami, iż będzie im zależeć jedynie na brylantach, szmaragdach, rubinach. Boris Ałufjew najbardziej cenił honor rodziny, jej dobre imię, a nie złoto i drogie kamienie. Zobaczywszy, co znajdowało się w karniszu, Ałoczka dostała ataku histerycznego płaczu, a Tatiana Borisowna nie posiadała się z radości.

– Boże mój – powtarzała, przyciskając do piersi podniszczony zeszyt – o ileż to cenniejsze niż pieniądze, moja historia, mój ród...

Ale ja uprzytomniłam sobie, z jaką siłą starucha musiała pchnąć Ksenię Szmielową, by odebrać jej upragniony plan, i odwróciłam się. Nie wierzę Ałufjewej! W ogóle mam do niej jakiś ambiwalentny stosunek. Z jednej strony, żal mi jej, z drugiej – sprawia mi przykrość przebywanie z nią w tym samym pomieszczeniu. Do Ałoczki jakoś nie czuję odrazy. Może dlatego, że nigdy nie udawała szlachetnie urodzonej damy? Cóż, w każdym razie więcej już nie wybiorę się do Tatiany Borisowny na herbatę.

Nazajutrz razem z Manią i Lolą wybierałyśmy się wreszcie z powrotem do Łożkina. Nasz dom i rezydencja Syromiatnikowów zostały całkowicie doprowadzone do porządku.

– No – zapytał Arkady – to już wszyscy? Wszystkich zgarnąłem?

– Wszystkich – zapewniła Mania. – Pięć psów, trzy koty i ropuchę!

– A szczura Fimę?

– Też.

– Chomiki?

– Są na tylnym siedzeniu.

Rozejrzałam się po pustej sali sprzedaży. Tak, pozostało tylko zgasić światło i włączyć instalację alarmową. Jutro powinna wrócić z Tajlandii Lena, a ja złożę rezygnację z posady kierowniczkii księgarni. Jeśli moja przyjaciółka zechce, może powierzyć tę funkcję Ałoczce Riuminej. Wystarczy spuścić zasłonę niepamięci na jej wyczyny jako ducha i na pościg za ofiarą z pistoletem w rękę, a lepszej kandydatki na stanowisko kierowniczkii „Kramu” się nie znajdzie.

– W porządku – zakończył przegląd Kiesza. – Kiciu, gaś światło.

– Dobrze – powiedziała Olga i zamiast wyłącznika nacisnęła guzik alarmu. – Dlaczego lampy nie zgasły? – zdziwiła się.

– Dlatego że pomyliłaś przyciski i wezwałaś ochronę milicyjną! – wyjaśniła jej Mania.

Po dziesięciu minutach przyjechał rozlatujący się gazik. Wyszli z niego... Dmitrij Jurjewicz Sołowjow i Paweł. Nie zdziwiło mnie to. Jakże mógłby pojawić się kto inny?

– Co się znowu stało? – zrezygnowanym głosem zapytał Sołowjow.

– Wszystko w porządku, przepraszam – zaczęłam się usprawiedliwiać.

– Duch już nie straszy?

– Nie.

– Nikt się nie topi w akwarium?

– Nie, nie.

– Obecności zabójcy z pistoletem nie stwierdza się? – dowcipkował Paweł. – W ogóle nic? Zupełny spokój? To niemożliwe!

Rozłożyłam ręce.

– Naprawdę, bardzo przepraszam. Zresztą już się wyprowadzamy z księgarni. Wracamy do domu.

– To świetnie – ucieszyli się gliniarze. – Wreszcie będzie można spokojnie podyzuować, bo dały nam w kość te ciągłe wezwania.

– Weźcie książki – zaproponowałam.

Dmitrij Jurjewicz i Pawłucha wsunęli do kieszeni po kryminale. Kiesza wsiadł do dżipa, na tylne siedzenie lekko wskoczyli Snap i Bundy, Kicia załadowała się do volkswagena razem z kotami, Julie, Cherry, Hootchem, ropuchą i szcurem Fimą. Otworzyłam peugeota. Dla mnie zostały bagaże, Mania i chomiki, które moja córka po namyśle przeniosła tu z dżipa.

– Do widzenia, chłopaki – pożegnałam gliniarzy.

– Bądźcie zdrowi – odpowiedzieli chórem.

Usiadłam za kółkiem, zapaliłam silnik.

– Ej, Dasza! – krzyknął Sołowjow. – Poczekaj!

Wysunęłam głowę przez okno.

– Co się stało?

Twarcz Dmitrija Jurjewicza rozjaśnił szeroki, dziecięcy uśmiech.

– Fajna z ciebie kobita, Dasza, tylko nie pij już więcej tyle koniaku, dobra?